



LINDA HOWARD MRO CZNY WELON

Linda Howard zmysłowe namiętności
przepięta żywymi i silnymi emocjami.
Jej powieści trzymają w napięciu!

Publishers Weekly

Howard Linda

Mroczny welon

Jaclyn Wildet, profesjonalnie zajmująca się organizacją ślubów, uwielbia swoją pracę. Jednak kolejna klientka, Carrie Edwards, to panna młoda z piekła rodem. Jej humory i ataki złości są równie irracjonalne jak stawiane przez nią wymagania. Mimo to trwają przygotowania do eleganckiej uroczystości zaślubin. Ostatecznie nie dochodzi do wymiany obrączek ani pocałunku małżonków, ponieważ Carrie zostaje brutalnie zamordowana.

Niemal wszyscy – od Jaclyn, cukierniczki robiącej torty i florysty, po sprzedawczynię sukien ślubnych i krawcową szyjącą suknie dla druhen – mieli własne powody, by życzyć śmierci niedoszłej pannie młodej.

Prowadzący sprawę detektyw Eric Wilder uważa, że ma za dużo dowodów i zbyt wielu podejrzanych. W dodatku jeszcze przed zabójstwem spędził namiętą noc z Jaclyn, co komplikuje całą sytuację. Tymczasem bezwzględny morderca wciąż pozostaje nieuchwytny.

Rozdział 1

Sześć ślubów w pięć dni. A niech to!

Jaclyn Wilde mogła myśleć w tej chwili jedynie o matce, współwłaścicielce Premier, firmy organizującej eleganckie przyjęcia w Atlancie i okolicach, jedynej, do której należało się zwrócić, chcąc olśnić gości. Podejrzewała, że matka musiała ostatnio przesadzić ze wzmocnionym szampanem, skoro przyjęła tyle zleceń na tak krótki termin. Nie byłoby jeszcze najgorzej, gdyby nie to, że akurat zbiegły się same śluby i wesela. Zwykle przyjęcie to ła twizna w porównaniu ze ślubem i weselem, które wyzwalają emocje i to nie tylko panny młodej, lecz również jej matki, teściowej, druhen, z pierwszą włącznie, rodziców dziewczynki sypiącej płatki i chłopca od obrączek, a także niezaproszonych kuzynek. Do tego trzeba wybrać suknię ślubną, ustalić datę, zdecydować się na czcionkę tych cholernych zaproszeń...

- Jaclyn Wilde! - zawołała urzędniczka, odrywając ją od coraz bardziej gorączkowych rozmyślań. Jej głos zabrzmiał stanowczo zbyt radośnie. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że nie wypada się cieszyć, kiedy ktoś przychodzi zapłacić mandat za naruszenie przepisów ruchu drogowego? Może nie należało się upierać przy grobowym tonie, ale demonstrować zadowolenie, że komuś zabiorą pieniądze, to gruba przesada, uznała Jaclyn.

Stłumiła irytację spowodowaną w większym stopniu myślą o urwaniu głowy w nadchodzącym tygodniu niż mandatem. Właśnie z powodu nawału zajęć zapomniała o uregulowaniu mandatu.

Musiła więc wziąć wolny dzień i jeszcze powiększyć w ten sposób stres wywołany zaległościami w pracy albo liczyć się z tym, że zostanie na nią wystawiony nakaz aresztowania. Tylko tego brakowało! Gdyby miasto Hopewell, w którym mieszkała i dostała mandat, uruchomiło przyjmowanie płatności drogą elektroniczną, mogłaby załatwić sprawę na odległość. Niestety, było inaczej. Wstała więc, bez słowa rozstała się z wyznaczoną kwotą i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

Zerknęła na zegarek. Zostało jej akurat tyle czasu, by zdążyć na umówione spotkanie. Carrie Edwards, wyjątkowo uciążliwa klientka, sprawiała, że zorganizowanie sześciu ślubów w ciągu pięciu dni wydawało się misją nic do spełnienia. Co gorsza, ślub Carrie nie mieścił się w tej szóstce, miał się odbyć dopiero za miesiąc. Mimo to mieznośna panna Edwards bezlitośnie trwonila cenny czas pracowników Premier, raz po raz demonstrując fochy i nieustannie zmieniając decyzje. Jedna z druhien zdążyła powiedzieć przyszłej pannie młodej, żeby się odpieprzyła, co Jaclyn usłyszała po raz pierwszy, od kiedy urządziła ceremonie. Zwykle członkowie orszaku ślubnego zaciskali zęby, byle tylko dotrzeć do uroczystości, i wszystkie kaprysy uchodziły płazem pannie młodej. Nawet jeśli ktoś rezygnował, szukał pretekstu i grzecznie przeproszał. Druhna Carrie nie bawiła się w dyplomację, po prostu wygarnęła od serca, nie przebierając w słowach.

Kiedy wybuchła awantura, Jaclyn usunęła się na stronę i pewna, że nikt nie widzi, triumfalnie zacisnęła pięść, szeroko się uśmiechając. Szybko jednak skryła się znowu za maską profesjonalnej uprzejmości i wróciła na pole walki, żeby zapobiec wyrywaniu włosów i rozorywaniu twarzy paznokciami. Chętnie zobaczyłaby Carrie z podbitym okiem, ale biznes ma swoje prawa.

Gdyby nie była tak pochłonięta myślami, może zdobyłaby się na szybszą reakcję. Kiedy drzwi nagle się otworzyły, wpadła

prosto na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w rozpiętym ciemnym garniturze, który właśnie zamierzał wejść do środka.

- Uff! - stęknęła.

Aktówka, wybita spod jej pachy siłą uderzenia, wirując, wylądowała na szarych płytkach posadzki. Jaclyn poczuła, że ośmiocen-trymetrowe obcasy jej eleganckich pantofli tracą kontakt z podłożem. W panice chwyciła mężczyznę za ramię, a drugą rękę zdołała zacisnąć na jego koszuli. Pod odchyłoną marynarką zaślniła skóra i zorientowała się, że to kabura pistoletu. Uznała, że ma do czynienia z policjantem, zwłaszcza że znajdowała się w ratuszu.

Mężczyzna dzielnie przyjął na siebie impet uderzenia i błyskawicznie objął Jaclyn wolnym ramieniem, aby nie upadła. Przez moment znajdowała się w uścisku, przygnieciona do muskularnego, bezdyskusyjnie męskiego ciała.

Puścił ją, gdy tylko odzyskała równowagę, ale się nie odsunął. W każdym razie nie natychmiast.

- Ooooh! - odetchnęła dość niepewnie.

Gdyby wyłożyła się jak długa na podłodze ratusza, pasowałoby to jak ułamek do tego wyjątkowo nieudanego dnia, ale przecież nie mogła sobie pozwolić na żaden wypadek, choćby złamanie nogi.

Nawet skręcenie nie wchodziło w rachubę ze względu na napięte firmowe terminy.

- Czy wszystko w porządku, szanowna pani?

Pytając ją, mężczyzna pochylił głowę, i jego oddech, roztaczający woń miętowej gumy do żucia, owionął jej skroń. Przyjemny baryton był lekko schrypnięty. Zaraz, zaraz. Czy on powiedział „szanowna pani”?

Czyżby wyglądała aż tak beznadziejnie? Zdołała stłumić irytację. Plakietka, którą nosił, jakoś tłumaczyła „szanowną panią”. Nie trzeba zapominać, że znajdują się na Południu. Jaclyn pojęła, że ten zwrot nie ma nic wspólnego z jej wyglądem. Wpadła na

urzędnika państwowego zobowiązanego do regulaminowej uprzejmości. Raz jeszcze głęboko odetchnęła i wtedy uświadomiła sobie, że wciąż trzyma tego człowieka i za ramię, i za koszulę. Rozprostowała więc palce i cofnęła się o krok, aby stworzyć między nimi pewien dystans.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Dziękuję, że mnie pan podtrzymał. Zamyśliłam się.

Mała część mózgu, która była zarezerwowana dla hormonów i irracjonalnych decyzji, przesłała jej głośny sygnał. Jaclyn poczuła nagle falę gorąca i podniecenia. Do licha, facet był przystojny. To wrażenie opierało się bardziej na promieniującej od niego sile i aurze kompetencji niż na regularności rysów. Są ładni chłopcy i mężczyźni. Przed nią stał mężczyzna mający to nieuchwytnie i trudne do nazwania coś, w czym zawierają się jednocześnie seksapil, dojrzałość i siła. Całość zbijała z nóg. Policjant przesłał jej swobodny, naturalny uśmiech.

- Nie popisał się projektant tego przejścia, zważywszy na to, jakie tutaj jest natężenie ruchu.

- Niech pan nie wspomina przy mnie o natężeniu ruchu - powiedziała Jaclyn cicho, ale bardzo dobitnie.

Zerknął ze zrozumieniem w kierunku, z którego nadeszła, i uśmiechnął się nieco szerzej.

Ze względu na charakter pracy spotykała wielu mężczyzn, lecz, niestety, większość z nich właśnie się żeniła. Naturalnie nie wszyscy, jednak mężczyzna musiał mieć w sobie naprawdę coś szczególnego, żeby zwróciła na niego uwagę. Szczerze mówiąc, dawno już nie zdarzyło jej się spojrzeć na mężczyznę z niekłamanym podziwem. Teraz też nie miała na to czasu. Musiała ruszać w drogę, żeby się nie spóźnić.

- Dziękuję jeszcze raz. I przepraszam, omal pana nie spłaszczyłam tym uderzeniem.

Na pożegnanie skinęła głową przyjaźnie, lecz bez przesady, po czym rozejrzała się za upuszczoną aktówką. Zobaczyła ją aż pod ścianą, zanim jednak zdążyła tam podejść, mężczyzna w zaplamionych dżinsach i brudnej bawełnianej koszulce, opinającej się na imponującym piwnym brzuchu, schylił się z wysiłkiem i podniósł zgubę.

- Proszę, szanowna pani - powiedział, wyciągając ku niej pulchną dłoń i przesłał jej zdumiewająco słodki uśmiech, jak na kogoś z tak grubymi rysami.

- Dziękuję.

Jaclyn położyła rękę na klamce i obdarzyła tego potężnego typa znacznie cieplejszym uśmiechem niż policjanta. Niczym nie ryzykowała, okazując mu uprzejmość, bo nie pociągał jej ani trochę.

Zmierzając przez hol ku wyjściu, zastanawiała się na tym, jak bardzo pokrętne jest takie rozumowanie z logicznego punktu widzenia, a zarazem jak niezbite staje się ono, jeśli polegać na kobiecym instynkcie. Zresztą nie miała czasu dla przystojnego policjanta ani na damsko-męskie gry.

Odchodząc, była prawie pewna, że policjant patrzy za nią, lecz nie zaryzykowała spojrzenia przez ramię. Szybko dotarła na parking i pilotem otworzyła stalowoszarego jaguara. Cisnęła teczkę na siedzenie pasażera i usiadła za kierownicą. Machinalnie zablokowała drzwi, jak zawsze na wszelki wypadek, a przekręcając kluczyk w stacyjce, wolną ręką zapięła pas.

Nie chciała dostać kolejnego mandatu, więc z uwagą patrzyła na szybkościomierz. Nie byłoby jej łatwo przekroczyć dozwoloną prędkość w drodze na spotkanie z Carrie Edwards, wiele wysiłku kosztowało ją bowiem samo utrzymanie właściwego kierunku. Przez cały czas odpierała pokusę, by zadzwonić do matki, poskarżyć się na mdłości i dreszcze, prawdopodobnie będące zwiastunem różyczki, i poprosić o zastępstwo. Nieważne, że Madelyn

właśnie czyniła ostatnie przygotowania do odbywającego się nazajutrz ślubu i czekała ją próba generalna. To przecież ona przyjęła zlecenie od Carrie, więc powinna mieć swój udział w przyjemności uzgadniania z nią szczegółów.

Jaclyn westchnęła. Nie mogła tego zrobić matce. Nie spieszyło jej się jednak na spotkanie z Carrie, wyjątkowo nieprzyjemnej i dokuczliwej w porównaniu z innymi kobietami, w których ślub wyzwał najgorsze instynkty Owszem, zdarzały się przemiłe klientki, z którymi cudownie się pracowało od początku do końca, ale czasem Jaclyn chętnie doradziłaby przyszłej pannie młodej ślub w sądzie albo w całonocnej kaplicy w Las Vegas. Naturalnie, nie była tak nierozsądna, aby powiedzieć to głośno. Koniec końców, z organizacji ślubów czerpała dochody.

Dzisiejsze spotkanie z Carrie miało się odbyć w siedzibie Premier w Buckhead, nazajutrz natomiast czekały ją konsultacje z re-stauratorką zapewniającą potrawy na stół weselny, cukierniczką i florystą w domu weselnym w Hopewell. Rzecz jasna, pierwsze zamówienia zostały złożone przed kilkoma miesiącami, należało jednak podjąć jeszcze kilka decyzji, a z tymi Carrie zwlekała. Właściwie to oblubienica powinna odwiedzić kontrahentów, ale Carrie uparła się, że będzie inaczej. Miała silne poczucie własnej ważności, a to znaczyło, że ludzie przychodzą do niej, nie zaś ona do nich.

Ponieważ wesele było organizowane z rozmachem - pan młody był synem senatora stanowego - wszyscy zaakceptowali wymagania Carrie, która zażądała między innymi, aby Jaclyn była obecna podczas konsultacji. Do zgłaszania żądań i upierania się była pierwsza. Nazajutrz zapowiadał się więc sądny dzień, jako że niezależnie od ceregieli z Carrie odbywał się również pierwszy z serii sześciu ślubów. Mimo że zajmowała się nim Madelyn, nie ulegało wątpliwości, że w ostatniej chwili ujawnią się różne niespodziewane przeszkody, do których pokonania potrzebna będzie pomoc.

Może trzeba będzie pilnie zatelefonować do firmy wynajmującej samochody, bo limuzyna jest w niewłaściwym kolorze. A może natychmiast znaleźć zastępczy smoking dla pana młodego, którego obrzygała dziewczynka sypiąca płatki? W dniu ślubu należało być przygotowanym na każdą okoliczność.

Jaclyn weszła do firmy pięć minut przed zaplanowanym spotkaniem. Oczywiście w jej gabinecie czekała już Carrie. Diedra, asystentka Jaclyn, która siedziała w przyległym pomieszczeniu przy biurku zasłanym książkami, próbkami materiałów i zdjęciami, bez słowa wskazała głową drzwi, robiąc przy tym ostentacyjnie współczującą minę.

Jaclyn nacisnęła kłamekę. Ledwie stanęła w progu, Carrie odwróciła się ku niej z wyrazem niezadowolenia na ślicznej twarzy. Wyglądem mogła zachwycić każdego. Miała znakomitą figurę z krągłościami we właściwych miejscach, złociste włosy, gładką cerę i przejrzyste zielone oczy. Jednak jej charakter zostałby nazwany w najlepszym razie nieznośnym, a zapewne wrednym.

- Co za kawę mi tu dali? Chyba stać cię na jakąś lepszą markę? Ta jest gorzka. Muszę też powiedzieć, że twoja sekretarka...

- Diedra nie jest moją sekretarką, tylko asystentką - przerwała jej Jaclyn, zamknęła za sobą drzwi i weszła do pokoju.

Krytykę kawy puściła mimo uszu. Bardzo lubiła ten gatunek. Zresztą nikt Carrie siłą nie poił. Wybrała kawę, chociaż do dyspozycji klientów trzymano w firmie herbatę o różnych smakach oraz zimne napoje.

- Tak czy owak była niegrzeczna - oznajmiła Carrie, która nic lubiła, by jej przerywano.

Nie lubiła też, gdy ktoś stawał jej na drodze. Wciąż żywiła do Jaclyn pretensje o to, że nie zapewniła jej udziału Michaela Buble'a w weselu. Jaclyn jednak mocno stąpała po ziemi i nawet nie zadała sobie trudu, aby spróbować.

- W jaki sposób, moja droga? - spytała kojącem tonem, chociaż omal nie udławiła się słowami „moja droga”.

Czasem taki poufały zwrot pacyfikował najbardziej kapryśnych klientów, aczkolwiek na innych nie podziałałoby nic oprócz mocnego środka uspokajającego. Carrie potrzebowałyby dawki dla wściekłego nosorożca.

- Usiłowała wymusić na mnie, żebym do twojego przyjscia została w poczekalni, zamiast od razu mnie tu wpuścić.

- To dlatego, że nie lubię, kiedy inni ludzie podczas mojej nieobecności korzystają z gabinetu - odparła spokojnie Jaclyn. - Na pewno to rozumiesz.

- Nie żartuj. Co to dla ciebie za różnica?

- Przechowuję tutaj poufne dane. Właściwie powinnam zamykać drzwi na klucz.

Naturalnie, Jaclyn nie trzymała tu dokumentów związanych z bezpieczeństwem, na przykład numerów kart kredytowych, ale niektórzy klienci chętnie poznaliby szczegóły dotyczące cudzych ślubów. Nieraz chcieli dowiedzieć się, co ten czy ów planuje lub ile zapłacił. W sprawach ślubów toczyły się wojny na śmierć i życie.

Carrie zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem, ale najwidoczniej uznała, że niczego w tej sprawie nie osiągnie, bo przeszła do następnej skargi.

- Zmieniłam zdanie co do sukni druhen - oznajmiła. - Ten odcień jest zbyt pospolity. Są szare jak pluton w West Point. Moim zdaniem, lepiej wyglądałoby, gdyby drużna najbliższej mnie była w czerni, następna miała suknię o ton jaśniejszą i tak dalej. To byłby naprawdę dramatyczny efekt, nie sądzisz? Aha, i zamiast różowych wstążek wołałabym kolor morski, lecz nie z przewagą zielonego, tylko raczej niebieskiego. Zajmiesz się tym, prawda?

Jaclyn przygryzła wargę. Nieszczęsne drużny zdążyły zapłacić za swoje ohydne kreacje, a Carrie oczywiście nie wybrała taniego

materiału. Kolor nawet nie był zły, co innego krój. Nie udało się przekonać panny Edwards o rezygnacji z falban i kokard, bo nawet udzielając jej dobrych rad, można było mieć pewność, że nie zostaną przyjęte. Nie ulegało wątpliwości, że kiedy drużny dowiedzą się o zmianie, a przede wszystkim o tym, że będą musiały zapłacić za następną suknię, i to z dodatkiem za pośpiech, prawdopodobnie wszystkie zrezygnują. Ta, która pierwsza powiedziała Carrie do słuchu, niewątpliwie była najbystrzejsza.

- Moja droga - powiedziała Jaclyn, starając się, aby zabrzmiało to łagodnie. - Naprawdę jest za późno na takie zmiany. Sądzę, że będziesz bardzo zadowolona z widoku druzhen, zwłaszcza gdy zobaczysz je z kwiatami, które dla nich wybrałaś.

- Myślę również o zmianie kwiatów - odrzekła Carrie, a błysk w jej oczach świadczył o tym, że cieszy ją rola trudnej klientki. - Wczoraj wieczorem oglądałam zdjęcia i doszłam do wniosku, że wyglądają tak, jakby ktoś zwymiotował pepto bismolem. Za to w czasopiśmie były bardzo piękne wiązanki. Jeśli zmienię kwiaty, to muszę również zmienić wygląd druzhen.

- To będzie duży wydatek dla twoich przyjaciółek.

- Nie będą miały nic przeciwko temu. To mój wyjątkowy dzień, więc zrobią wszystko, czego sobie zażyczą.

W jej głosie pobrzmiwało niewypowiedziane: „bo jeśli nie...”.

- Jeśli nalegasz, możesz zatelefonać do krawcowej i...

- Nie mam czasu. Chcę, żebyś ty to zrobiła.

Otworzyła swoją drogą, lecz za dużą torebkę, wyjęła z niej próbki materiałów i rzuciła je na biurko. Pobieżne spojrzenie prze konało Jaclyn, że ma przed sobą elegancki jedwab. Oznaczało to, że drużny będą musiały wydać po kilkaset dolarów, a może nawet po nad tysiąc.

- Poza tym zadzwoniłam dzisiaj rano, żeby omówić zmiany, ale krawcowa była okropna, zupełnie nie dało się z nią porozumieć

Załatwianie spraw z krawcową nie należało formalnie do obowiązków agencji Premier. Oczywiście Jaclyn dobrze znała Gretchen - obracały się w tych samych kręgach i często pracowały przy tych samych ślubach. Gretchen nie zachowywała się okropnie ani niedorzecznie, natomiast panna Edwards miała umiejętność budzenia najgorszych instynktów u wszystkich spotykanych ludzi.

- Zobaczę, co uda mi się załatwić, ale niczego nie obiecuję. Kończy nam się czas i niedługo dojdzie do tego, że będziesz musiała kupić drużnom gotowe suknie.

- Nie ma mowy.

- Być może więc nie pozostanie ci nic innego, jak wrócić do pierwotnego pomysłu. Jeśli zaś chodzi o kwiaty, to florysta poświęcił dużo czasu na to, żeby wszystkie aspekty ślubu i przyjęcia weselnego były zharmonizowane i oryginalne, tak jak sobie tego życzyłaś - podkreśliła Jaclyn. - Jeśli wybierzesz inne bukietiki druhen, będzie to pociągało za sobą zmianę wiązanki panny młodej, kwiatów do butonierek i do ozdoby stołów.

Bishop Delaney był geniuszem, charakteryzował go jednak niski poziom odporności na głupotę, a gdyby nagle zrezygnował, trudno byłoby znaleźć zastępstwo.

- Jeśli nalegasz na wprowadzenie zmian - odezwała się znowu Jaclyn - bądź przygotowana na to, że zapłacisz sporo więcej, niż przewiduje wstępny kosztorys.

- Dlaczego? Jeśli nie korzystam z tamtych kwiatów, to za co mam płacić?

- Za to, że projektant poświęcił sporo czasu na dotychczasowy projekt, a nie może się narażać na straty tylko z tego powodu, że tobie się odwidziało. Na pewno złożył zamówienie na kwiaty i nie wiadomo, czy będzie mógł je zmienić.

Nazajutrz Bishop miał pokazać rysunki i zdjęcia, nie był to więc odpowiedni moment, żeby zaczynać od nowa. Jaclyn wolałaby

znajdować się jak najdalej od Bishopa i Carrie, gdyby doszło do starcia. Odnosiła wrażenie, że udzielała lekcji dobrego wychowania upartemu dziecku, ale błysk, wciąż obecny w oczach Carrie, świadczył o tym, że dobrze wiedziała, co robi.

Nieumiarkowane żądania brały się zapewne stąd, że zbyt często godzono się na nie bez protestów. Prawdopodobnie wiele osób w końcu się poddało i wolało ponieść stratę, niż utrzymywać kontakty z kapryśną osobą. To zaś znaczyło, że doświadczenie nauczyło ją stroić jeszcze większe fochy niż zwykle, jeśli tylko ktoś próbował przywołać ją do porządku. Rzucając innym kłody pod nogi, osiągała swój cel. Teraz więc skrzywiła się i machnęła ręką, po czym powiedziała nadąsanym tonem:

- Porozmawiamy o tym z florystą jutro. Jestem przekonana, że on zachowa się racjonalnie. W tej chwili zależy mi najbardziej na rozwiązaniu problemu sukni druhen.

Jaclyn głęboko odetchnęła. Nie zamierzała pozwolić, żeby ta rozwydrzona pannica miała ostatnie słowo.

- Może wobec tego spotkamy się jutro z krawcową i zastanowimy się wspólnie, jakie są możliwości - zaproponowała.

Liczyła na to, że z pomocą Gretchen uda się wytłumaczyć Carrie, że jest za późno na zamówienie materiałów i szycie nowych sukni. Naturalnie, trudno było liczyć na racjonalne podejście panny Edwards, której, zdaniem Jaclyn, nie zdarzył się dotąd przebłysk rozsądku. Chciała jednak oszczędzić Gretchen następnego telefonu od Carrie, więc dodała:

- Zadzwoń do niej po południu i umówię spotkanie.

- Przecież to twoja praca.

W przeszłości Jaclyn miała do czynienia z trudnymi klientkami, ale Carrie biła je wszystkie na głowę. Jedną z zalet pracy na własny rachunek jest to, że można zdecydować, kiedy miarka się przebrała.

Jaclyn powoli wstała, położyła dłonie na blacie biurka i oświadczyła:

- Wykonania pracy zawsze można się zrzec. Nie pozwolę nikomu, żeby maltretował mnie i moją asystentkę. Czy to jasne?
- Maltretował?! Nigdy nikogo nie maltretowałam. Po prostu chcę mieć piękny ślub i nie rozumiem, dlaczego...
- To będzie katastrofa, a nie piękny ślub, jeśli nie przestaniesz nieustannie zmieniać zdania - przerwała bezceremonialnie Jaclyn. - Mówię to, bo moja praca polega przede wszystkim na tym, żeby dopilnować pomyślnego przebiegu uroczystości, a to oznacza również udzielenie ostrzeżenia, kiedy ktoś temu zagraża. Nie twierdzę stanowczo, że florysta nie może przygotować nowego projektu, mimo że jest na to za późno. Zwracam ci jednak uwagę, że może to znacznie podnieść koszty. Zanim cokolwiek postanowisz w sprawie kwiatów, powinnaś najpierw dowiedzieć się od Gretchen, czy jest w stanie przygotować ci nowe suknie dla druhen. Bez względu na to, jaki kolor wybierzesz, powinnaś też porozmawiać z druhami, bo może któraś z nich woli jednak zrezygnować, niż płacić za kolejną suknię, której więcej nie włoży. Naturalnie, jeśli jesteś gotowa ponieść koszty nowych sukni, żadna druha na pewno nie...
- Nie bądź śmieszna - wpadła jej w słowo Carrie. - Panna młoda nie płaci za suknie druhen.
- W pewnych sytuacjach to robi, a zmiana koncepcji w ostatniej chwili to właśnie taka sytuacja. Jaclyn liczyła na to, że jeśli zacznie być stanowcza, Carrie przestanie kaprysić albo zrezygnuje z usług agencji Premier. Wtedy ona, Jaclyn, odetchnie z ulgą, a jej była klientka uweźmie się na inną organizatorkę ślubów, która pozwoli się zauroczyć czekiem na dużą sumę.
- Znam swoje przyjaciółki. Żadna z nich nie okazałaby się małostkowa - oznajmiła Carrie. Odrzuciła głowę do tyłu, potrząsając długimi blond włosami, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła z niej wstępnie uzgodniony

jadłospis weselny Gdyby tylko mogła się zdecydować w sprawie kebabu. Wołowina czy jagnięcina?

Jak twarde może być to mięso?

- Aha, jeszcze coś mi się przypomniało...

Jaclyn starała się zachować kamienną twarz, ale w miarę jak trwał słowotok Carrie wymieniającej, co jest do przyjęcia, a co nie, coraz bardziej się wyłączała i w końcu podjęła nieodwołalną decyzję: musi zakończyć ten koszmary dzień dobrym, wysokoprocentowym drinkiem.

Rozdział 2

Detektyw Erie Wilder siedział przy barze U Sadie. Lubił ten lokal jak żaden inny, było tu bowiem blisko z ratusza i z komendy policji, a to oznaczało wygodę. Podobnie sądzili inni policjanci, siedzący w skąpo oświetlonym pomieszczeniu.

Od pewnego czasu knajpa miała stałą klientelę, a policjanci przywykli do kościstego barmana, typowego mieszkańca Południa. Oczywiście nie nazywał się Sadie, tylko Will Aster. Nie sposób było dociec, co chciał osiągnąć przez nadanie lokalowi żeńskiego imienia, dominowały tu bowiem mundury, broń i testosteron. Rzecz jasna, przychodziły również policjantki, czasem któryś z facetów przyprowadził żonę lub dziewczynę, wpadali też zabłąkani cywile, ale bar U Sadie należał niepodzielnie do gliniarzy.

Jeśli nawet Willowi marzył się kiedyś elegantszy lokal, to dawno porzucił te plany. Podawano tu głównie piwo i burbona, a choć jadłospis nie był imponujący, to jadło się do syta. Można było zamówić dużą porcję panierowanych paluszków drobiowych z frytkami, lecz nie sałatkę. Orzeszki ziemne, proszę bardzo, jednak nie prażoną kukurydzę. Zdarzało się też, że Willa nachodziła ochota na „wieczór pod skrzydłami” i wtedy podawał wyłącznie skrzydełka na ciepło.

Ericowi nie przeszkadzało skąpe menu. Nie przychodził do baru jeść, tylko się odprężyć. Panował tu nastrój piwnicy: przyćmione światło, ciemne, ceglane ściany, chropowate płytki na podłodze i rząd niedużych czarnych stolików pod ścianą, oddzielony od długiego kontuaru dwumetrowym przejściem, dającym kelnerkom

możliwość manewrowania. W kącie stała szafa grająca - ustępstwo właściciela na rzecz rozrywki. Parkietu do tańca nie było, ale jeśli gościom zebrało się na płasy, przysuwali stoliki do kontuaru i poruszali się na wygospodarowanej przestrzeni. W barze zazwyczaj panował gwar, często rozlegały się śmiechy i padały niewybredne dowcipy, które pomagały policjantom odreagować ciężki dzień. Ilekroć Erie przekraczał próg lokalu, odnosił wrażenie, że wielki ciężar zsuwa mu się z barków. Zanim zdążył podejść do kontuaru, Will nalewał budweisera i czekał, aby podsunąć Ericowi szklanę z pienistą koroną. To się nazywa wzorowa obsługa!

Erie spędził dzień w sądzie i przed powrotem do domu bezwzględnie musiał napić się piwa. Nic nie budziło u niego tak silnej frustracji jak prawnicy i cały system sądowniczy, nawet jeśli zapadał właściwy wyrok. niesprawiedliwy zdarzał się wtedy, gdy orzeł palestry z wylizanymi włosami uzyskiwał uniewinnienie dla handlarza narkotyków, ponieważ nad „i” zabrakło kropki. Takie sytuacje cholernie irytowały Erica i nie tracił nadziei, że jakiś naćpany typ włamie się temu adwokacynie do domu, szukając łatwych do sprzedania przedmiotów, które można szybko wymienić na działkę. Tego dnia sprawy były stosunkowo błahe i sprawiedliwość brała górę, ale Erie, zamiast pracować nad aktualnym dochodzeniem, musiał tkwić kilka godzin na sali sądowej, zanim wreszcie złożył pięciominutowe zeznanie. Oczywiście należało to do jego obowiązków, lecz za nimi nie przepadał. Siedział w barze już kwadrans, czyli wystarczająco długo, aby przyjemność nicnierobienia zaczęła działać rozluźniająco na mięśnie, gdy otworzyły się drzwi wejściowe. Do środka wpadła fala ciepłego, wilgotnego powietrza oraz hałas z ulicy. Obecni w lokalu policjanci machinalnie zerknęli, żeby sprawdzić, kto przyszedł. To był u nich odruch, nieświadoma reakcja na potencjalne zagrożenie. Czy przybysz jest przyjacielem, czy wrogiem, gliniarzem czy

cywilem? Erie natychmiast rozpoznał nowego gościa. Widok przyjemnie go rozgrzał. To była ta sama kobieta, z którą przed południem zderzył się w ratuszu, ubrana w elegancki czarny kostium, co świadczyło o tym, że ma za sobą równie długi dzień jak on.

Spodobała mu się nie mniej niż poprzednio. Każdy szczegół jej wyglądu, od kostiumu po gładki kok z czarnych włosów związany z tyłu głowy, świadczył o klasie. Była zgrabna i miała kształtne łydki. Zebrani w barze mężczyźni zaczęli mierzyć ją wzrokiem. Bywające tu policjantki zwykle maskowały swoją kobiecość niedbałym ubraniem nie tylko po to, aby wtopić się w tutejsze otoczenie, lecz również dlatego, żeby wyegzekwować poważne traktowanie od zakłócających porządek, z którymi przeważnie miały do czynienia. W tej kobiecie nie było ani niczego niedbałego, ani krzykliwego, co czyniło ją wyjątkowo atrakcyjną, jako że w barze Willa rzadko trafiała się okazja, by powiedzieć o czymś lub o kimś, że jest „z klasą”.

Przystanąwszy na moment przy wejściu, omiotła wzrokiem wewnątrz, jakby kogoś szukała, po czym ruszyła zdecydowanie ku dwóm wolnym stolikom w głębi, przy toaletach. Miała wysokie obcasy i choć nie przebiegłaby w nich nawet dwóch metrów, to chodzić bez wątpienia umiała. Erie nie mógł oderwać spojrzenia od kołyszącego ruchu jej bioder, podobnie jak od jej pośladków, gdy oddalała się po niefortunnym zderzeniu w ratuszu. No cóż, taki widok wart jest uwagi konesera.

Wybrała stolik i usiadła na krześle, odwrócona do niego profilem, a tyłem do większej części kontuaru. Erie wysnuł z tego wniosek, że albo kobieta nie ma instynktu przetrwania, który nakazuje nie spuszczać wzroku z wejścia, albo chce uniknąć kontaktu wzrokowego z gośćmi. Kiedy zajęła miejsce, kilka razy poruszyła głową i ramionami, aby zmniejszyć napięcie mięśni, zupełnie jakby przyszła tutaj w tym samym celu co stali bywalcy.

Siedząc przy końcu kontuaru, Erie bez trudu mógł przyglądać się kobiecie, nie odwracając głowy. Nie zwracała uwagi na nikogo, zresztą specjalnie tak usiadła, aby tego nie robić. Najprawdopodobniej na kogoś czekała. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak go intryguje, z kim może się spotykać elegancka kobieta w barze gliniarzy. Czyżby jej facet był policjantem? A może umówiła się tu z nim dla wygody, a potem pójdą razem na kolację?

Zerknął na zegarek, ponieważ spotkania odbywają się zwykle o pełnej godzinie albo w jej połowie. Było jedenaście po ósmej. Jeśli ktoś miał się zjawić, to była duża szansa, że nie stanie się to szybciej niż za dwadzieścia minut. Erie stał się czujny jak zawsze, gdy zauważał coś odbiegającego od normy. Większość kobiet, zamiast siedzieć samotnie w tego typu lokalu, wolałaby poczekać na przyjście znajomego w samochodzie. Może ta nie czułaby się tam pewnie albo bezpiecznie. A może chcieli z facetem uniknąć ściągania na siebie niepożądanego uwagi? W każdym razie to, że kobieta weszła samotnie do baru na dwadzieścia minut przed domniemanym spotkaniem, nie pasowało do jego wyobrażenia o typowym zachowaniu.

Machinalnie zaczął rejestrować jej wygląd. Wzrost metr siedemdziesiąt, waga około sześćdziesięciu kilo, włosy czarne, oczy niebieskie. Zapamiętał ich przejrzysty błękit z poprzedniego spotkania. Do tego jasna karnacja. Krótko mówiąc, klasyczny przypadek jednego z irlandzkich typów urody. Kobieta była smukła, ubrana jak milionerka, a Ericowi znów przyszło na myśl określenie „z klasą”.

Obrączki nie miała, podobnie jak pierścionków, nosiła za to nieduży złoty zegarek, a z uszu zwisały jej złote kółeczka. Gdyby podszedł bliżej, pewnie mógłby się przekonać, czy na serdecznym palcu widać bledsze miejsce lub wgłębienie po obrączce, lecz z tej odległości nie potrafił tego stwierdzić.

Kelnerka podeszła do stolika, położyła na blacie serwetkę i znieruchomiła z długopisem w dłoni, czekając na zamówienie. Słów kobiety Erie nie usłyszał, ale zaraz potem Will dostał od kelnerki zapisaną serwetkę.

- Margarita z lodem - powiedziała.

U Sadie rzadko podawano wymyślne drinki, jednak margarita z lodem mieściła się, zdaniem Erica, w kategorii pośredniej. Nie należała do typowo damskich specjalności, których mężczyzna nie wzięby do ust, lecz nie był to również burbon z colą. Kiedy kobieta otrzymała drinka, skosztowała go, przez chwilę upajała się smakiem i wyraźnie się odprężyła, przybierając swobodniejszą pozę.

Sączyła margaritę, zapewne rozmyślnie powoli, by starczyła na czas oczekiwania. Erie obserwował na zegarku zbliżanie się ósmej trzydzieści. W końcu długa wskazówka dotarła do dolnej kropki, minęła ją, ale nikt się nie zjawił. Kobieta nie sprawdziła, która godzina, zatem upływ czasu jej nie niepokoił. Nie spoglądała też ku wejściu, gdy otwierały się drzwi. Hm. Najwidoczniej jego domysł, że z kimś się umówiła, był błędny. Może po prostu przyszła jednak wyłącznie po to, żeby odtajać nad drinkiem, tak samo jak niemal wszyscy goście baru.

Zastanawiał się, czy nie podejść do jej stolika i nie zagadać. Zżerała go ciekawość, nauczył się jednak ostrożności w nawiązywaniu kontaktów z kobietami. W wieku trzydziestu pięciu lat panował nad pożądaniem, miał też za sobą rozwód, to zaś sprawiało, że unikanie pośpiechu wydawało mu się rozsądną taktyką.

Zresztą kobieta wyglądała na luksusową, a on nie był w nastroju na luksusowe komplikacje. Kobiety powodowały mnóstwo zamętu, takie już miały przewrotne charaktery. Lubił płęć przeciwną z wielu powodów, ale jednocześnie cenił sobie prostotę samotnego bytowania. Tymczasem mężczyzna nawet nie musiał się ożenić, aby utracić przywileje kawalerskiego stanu. Wystarczyło,

że wejdzie we względnie stały związek i zacznie planować swój czas tak, aby się dostosować do partnerki. A już niech Bóg broni, żeby wspólnie zamieszkać, bo to naprawdę mogło się skończyć małżeństwem. Erie wiedział swoje, zdążył bowiem wypróbować różne kombinacje: zaobrączkowani, razem mieszkający bez obrączek, spotykający się regularnie, widujący się od czasu do czasu... Wszystko to sprowadzało się do jednego, czyli do wzajemnego komplikowania sobie życia. On zaś chciał żyć tak, jak lubi. Dopuszczał myśl o ponownym ożenku w dalekiej przyszłości, ale zupełnie mu się do tego nie spieszyło. Przed podjęciem takiego kroku był zdecydowany dobrze się upewnić, że pasują do siebie z wybranką lepiej niż on z pierwszą żoną. Uważał, że powinno być prawo zabraniające zawierania małżeństw przynajmniej do dwudziestego piątego roku życia. Należało też wziąć pod uwagę jeszcze jedną ewentualność, która nakazywała szczególną ostrożność. Ta kobieta z klasą mogła być fanką gliniarzy. Spotykało się takie, które były zakrecone na punkcie seksu z policjantem. To miało coś wspólnego z mundurem i pistoletem - czasem tym w kaburze, czasem tym w rozporoku, a czasem obydwoma. Niektórym policjantom, zwłaszcza świeżo upieczonym, takie zwiększone zainteresowanie uderzało do głowy, co mogło zaszkodzić zarówno karierze zawodowej, jak i małżeństwu. Erie tego unikał, nawet kiedy nosił mundur. Odkąd został detektywem, interesowały go inne awanse, nie zamierzał więc pozwolić, by jakaś kobieta, nawet z klasą, pozbawiła go trzeźwego osądu sytuacji i zdrowego rozsądku. Pokusa zwyciężyła jednak kogo innego. Zatrzeszczało krzesło i Erie zobaczył, że do stolika kobiety zbliża się posterunkowy Blake Gillespie. Powściągnął mimowolny grymas. Nie jego sprawa. Jeśli Gillespie chce spróbować szczęścia, a kobieta okaże się fanką, to lepiej, że trafiło właśnie na niego. Gillespie był kawalerem. Nie

oznaczało to zresztą, że Ericowi podobało się, że kto inny podszedł do kobiety, którą on zauważył pierwszy, nawet jeśli sam nie zamierzał spróbować. Trudno, mężczyźni to takie dranie, które nie tolerują naruszenia własnego terytorium. Jeśli się komuś nie podoba, niech pisze o tym do gazet i dzwoni do telewizji. Zobaczy wtedy, czy kogoś choć odrobinę to obejdzie.

Patrzył więc, jak Gillespie startuje do niej z uśmiechem na ustach, cały niczym żywe zaproszenie. Kobieta z klasą podniosła głowę, nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy, po czym spokojnie pokręciła głową i powiedziała stanowczo:

- Nie, dziękuję.

Odwróciła się, jakby sprawa została załatwiona. Zatem to nie amatorka policjantów, uznał Erie. Gillespie był młody, miał mundur, a do tego ciężko pracował nad swoją muskulaturą i nie wyglądał odrażająco. Gdyby szukała kandydata do łóżka, posterunkowy siedziałby w tej chwili obok niej, a nie wracał do swojego stolika. Przynajmniej jednak nie zirytował się tym, że dostał kosza, czym zarobił u Erica kilka punktów.

Kobieta na nikogo nie czekała i nie szukała podrywu. Do licha, może po prostu chciała się napić. To mógł pojąć. Ze rozumieniem kobiet było gorzej, ale potrzebę wypicia drinka akceptował. Skupił uwagę na piwie i przez kilka minut wpatrywał się w szklanekę. Powinien ją dopić i iść do domu. Na pewno nie należało tracić więcej czasu na roztrząsanie życia duchowego kobiety, nawet jeśli miała takie nogi i niesamowite pośladki. Jednak.

- Raz kozie śmierć - mruknął pod nosem.

Pokusa okazała się zbyt silna. Zsunął się ze stołka, wziął szklanekę z piwem i skierował się ku luksusowej komplikacji.

Jaclyn kątem oka dostrzegła kolejnego zbliżającego się mężczyznę. Miała nadzieję, że idzie do toalety usytuowanej tuż za jej

stolikiem. Nadzieja okazała się płonna, bowiem facet trzymał szklanę, więc toaleta jako cel wydawała się mało prawdopodobna. Dlaczego kobieta nie może spokojnie iść po pracy na drinka, żeby mężczyźni - a w każdym razie mężczyźni pewnej kategorii - nie uznali natychmiast, że czeka, aby ktoś ją poderwał? Ten pierwszy przynajmniej miał dość przyzwoitości, aby zabrać się bez gadania, kiedy powiedziała mu „nie”. Może drugi zachowa się podobnie. Celowo nie patrzyła w jego stronę, licząc na to, że zrozumie sugestię i pójdzie swoją drogą.

- Świat jest jednak mały.

Zirytowało ją to zagajenie, ponieważ spodziewała się czego innego. Podniosła wzrok, wciąż zachowując wyniosłą minę, ale kiedy poznała stojącego przed nią mężczyznę, nagle straciła rezon. Nie plątał jej się język, lecz w tej chwili znalazła się niebezpiecznie blisko tego stanu. Za wszelką cenę starała się wymyślić, co by tu powiedzieć, jednak gdy w końcu udało jej się wydusić z siebie parę słów, nie przypominało to zamierzonej stanowczej odprawy.

- Tylko niech pan znowu nie zaczyna z „szanowną panią” - odparła, mrużąc oczy

Policjant uśmiechnął się w ten sam sposób, który zwrócił jej uwagę przed południem, dyskretnie, lecz figlarnie, i nagle poczuła, że jej niechęć topnieje. Było w tym człowieku coś autentycznego, bezpośredniość, która nie kojarzyła się natychmiast z podrywaniem. Wydawał jej się całkiem w porządku. Lepszy opis w tej chwili nie przychodził jej do głowy. Mężczyzna nie był przystojny, a mimo to jej hormony zadziałały intensywnie. Nie należała do kobiet, które mają zwyczaj zachwycać się mężczyznami, nie była chichotką ani zbytnią flirciarą - zbytnią! - jednak potrafiła docenić ciało i twarz mężczyzny, jeśli naprawdę były tego warte.

U tego, który stał przy jej stoliku, uwagę zwracało i jedno, i drugie.

Mimo woli przesłała mu wąty uśmiech i wyjaśniła:

- To tak jest. Kiedy mam zły dzień, a rówieśnik nazywa mnie „szanowną panią”, zaczynam czuć się staro. Naturalnie, pan jest dobrze wychowany i nie powinnam mieć o to pretensji.

- Mam nadzieję, że odkąd wyszła pani z ratusza, dzień okazał się lepszy - powiedział Erie.

- Niekoniecznie.

Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Półmrok w barze i cień rzucany przez jego postać nie pozwalały Jaclyn obejrzeć jego rysów tak dokładnie, jakby chciała, ale zapamiętała je. Mężczyzna niewątpliwie był rostry, bo ona na wysokich obcasach miała ponad metr siedemdziesiąt pięć, a jednak brakowało jej do niego jeszcze jakichś dziesięciu centymetrów. Zdradliwa pamięć ożywiła wrażenie, jakie wywołało u niej przelotne zetknięcie z muskularnym męskim ciałem. Jej hormony nie miały pojęcia, że był to przypadek, wiedziały tylko, że podoba im się jej kontakt z tym człowiekiem.

Nawet jeśli w przeszłości Jaclyn odczuła równie gwałtowne pożądanie, to nie pamiętała kiedy. Siła była wielka, tyle że jednocześnie popychała ją ku temu mężczyźnie i odpychała od niego. Ogarnęło ją dziwne podniecenie, chciała się przekonać, dokąd zaprowadziłaby ją entuzjastyczna odpowiedź, lecz coś podszeptywało jej, by uciekać, gdzie pieprz rośnie. Gdy próbowała sobie uświadomić, czego oczekuje od związku z mężczyzną, przychodziły jej na myśl wsparcie i uzupełnianie się, dopasowanie i poczucie swobody oraz naturalnie wzajemny pociąg fizyczny. Nie byłoby jednak dobrze, gdyby zagłuszał głos rozsądku.

- Szkoda.

Ta uwaga tak trafnie włączyła się w tok jej myśli, że Jaclyn potrzebowała dłuższej chwili, aby wrócić do wątku rozmowy.

- Przynajmniej jednak po południu na nikogo nie wpadłam.

- To należy pani zapisać na plus. Po kolejnym takim wypadku mógłbym być zmuszony do wystawienia pani mandatu za stwarzanie zagrożenia w ruchu pieszym.

Uśmiechnęła się. Nie znaczyło to oczywiście, że przestała bić się z myślami. Nie znała tego człowieka. Owszem, fizycznie ucieleśniał jej marzenia, czego oczywiście nie zamierzała mu zdradzić, ale przecież nawet nie mieli o czym rozmawiać. Zaraz zaczną wymieniać uwagi o pogodzie albo o znakach zodiaku. Stanowczo nie chciała stosować metody „krok naprzód, krok do tyłu”, jednak było w tym mężczyźnie coś takiego... Nie, nie była gotowa pozwolić mu odejść. Jeszcze nie.

- Proszę usiąść - zaprosiła, wskazując wolne krzesło przy swoim stoliku.

Uczynił to i z głośnym stukiem postawił na blacie szklanę piwa, jakby chciał w ten sposób oznajmić, że bierze to miejsce w posiadanie. Jego twarz wreszcie znalazła się w plamie światła. Miała przyjemny kształt, nos był w zasadzie prosty, brwi czarne - tak samo jak włosy - i ułożone niemal w jednej linii, oczy o bardzo przenikliwym spojrzeniu. Ich odcień mimo lepszego oświetlenia trudno było ustalić, ale Jaclyn wydawały się orzechowe. Mężczyzna sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Musiał być przyzwyczajony do stawiania na swoim, co mogło zniechęcać, aczkolwiek musiała przyznać, że nie odbiera tej cechy jako arogancji. Nagle przemknęło jej przez myśl, że jego dobre maniery maskują coś bardzo niebezpiecznego, co ujawniało się w skupionym, penetrującym spojrzeniu.

- Czeka pani na kogoś? - spytał na wszelki wypadek, choć już zajął miejsce.

- Nie.

- To dobrze. - Rozsiadł się wygodnie i wyciągnął do niej rękę. - Jestem Erie Wilder*.

Rozbawiona tym zbiegiem okoliczności uśmiechnęła się, zanim jeszcze odwzajemniła uścisk. Ciepłe palce otoczyły jej dłoń, a ona broniła się ze wszystkich sił przed niesamowitym doznaniem, które wyzwolił w niej fizyczny kontakt.

- Wilder? - powtórzyła.

- To tylko nazwisko, nie ma nic wspólnego z moją osobowością ani stylem życia.

- Miło mi pana poznać, Ericu Wilder - powiedziała. - Ja jestem Jaclyn Wilde**. To zresztą tylko nazwisko, nie ma nic wspólnego z moją osobowością ani stylem życia.

Obrócił dłoń i ten nieznaczny ruch zmienił zwykły uścisk dłoni w coś znacznie bardziej intymnego.

Jaclyn z trudem się pohamowała przed oblizaniem warg. Erie roześmiał się, a w kącikach oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki. Gdy odchylił głowę, okazało się, że ma pięknie opaloną szyję.

- Naprawdę? - spytał.

- Naprawdę.

- To znaczy, że świat rzeczywiście jest mały

Puścił jej dłoń, a chociaż bardzo żałowała, że przestają do niej płynąć jego ciepło i siła, to przecież nie mogła bez końca trzymać go za rękę. Tymczasem Erie ujął jej lewą dłoń i podniósł ją, wyraźnie sprawdzając, czy nosi ślad obrączki. Jaclyn zrobiła zdziwioną minę i odpłaciła mu pięknym za nadobne, unosząc jego lewą rękę. Naturalnie, brak obrączki o niczym nie świadczył, lecz zwiększał prawdopodobieństwo, że to ktoś bez pary.

Erie oparł się wygodniej i przełknął łyk piwa.

Wilder (ang.) - dziksz (wszystkie przypisy pochodzą od red.). " Wilde (ang.) - dziki.

- Co się stało, Jaclyn Wilde, że miała pani nieudane popołudnie?

Westchnęła i biorąc z niego przykład, sięgnęła po swoją margaritę. On jednak prawdopodobnie popijał dla przyjemności, natomiast u niej sama myśl o Carrie Edwards budziła tęsknotę za następnym drinkiem.

- Organizuję śluby i właśnie odbyłam długie i bardzo nieprzyjemne spotkanie z najgorszą klientką, jaka mi się trafiła w ciągu całej kariery. Ona potrafi zmienić najłagodniejszą istotę w furiata nie do okiełznania.

- Nie wygląda pani na furiata nie do okiełznania.

- Nie, ale dzisiaj niewiele mi do tego brakowało. Przez tę potworzycę poczułam, że nie mogę iść do domu, póki się nie napiję, chociaż nie mam w zwyczaju tak się wspomagać.

Nie chciała, żeby posądził ją o częste zagładanie do kieliszka, choć w zasadzie było to bez znaczenia. Porozmawia z nim trochę, dopiją drinki i na tym się skończy.

Mężczyźni nie odbierali Jaclyn pewności siebie. Dobrze wiedziała, co sobą prezentuje, i tylko to się dla niej liczyło. Jednak przy Ericu Wilderze poczuła się trochę niepewnie. Jego obecność wprawiała ją w dziwny stan, jakby jej skóra stała się za ciasna i wyjątkowo wrażliwa. Pojęła, że nie może dłużej na niego bezkarnie patrzeć, więc z udawaną nonszalancją potoczyła wzrokiem po barze.

- Organizatorka ślubów. Wydaje mi się, że to ciekawy zawód.

- Formalnie jestem organizatorką różnych imprez i spotkań towarzyskich, jednak większość zleceń dotyczy ślubów i wesel. Muszę przyznać, że nieraz jest naprawdę ciekawie - wyjaśniła Jaclyn.

Znów spojrzała prosto na niego, co skończyło się nerwową reakcją, bo Erie nie odwrócił wzroku.

Oczy rzeczywiście były orze chowe i spoglądały na nią w skupieniu.

- Z moich doświadczeń wynika, że ślub jest bardzo złym sposobem na rozpoczęcie małżeństwa - powiedział.

- Na czym opiera pan tę opinię? - spytała rozbawiona, ale nie bez pewnego zaniepokojenia, bo przecież jej rozmówca mógł mieć rację.

- Pamiętam własny ślub - odparł bez ogródek - jako koszmar. Przez te dwa dni chyba jako jedyna osoba nie płakałem, a nie mówimy tu o łzach szczęścia.

Rozmowa, która nieoczekiwanie zaczęła sprawiać Jaclyn przyjemność, nagle straciła urok.

- Pan jest żonaty?

- Już nie. Rozwiódłem się przed sześcioma laty. - Uniósł szklankę. - A pani?

- Też jestem rozwiedziona.

Oboje byli rozwiedzeni i najwyraźniej wolni. Ta ostatnia kwestia nie miała oczywiście znaczenia podczas zwykłej rozmowy, ale warto było na wszelki wypadek to wiedzieć.

- Była pani organizatorką ślubów już wtedy, kiedy sama brała ślub?

- Tak. Właśnie rozkręcałyśmy z mamą firmę.

- Czy kobieta, która urządza uroczystości innym, sama też idzie na całość? A może tymczasem zdążyła się pani znużyć ceremoniami?

- Odpowiem w odwrotnej kolejności: nie i tak. - Po chwili dodała: - Moje małżeństwo wytrzymało niewiele dłużej, niż trwała ceremonia. Mimo to nie znużyłam się tym, co robię. Kiedy uroczystość przebiega pomyślnie i weselnicy mają dobrą zabawę, pamięta się o tym długo... Powiem panu też, że nie płakałam na własnym weselu - dodała przekornie.

- Wcale tak nie sądziłem.

Umoczyła wargi w margaricie, a Erie dał znać kelnerce.

- Zamówię pani jeszcze jednego drinka.

Jaclyn pokręciła głową, a widząc zbliżającą się kobietę, znacząco położyła dłoń na krawędzi szklanki.

- Tylko jeden - powiedziała, zwracając się do Erica: - Prowadzę samochód.

- Nie przyszła pani tutaj zatracić się w oparach tequili i limonki?

- Nigdy nie zatracam się w żadnych oparach - odparła.

- W czym wobec tego pani się zatracą?

Czuła na sobie to penetrujące spojrzenie, które niemal parzyło.

- W pracy - odrzekła szczerze, chociaż głos w jej wnętrzu, który długo był uśpiony, podpowiadał jej, że mogłaby zatracić się w znajomości z Erikiem Wilderem. - A pan?

- Również w pracy

- Lepszy pracocholik niż alkoholik - stwierdziła Jaclyn, myśląc o walce swojego ojca z nałogiem.

Nie przypadkiem w jej domu rodzinnym nie było alkoholu. Nie miała pociągu do alkoholu, ale dobrze pamiętała słabość Ja-ckiego Wilde a i swoje obawy, czy nie odziedziczyła po nim skłonności do obsesji albo, co gorsza, do picia bez umiaru. Kochała ojca, ale niewiele mu się w życiu udało. Poza tym dość już powiedziała o sobie. Teraz chciała się dowiedzieć czegoś o Ericu.

- Jak długo pracuje pan w policji?

- Trzydzieści lat. Bezpośrednio po szkole średniej wstąpiłem do wojska, podczas służby ukończyłem studia i gdy tylko służba dobiegła końca, zdałem egzamin na urzędnika cywilnego.

- Pańska praca jest chyba ciekawsza niż moja. W każdym razie ludzie, z którymi mam do czynienia, zwykle mówią sobie „stop”, zanim popełnią zbrodnię.

- Zwykle? Uniósł brwi.

- Chyba nie chce pan o tym słuchać.

Ponieważ jednak chciał, opowiedziała mu o tym, jak cała sala udekorowana na wesele została do szczętu spalona, a potem o panu młodym wahającym się, czy się nie wycofać, i jego teściowej, która wtedy wyciągnęła z torebki nóż i zapowiedziała, że jeśli zrezygnuje, to ona obetnie mu męskość, bo za dużo pieniędzy wyłożyła na ślub. I jeszcze parę innych zakulisowych historii. Erie śmiał się swym niskim głosem, zawsze we właściwych miejscach, i wydawał się szczerze rozbawiony, co zachęciło ją do następnych wspomnień. On z kolei opowiedział jej kilka historii z wojny. Słuchała ich świadoma, że Erie celowo utrzymuje lekki ton i pomija ponure szczegóły.

Rozmawiało się z nim znakomicie. Chociaż chemia cały czas robiła swoje, Jaclyn zdołała nieco się na nią uodpornić. Ani razu nie zapadło niezręczne milczenie, które zdarza się między nowo poznanymi osobami. Cieszyło ją, że ktoś z zainteresowaniem jej słucha, przez cały czas czuła też przyjemny dreszczyk emocji. Nie miała żadnego szczególnego powodu, żeby zajrzeć tego wieczoru akurat do tego baru. Po prostu przejeżdżała tędy, zobaczyła wolne miejsce na parkingu i postanowiła wstąpić. Myśl o wyłączeniu się na chwilę i wypiciu drinka stanowiła pokusę nie do pokonania. Była zresztą zadowolona, że ani nie próbowała się opierać, ani nie wybrała żadnego wyżej notowanego lokalu. Gdyby najpierw się zastanowiła, pewnie przyszłoby jej do głowy, że w lokalu usytuowanym w pobliżu komendy zastanie wielu policjantów. Nie sądziła, by zaprowadziła ją w to miejsce podświadoma nadzieja na spotkanie właśnie tego mężczyzny. Miała tak morderczy dzień, że prawdę mówiąc, całkiem wyrzuciła go z pamięci. Jeśli jednak mimo wszystko był to figiel podświadomości, Jaclyn mogła jej tylko przyklasnąć. Znakomicie wyszło, że tutaj zajrzała i spotkała go znowu.

Dokończyła margaritę, lecz nie chciało jej się wychodzić. Zamówiła więc bezkofeinową kawę, korzystając z tego, że kelnerka zabiera pustą szklanę. Erie wciąż siedział nad swoim pierwszym piwem i najwyraźniej nie zamierzał zamówić drugiego. Spodobało jej się, że, podobnie jak ona, ma wszystko pod kontrolą. Na ogół nie zdarzało jej się tak szybko nabierać zaufania do mężczyzny, ale swobodna atmosfera udzieliła się im obojgu. Kiedy Erie skończył historyjki wojenne, opowiedziała mu jeszcze o swojej firmie,

O matce będącej zarazem partnerką w interesach, wreszcie wspomniała o napiętym harmonogramie na najbliższe dni.

Obrócił w dłoniach prawie pustą szklanę i spytał:

- Czy to znaczy, że mam poczekać do przyszłego tygodnia, zanim zadzwonię?

Orzechowe oczy przyglądały jej się tak przenikliwie, że Jaclyn pomyślała, że może nadeszła pora zakończenia abstynencji seksualnej. Erie Wilder wydawał się znakomitym kandydatem do urzędywania tego pomysłu. Usłyszała, że mówi:

- Niekoniecznie. - W tym momencie wrócił jej zdrowy rozsądek, więc dodała z westchnieniem: - Prawdę mówiąc, następny tydzień byłby lepszy. Sześć ślubów w pięć dni zapełnia mi czas całkowicie, nawet jeśli robimy to razem z matką.

- Ale jeśli pani musi - powiedział z ledwo słyszalną chrypką. Takim głosem mógłby namówić ją właściwie do wszystkiego.

A niech tam, albo jest dobry, albo niebezpieczny, albo jedno i drugie naraz.

- Na to wygląda.

Najrozsądniej byłoby wydostać się z otaczającego go pola nasyczonego testosteronem i wtedy trzeźwo pomyśleć, uznała Jaclyn. Zresztą naprawdę zrobiło się późno, powinna wrócić do domu i położyć się spać. Po chwili wahania otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej złote etui na bileciki.

- Moja wizytówka - powiedziała niepotrzebnie, kładąc przed nim kremowy kartonik. Widniał na nim złoty napis „Premier”, wraz z imieniem i nazwiskiem oraz numerami kontaktowymi. -Znajdzie pan tu i numer do biura, i komórkę.

Podniósł wizytówkę do światła, by dokładniej ją obejrzeć.

- Nie „Wilde Weddings*”? - spytał.

- To nie jest wizerunek, jaki usiłujemy stworzyć - odpowiedziała z uśmiechem Jaclyn.

Przyjrzał się bilecikowi.

- Z klasą - ocenił i przeniósł wzrok na Jaclyn - podobnie jak pani.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął swoją wizytówkę. Była czarno-biała, wykonana prostą czcionką, urzędowa. Mówiła o jej posiadaczu nie mniej niż wizytówka Premier o Jaclyn. Erie odwrócił bilet i napisał na odwrocie ciąg cyfr.

- Mój numer komórki. Proszę dzwonić, kiedy pani chce. Schowała wizytówkę do torebki i pożegnała się.

- Odezwę się - obiecała.

Ani trochę nie wątpiła w to zapewnienie. Idąc do wyjścia, czuła na sobie jego wzrok, tak samo jak przed południem. Tym razem jednak odwróciła się i uśmiechnęła. Oczywiście miała rację, Patrzył na nią, i to tak, że kolana się pod nią ugięły.

Niech to szlag trafi!

*** Wilde Weddings (ang.) - Dzikie Wesela.**

Rozdział 3

W środku tygodnia o późnej porze ulice były prawie puste, więc jazda do domu nie wymagała od Jaclyn zbyt wiele koncentracji. Może gdyby musiała manewrować między samochodami lub uważać na nieostrożnych przechodniów, mogłaby skupić myśli na przyziemnych sprawach. Jednak o tej godzinie nikt nie przejawiał skłonności samobójczych i niespodziewanie nie wyskakiwał przed maskę. Oczywiście, Jaclyn nie chciała nikogo potrącić, ale gdyby prowadzenie samochodu było trudniejsze, przynajmniej oderwałoby ją od rozważań o pewnym policjancie.

Bez względu na to, jak usilnie starała się zepchnąć myśli o Ericu Wilderze na dalszy plan, pozostawały one w centrum jej uwagi. Wrażenie zrobiły na niej głos, oczy i - musiała być przed sobą szczerą - ciałą. Podobało jej się, że jest wysoki i barczysty. Taki mężczyzna wyróżnia się w tłumie, przyciągnąłby jej wzrok i w sądzie, i w barze... wszędzie. Rzecz w tym, że nie potrzebowała dodatkowych komplikacji w życiu, a już na pewno nie tych, które wiążą się ze związkiem - seksualnym, romantycznym czy przyjacielskim. Nie powinna rozmyślać ani o mężczyznach w ogóle, ani o żadnym w szczególności. Trzeba było raczej przypomnieć sobie plan pracy na następny dzień, bo przecież wkraczały z Madelyn w szaleńczy okres, a co gorsza, nazajutrz czekało ją spotkanie z Carrie Edwards i jej nieszczęsnymi, zmalretowanymi kontrahentami. Pomyślała, że po tym ślubie wszystkich tych ludzi serdecznie przeprosi.

Gdyby nie obecna sytuacja, Jaclyn nie miałaby nic przeciwko temu, by w jej życiu znalazło się miejsce dla mężczyzny.

Miała dosyć samotności i w dalekosiężnych planach zdecydowanie uwzględniała męża i rodzinę. Kiedyś znajdzie człowieka, którego z wzajemnością pokocha, postarają się o dziecko albo dwoje dzieci, a potem razem się zestarzeją. Pierwsze małżeństwo się nie udało, nie oznaczało to jednak, że definitywnie przekreśliła mężczyzn, po prostu była ostrożniejsza niż wcześniej. Może nawet za ostrożna. Któregoś dnia...

Tyle że „któregoś” nie znaczyło „dzisiejszego”, a ona miała ręce pełne roboty. Ktoś taki jak Erie Wilder pochłania mnóstwo czasu. Instynktownie to wiedziała, choć spędziła w jego towarzystwie najwyżej godzinę. Chociaż nie domagałby się od kobiety niepodzielnej uwagi, to jego silną osobowość trudno byłoby ignorować. Tego wieczoru odgrywał uroczego faceta, ale spod warstwy ogłady przebijała siła. Z reguły potulni i łagodni faceci nie zostają policjantami, a ci są nieustannie pod telefonem nawet w wolne dni, do tego pracują długo i o rozmaitych porach. Wchodząc w związek z policjantem, kobieta musi zaakceptować to, że nie pracuje on ośmiu godzin. Erie jako partner wniósłby do jej życia zamieszanie i zaburzyłby dotychczasowy porządek. Chociaż nie miałyby nic przeciwko burzy zmysłów. Cholera!

Zirytowana biegiem własnych myśli, które konsekwentnie wracały do Erica, Jaclyn wydobyła z torebki telefon komórkowy i przycisnęła klawisz łączący ją z mamą.

- Madelyn Wilde.

Matka odpowiedziała jak zwykle bardzo zdecydowanie. Miała bardziej dźwięczny głos niż Jaclyn, ubarwiony chrypką, i mówiła z południowym akcentem. Ten typ akcentu zamieniał dwusylabowe słowo w czterosylabowe, wydawał się spowalniać mowę i kojarzył się z rozleniwionym wdziękiem. To wyobrażenie nie potwierdzało osobowości Madelyn. Owszem, miała wiele uroku, ale cechowały ją też upór i stanowczość. Była opoką dla córki

w trudnych dniach rozpadu jej małżeństwa, chociaż nie należało wykluczać, że traktowała to jak spłatę długu. Jaclyn bowiem musiała pocieszać Madelyn w okresie, gdy przeżywała rozwód z Jackym.

- Jak poszła próba? - spytała Jaclyn.

Czasem, gdy miały mało zleceń, pracowały wspólnie nad jedną imprezą. Natomiast kiedy w kalendarzu robiło się ciasno, dzieliły terminy między siebie. W tym tygodniu „ciasno” było ogólnym określeniem.

- Tak jak można się było spodziewać - odparła z rozbawieniem Madelyn. - Pan młody się spóźnił, panna młoda dostała ataku hysterii, bo uznała, że zostanie sama przy ołtarzu, mimo że wcale jeszcze przy ołtarzu nie byli, a jedna z druhen przyszła z podbitym okiem. Tłumaczyła to zderzeniem z drzwiami, lecz nikt jej nie uwierzył. Doszły mnie słuchy, że uczestniczyła w przyjęciu dla przyszłej mamy, przewróciła czarę z ponczem i niechcący uderzyła się łyżką w oko.

Jaclyn przez chwilę próbowała to sobie wyobrazić.

- Skoro nie zadzwoniłaś do mnie w ciągu dnia - powiedziała - to przypuszczam, że pan młody się znalazł i ślub odbędzie się zgodnie z planem.

- Tak. Poza tym Peach zadzwoniła do swojej przyjaciółki, która potrafi robić cuda z makijażem, i umówiła tę nieszczęsną druhenę na jutro wieczorem. Nikt się nie zorientuje, że biedaczka ma sińca. Peach była przyjaciółką i asystentką Madelyn, razem potrafiły dokonać rzeczy niemożliwych.

Właśnie dzięki temu firma Premier nie tylko utrzymywała się na rynku, lecz rozkwitała. Madelyn i Peach znały niemal wszystkich mieszkańców rejonu Buckhead, którzy cokolwiek tam znaczyli, a w Buckhead właściwie każdy coś znaczył. Premier wyróżniała się tym, że potrafiła opanować każdą sytuację, a Jaclyn była pod tym względem nieodrodną córką swojej matki.

Śluby w środku tygodnia odbywały się nieco wbrew zwyczajowi, ale nie były niczym niezwykłym. W tym okresie szczęśliwi państwo młodzi mogli zagarnąć upragnione miejsce na przyjęcie po promocyjnej cenie i nie musieli czekać wiele miesięcy na wolny termin w kościele. Pierwszy z sześciu ślubów w tym tygodniu nie należał do ekstrawaganckich. Agencja Premier zajmowała się organizacją przyjęć o zróżnicowanych budżetach, a zakres obowiązków, który brały na siebie Madelyn i Jaclyn, zależał wyłącznie od tego, ile pieniędzy przeznaczono na uroczystość.

Madelyn westchnęła i zadała nieuniknione pytanie:

- Jak ci poszło z tą piekielnicą?

- Nie zabiłam jej, jeśli o to pytasz - odrzekła oschle Jaclyn. Wprawdzie to ona zajmowała się ślubem Carrie Edwards, ale

wszystkimi szczegółami skwapliwie się dzieliła, więc Madelyn i Peach doskonale znały kłopoty wynikające z żądań Carrie.

- Diedra rozmawiała po południu z Peach, więc jesteśmy na bieżąco. To zły znak, kiedy nikt nie chce powiedzieć dobrego słowa o pannie młodej. Zastanawiasz się wtedy, czy pan młody przypadkiem nie postradał zmysłów. Nawet jeśli ona zawsze ma apetyt na seks, to żaden numer nie jest dostateczną ceną za spędzenie z kimś takim reszty życia.

Jaclyn wciąż jeszcze się śmiała, rozbawiona kontrastem między sprośnością tej sugestii a rozleniwionym tonem damy z Południa, gdy Madelyn dodała:

- To ślub z rozmachem i duże pieniądze, ale przysięgam, że gdybyśmy wiedziały, ile z tym będzie problemów, trzymałybyśmy się od tego z dala niczym od śmierdzącej ryby

Cały zespół Premier liczył dni do ślubu Carrie, żeby wreszcie mieć to już za sobą. Przez lata działalności zdarzały im się różne panny młode: furiatki, megieiry, płaksy, a nawet takie, którym zdawało się, że słyszą głosy namawiające do zabicia kogoś. Matki

bywały jeszcze gorsze, by nie wspomnieć uciążliwych druzhen, rodziców pana młodego oraz awanturujących się dziewczynek syjących płatki i chłopców od obrączek. Nie ulegało wątpliwości, że Carrie Edwards przejdzie do legendy jako Panna Kłoda wyjątkowych rozmiarów, wzorzec małpiej złośliwości, do którego będzie się porównywać wszystkie jej następczynie.

Jaclyn westchnęła. Panny młode były w większości wspaniałymi, szczęśliwymi kobietami, z niektórymi nawet przyjemnie się współpracowało. Szkoda, że były też takie, które psuły opinię całej reszty.

- Dzwonisz z komórki. Jedziesz samochodem? - spytała Madelyn.

- Wracam do domu.

- Myślałam, że już dawno w nim jesteś. Tak długo pracowałaś?

- Zatrzymałam się po drodze na drinka. Należało mi się.

- Powinnam była zrobić to samo po próbie, ale spieszyło mi się do domu, żeby zdjąć pantofle.

Zerwałam sobie pęcherz. Jeśli kiedyś zauważysz, że włożyłam znowu te granatowe pantofle, możesz mi wygarnąć.

Madelyn zaproszono na kolację po próbie, jak zwykle jednak podziękowała za tę propozycję. Nawet jeśli nie miała pęcherzy na stopach, stanowczo wolała po długim dniu pracy zasiąść przed telewizorem z jakąś mrożonką z mikrofalówki, niż trwać w pełnym rynsztunku kilka godzin dłużej. Zresztą udział w takiej kolacji oznaczał, że pozornie wolna od obowiązków zawodowych organizatorka ślubu nie może wypaść z roli i musi przez kilka godzin prowadzić uprzejme rozmowy z nieznanymi ludźmi, których po ceremonii prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy. Z tego po wodu nikt z Premier nie przyjmował takich zaproszeń, jeśli panna młoda nie nalegała.

Jaclyn zastanawiała się, czy nie wspomnieć o Ericu, ale co właściwie miałyby powiedzieć? „Poznałam fajnego faceta, który jest chyba bardziej wilkiem niż owieczką”? Powinno to raczej brzmieć: „Poznałam faceta, na widok którego robi mi się gorąco”. Dzielily się z matką najdrobniejszymi szczegółami związanymi z pracą, ale spraw osobistych nie tykały. Wprawdzie Jaclyn wiedziała, że Madelyn spotyka się z mężczyznami znacznie częściej niż ona, ale wolała nie rozmyślać o tym. Podejrzewała, że matka ma podobny stosunek do jej życia miłosnego. Umówily się więc na poranne spotkanie w biurze, zanim każda z nich wpadnie w wir obowiązków, i się pożegnały. Jaclyn skończyła rozmowę akurat w porę, by wjechać do garażu na wyznaczone dla niej miejsce. Ta dodatkowa przestrzeń była niewątpliwym atutem, który sprawiał, że mieszkanie było warte swojej ceny Ani Jaclyn, ani Madelyn nie spały na pieniądzech, jednak dochody z Premier pozwalały im na wygodne życie. Jaclyn zajmowała ładne mieszkanie, przestronne, lecz nie przesadnie duże. Można by powiedzieć, że była to górna strefa stanów średnich. Ogólnie była zadowolona z mieszkania i z funkcjonowania agencji, którą razem z matką otworzyły i prowadziły. Było coś z natury satysfakcjonującego w tym, co robiła. Starala się, aby małżeństwa zaczynały się efektownie, pięknie i bezproblemowo. Planowała i organizowała ceremonie i przyjęcia, które ich uczestnicy - jeśli wszystko poszło jak należy - wspominali potem długo i z sentymentem. W pewnym sensie treścią tej pracy były kontakty międzyludzkie. Uważała, że tym wszystkim jasno zadeklarowała się w życiu, nie była tylko całkiem pewna, czego dotyczy ta deklaracja. Po wyjściu Jaclyn Erie siedział w swobodnej pozie przy stoliku, wpatrywał się w pustą już szklankę i zastanawiał, czy powinien

poprosić o następną. Nie, uznał, pojedzie do domu. Nie należało przekraczać granicy. Skoro zaś nie chciał już niczego zamówić, powinien być miły dla kelnerki i zwlec tyłek z krzesła, żeby jego miejsce mogli zająć następni klienci, którzy czegoś sobie zażyczą.

Ktoś usiadł na wolnym krześle naprzeciwko. Erie podniósł wzrok i ujrzał Gillespiego, który pochylał się ku niemu z miną poczciwego żartownisia.

- Staruszkule, zdradź, co takiego powiedziałeś, że elegancka kobieta zaczęła rozmawiać z kimś takim jak ty, chociaż mnie pogoniła?

„Staruszek” rozeźlił Erica. Przecież, był tylko siedem czy osiem lat starszy od Gillespiego. Z nagiego milczenia, które zapadło przy sąsiednich stolikach, wywnioskował, że ludzie nadstawiają ucha z nadzieją, że podsłuchają coś, co nazajutrz pozwoli im dociąć Gillespiemu. Chłopak był lubiany, ale okazja to okazja, wszystko jedno, kto staje się celem.

- Posłuchaj uważnie, świerszczyku - zaczął, unosząc wyciągnięty palec, jakby chciał zmusić tępego ucznia do skupienia.

- Słucham, mistrzu - odparł falsetem Gillespie.

- Z kobietami trzeba subtelnie - ciągnął, nieznacznie podnosząc głos, żeby publiczność wyraźnie go słyszała.

- Subtelnie.

Gillespie z trudem powstrzymał się przed pogardliwym parsknięciem. Erie nie słyszał z subtelności.

Uważano go raczej za bezpośredniego faceta, który powinien się nauczyć panowania nad sobą.

- Wszystko, co jest nadmiernie seksualne, zniechęca, zamiast zachęcać.

- Ej, szklarz, nie wciskaj kitu - rozległ się teatralny szept od jednego ze stolików.

- Nie tak szybko. Będę notował - oświadczył Gillespie. Wy ciągnął notes, otworzył i na wolnej stronie zapisał jedno słowo. Dobra, subtelnie. Co dalej?

- Mam jedną wielką przewagę nad tobą - odrzekł Erie i zebrani w barze koledzy ryknęli śmiechem.
- Nie wygłupiaj się, Wilder, nie jest taka wielka. Pamiętaj, że wszyscy widzieli cię pod prysznicem.
- Fakt - przyznał pewien czarnoskóry detektyw. - Nawet kolor jest nie ten, człowieku.

Erie zachował powagę.

- Konfucjusz powiedział, że śpiący tygrys wydaje się mały, natomiast atakujący jest wielki jak nosorożec.

Wśród radosnego rechotu Erie odsunął krzesło i wstał. Kiedy w barze zapadła cisza, popatrzył na Gillcspiego i oznajmił:

- Nie mówiłem wcale o wielkości mojego fiuta. Jest coś jeszcze.
- Naprawdę? A co takiego?
- Poznaliśmy się wcześniej - odparł Erie i wyszedł z baru ścigany salwami śmiechu.

Stanął na chodniku uderzony falą ciężkiego, dusznego powietrza i przez chwilę przyglądał się światłom miasta, najbliższemu otoczeniu i przejeżdżającym samochodom. Miał za sobą ciężki dzień, a w barze przesiedział dłużej, niż planował. Wszystko przez Jaclyn Wilde. Należało jak najszybciej pójść spać, był jednak rozdrażniony i spięty. Nie chciało mu się wracać do domu. Zazwyczaj lubił zasiadać w fotelu i oglądać mecz baseballowy lub program wędkarski czy jakiś film sensacyjny.

Czasem czytał gazetę, do której nie zdążył zajrzeć rano. Tego wieczoru nie miał na to ochoty. Dobrze wiedział, czego chciał; mieć tę kobietę z klasą, Jaclyn Wilde. Może rzeczywiście to luksusowa komplikacja, ale mimo to jej pragnął. Była efektowna, dobrze się z nią rozmawiało, a o ile nie omyliło go wycucie, pociągał ją równie silnie jak ona jego. Dała mu jednak jasno do zrozumienia, że praca jest dla niej

najważniejsza, a on musi poczekać, aż jej rozkład zajęć pozwoli na randkę.

Ruszył do samochodu, podzwaniając trzymanymi w dłoni kluczykami. Jak wszyscy policjanci, przez cały czas uważnie obserwował, co dzieje się wokół niego, rejestrował dźwięki, widział przejeżdżające samochody, ludzi mijanych na ulicy, ale wszystko to robił machinalnie. Tak naprawdę skupiał się na wyobrażaniu sobie, że przesuwając rękę po nogach Jaclyn i unosi rąbek jej czarnej spódnicy.

Do diabła z tym!

Wyjął z kieszeni komórkę i wizytówkę, po czym wybrał numer.

- Halo? - odezwała się rześko po dwóch dzwonekach.

- Nie chcę czekać tygodnia - powiedział od razu, nawet się nie przedstawiając. - Zaproś mnie.

Nastąpiła pauza. Eric czekał na twierdzącą odpowiedź i wiedział, że Jaclyn chce jej udzielić. Pauza trwała jednak tak długo, że w końcu zaczął się obawiać, że usłyszy „nie”.

- Dobrze - powiedziała wreszcie cicho. - Przyjedź zaraz.

Co ja zrobiłam, do cholery?

Jaclyn wbiła wzrok w aparat. Nie spytała go, czy oszalał, nie odmówiła, tylko po prostu się zgodziła. Było tak, jakby jej usta nie miały żadnego połączenia z mózgiem, a mózg oddzielił się od reszty ciała. Przez chwilę poważnie zastanawiała się, czy nie zadzwonić i nie powiedzieć, że zmieniła zdanie albo że miała chwilę zamroczenia, ale już otrzeźwiała. Tak czy inaczej odesłałaby go z kwitkiem, zamiast zapraszać do siebie. Ostatnie funkcjonujące komórki w mózgu, zdaje się, że nieliczne, podsuwały jej myśl, że oszalała, zachęcając Erica Wildera do zrobienia następnego kroku. Z jej punktu widzenia obdarzanie zaufaniem dopiero co poznanego

mężczyzny było poważnym błędem. Policjant czy nie, uprzejmy czy nie, ale obcy na pewno. Instynkt jednak podpowiadał jej co innego. Zaprażyła poczuć ciało Erica przy sobie i w sobie. Miała nadzieję, że noc szybko się nie skończy. Nieczęsto zdarzało jej się ignorować zdrowy rozsądek i dawać posłuch instynktowi, ale tego wieczoru była zdecydowana iść właśnie za jego głosem. Ten wieczór był wyjątkowy.

Przed laty pod wpływem spontanicznej decyzji założyła wspólnie z matką firmę, mimo że bardzo dużo rodzinnych firm upadało w ciągu pierwszych pięciu lat działalności. Agencja Premier działała prawie siedem lat i wciąż rosła w siłę, lecz przez te siedem lat jego właścicielki urobiły sobie ręce po łokcie. Tego wieczoru Jaclyn nie chciała być rozsądna ani racjonalna, wołała być spontaniczna. Nieco zdezorientowana odłożyła komórkę na stół i poszła do łazienki, bez szczególnego pośpiechu, ale i bez ociągania. Po przyjściu do domu zdjęła kostium, usunęła makijaż, umyła twarz, wzięła prysznic i włożyła wygodną, cienką białą piżamę, mającą prostą górę i luźne spodnie. Rozpuściła włosy i porządnie je wyszczotkowała. Plan na resztę wieczoru obejmował godzinę relaksu przed telewizorem przy czymś lekkim, takim jak *Home Hunters* albo kanał kulinarny, a potem wyłączenie światła. Program na następny dzień miała bardzo bogaty.

A nagle to... wizyta Erica. Przez chwilę oglądała swoje odbicie w łazienkowym lustrze, zastanawiając się, czy nie przywrócić części makijażu, nie użyć kilku kropli perfum i nie włożyć bardziej wymyślnego stroju. Uznała, że ze świeżo umytą twarzą i rozpuszczonymi czarnymi włosami do ramion jest przecież jeszcze bardziej sobą. Zerknęła na białe stopy, zadowolona, że niedawno była u pedikiurzystki. Paznokcie jarzyły się jaskrawą czerwienią i tego wieczoru był to jedyny akcent kolorystyczny na jej ciele.

Jeśli zaś chodzi o wkładanie czegokolwiek na siebie... Czy warto się oszukiwać? Przed powrotem do salonu ograniczyła się do umycia zębów. Czy powinna wstawić wodę na bezkofeinową kawę? Nie. To byłoby równie śmieszne jak ubieranie się i robienie makijażu. Erie Wilder nie przyjedzie do niej na kawę i dalszy ciąg rozmowy. Interesował go seks, bo pragnął jej tak samo, jak ona jego. Byli dorośli, oboje rozumieli, o co im chodzi, nie było więc powodu rozpoczynać jakiejś gry

Kiedy odezwał się dzwonek, podeszła do wejścia i na wszelki wypadek zerknęła przez wizjer. Chwilę potem szeroko otworzyła drzwi.

Stali naprzeciwko siebie niemal jak rewolwerowcy na głównej ulicy miasteczka, z których każdy wyczekuje na ruch przeciwnika. Erie trochę poluzował krawat, poza tym jednak wyglądał tak jak niedawno, gdy się rozstawali. Ponieważ zdjęła pantofle, był od niej dużo wyższy. Górował nad nią o kilkanaście centymetrów.

Ostentacyjnie otaksował ją wzrokiem, nie siląc się na dyskrecję czy subtelność, podobnie jak w barze, gdy oglądał palec, na którym kiedyś nosiła obrączkę. Przewędrował spojrzeniem po jej ciele, zaczynając od stóp i kończąc na twarzy, a potem powoli w przeciwnym kierunku, zatrzymując się w miejscach budzących u niego największe zainteresowanie. Jaclyn głęboko odetchnęła, a potem odsunęła się od drzwi i wpuściła go do środka. Gdy znalazł się za progiem, znacznie bliżej niej, zamknął za sobą drzwi i zaciągnął zasuwkę.

Obserwował ją spod przymrużonych powiek, kierując wzrok ku twarzy, co należało uznać za przejaw dobrych manier, doskonale wiedziała bowiem, że kształt jej prężących się sutek wyraźnie rysuje się pod cienką białą tkaniną. Z drugiej strony, nie musiała zdjąć piżamy, żeby mógł zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia.

- Nie mogłem przestać myśleć o tobie.

Ja o tobie też nie, odpowiedziała mu w duchu.

- To chyba dobrze.

Erie zatrzymał wzrok na palcach stóp Jaclyn.

- Mógłbym cię pożreć.

Ogarnęła ją trema. Od wielu lat nie czuła niczego podobnego, od dawna nie pozwoliła sobie na to, by po prostu skupić się na własnych doznaniach.

- Co cię powstrzymuje?

- Na szczęście nic - odparł.

Ujął ją za nadgarstki i przesunawszy dłonie po jej przedramionach aż do łokci, przyciągnął ją do siebie. Żar jego ciała bez trudu przenikał przez cienką piżamę. Zupełnie bez skrepowania, jakby byli razem od dawna, przeniósł ręce na jej plecy i powoli je opuszczając, zapraszał, by zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. Gdy wreszcie zatrzymał je na pośladkach, wyraźnie czuła siłę jego pożądania.

Drżąco odetchnęła, rozkoszując się bliskością męskiego ciała, a potem odchyliła głowę i wspierała się na palce, by połączyć się z nim w pocałunku. Przez chwilę ich wargi poznawały się i nagle jakby przemknęła między nimi iskra. Wiedzieli, dokąd zmierzają, i nie chcieli stawiać niepotrzebnych tam. Łapczywie wymieniali pocałunki. Jaclyn kurczowo zacisnęła palce na mocnym karku Erica, a on ugiął kolana, objął ją poniżej pośladków i podpierając drugim ramieniem poderwał z podłogi. Odruchowo rozchyliła nogi i objęła go nimi w pasie.

- Gdzie jest sypialnia? - spytał schrypniętym głosem. Wsunął dłoń za luźny pasek piżamy i pogłaskał ją po pośladkach.

- Tam - wskazała, uwalniając jedną rękę.

Zawrócił, a idąc w tamtym kierunku, powoli przesunął dłoń. Jaclyn czuła jego szorstkie palce coraz niżej. Wciągnęła ustami

duży haust powietrza. Wielkie nieba! Mocniej objęła go nogami i nieco się uniosła, choć nie potrafiłaby powiedzieć, czy ucieka przed nim, czy raczej wychodzi mu na spotkanie. Jej piersi ocierały się o koszulę Erica, od ich stwardniałych szczytów rozchodziły się po jej ciele coraz silniejsze doznania. Dłoń Erica dostarczała jej nie mniej hipnotyzujących wrażeń, a do łóżka było jeszcze całkiem daleko.

Wszedł z nią do sypialni i oparłszy kolano na łóżku, opuścił ją na materac. Przez chwilę czuła na sobie jego ciężar. Zalewało ich żółtawe światło lampy, którą zostawiła włączoną, ścieląc łóżko. Zdjęła mu koszulę, a on odwzajemnił się ściągnięciem góry od pizamy. Mógł już bez przeszkód podziwiać jej piersi

Ujął sutek między wargi i zaczął go drażnić, pocierając językiem. Porażona tą pieśczętą Jaclyn wydała głośny okrzyk i wygięła ciało. Otoczona zapachem rozgrzanej skóry Erica unosiła się na fali pożądania, a jego dłonie, zsuwające spodnie z jej ud, ciągnęły ją w głąb kipieli.

Szybko zrzucił z siebie resztę ubrania i wreszcie oboje byli nadzy. Jaclyn czuła się tak, jakby zetknięcie dwóch rozgrzanych ciał urzeczywistniało jej najskrytsze tęsknoty. Przywarła do niego z całej siły, wypychając biodra z nadzieją, że za chwilę się połączą.

- Cholera!

Erie odsunął się od Jaclyn. Już miała bezceremonialnie przyciągnąć go z powrotem, kiedy uświadomiła sobie, że on wyciąga kondomy z kieszeni spodni. Rzucił dwa na stolik przy łóżku, a jedno opakowanie rozdarł. Uprzytomniła sobie, że nawet nie przyszło jej do głowy, by zastosować ten podstawowy środek ostrożności. Na szczęście jedno z nich nie straciło resztek rozsądku. Była mu za to naprawdę wdzięczna. Wprawdzie łykała pigułki, ale kondom był niezbędny.

Pochylił się nad nią, rozłożył jej nogi i opierając się na ramieniu, wolną ręką umieścił członek u wejścia do jej ciała. Nareszcie. Była gotowa, bliska eksplozji rozkoszy. Zdawało jej się, mogłaby szczytować, nawet nie mając go w sobie. Jednak gdy wszedł w nią krótkim, mocnym pchnięciem, syknęła i przekonała się, że chyba nie jest tak gotowa, jak sądziła.

Od dawna nie miała mężczyzny, nawet niezbyt dokładnie pamiętała ten ostatni raz, i może właśnie dlatego wrażenie było do tego stopnia przykre, że przez moment zastanawiała się nawet, czy nie odepchnąć Erica. Omal nie wydała okrzyku protestu, pragnienie jednak kazało jej zacisnąć usta. Przywarła do niego z całej siły i wpiła mu palce w ramiona, gdy powoli wsuwał się w nią coraz głębiej. Był gruby i gorący, poczuła dreszcze. Odetchnęła głęboko, starając się rozluźnić. Tymczasem Erie, który zdążył wypełnić ją do końca, przygniótł ją mocniej i ujął w dłonie jej głowę.

- W porządku? - spytał cicho, muskając oddechem jej wargi.

- Daj mi jeszcze chwilę - odszepnęła i znów złączyła się z nim w pocałunku.

Jak doznanie może być tak cudowne i tak trudne do przyjęcia zarazem? Miała takie wrażenie, jakby od stresu jej ciało w każdej chwili mogło się rozpaść na kawałki, ale jednocześnie nie chciała, żeby Erie przestał.

Dał jej znacznie więcej niż chwilę, o którą poprosiła. Całował ją i uwodził nawet wtedy, gdy był już w jej wnętrzu. Pieścił ustami i dłońmi, czarował, póki jej mięśnie nie rozluźniły się i nie zaczęły reagować na intymny dotyk w środku. Wreszcie oddech Jaclyn dostosował się do rytmu, w jakim poruszały się jej biodra.

- Teraz - powiedziała zduszonym głosem, obejmując go z całej siły. Nic oprócz niego nie miało znaczenia.

Tymczasem był tylko ten mężczyzna i wieczór. I tylko tyle potrzebowała.

Rozdział 4

Jaclyn wysunęła się z pościeli o piątej rano i nieco zakłopotana zaczęła wsłuchiwać się w ciche chrapanie Erica. Należałoby raczej mówić o głośnym oddychaniu. W każdym razie brzmiało to jak dobywające się z gardła powarkiwanie. Czyżby podświadome ostrzeżenie dla drapieżników mogących znajdować się w pobliżu?

W milczeniu podniosła piżamę z podłogi i kierując się wątlm światłem padającym z łazienki, wyszła na palcach z pokoju. Erie spał i wołała go nie budzić, przede wszystkim jednak nie chciała raptownie wyrwać go ze snu. Wieczorem była tak bardzo skupiona na jego smaku i zapachu, na zaspokojeniu niewiarygodnie silnej żądzzy, że nie zwracała uwagi na nic innego. Jednak po drugiej rundzie seksu, kiedy wstała i poszła do łazienki, spostrzegła wielki czarny pistolet, leżący na stoliku przy łóżku. Jak mogła nie zwrócić uwagi na broń, kiedy ściągali z siebie ubrania? Poczwała się tak, jakby wdepnęła na grzechotnika i poszła dalej, całkiem tego nieświadoma.

Nie lubiła niczego, co strzela. Nie znała się na tym i nie chciała niczego się nauczyć. Mimo że urodziła się na Południu i odebrała stosowne wychowanie, nie jeździła na polowania. Wybierała wizytę w teatrze albo zakupy.

Ojciec rzadko spędzał czas na świeżym powietrzu, podobnie jak jej były mąż. Szczytem tego, na co zdobywał się jej eks, był wypad na mecz futbolowy, wtedy jednak siedział na stadionie, pił piwo i czuł się jak prawdziwy mężczyzna, mimo że tak naprawdę wcale nie przepadał za futbolem i okazywał nim zainteresowa nie wyłącznie po to, aby wesprzeć wizerunek prawnika z dobrej

południowej rodziny. Na szczęście pod tym względem potrafił się zdobyć na szczyptę autoironii.

Steve wcale nie był złym facetem, po prostu nie nadawał się dla niej.

W każdym razie nie trzymała w domu broni i nie sypiała z mężczyzną, który przychodził uzbrojony.

Co stałoby się, gdyby nagle zbudziła Erica? Czy chwyciłby za pistolet? Wolą się o tym nie przekonywać, więc pilnując, by nie narobić hałasu, zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Co dalej?

Pierwsza i najbardziej oczywista odpowiedź brzmiała, że należy iść do drugiej łazienki. Załatwiwszy potrzebę fizjologiczną i zauważywszy przy okazji, że z seksem jest podobnie jak z gimnastyką - jeśli nie praktykuje się go regularnie, wszystko potem boli - włożyła piżamę, napiła się wody i przeczesła włosy palcami, bo szczotkę trzymała w sypialni.

Następny punkt programu: kawa.

Przeszła do kuchni i włączyła ekspres. Czekając na kawę, rozmyślała o tym, co ją czeka. Miała tego dnia dużo spraw do załatwienia, należało więc wcześniej zacząć. Z tego zaś wynikało, że powinna obudzić Erica, a to oznaczało, że ryzykuje życie, bo nie wiadomo, jak z jego nerwami. Mimo wszystko może jednak nie chwycił od razu za broń.

Szkoda, że nie zbudziła Erica, zanim wstała. Jednak nie chciała, żeby zobaczył ją z fryzurą czupiradła albo próbował pocałować, a mogłaby mieć nieświeży oddech. Nieważne, że kochali się trzy razy, najpierw gwałtownie i niecierpliwie, potem spokojniej, a w końcu sennie, z przytulaniem. Przecież na dobrą sprawę niewiele wiedziała o Ericu poza tym, czego doświadczyła w nocy.

Pewne było za to, że powinna wziąć prysznic i przygotować się do wyjścia z domu. W firmie musiała być o siódmej, należało się zatem pospieszyć.

Ekspres przestał wydawać pomruki i pluć brunatną cieczą dal za to znać brzęczykiem, że kawa gotowa. Z zadowoleniem chwyciła dwie filiżanki, znieruchomiła jednak i spojrzała na nie zamyślona. Tak, to powinno zadziałać. Już wiedziała, jak pozbyć się Erica, wkładając w to minimum wysiłku.

Ocknął się, gdy Jaclyn wstała z łóżka. Przez chwilę, obserwując ją spod przymkniętych powiek, podziwiał szczupłą sylwetkę i wszystkie apetyczne krągłości, szybko jednak Jaclyn znikła mu z pola widzenia i starannie zamknęła za sobą drzwi. Nie mógł powiedzieć, żeby miała dużo ciała, ale jego kształty były akurat tak jak trzeba. Nieduże, jędrne piersi z sutkami jak guziczki i krągłe pośladki. A nogi! Istna doskonałość! Smukłe, mocne i gładkie jak aksamit. Nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie w stanie wyrzucić z głowy wspomnienie o tych nogach oplatających ciasno jego ciało.

Poprzedniego wieczoru powinien był jednak pojechać do domu, zamiast zostawać u Jaclyn. Bo co teraz? Nie znosił niezręcznej sytuacji, jaka zazwyczaj wynikała rano po wspólnie spędzonej nocy. Czy Jaclyn miała ochotę na porannego szybciuszka? Chętnie spełniłby takie życzenie, ale przed pójściem do pracy musiał wrócić do domu, wziąć prysznic, ogolić się i zmienić bieliznę, a kobiety irytują się, kiedy mężczyzna je zostawia, bez względu na to, jak ważne ma powody. Może chciałyby się jeszcze trochę poprzytulać czy - oby nie! - porozmawiać o poprzednim wieczorze. Dlaczego kobiety chcą rozmawiać o tym, co było wczoraj, zwłaszcza wtedy, gdy program obejmował seks. Nie ma o czym mówić. Mieli na siebie chrapkę od chwili, gdy zderzyli się w ratuszu, on zaproponował, ona się zgodziła. Nie było w tym niczego skomplikowanego.

Owszem, chciał się z nią jeszcze spotkać, ale nie życzył sobie analizować wszystkiego, co powiedział i zrobił poprzedniego

wieczoru. Na szczęście mówił niezbyt wiele. Zresztą Jaclyn też. Przerwy w seksie wypełniali snem. W barze zachowywała się swobodnie i była pewna siebie, ale odkąd znaleźli się w łóżku, rozmowy ograniczyli do minimum. Przyjemnie mu było z kobietą, która me uważała, żeby łączenie seksu z dogłębnym roztrząsaniem czegokolwiek było szczęśliwym rozwiązaniem. Podobało mu się to i ona też mu się podobała... na razie.

Ponieważ jednak chciał się z nią ponownie umówić, nie mógł po prostu wstać, ubrać się i wyjść. Najpierw trzeba przygotować grunt, upewnić się, że nie rozeźli jej jakimś nieprzemyślanym zachowaniem, na przykład tym, że wstanie, ubierze się i zniknie. Właśnie dlatego powinien był zrobić to poprzedniego wieczoru, ściskając ją na do widzenia i obiecując zadzwonić. Nie wiadomo czemu kobiety zdawały się nie mieć nic przeciwko temu, żeby facet wyszedł wieczorem. Jeśli jednak został do rana, stosowały najdziwniejsze reguły.

Przekreślił się na drugi bok, spojrzął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że ledwie minęła piąta. Jaclyn zapowiedziała mu, że w tym tygodniu jest zajęta, a jeśli musiała wstać o tej porze, to znaczy, że nie przesadzała. Nie miał pojęcia, co w pracy organizatora ślubów może zajmować aż tyle czasu i jak ciężka jest ta praca, ale niewątpliwie Jaclyn przykładała się do niej, i to mu się podobało. W ostatnich latach wielu ludzi lekceważyło obowiązki, jakby tylko głupcy traktowali poważnie to, co robią, i wkładali w to wysiłek. Naturalnie jako gliniarz najczęściej miał do czynienia z marginesem społecznym, ale wpadał również na tych zarozumiałych, uprzywilejowanych w rodzaju „pan wie, kto ja jestem?”. Byli przekonani, że nie poświęca im się nawet dziesiątej części uwagi, na jaką zasługują. Nie słyszał, żeby Jaclyn krzątała się po domu, ale wyczuł aromat świeżej kawy, i to wystarczyło, by wyciągnąć go z łóżka.

Szybko poszedł do łazienki, po czym zaczął się ubierać. Siedział na łóżku w białym i spodniach i naciągał skarpetki, kiedy drzwi się otworzyły i weszła Jaclyn z wielkim kubkiem kawy w jednej dłoni i papierową jednorazówką w drugiej.

- Nie wiem, jak pijasz kawę, więc dołączyłam dwie torebki cukru, dwie śmietanki i mieszadełko - powiedziała, podając mu zestaw.

Zaskoczony wziął od niej papierowy kubek z kawą i torebkę śniadaniówkę z dodatkami.

- Naprawdę bardzo mi się spieszy - ciągnęła. - Muszę wziąć prysznic. Czy wychodząc, mógłbyś dobrze zamknąć drzwi? Dziękuję, bardzo jesteś miły. Zadzwoń do mnie w tygodniu. - Pochyliła się, cmoknęła go w czoło i znikła w łazience. Usłyszał trzask zamka i zaraz potem szum wody.

Też coś.

Siedział na łóżku i wpatrywał się w papierowy kubek. „Wstawaj, zbieraj ciuchy i wynocha”. Jaśniej można było to powiedzieć, jedynie wypychając go za drzwi. Chyba można było dość bezpiecznie uznać, że nie jest zainteresowana rozmową o poprzednim wieczorze. Z jednej strony, mu ulżyło, z drugiej - niech to piorun strzeli! Był trochę zawiedziony. Kobiety powinny chcieć o tym rozmawiać. W ten sposób dawały do zrozumienia, że są zainteresowane, że czują chemię. Czy Jaclyn potrzebowała tylko seksu? Gdy już jej dogodził, ma sobie iść?

Odstawił papierowy kubek na stolik przy łóżku i skończył się ubierać. Kiedy wsuwał służbową broń do kabury przy pasie, zadał sobie w duchu pytanie, czy pistolet nie przestraszył Jaclyn. Nie była fanką policjantów i nie musiało jej się spodobać, że machinalnie położył broń w zasięgu ręki. To był nawyk, który wyrobił sobie, służąc w policji miejskiej w Atlancie. Teraz w ogóle już nie rejestrował u siebie tego zachowania.

Nie wyglądało na to, by Jaclyn lubiła płochliwych facetów, ale nie znał jej dostatecznie dobrze, żeby stwierdzić to z całą pewnością. Tak czy inaczej, na pewno nie chciała, aby został na śniadaniu. Okej, spełni jej życzenie. Nie mógłby szczerze powiedzieć, że chce czego innego.

Spojrzał na zamknięte drzwi do łazienki i mruknął:

- Czuję się wykorzystany.

Potem uśmiechnął się od ucha do ucha, wzruszył ramionami, wziął kubek z kawą i zszedł na dół. Starannie zamknął za sobą drzwi. Mżyło, światła latarni odbijały się w warstewce wody na chodniku. Powietrze przed świtem było bardzo rześkie, od zachodu zawiewała wilgotna bryza. Pomyślał, że gdyby chmury utrzymały się dłużej, dzień nic byłby tak nieznośnie upalny jak poprzedni. Nie słuchał prognozy pogody i deszcz go zaskoczył, ale była to zdecydowanie przyjemna niespodzianka.

Policjanci z wydziału ruchu drogowego mogliby się z nim nie zgodzić - póki sam patrolował ulice, nie znosił deszczu - ale obecnie wszystko, co łagodziło upał, było korzystne.

Stał przez chwilę na niewielkim ganku segmentu, w którym mieszkała Jaclyn, i rozglądał się, chcąc sprawdzić, czy nic nie odbiega od normy. Nie było podejrzanych pojazdów ani podejrzanych ludzi, zszedł więc po schodkach i przemierzywszy krótki odcinek chodnika, znalazł się przy swoim samochodzie. To była elegancka dzielnica, więc taki gruchot stanowiłby zauważalny dysonans, ale nikt w okolicy jeszcze nie wyszedł na ulicę, chociaż w niektórych domach widać było światła, co oznaczało, że nie on jeden wstał wcześniej.

Gdy usiadł za kierownicą, zdjął wieczko z papierowego kubka, wsypał do środka dwie torebki cukru i wlał jedną śmietankę, a następnie skorzystał z plastikowego mieszadła. Uniósł naczynie do warg i pociągnął pierwszy łyk. Chwilę potem zaczęły działać jego

kubki smakowe. Wypluł kawę z powrotem do kubka, wstrząsając się z obrzydzeniem. Pfuj, co to za świństwo?

Coś mu zapachniało i nie był to miły zapach. Dlaczego kobiety stosują dodatki tam, gdzie nie trzeba? Co złego jest w kawie, która smakuje po prostu jak kawa? Po co łądować tam jakieś orzechowo-malinowe paskudztwo? Co gorsza, zaszkodziło to nie tylko aromатовi, lecz i smakowi. Jaclyn miała fantastyczne nogi, ale przyzwoitej kawy nie potrafiła zaparzyć.

To dziwne, ale przez to bardziej ją polubił. Gdyby robiła pyszną kawę, zanadto zbliżyłaby się do ideału. Tak było lepiej. On sam nie czuł się doskonały, więc paskudny smak stawiał ich na mniej więcej tym samym poziomie.

Kawy jednak musiał się napić, a tej trucizny nie był w stanie przełknąć. Na szczęście niedaleko, przy stacji benzynowej, mieścił się całodobowy sklep i musiała tam być kawa. Przywykł do kawy, która się odstała. Miała gorzkawy posmak, dlatego wsypywał do niej cukier i dolewał śmietanki. Wtedy dawała się pić. Niestety, temu potwornemu naparowi Jaclyn nawet cukier i śmietanka nie pomogły. Jeśli zaczną regularnie się spotykać, to zajmie się parzeniem kawy, bo tego paskudztwa nie wypiłby nawet z uprzejmości.

Kiedy zbliżał się do sklepu, facet ubrany jak budowlaniec nalewał benzynę do zakurzonej półciężarówki marki Ford. Z boku stał zaparkowany dziesięcioletni czarny samochodek, prawdopodobnie należący do sprzedawcy. Gdy Erie wjeżdżał na parking, budowlaniec akurat skończył tankować i czekał, aż automat wydrukuje mu potwierdzenie zapłaty kartą. Po chwili oddał je, niechlujnie złożył i schował do portfela. Potem wsiadł do forda i odjechał.

W środku Erie skinął głową sprzedawcy, chuderlawemu mężczyźnie z rzadką bródką, obserwującemu przez okno tankowanie, i nie czekając na reakcję, podszedł do lady w głębi, za którą na

półkach stały olej napędowy, dodatki do paliwa i płyn do mycia szyb samochodowych. Sprzedawca, który wydał mu się lekko zaniepokojony, wycofał się do kasy

Erie spojrzał na swoje odbicie w lśniącej powierzchni ekspresu do kawy i skrzywił się. Nic dziwnego, że wystraszył tego biedaka. Powinien się ogolić, a poza tym przed wyjściem od Jaclyn nawet nie przeczesał włosów palcami. Nie schował też koszuli w spodnie, bo nie widział potrzeby, wybierał się przecież do domu, gdzie zamierzał wziąć prysznic i zmienić ubranie. Na szczęście, przynajmniej zakrył marynarką broń, ale i tak wyglądał, jakby właśnie zrobiono mu zdjęcie do rejestru kryminalistów.

Wziął wysoki kubek z czubka piramidy, wsypał do niego dwie torebki cukru, wlał śmietankę, po czym napełnił kubek aż po brzeg. Gdy przykrywał go wieczkiem, usłyszał zajeżdżający przed sklep samochód z zepsutym tłumikiem. Silnik nie został zgaszony.

Cholera. Co mówią przeczucia? Jakie jest pieprzone prawdopodobieństwo?

Instynktownie schylił się, żeby być niewidocznym dla tego, kto wejdzie. Może nic się nie działo.

Może kierowca po prostu miał słaby akumulator i męczył się wcześniej z zapaleniem silnika, więc nie chciał go zgasić, żeby nie ryzykować ponownych kłopotów.

Usłyszał brzęk dzwonka, zawiadamiający o otwarciu drzwi. Warkot stał się jeszcze głośniejszy. To nic takiego, pomyślał Erie. Nawet idiota zauważyłby samochód zaparkowany prawie naprzeciwko wejścia i zrozumiał, że w sklepie jest jeszcze ktoś oprócz sprzedawcy. Tylko gliniarz, słysząc, że ktoś zatrzymuje samochód przed sklepem i nie gasi silnika, myśli natychmiast o rozboju. Na zewnątrz jeździło coraz więcej samochodów, zbliżał się świt i każdy głupiec wiedziałby, że to kiepska pora na napad.

To nic takie...

Łubudu!

Coś się przewróciło, a w sklepiku zabrzmiały okrzyki i przekleństwa.

- Dawaj forszę, sukinsynu, bo łeb ci rozwalę! - rozległ się prze palony głos.

Cholera! A jednak!

Od początku wiedział, odkąd podjechał ten samochód. Już miał pistolet w dłoni, choć nie pamiętał, by go wyciągał. Po prostu instynktownie przeczuł, że ten samochód przywozi kłopoty. Machinalnie zarejestrował też pozycję sprzedawcy. Napastnik prawdopodobnie znajdował się między nimi. Erie mógł użyć broni, ale wiedział, że jeśli nie trafi w bandziora, prawdopodobnie postrzeli sprzedawcę. Poza tym w razie użycia broni przez następny miesiąc wypełniałby różne formularze, nawet gdyby chybił. A gdyby zastrzelił oprycha, zostałby zesłany do pracy biurowej i musiał czekać na zakończenie wewnętrznego policyjnego śledztwa.

Równie szybko jak wyciągnął broń, schował ją do kabury. Zamiast tego chwycił z półki bańkę z olejem, uniósł ją i z całej siły cisnął, mierząc w głowę rabusia. Mimo że gruby kaptur czarnej bluzy powinien był złagodzić impet uderzenia, rabuś padł jak zdzielony toporem.

Erie znów wyciągnął broń, dopadł drzwi, pchnął je ramieniem i chwilę potem stał już przy samochodzie, mierząc z pistoletu w kierowcę. Okazało się, że jest to dziewczyna w kusej zielonej bluzce wiązanej na szyi i dżinsowych szortach.

- Policja! - krzyknął, pokazując identyfikator. - Wyłączyć silnik, ręce za głowę!

Wbiła wzrok w ziejącą lufę jego służbowej broni. Usta jej zadrżały, na twarzy pojawił się grymas.

- On mnie zmusił! - krzyknęła piskliwie.

- Jasne - mruknął Erie.

Stygła mu kawa, należał mu się prysznic, krótko mówiąc, nie ulegało wątpliwości, że tej nocy nie był w domu. Gdyby ktoś z kumpli go zobaczył, zaczęłoby się gadanie, a tymczasem tkwił tu uziemiony przez współczesnych Bonnie i Clyde a. Zerknął przez ramię. Sprzedawca wyszedł z za lady i rozmawiał przez komórkę. Napastnik wciąż leżał rozciągnięty na ziemi.

- Powiedziałem: wyłączyć silnik! Pociągając nosem, wykonała polecenie.

- Dobra, teraz z samochodu! Idziemy do środka, do twojego chłopaka.

- To nie jest mój chłopak!

Posłusznie wysiadła i przez cały czas, gdy ją skubał, chrzaniła coś o tym, że nawet nie zna tego człowieka, że wsiadł do jej samochodu na czerwonym świetle, wyciągnął pistolet i kazał jej tutaj przyjechać, a ona zupełnie nie wiedziała, co ten człowiek zamierza.

- Rozumiem, i dlatego nie odjechałaś, kiedy on wszedł do środka? - spytał z ironią Erie, wprowadzając ją do sklepu, gdzie łatwiej było mieć na nią oko.

Sprzedawca raptownie się odwrócił, najwyraźniej wciąż niespokojny, mimo że dziewczyna miała na rękach kajdanki. Gdy dostrzegł pistolet w dłoni Erica, wytrzeszczył oczy.

- Policja - powiedział Erie i błysnął plakietką.

Do diabła, czemu ten osioł nie potrafi kojarzyć faktów i nie rozumie, że ma przed sobą gliniarza?

Rozciągnięty na podłodze bandyta jęknął i zaczął się poruszać. Nie ulegało wątpliwości, że pęka mu głowa, może nawet ma wstrząs mózgu, ale Erie na wszelki wypadek skuł go zapasowymi kajdankami. Słyszał już syreny i z uznaniem pomyślał, że szybko przyjeżdżają. Mimo wszystko Hopewell nie było Atlantą i policjanci, którzy pełnili służbę w nocy, nie mieli nadmiaru zgłoszeń.

Niecałe pół minuty później na parking wjechały na sygnale dwa wozy patrolowe. Erie z ciężkim westchnieniem zerknął na swoich jeńców i na przerażonego sprzedawcę. Chciał wreszcie wypić tę cholerną kawę.

Rozdział 5

Jaclyn starała się nie rozmyślać o Ericu Wilderze, dopóki nie skończyła przygotowań do wyjścia z domu. Całkowite wyrzucenie go z głowy było niemożliwe, między innymi dlatego, że miała różowe ślady na piersiach, pozostałość po jego zarostcie, i malinkę na szyi. Nawilżyła te miejsca łagodzącym żelem aloesowym, a na szyję nałożyła podkład maskujący, zastanawiając się z wisielczym humorem, dlaczego przy uprawianiu seksu kobiecie przydałyby się kask i ochraniacze z gąbki. A przecież Erie nie był niedelikatny, przeciwnie, okazywał jej niezwykłą czułość, jeśli zważyć na to, z jaką pasją rzucili się na siebie. Może powinna była go ugryźć, tak dla wyrównania rachunków?

Jednak nie miała zwyczaju kąsać facetów ani krzyczeć, nie charakteryzowała jej też skłonność do teatralnych gestów. Była całkiem przeciętną kobietą, ostrożną z natury, bez cienia skłonności do wcielania się w rolę rozhisteryzowanej i kapryśnej osoby. Jej ojciec czynił to zbyt często, i to jej zupełnie wystarczało. Poza tym na co dzień stykała się z tyloma najrozmaitszymi ludźmi, często postawionymi w trudnych sytuacjach, że mogłaby przez najbliższe dziesięć lat dostarczać wzorców postaci autorom piszącym dla Broadwayu. Chyba to właśnie było najtrudniejsze w jej pracy. Należało zachować zimną krew, kiedy wszystko waliło się i paliło, a ludzie dostawali ataków hysterii.

Organizator imprez powinien być opanowany i elastyczny, aby znajdować realne alternatywne rozwiązania, które pozwalały dopiąć celu.

Jej dewizą była ostrożność. Kiedy przed dziesięcioma laty ku powała pierwszy samochód, przez pół roku analizowała ceny używanych pojazdów i napraw, zanim podjęła decyzję. Dwa razy więcej czasu potrzebowała Madelyn, aby przekonać ją kilka lat temu, że jeśli zaczną jeździć dwoma identycznymi jaguarami, będzie to z korzyścią dla wizerunku firmy Oczywiście miała rację. W okolicach Buckhead symbole statusu odgrywały olbrzymią rolę, a jaguary komunikowały, że Premier jest jedyną godną uwagi firmą, której warto zlecić organizację imprezy, jeśli rzeczywiście ma być udana oraz imponująca. Kupiły więc używane jaguary, choć książeczka czekowa Jaclyn z trudem to przeżyła. Dwa lata później Jaclyn musiała przyznać, że Madelyn miała rację, mimo że ich kapryśne cuda motoryzacji raz po raz lądowały w warsztacie.

To było do niej zupełnie niepodobne, żeby pójść do łóżka ze świeżo poznanym facetem. Nawet z byłym mężem zaczęła sypiać dopiero po tym, jak się zaręczyli. Nauczyła się postępować rozważnie w sprawach sercowych, gdy towarzyszyła Madelyn w odzyskaniu równowagi po rozwodzie z Jackym, a potem obserwowała fatalne wybory ojca i zastanawiała się, jaka będzie kolejna macocha. Do tej pory Jacky zaliczył pięć małżeństw i należało przypuszczać, że właśnie szuka szóstej partnerki.

Uwikłanie, nawet marginalne, w katastrofy życiowe, wykształciło u Jaclyn zdwojoną ostrożność wobec mężczyzn, a przecież jej własne małżeństwo też trwało bardzo krótko. Jak mogła tak bardzo się pomylić? Wydawało jej się, że zostaną ze Steve'em parą do końca życia, tymczasem ich wzajemna namiętność wypaliła się w zawstydzająco krótkim czasie. Dlatego Jaclyn nie ufała swoim sądom o mężczyznach, i to do tego stopnia, że ostatnio uprawiała seks... tak, do diabła, kiedy była mężatką. Nie dlatego, że nie mogła zapomnieć o Stevie. Nie była też pruderyjna, a przynajmniej nie myślała tak o sobie. Była jednak bardzo zajęta.

Miała wiele powodów, w większości wciąż aktualnych, dla których nigdy potem nie znalazła wspólnego języka z żadnym mężczyzną. Nie miała zwyczaju zachowywać się impulsywnie albo niefrasobliwie.

Poszła do łóżka z Erikiem jak nie ona, ale jej wrażliwość się nie zmieniła i stąd wziął się popłoch. Czyżby była bardziej podobna do ojca, niż sądziła? Niczego nie pragnęła mniej, niż stać się niewolnicą każdej zachcianki, jaka przyszła do głowy. Tak zachowywał się Jacky. Dla niego „chcę” znaczyło „potrzebuję”, a nie zwykł się hamować.

Trudno było nie lubić Jacky'ego, bo nie miał złości w sercu i nie chciał nikogo skrzywdzić. Był uroczy i żywiołowy, przy tym jednak kompletnie nieodpowiedzialny i skupiony wyłącznie na sobie. Właśnie dlatego krzywdził ludzi, czego nie zauważał, bo nieustannie spieszył się na kolejne przyjęcie, do następnej żony. Jaclyn widywała ojca sporadycznie. To matka dawała jej poczucie bezpieczeństwa i była dla niej opoką. Pozostawała żoną Jacky'ego o wiele dłużej, niż powinna, i dla dobra córki starała się, by dom funkcjonował, a życie zachowywało przynajmniej pozory stabilności. Ponieważ jednak nieodpowiedzialność finansowa Jacky'ego ciągnęła na dno całą rodzinę, poddała się w końcu i gdy córka miała trzynaście lat, wystąpiła o rozwód.

Jaclyn skrzywiła się do lustra, zrecznie ułożyła gęste włosy w koczek i upięła go kilkoma szpilkami. Naturalnie, to, że Jacky był niewydarzonym ojcem, a matka się z nim rozwiodła, nie pozostało bez wpływu na życie Jaclyn. Wszyscy noszą piętno swoich przeżyć, więc nie była pod tym względem wyjątkowa. Nie mogłaby jednak skarżyć się na jakieś szczególnie traumatyczne doświadczenia. Mimo to jako córka Jacky'ego nabrała ostrożności i nieufności, ponieważ nie chciała się stać taka jak ojciec. Może zresztą nie o to chodziło, może odziedziczyła po nim te cechy i właśnie dzięki temu kochała ojca, lecz nie pozwalała się omamić? Kto to wie?

To wszystko nie miało nic wspólnego z jej ostatnim doświadczeniem, pierwszą przygodą seksualną w życiu. Po fakcie mogła powiedzieć, że nie jest zadowolona z tego, że straciła kontrolę nad sobą i rozsądek. Jak powinna się zachować, jeśli Erie zadzwoni w przyszłym tygodniu? Czy chciała przekształcić znajomość w romans? Czy znaczyłoby to, że wciąż ona decyduje, czy też zakwalifikowałyby się w ten sposób do kategorii kochanek na każde skinienie?

Pewnie, że chciała przynajmniej spróbować prawdziwego związku. Wcześniej nie zdarzyło jej się poczuć natychmiastowego i silnego pociągu do mężczyzny, a chociaż bała się, chciała sprawdzić, dokąd to prowadzi. Jeśli zaś Ericowi wydaje się, że znalazł uległą kochankę, to wkrótce będzie o tym wiedziała - im szybciej, tym lepiej.

Dwa razy głęboko odetchnęła, zerknęła na zegarek i jęknęła. Introspekcja jest czasochłonna.

Wzięła banana z patery na owoce, stojącej w kuchni, przelała resztę kawy do jednorazowego kubka, wyłączyła wszystkie urządzenia elektryczne i pogasiła światła. W końcu przeszła do garażu i starannie zamknęła za sobą drzwi. Automat oświetlił jej drogę. Żonglując torebką, kubkiem i bananem, wsiadła do samochodu i zablokowała drzwi, po czym pilotem otworzyła wyjazd. Tak, ostrożność zdecydowanie jest jej dewizą.

Bez przeszkód wyjechała na ulicę i wtedy na przedniej szybie pojawiły się krople deszczu.

Zahamowała, zawiedziona. Była pewna, że w prognozie nie wspomniano o deszczu, a jednak padało.

Nie ma na świecie panny młodej, która chciałaby brać ślub w deszczowy dzień. Na szczęście dzisiejsze uroczystości odbywały się we wnętrzach, a poza tym zajmowała się nimi Madelyn. Czy jednak nie był to zły znak dla pozostałych pięciu ceremonii?

Przez chwilę się wahała, rozważając, czy nie wrócić i nie zmienić sandałków na średnim obcasie na coś solidniejszego, ale

kolejne spojrzenie na zegarek przekonało ją, że nie starczy jej czasu. Najwyżej będzie miała mokre nogi, uznała; to można przeżyć.

Wciąż jeszcze panował mrok i światła ulicznych latarni odbijały się na mokrym asfalcie, gdy manewrowała wśród domów, by wyjechać na główną ulicę, prowadzącą do Buckhead. W Hopewell nie było zakładów przemysłowych. Owszem, znajdowały się tu rozmaite firmy i biura, gabinety lekarskie i dentystyczne, restauracje, pralnie i agencje usługowe, ale o o fabrykach nikt tu nie słyszał. Hopewell było nowsze niż Buckhead, brakowało więc starych okazałych domostw. Zbudowano jednak sporo nowych domów; nie tylko wymyślnych kiczowatych budowli, ale i stylowych rezydencji otoczonych rozległym ogrodem i szczelnym ogrodzeniem.

Niektóre rejony Hopewell zajmowała zabudowa, którą Jaclyn uznała za typową dla klasy średniej; osiedla powstały, zanim ceny ziemi gwałtownie wzrosły. Dorastała właśnie w jednym z takich domów. Madelyn sprzedała go dopiero wtedy, gdy obowiązki w Premier zaczęły pochłaniać lwią część jej czasu, uniemożliwiając pracę w ogródku i sprzątanie, jaclyn nie powiedziała tego matce, ale w ukryciu płakała, gdy transakcja doszła do skutku. Ten zgrabny segment z cegły pozostał jej domem rodzinnym, mimo że wyprowadziła się z niego kilka lat przed sprzedażą. Zamieszkała gdzie indziej i było to jej miejsce o tyle, że wracała tam po dniu pracy, odpoczywała i czuła się w nim bezpieczna. W głębi serca wiedziała jednak, że to tylko zwykły miejski segment, i gdyby musiała go opuścić, nie przejęłaby się niczym oprócz irytującej konieczności spakowania i rozpakowania rzeczy.

Dom to była rodzina i Jaclyn chciała ją w końcu założyć. Zła była na siebie o to, że pokrętnie myśli i nie ma do siebie dość zaufania, aby opuścić gardę i zawrzeć z jakimś mężczyzną bliższą znajomość, skoro to, czego najbardziej chciała od życia, wymagało bliskości. Może powinna zastanowić się nad psychoterapią?

A może, ponieważ nie chowała głowy w piasek i doskonale rozumiała psychologiczny mechanizm odpowiedzialny za jej przesadną ostrożność, powinna raczej mocno sobą potrząsnąć i popchnąć swoje życie naprzód? Nie tylko trwałoby to krócej, lecz w dodatku nie musiałaby za to płacić.

Premier mieściło się w wolno stojącym ceglanym budynku, gdzie kiedyś działał gabinet dentystyczny. Jaclyn i Madelyn uznały, że to dobre miejsce dla nich, ponieważ parking był przestronny i w przyzwoitym stanie, a obok rosło kilka starych drzew. Kupiły tę nieruchomość w czwartym roku istnienia firmy i odnowiły wewnątrz tak, żeby wyglądało na wygodny dom zamożnych ludzi, w którym akurat udało się wygospodarować miejsce na biura. Wcześniej rozważały wynajęcie pomieszczeń w biurowcu, co zapewniłoby im profesjonalną ochronę, koszty zmusiły je jednak do szukania wolno stojącego budynku. Były bardzo zadowolone ze swojego wyboru, ponieważ posiadanie własnej nieruchomości potwierdzało stabilność i prestiż firmy, czego nie dawałaby anonimowa fasada biurowca.

Ponieważ pracowały w cztery, same kobiety, niekiedy do późna w nocy, a czasem - tak jak tego dnia - od bardzo wczesnych godzin, postarały się zabezpieczyć budynek na wszystkie możliwe sposoby. Zamontowały więc solidne drzwi z markowymi zamkami i kamerę przy wejściu, a okna piwnicy zasłoniły kolczastymi krzakami. Na szczęście nie miały żadnych problemów. Dzielnica była spokojna, a poza tym kto włamywałby się do biura organizatorów imprez? Płatności regulowały czekiem lub kartą kredytową, więc bez względu na datę i porę dnia pieniędzy w firmie było tyle, ile jej pracownice miały w portfelach. Już lepszym celem dla złodzieja byłby automat do sprzedaży napojów.

Jaclyn zaparkowała samochód na miejscu przy drzwiach, a jaguar matki stanął obok mniej więcej pięć sekund później. Kiedy

Madelyn wysiadała, nad jej głową niczym egzotyczny kwiat rozkwitła różowa parasolka. Jaclyn wykonała dokładnie ten sam zestaw czynności, co matka, chociaż parasolkę miała całkiem zwyczajną, czarną. Deszcz nie padał mocno, nie chciała jednak zaczynać dnia przemoczona i z mokrymi włosami.

- Mam koktajle wysokobiałkowe - powiedziała Madelyn i pochyliła się, by wziąć je z siedzenia samochodu.

- Jaki smak?

- Darowanemu koktajlowi w zęby się nie zagłąda. Waniliowy. Truskawki mi się skończyły.

- Wzięłam banana, podzielę się z tobą. Możemy go wkroić i jeszcze raz przepuścić koktajle przez blender.

- Zgoda.

Jaclyn nie była w stanie zabrać wszystkiego naraz, więc wzięła tylko aktówkę, a banana i kawę zostawiła na razie w samochodzie. Otworzyła drzwi. Odezwał się system alarmowy, więc odłożyła teczkę na półokrągły stolik ustawiony w niewielkim holu i zaczęła wybierać numer, żeby uciszyć buczenie. Tymczasem Madelyn wyminęła ją ostrożnie, trzymając w rękach parasolkę, własną aktówkę i dwa koktajle.

Pięć minut później obie siedziały wygodnie przy stole konferencyjnym, popijając wzbogacone koktajle, i omawiały wieczorny ślub, żeby sprawdzić, czy żaden szczegół nie został pominięty. Włączyły mały telewizor w kącie sali i obie odetchnęły z ulgą, gdy w lokalnej prognozie pogody zapowiedziano przejaśnienia po południu.

- Dzięki Bogu - powiedziała przeciągle Peach Reynolds, która właśnie w tej chwili pojawiła się w sali konferencyjnej. Machinalnie podeszła do ekspresu i zaczęła przygotowywać kawę. Należała do tych osób, które raczą się kawą niemal bez przerwy - Dodam, że chociaż dziękuję Bogu, to cieszę się, że mamy klimatyzację, bo będzie nieznośnie duszno. Znowu pijecie te ohydne koktajle?

Peach*, która tak naprawdę nosiła imię Georgia, wspólne z ich stanem słynącym z sadów brzoskwiniowych, odnosiła się z pogardą do wszystkiego, co choćby trochę przypominało zdrową żywność. Zresztą na śniadanie wzięła pączka z czekoladowym nadzieniem. Miała chmurę jaskraworudych włosów, skośne zielone oczy i ponad pięć kilo wagi więcej niż ludzie określani mianem pulchnych. Niewątpliwie prezentowała typ urody bardzo popularny wśród mężczyzn, bo chętnych do randek nie brakowało, chociaż aby oddać jej sprawiedliwość, należałoby powiedzieć, że miała w to wkład również jej energiczna osobowość. Madelyn była nieco bardziej wyciszona od przyjaciółki. Widząc taki tandem, każdy polityk zzieleniałby z zazdrości.

- Pijemy - przyznała Madelyn. - Kiedy padniesz trupem w wieku sześćdziesięciu lat z powodu kosmicznie podwyższonego cholesterolu, to obiecuję, że nie popełnię nietaktu i toastu nad twoimi zimnymi, sztywnymi zwłokami nie wzniosę koktajlem. Otworzę dobrą whisky, ponieważ jesteś moją przyjaciółką,

- Czuję się pocieszona. - Peach ugryzła pączka i zlizła czekoladę, która wyciekła. - Zamierzam zażyczyć sobie, aby mnie skremowano, więc jeśli jesteś przywiązana do myśli o toaście nad zimnymi zwłokami, musisz go wnieść, zanim wsadzą mnie do pieca.

- Wcale nie.

- Nie co?

- Nie myślisz o kremacji. Kiedyś wspomniałaś, że chcesz mieć superpogrzeb, żeby wszyscy kochankowie płakali nad twoim biednym ciałem złożonym w trumnie, którą chciałaś przybrać girlandą białych lilii. Nawiasem mówiąc, girlandy na pogrzebach są w złym guście. Do tego miał być przygrywający dudziarz

" **Peach (ang.) - brzoskwinia.**

i białe konie ciągnące lawetę z trumną. Nie da się przecież pięknie wyglądać w trumnie i zostać skremowanym. Jedno wyklucza drugie.

- Nie masz szans na lawetę - wtrąciła Jaclyn. - Lawety są dla głów państw. Pomyśl tylko, jaki korek uliczny powstałby z tego powodu. Jestem niemal pewna, że musiałabyś najpierw dostać zezwolenie od gubernatora.

- Nie niszczyć mojej radości życia - sprzeciwiła się Peach. - A wydawać by się mogło, że pogrzeb to jedyna okazja, kiedy człowiek może mieć wszystko, czego zapragnie. Przynajmniej zagrajcie mi coś, czego sobie życzę, dobra?

- Jasne - zgodziła się Madelyn. - ' Pod warunkiem, że to nie będzie *You Picked a Fine Time to Leave Me, Lucille*.

- Psuja. Dobra, co powiesz na *Last Date* Floyda Cramera? Pasuje ci? Bo ma być i już.

- Zwyczajnie ci odbiło. Zresztą i tak cię tu nie będzie, więc co ci do tego? Urządzą ci uroczy pogrzeb na miarę reputacji i standardów Premier.

- Chcesz zrobić z mojego pogrzebu wydarzenie? Nie wiem, czy powinnam być zaszczycona, czy raczej się wkurzyć, że wykorzystujesz moją śmierć do reklamy agencji.

- Słoneczko, słowo ci daję, że twój pogrzeb i tak będzie wydarzeniem. Tylko muszę dopilnować, żeby był w dobrym guście. A skoro o guście mowa... - Madelyn zwróciła się do córki. - Jaclyn, moja droga, wiesz, że sobotni ślub jest piramidalną katastrofą, prawda?

Jaclyn podniosła głowę, wyraźnie rozbawiona.

- Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy panna młoda zażądała, żeby jej jedenastomiesięczna córeczka, nawiasem mówiąc, niebę-dąca dzieckiem pana młodego, przedfilowała środkiem w czerwonym wózku. - Mimo woli zaczęła się śmiać, myśląc o tym, że

ślub będzie komiczny. Jednak póki młodzi są zadowoleni, jej praca ogranicza się do dopilnowania, aby ceremonia przebiegła zgodnie z ich życzeniem. Nie jej wyrokować, co jest stosowne. - Diedra dziękuje swojej szczęśliwej gwiazdzie, że mamy tyle zleceń w tym tygodniu, bo w sobotę ma próbę, a nie ślub.

- Odetchnę z ulgą, kiedy będziemy miały ten tydzień za sobą - powiedziała Madelyn, zerkając na tablicę z zadaniami rozpisanymi na godziny. Sześć ślubów oznaczało również sześć prób. Zatarła ręce. - Dobrze, że przynajmniej nasz rachunek bankowy jest zadowolony. Żaden czek nie okazał się bez pokrycia.

- Alleluja! - skwitowała Jaclyn. - Jeśli jeszcze uda mi się przetrwać dzisiejsze spotkania z udziałem Carrie i nikt nie powie w ich trakcie, że ma dość, to reszta tygodnia pójdzie jak po maśle.

- Wymów jej, jeżeli będziesz musiała - poradziła Madelyn. - Nie daj się podpuścić. Warto nawet zwrócić pieniądze, jeśli dzięki temu pozbędziemy się jej.

Kontrakty Premier były tak skonstruowane, że częściowe płatności sływały na bieżąco, w miarę realizowania kolejnych punktów umowy. Chroniło to przed rezygnacją klienta w ostatniej chwili i odmową zapłaty pod pozorem niewywiązania się agencji z umowy. Kilka razy oszczędne czy też nieuczciwe - to zależy od punktu widzenia - panny młode albo ich matki próbowały takiego wykrętu. Kiedy jednak dowiadywały się, że nie sposób odzyskać dotychczas zainwestowanych pieniędzy, szybko uznawały, że usługi Premier im odpowiadają.

- Jej się wydaje, że może bezkarnie zmieniać zdanie, a i tak jej życzenia zostaną spełnione. Jeśli uda nam się przebrnąć przez tę magiczną granicę, za którą dalsze zmiany są nierealne, to powinniśmy dociągnąć do końca. Szczęśliwe nie będziemy, ale staniemy na wysokości zadania.

- Już przekroczyliśmy tę granicę - orzekła Madelyn.

- Nie jej zdaniem. Mam jednak nadzieję, że dziś po południu Carrie też to zrozumie, chociaż nie zachowuje się zbyt racjonalnie - odparła Jaclyn, pozwalając sobie na eufemizm roku albo i dekady. Zaczęła się zastanawiać, czy nie można by sprowadzić Erica, żeby stanął za plecami Carrie z tym wielkim pistoletem, który wystawał mu z kabury...

I w ten sposób - bum! - Erie zajął centralne miejsce w jej umyśle, tak nagle i natarczywie, że przez chwilę niemal fizycznie czuła jego obecność w sobie. Po jej wnętrzu rozlało się ciepło, aż musiała pochylić głowę, aby ukryć wyraz twarzy. Nie wolno jej było mieć takich myśli przy matce siedzącej tuż obok. Powinna skupić się na pracy, i tyle.

Jak jednak po prostu wyrzucić go z pamięci, jakby ta noc w ogóle się nie zdarzyła? Nie potrafiła dzielić swojego życia na odrębne zawodowe i osobiste. To, co zaszło z Erikiem, zdecydowanie przerastało jej doświadczenia, dopóki więc nie była w stanie emocjonalnie i racjonalnie ogarnąć tej burzliwej znajomości, dopóty musiała o nim myśleć, nawet jeśli starała się tego nie robić. Trzeba tylko przetrwać ten tydzień, potem będzie mogła spokojnie sobie na to pozwolić.

Pogoda poprawiła się zgodnie z zapowiedzią, lekki wiatr przegnał chmury na wschód i znów ukazało się błękitne niebo. Tego popołudnia Jaclyn uświadomiła sobie, że nieśmiało się uśmiecha, mimo że jechała na spotkanie z Carrie i nieszczęsnymi kontrahentami. Ślub numer jeden był nieskomplikowany, więc Madelyn powinna poradzić sobie z nim bez problemów, chyba że wyniknie coś nieprzewidzianego. Takie zdarzenia były naturalnie wpisane w ich zajęcia, ale starały się być przygotowane również na niespodziewane przeszkody.

Lunch dodał Jaclyn sił. Zjadła przy biurku smaczną sałatkę, kupioną na wynos, a że dopisało jej szczęście i telefon nie dzwonił przez dobre dwadzieścia minut, miała przy tym spokój. W dodatku znów widziała niebieskie niebo, a jej ciało od samego rana wykazywało liczne oznaki zadowolenia. - Nie myśl o nim, nie myśl o nim - powtarzała sobie pod nosem.

Przez następne kilka dni, aż po ostatni ślub w tym tygodniu, musiała zachować pełną czujność. Jeśli pozwoli się zdekoncentrować, może popełnić błędy, przegapić jakieś szczegóły. Za pięć dni ta nawałnica będzie za nią i wtedy przyjdzie czas na podjęcie decyzji... jakakolwiek ona będzie. Może on nie zadzwoni. Wprawdzie wydawało jej się, że to zrobi, ale kto wie? A może jest kimś wyjątkowym? Taką ewentualnością czuła się przytłoczona, choć jednocześnie podniecona i szczęśliwa, jakby była o krok od czegoś ważnego. Jeśli on zadzwoni i jest kimś wyjątkowym... I znowu to robiła. Myślała o Ericu wbrew zakazowi.

Nie było jednak lepszego sposobu na brutalny powrót do rzeczywistości niż kontakty z Carrie. Dom weselny wyglądał jak grecka świątynia, z kolumnami i pnącym się po ścianie bluszczem. Budynek miał około dziesięciu lat, a sądząc po tym, jak trudno było zarezerwować w nim salę, stanowił dla właścicieli znakomitą inwestycję. Carrie uparła się, że chce wziąć ślub właśnie tutaj i nigdzie indziej, i nawet przesunęła datę, gdy okazało się, że ktoś uprzedził ją z rezerwacją. Ten jeden jedyny raz darowała sobie urządzenie sceny.

Na rozległym parkingu znajdowało się niewiele samochodów, kilka stało przy bocznym wejściu. Jaclyn poznała wóz Carrie i uśmiech szybko znikł jej z ust. Panna Edwards miała niespotykaną umiejętność zaczarowywania czasu. Minuta w jej obecności wydawała się godziną, a godzina wiecznością. Bywało, że przy

okazji różnych ślubów Jaclyn zastanawiała się, co ten biedny pan młody widzi w swojej wybrance. W wypadku Carrie miała poczucie, że powinna zadzwonić do jej narzeczonego i poradzić mu, aby zmykał najszybciej, jak potrafi.

Gdy zarzuciła torebkę na ramię, wzięła aktówkę pod pachę i wysiadła z jaguara, ujrzała samochód Gretchen, która powinna przyjechać za pół godziny. Nie wolno było dopuszczać do tego, by kontrahenci spotykali się z Panną Kłodą bez asysty kogoś z Premier. Była gotowa założyć się o jaguara, że Carrie osobiście zadzwoniła do Gretchen i zmieniła godzinę spotkania. To nie zwiastowało niczego dobrego.

Przyspieszyła z nadzieją, że nie przyjechała za późno. Zdążyła zrobić dokładnie sześć kroków w głąb domu weselnego, zanim zrozumiała, że nie jest dobrze. Gretchen prawie biegła do wyjścia na parking. Twarz miała czerwoną, a w dłoni ścisnęła niewielki kawałek tkaniny. Na widok Jaclyn raptownie przystanęła i wybuchnęła:

- Może mi zapłacić milion dolarów, a ja i tak nie przerobię jej tych sukien! Nie zniosę tej dziwki za żadne skarby!

Gretchen była po czterdziestce, niska i pulchna, ale wciąż atrakcyjna. Farbowała włosy na jasnobłond i zawsze chodziła świetnie ubrana. Zwykle była zrelaksowana i uśmiechnięta. Jednak nie dzisiaj.

- Jak dla mnie druhny mogą być gołe - dodała.

To zabrzmiało nieodwołalnie. Jaclyn zaczerpnęła tchu.

- Co ona powiedziała?

- Na przykład, że jakoś tych sukien jest poniżej krytyki, a ja mam szczęście, że nie zostałam odprawiona z kwitkiem. Ona nie rozumie, dlaczego nie mogę przez dwa tygodnie uszyć nowych sukien, bo przecież moja praca jest tak tandetna, że na pewno nie mam zbyt wielu zamówień, zwłaszcza że w okolicy jest tyle kompetentnych krawcowych. - Gretchen przełknęła łzy i szybko się

opanowała. - Zapowiedziała, że jeśli nie dostosuję się do jej życzeń, to dopilnuje, żebym nigdy więcej nie miała okazji pracować przy eleganckim ślubie.

Jaclyn położyła jej rękę na ramieniu i powiedziała cicho:

- Przecież wiesz swoje. Nie pozwól się zastraszyć. Nikt normalnie myślący nie potraktuje jej słów poważnie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Gretchen już całkiem doszła do siebie. - Wkrótce się przekonamy. W każdym razie ja na pewno z nią skończyłam. Życie jest za krótkie, żeby pracować dla kogoś takiego.

Jaclyn całkowicie zgadzała się z Gretchen, zamierzała jednak zrobić co w jej mocy, by utrzymać zlecenie. Rodzina pana młodego wywodziła się ze starego, bardzo bogatego rodu z Georgii, a ojciec był politykiem szczebla stanowego. Gdyby udało jej się wytrwać przez ten miesiąc, znosząc humory Carrie, organizacja tak wystawnego ślubu dobrze by się zapisała w historii agencji Premier. O ile jednak w przyszłości Carrie chciałyby zlecić Premier organizację innej imprezy, agencja będzie miała wszystkie terminy zajęte. Nawet gdyby z matką umierały z głodu, żadnego terminu nie znajdą.

Carrie czekała w sali przyjęć. Siedziała na krześle przy jedynym stole, jaki ustawiono tam na potrzeby jej dzisiejszych spotkań. Usytuowana w głębi scena była pogrążona w mroku. Parkiet niedawno czyszczono, więc lśnił, ale uwolniony od stojących tam zwykle stołów i krzeseł wyglądał smutno.

Było to znakomite miejsce na przyjęcie weselne, ale wszystko musiało być na swoim miejscu - stoły z lnianymi obrusami, pachnące kompozycje z kwiatów, bufet z potrawami na ciepło, stół z ciastami i migotliwy kandelabr, roztaczający czar przy cichych dźwiękach muzyki. Teraz pustka rzucała się w oczy, podobnie jak pognieciona próbka materiału, ciśnięta na podłogę kilka kroków od przyszłej panny młodej.

- Spóźniłaś się - burknęła Carrie, nie zadawszy sobie trudu, by spojrzeć na Jaclyn.

Jeszcze tylko miesiąc...

- Jestem pięć minut przed czasem - odparła spokojnie Jaclyn. - Czyżbyś zmieniła godzinę spotkania z Gretchen i nie uznała za stosowne zawiadomić mnie o tym?

Carrie podniosła wzrok.

- Dobrze ci radzę, żebyś trzymała swoich klientów z dala od tej nierozsądnej kobiety. Nawet nalegam...

Jaclyn położyła aktówkę na stole.

- Zawsze polecam Gretchen z pełnym przekonaniem i nadal będę to robić.

- Jest niekompetentna, szyje tandetę.

- Na twoim miejscu byłabym ostrożna z formułowaniem takich opinii. Gretchen poniosła przez ciebie straty, więc może cię pozwać, a wtedy koneksje ci nie pomogą, bo sprawę przegrasz. Szyła suknie dla bardzo ważnych kobiet zarówno w mieście, jak i w całym stanie; wszystkie na pewno staną po jej stronie. Muszę też cię ostrzec, że kobiety w tej branży są bardzo zaprzyjaźnione, prawie jak rzemieślnicy cechowi, a Gretchen jest przez nie niezwykle szanowana, zwłaszcza na Południowym Wschodzie. Jeśli zamierzasz mieć suknię szytą na miarę, radzę ci, odpuść. Suknie dla druzhen są gotowe, bardzo ładnie się prezentują, czas się zająć czym innym.

Carrie zacisnęła usta i Jaclyn przez chwilę nie była pewna, czy nie zostanie fizycznie zaatakowana. Ta kobieta naprawdę nie cierpiała sytuacji, w których nie mogła postawić na swoim. Biedni następni kontrahenci! Gdyby dało się ich ostrzec, Jaclyn zrobiłaby to z całą pewnością, ale walec drogowy już toczył się w dół i można było tylko kurczowo trzymać się siedzenia.

Rozdział 6

Carrie wpatrywała się z kamienną twarzą w stół zasłany resztkami próbek: ciastami, kebabem z owocami morza, kebabem wołowym i jagnięcym, klopsikami. Klopsiki! Jak mogłaby pozwolić na tak plebejskie danie na swoim weselu! Co prawda, nie najgorsza była ta firma, ale klopsiki pozostają klopsikami bez względu na użyte przyprawy i mięso. Z jej punktu widzenia istoty klopsików nie zmieniłaby nawet egzotyczna mieszanka węgorka i mięsa emu.

- Klopsiki wykluczone - oznajmiła. - Nie wiem, co pani sobie wyobrażała, przynosząc je tutaj. To nie jest tandetne wesele ludzi z klasy średniej, na które połowa kobiet przychodzi w czarnych pończochach włożonych do białych pantofli.

- Klopsiki cieszą się wśród moich dań największym powodzeniem - odpowiedziała restauratorka, chuda, niemal po męsku wyglądająca kobieta z krótkimi, siwymi włosami i surową twarzą. - A są najdroższe, bo dość trudno je zrobić. Wiele osób woli potrawy tańsze.

Poniewczasie Carrie zerknęła do cennika i przekonała się, że to nie kłamstwo. Było tam czarno na białym, że klopsiki są o jedną trzecią droższe niż nawet kebab z owocami morza. W tej sytuacji zostały jej tanie dania, ponieważ wycofać się nie mogła. Jedyna szansa, że uda jej się znaleźć coś jeszcze droższego, czym przebije klopsiki.

- Chcę trzy różne rodzaje kebabu: wołowy, jagnięcy i z owocami morza. Niech moi goście mają prawdziwy wybór.

O pieniądze się nie martwiła. Większą część rachunku pokrywała rodzina Seana, jej rodziców nie było bowiem stać na taką

ekstrawagancję. Naturalnie, i oni mieli swój udział w kosztach ślubu i wesela. Carrie za nic nie pozwoliłaby, żeby przyszła teściowa miała ją za pasożyta. Ich stosunki układały się całkiem dobrze i Carrie na razie zamierzała je podtrzymywać. Potem... kto wie?

Restauratorka nie komentowała wyborów, jedynie zapisywała, czym zirytowała Carrie jeszcze bardziej. Należało oczekiwać od tej kobiety - jeśli to słowo w ogóle było na miejscu - że powie przynajmniej „doskonała decyzja”. Może warto byłoby polecić organizatorce ślubu, żeby znalazła innego dostawcę jedzenia. Ale Jaclyn zaczynała sprawiać kłopoty i nie chciała już robić bez ociągania wszystkiego, co jej się mówi, więc prawdopodobnie zaczęłaby tłumaczyć, że wszyscy naprawdę dobrzy kontrahenci są zarezerwowani na wiele miesięcy z góry.

Carrie chciała mieć wesele roku, o którym mówiłyby z zazdrością wszystkie kolejne panny młode w mieście, planując własne. Bardzo ją rozczarowało, że nikt nie wydaje się dzielić jej wizji czegoś jednocześnie eleganckiego i egzotycznego, nieprawdopodobnie drogiego, ale zarazem na tyle gustownego, żeby nikt nie śmiał się z jej wyborów. Diabelnie irytujące było to, że tak wielu ludzi bardzo chce, by kto inny błyszczał w tym dniu, w którym tylko ona powinna błyszczeć.

Na przykład stroje. Celowo wybrała dość tandetny styl, żeby drużyna nie wydawały się przy niej atrakcyjne, a jednocześnie żeby żadna z nich się nie zbuntowała. Ta wydra Taite się nie liczy.

Wprawdzie zrobiła wściekłą awanturę, ale z całkiem innego powodu, niezwiązanego z weselem.

Carrie postanowiła zająć się nią później, kiedy będzie miała więcej czasu. Zresztą pierwsze kroki w sprawie ukarania Taite zostały już zrobione i Carrie była bardzo zadowolona z rezultatów.

Podobało jej się, jak rozmaicie ludzie reagują, gdy dociera do nich, na co się porywają, kiedy muszą z nią coś załatwić. Więk-

szość to mięczaki bez kręgosłupa. W zetknięciu z jej silną wolą ulegają, co bardzo jej odpowiadało, bo miała z nimi mniej kłopotów. Poza tym bawiło ją obserwowanie, jak wpadają w złość, cierpią urazę, jak bardzo się starają, żeby znowu jej nie zirytować.

Prawda była taka, że Carrie niemal nigdy się nie denerwowała, bo to znaczyłoby, że na czymś jej bardzo zależy Natomiast jej nie zależało, a przynajmniej nie do tego stopnia, by angażować w to emocje. Dla niej ważny był wizerunek samej siebie, jaki tworzyła, ważne było też, żeby wszystko robiono tak, jak ona tego oczekuje. Kiedy już miała jakieś życzenie, to powinno być spełnione co do joty. Swoim zachowaniem często przebierała miarę, ale była wyrachowana. Przyglądała się każdej ludzkiej reakcji i analizowała, co najlepiej zrobić, żeby postawić na swoim.

Jeśli ojciec Seana wygra w wyborach i dostanie się do federalnego senatu, to ona będzie ustawiona do końca życia. Naturalnie, przed finansowymi kłopotami zabezpieczyła się już dawno, ale o dostępie do życia towarzyskiego stolicy nawet nie marzyła. Kiedy już znajdzie się w Waszyngtonie i umocni swoją pozycję, zastanowi się, czy warto zatrzymać Seana. To zależało od nadarzających się okoliczności, a tymczasem nikogo innego nie potrzebowała. Takim pocziwym człowiekiem mogła łatwiej manipulować.

Matka Seana, Fayre (wymawiało się to tak samo jak „fair”*, czyż nie diabelnie pretensjonalnie?) Maywell Johnston Dennison używała dostatecznie często wszystkich czterech członów swojego imienia i nazwiska, żeby ludzie nie zapomnieli, że pochodzi z tych Johnstonów i tych Maywellów, zanim poślubiła Douglasa Dennisona. Pomogła mu rozbrzmieć na firmamencie gwiazd politycznych, najpierw lokalnych, potem stanowych, aż wreszcie Douglas osiągnął poziom krajowy. Pani Dennison miała spokojny cha-

* **Fair (ang.) - uczciwie, sprawiedliwie.**

rakter, ale Carrie jej nie lekceważyła. To ona w rodzinie była szarą eminencją i trzymała pieczę nad pieniędzmi. Carrie uważała, że w końcu znajdzie sposób na zneutralizowanie tej kobiety, ale tymczasem pani Dennison przydawała jej się na różne sposoby.

Najpierw jednak trzeba było przebrnąć przez wszystkie te irytujące sytuacje związane z przygotowaniem do ślubu. Stół był za mały, aby pomieścić wszystkie próbki, które jej przedstawiano, chociaż można by pomyśleć, że właściciele domu weselnego powinni być lepiej przygotowani do takiej prezentacji. Na blacie w ogóle już brakowało miejsca i Carrie musiała przełożyć pod stół teczkę organizatorki. Teczka dołączyła w ten sposób do próbek wstążek i materiałów, odsuniętych na bok, zapomnianych i nieważnych. Wszystko jedno, i tak sprzątanie tego bałaganu nie należało do niej. Zasadniczo była niezadowolona ze wszystkiego, ale tak naprawdę przeszkadzała jej ta sprawa sukni druhen. Kiedy pierwszy raz wyobrażała sobie kolory, różowe wstążki na szarych sukniach wydawały jej się efektowne i eleganckie, teraz jednak sądziła, że są raczej pretensjonalne niż szykowne, a szary szereg będzie po prostu nudny Bishop Delaney, florysta, nie pomógł; wzruszył ramionami i powiedział, że on wybrałby ciemnoszare suknie z krwistoczerwonymi kwiatami, ale różowe wstążki uniemożliwiają taką kombinację. Skoro jednak krawcowa wycofała się, nie było możliwości znalezienia dostatecznie szybko kogoś, kto zmieniłby kolor tych wstążek na morski albo nawet szary, żeby pasowały do sukien. Dlaczego ten florysta nie wspomniał o połączeniu szarego z czerwonym na samym początku? Teraz była skazana na różowy i to ją tak złościło, że miała chęć chwycić za nożyce i pociąć coś na kawałki, najlepiej tę przeklętą Gretchen, krawcową. W każdym razie jeśli Jaclyn nie zacznie wkrótce współpracować, może trzeba będzie znaleźć za nią jakieś znośne zastępstwo.

Gdyby była w lepszym nastroju, może nawet bawiłaby się dobrze widowiskiem stworzonym przez tych wszystkich ludzi, starających się ją zadowolić, ale epizod z sukniami zepsuł jej cały dzień. Musiała jeszcze porozmawiać z modystką szyjącą welon i z cukierniczką dostarczającą ciasta, a także wybrać zestaw piosenek dla zespołu. W dodatku wszyscy twierdzili, że powinna się szybko zdecydować, bo czas ucieka, a oni mają również inne obowiązki, które nie pozwolą im zrobić tego lub owego. Uznała to za bicie piany.

Po ślubie wspomni temu i owemu o niekompetencji tych ludzi. Niech ci, którzy partaczą, przekonają się, jak zareagują na odpływ klientów. Ona najwięcej uwagi poświęci oczywiście agencji Premier. Wszyscy twierdzili, że to najbardziej renomowany adres w okolicy; poza tym siedziba w Buckhead dodatkowo napędzała klientów. Jaclyn Wilde okazała się jednak wyjątkowo nieznośna, ponieważ uporczywie brała stronę tych półgłówków, którzy twierdzili, że nie mogą spełnić życzeń klientki. Zamiast rozwiązać problem, podtrzymywała ich pokrętne tłumaczenia i nie zrobiła niczego, żeby pomóc w zrobieniu z tego ślubu i wesela wydarzenia roku.

Modystka, niska, pulchna Hiszpanka imieniem Estefani, rozłożyła przed nią katalog z fotografiami nakryć głowy, od prostych opasek po ozdobne diademy, oraz próbkami materiałów. Kto by pomyślał, że może być tyle surowców na welon - i zwykła siatka, i gaza tak delikatna, że niemal lżejsza od powietrza.

- Bardzo nieciekawe - powiedziała Carrie, odsuwając katalog. - Masz bardziej szykowne wzory? Może coś czarnego?

Jej suknia ślubna miała poniżej stanika wąską czarną lamówkę, więc czerń nie wzięła się całkiem znikąd, choć oczywiście Carrie za nic nie włożyłaby czarnego welonu. Jednak przyglądanie się wysiłkom zdumionej kobiety, która próbowała nad sobą zapanować,

było dostatecznie śmieszne, aby przez chwilę bawić się tym pomysłem dla samego zamieszania, jakie wywołał. Carrie wiedziała, że zaraz się wycofa, by pozostać przy czymś bardziej klasycznym. Co do diademów jednak mówiła poważnie. W katalogu wszystkie wyglądały jak standardowe nakrycie głowy z konkursu piękności, ona zaś wyobrażała sobie raczej coś bliższego europejskim dworom królewskim.

- Czarnego? - spytała niepewnie Estefani. - Do białej sukni?

- Tak - odrzekła burkliwie Carrie, zachwycona, że prowokacja się udała. Teraz przynajmniej miała ofiarę. - Czyżbyś była tak ograniczona, że nie potrafisz wyjść poza to, co zawsze robisz?

Ku jej zaskoczeniu, Estefani wyprostowała się i spojrzała na nią z wyraźną złością.

- Nie jestem ograniczona i mam dobry gust.

- Chcesz powiedzieć, że ja nie? - spytała surowo Carrie, mrużąc oczy

Zanim jednak zdążyła zaszarżować, zabręczała jej komórka. Zerknęła bez zainteresowania na wyświetlacz, okazało się jednak, że dzwoni Sean, więc wyciągnęła palec, dając tym znak Estefani, aby zaczekała. Głęboko odetchnęła i przywołała na twarz uśmiech.

- Witaj, kochany - powiedziała słodko.

Sean był przystojny, bogaty i naiwny Czego więcej może pragnąć kobieta szukająca męża?

Tymczasem ustępowała mu niemal we wszystkim, ale po ślubie to się zmieni. Wiedziała, że gdy przejdą już drogę do ołtarza, to ona zajmie miejsce za kierownicą. Była zresztą blisko tego celu.

Skłonienie Seana do wystąpienia z oświadczeniami stanowiło pierwszy duży krok, ale nie dalej jak wczoraj poczyniła następny, finansowy. Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanowała.

Sean zajmował się organizacją miesiąca miodowego. Był tym bez reszty pochłonięty, więc nie zwracał jej głowy, a sam był

podekscytowany, że tyle załatwia i da jej w prezencie wymarzony miesiąc miodowy. Na szczęście wziął sobie do serca jej sugestie. Dzisiaj dopieszczał ostatnie szczegóły i chciał zasięgnąć jej opinii. Szybko zgodziła się ze wszystkim, co proponował, uśmiechając się bez przerwy. To należało do postaci, którą stworzyła, aby zagarnąć dla siebie Seana i go utrzymać. Właśnie dzięki uśmiechowi jej ton brzmiał tak lekko i słodko.

Podniosła głowę i zauważyła, że organizatorka ślubów i modystka gapią się na nią tak, jakby wyrosła jej dodatkowa głowa. Niech tam! Wkrótce nie będą jej potrzebne. Wysłuchiwała planów Seana, pośmiała się, jakby mówił coś dowcipnego albo zabawnego, pochwaliła go, że jest wspaniały, a ona bardzo go kocha. Te same bzdury co zwykle.

Dalej rozmawiała z Seanem, a tymczasem Jaclyn i Estefani przeszły w drugi koniec pomieszczenia, gdzie stały razem z Bishopem Delaneyem i Audrey Whisenant, cukierniczką. Restauratorka Irena pozostała z boku i robiła notatki, ale szefowa domu weselnego, Melissa Jakaśtam, dołączyła do tej czwórki, aby powiedzieć parę głupot od siebie. Carrie nie słyszała słów, bo musiała skupić się na Seanie, który gadał i gadał, chociaż temat już dawno został wyczerpany, ale ze spojrzenia, jakie przesłała jej Estefani, wywnioskowała, że rozmawiają o niej. Ton Jaclyn brzmiał ugodowo, zapewne więc tłumaczyła swoim współpracownikom, że skarg nie przyjmuje do wiadomości.

Na myśl o tym, że ktoś może chcieć ją sobie podporządkować niczym trudne dziecko, Carrie ogarniała furia. A Jaclyn, ze swoją aksamitną cerą, gładko zaczesanymi włosami i sposobem ubierania się, udająca, że należy do starej, majątnej rodziny z Buckhead, chociaż nie była nikim więcej niż organizatorką przyjęć, doprowadzała Carrie do szału. Gdyby nie ta Jaclyn, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej, ale właścicielka agencji Premier od początku była

zawalidrogą, a nie pomocą... A teraz swoim gadaniem jeszcze bardziej podkopywała pozycję Carrie. Na to po prostu nie można było pozwolić.

- Gdyby nie te zamówione kryształy, już by mnie tutaj nie było -zwrócił się Bishop Delaney do Jaclyn.

- Nie chcę czekać nie wiadomo jak długo, aż mi się zwróci ten wydatek, więc dociągnę do końca.

Jednak nie przyjmę już żadnego zlecenia od Dennisonów.

- Dziękuję, że postanowiłeś zostać. Przykro mi, że ten ślub jest tak uciążliwy dla nas wszystkich.

Jaclyn odniosła wrażenie, że odkąd przestąpiła próg domu weselnego, nie robi nic innego, tylko przeprosza. Zresztą gdy się nad tym zastanowiła, musiała uznać zasadność tego wrażenia. Do tej pory zrezygnowała jedynie Gretchen, ale suknie druchen były gotowe, więc nie zostawiła po sobie spalonej ziemi. W każdej chwili mogła odejść Estefani. Jej welony były prawdziwymi dziełami sztuki, z których miała prawo być dumna. Pracy jej nie brakowało i nawet nie zauważyłaby straconego dochodu. Wykonałaby ze dwa telefony i od ręki otrzymałaby zlecenie. Carrie zdawała się w ogóle nie rozumieć tego, że ma do czynienia z najlepszymi przedstawicielami poszczególnych branż, którzy wyrobili sobie znakomitą reputację i nie muszą przejmować się jej żądaniem i obraźliwymi uwagami.

- Jeszcze nigdy nie trafiła mi się tak trudna klientka - powiedziała półgłosem Melissa.

Pracowała jako szefowa domu weselnego od bodaj dziesięciu lat, więc miała okazję do porównań.

Jeśli Carrie wydawała jej się trudna, było to wymowne. Melissa przesłała Jaclyn współczujące spojrzenie.

- Nie pozwolę jej mówić, że jestem głupia - zaperzyła się Estefani. - To ona jest głupia. Czarny welon do białej sukni! Moje projekty wcale nie są nudne.

- Nie daj się wyprowadzić z równowagi - poradził Bishop. -Ona nie wiedziałaby, jak wygląda dobry gust, nawet gdyby ktoś ją zdzielił żurnalem po głowie.

Poklepał modystkę po ramieniu. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał tlenione włosy i ekscentryczną kozią bródkę, fizycznie stanowił silny kontrast dla niskiej, babciowatej Estefani. Zajęcia zawodowe sprawiały, że często spotykali się i znali od lat. Wyglądało na to, że szczerze się lubią, bo Estefani o wiele bardziej wzięła sobie do serca słowa Bishopa niż to, czym próbowała ją pocieszyć Jaclyn. Audrey Whisenant, cukierniczka, wzruszyła umięśnionymi ramionami. Kiedyś startowała na olimpiadzie w konkurencjach pływackich, ale po zdobyciu brązowego medalu zrezygnowała ze sportu wyczynowego, co nie przeszkodziło jej wciąż spędzać dużo czasu na basenie. Zaczęła zgłębiać tajniki innej swojej pasji -pieczenia. Jej torty były istnymi dziełami sztuki kulinarnej, wyróżniała je niezwykła lekkość i gładkość. W odróżnieniu od wielu swoich kolegów po fachu osobiście zajmowała się również dekoracją wypieków.

- Gdyby wreszcie udało mi się zmusić ją do wybrania smaku ciast i kremów do przekładania! Mam jeszcze sporo czasu, ale wołałabym znać szczegóły wcześniej, bo w przyszłym tygodniu wybieram się na urlop.

- Zobaczymy, czy uda się teraz zaaranżować waszą rozmowę. Niech tymczasem trochę się uspokoi między...

- Do widzenia, kochanie - zaćwierkała Carrie do swojego niczego niepodważającego narzeczonego. Zaraz potem rozległ się łoskot. To Carrie wyrznęła pięścią w stół z taką siłą, że wszystko z blatu pospadało na podłogę - katalog Estefani, kebaby na roznach, próbki ciast, wstążki, broszury kilka wiecznych piór i terminarz Jaclyn.

- Wam się wydaje, że kim jesteście?

Głos Carrie, zbliżającej się do ich grupki, był cichy, ale pełen jadu. Melissa, Bishop i Audrey odruchowo się cofnęli, lecz Jaclyn nie ruszyła się z miejsca, świadoma, że jej obowiązkiem jest stanąć między współpracownikami a zyskującym teren demonem. Estefani zmrużyła oczy i lekko ugięła nogi, jakby zamierzała puścić w ruch pięści. Jaclyn wyobraziła to sobie i musiała przygryźć wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

- Audrey jedzie na urlop w przyszłym tygodniu - powiedziała z nadzieją, że odwróci tym uwagę Carrie. - Z ciastami można by jeszcze poczekać, ale gdybyś mogła...

Uderzenie było niespodziewane. Jaclyn aż się zatoczyła, kiedy Carrie wymierzyła jej policzek.

Zaskoczona, straciła kontakt z rzeczywistością, a gdy znów zaczęła rejestrować, co się dzieje, stała z dłonią przyciśniętą do twarzy, Bishop zaś podtrzymywał ją, żeby mogła bezpiecznie dojść do siebie.

- Jesteś zwolniona! - wrzasnęła na nią Carrie. Jej ładną twarz wykrzywił grymas wściekłości, lecz oczy pozostały zadziwiająco chłodne i spokojne, jakby w jednym ciele żyły dwie osoby. - Jak śmiesz rozmawiać o mnie za moimi plecami i oczerniać mnie przed ludźmi, których wybrałam, żeby dla mnie pracowali?! Od pierwszego dnia robisz wszystko, żeby zniszczyć moje wesele, ale to jest kropla, które przelała kielich goryczy. Kiedy z tobą skończę, będziesz się cieszyć, że dostajesz zlecenie na urządzenie ślubu hydraulika. Nikt w Buckhead nie będzie korzystać z twoich usług i doskonale wiesz, co to znaczy Chcę też otrzymać zwrot pieniędzy, ponieważ bez wątpienia ich nie zarobiłaś!

Jaclyn miała wrażenie, że świat się kołysze, ale mimo to wyprostowała plecy, siłą woli pokonując miękkość w kolanach. Duma kazała jej opuścić dłoń, jakby pieczenie policzka ustało. Serce biło jej tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Prawą dłoń odruchowo

ścisnęła w pięść, czuła, że mięśnie ramienia napinają się, jakby przestała mieć nad nimi kontrolę. Na szczęście Bishop to zauważył i na wszelki wypadek położył dłoń na jej nadgarstku, a jednocześnie drugą rękę oparł na ramieniu Estefani.

- Nie róbcie tego - szepnął tak, żeby Carrie go nie słyszała. - Ta dziwka kazałaby was aresztować za napaść.

Irena poruszyła się i stanęła za plecami Carrie. Wyglądała tak, jakby była gotowa w każdej chwili powalić klientkę. Jaclyn głęboko odetchnęła. Bishop miał rację. W tej sytuacji to ona mogła wystąpić z oskarżeniem, gdyby się na to zdecydowała. Wprawdzie nie zamierzała tego zrobić, jeśli Carrie się uspokoi i nie rzuci się na kogoś innego, ale należało kierować się rozsądkiem. Dla dobra Premier warto było zakończyć tę sprawę tak profesjonalnie, jak tylko można.

- Myślę, że wszystkie spotkania trzeba przełożyć na inny dzień - powiedziała spokojnie, przesyłając Bishopowi i Irenie znaczące spojrzenia, które mówiły „zabierzcie stąd Estefani” i „panuję nad sytuacją”.

- Kogo obchodzi, kurwa, co tym myślisz? - spytała jadowicie Carrie. - Ci ludzie pracują dla mnie, nie dla ciebie!

Może i rzeczywiście tak było, ale „ci ludzie” robili to, co zasugerowała Jaclyn. Podnieśli rzeczy porzucane na podłodze, a Melissa odważyła się nawet podejść z terminarzem.

- Dziękuję - powiedziała Jaclyn.

Melissa szybko wycofała się poza zasięg rąk napastniczki. Gdy Carrie wykonała gwałtowny ruch, jakby chciała wyrwać terminarz z rąk Jaclyn, ta powiedziała stanowczo:

- Jeśli dotkniesz mnie jeszcze raz, wezwę policję, żeby cię aresztowała. Jasne? Będzie fantastyczny nagłówek w gazecie.

- Mam jeszcze trochę papierkowej roboty - zaryzykowała Melissa, a Jaclyn nieznacznie skinęła głową, dając jej znak, że zejście ze sceny jest słuszną decyzją.

Melissa wyszła, a zaraz potem sala opustoszała. Przez chwilę było jeszcze słyhać z sieni napięte, lecz cichnące głosy kontrahentów. Jaclyn i Carrie stały naprzeciwko, pochylone ku sobie i gotowe do starcia.

Prawdopodobnie to wzmianka o gazecie, a nie groźba aresztowania sprawiła, że Carrie zacisnęła usta, ale trzymała ręce przy sobie.

- Sądysz, że jakikolwiek policjant w Atlancie odważyłby się coś mi zrobić, wiedząc, z kim biorę ślub?
- Może nie, ale nie jesteś w Atlancie. Jesteś w Hopewell, a ja spotykam się z jednym z tutejszych detektywów, więc z nim pewnie nie poszłoby ci tak dobrze - oświadczyła Jaclyn, używając Erica jako oręża, choć zapewne miałyby coś przeciwko takiemu określeniu ich znajomości. - Poza tym wiedz, że jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie uderzyć, to ci oddam. Wszyscy zeznają, że działałam w obronie własnej. Zanim to zrobisz, dodam jeszcze, że trenuję kickboxing i chętnie wytrę podłogę twoim tyłkiem.

I tak skończył się profesjonalizm. Pogrożka o kickboxingu mijała się z prawdą, ale wzmianka o wycieraniu podłogi tyłkiem Carrie już niekoniecznie. Jaclyn kipiała ze złości i była przekonana, że byłaby do tego zdolna. Może miała to wypisane na twarzy, bo Carrie zmieniła front.

- To dobre dla dziwek w barze - oświadczyła pogardliwie. - Możesz już iść. Spodziewam się w ciągu tygodnia otrzymać czek na sumę, którą do tej pory wpłacałam.

- Dopilnuję tego niezwłocznie - odparła Jaclyn. - Suma będzie jednak pomniejszona o koszty mojej pracy, jako że większa część zlecenia została wykonana.

Carrie spąsowiała na twarzy.

- Chcę dostać zwrot pełnej kwoty Gdybyś wykonała zlecenie, nie zostałabyś wyrzucona. '!

- Przeczytaj kontrakt, jaki podpisałaś. Myślę, że tytułem zwrotu możesz otrzymać jakieś tysiąc dolarów.

Zważywszy na to, jak wysoka była stawka Premier, myśl o wysłaniu czeku na tysiąc dolarów nie niepokoiła Jaclyn, a wręcz przeciwnie, była dla niej źródłem niemałej satysfakcji.

- To się jeszcze okaże - syknęła Carrie. - Zgłosi się do ciebie mój adwokat.

- Bardzo proszę. Tylko nie zapomnij mu powiedzieć, że pięcioro świadków widziało, jak mnie uderzyłaś. Na pewno wprawisz go tym w euforię.

Buzująca adrenalina przywołała na jej wargi uśmiech, z którym prawdopodobnie wyglądała jak drapieźnik obnażający zęby. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by wdała się w bijatykę. Teraz jednak niemal miała nadzieję, że zostanie przez Carrie ponownie zaatakowana i w ten sposób zyska okazję do odwetu. Niczego bardziej nie pragnęła, niż rozkwasić nos tej wstrętnej dziewczusze.

- Jeśli chcą utrzymać swoje zlecenia, to zachowają się rozsądnie i nie będą za dużo mówić - oznajmiła Carrie, lecz w jej chłodnym spojrzeniu nie było tyle pewności, co w głosie.

- Jeśli odejdą, znajdą następne zlecenie w ciągu godziny. Mnie też nie sprawi to kłopotu - stwierdziła Jaclyn. - Nie wyobrażam sobie, bym trafiła na kogoś, z kim gorzej się pracuje niż z tobą. Udanego ślubu i wesela. Może ktoś na nie przyjdzie oprócz tej biednej ofiary, pana młodego.

Ta dziecinna obelga nie złagodziła jej złości, ale poprawiła samopoczucie. Jaclyn obróciła się na pięcie i wyszła. Miała nawet satysfakcję, że to do niej należało ostatnie słowo, bo Carrie, o dziwo, nie spróbowała wygłosić riposty.

Z każdym kolejnym krokiem Jaclyn czuła, że ciężar przygniatający jej ramiona maleje. Jest wolna! Wolność przyszła w przykry sposób, ale przynajmniej nie trzeba było więcej znosić rozmów

z Carrie. Od tej pory nic, co dotyczy ślubu tej kobiety, nie będzie problemem Jaclyn. Gdy zbliżała się do samochodu, zyskała pewność, że warto było narazić się nawet na pulsujący ból policzka.

Otworzyła drzwi samochodu i stanęła przy nich, czekając, aż z wnętrza pojazdu wyleje się trochę popołudniowego żaru. Tymczasem wyjęła komórkę i zatelefonowała do matki. Madelyn odebrała szybko i energicznie, wyraźnie ciekawa, jak Jaclyn poszło, choć z pewnością nie do tego stopnia, by się stawić w domu weselnym.

- Załatwione? - spytała.

- Tak... w pewien sposób. Madelyn natychmiast zmieniła ton.

- Co się stało?

- Będziemy musiały zapewnić naszym współpracownikom liczne zlecenia, zanim wybaczą nam Carrie Edwards. Gretchen odeszła. Inni też mogą to zrobić. A najlepsze jest to, że Carrie mnie zwolniła.

Nie chciała wdawać się w szczegóły, bo emocje były za świeże i ledwie nad sobą panowała.

Potrzebowała czasu, żeby ochłonąć, zanim dokładnie opowie matce, co zaszło.

- Alleluja. - Madelyn głośno odetchnęła. - Może wypijesz ze mną kawę U Claire? Mam jeszcze prawie godzinę do spotkania z dzisiejszymi weselnikami.

Filiżanka kawy i do tego pyszna mufinka z borówkami, z których słynęła kawiarnia U Claire, były znakomitym pomysłem na relaks po trudnym popołudniu.

- Przyjadę za niecałe dziesięć minut.

- Ja mogę tam być w pięć. Powiedz, na co masz ochotę, to zamówię.

Jaclyn wyraziła więc swoje życzenia, rozłączyła się i zajęła miejsce w samochodzie. Gdy zapaliła silnik, na miejsce parkingo-

we obok zajechał srebrzysty sedan, z którego wysiadł mężczyzna. Opóźniła wyjazd o kilkanaście sekund, żeby mu się przyjrzeć, była bowiem ciekawa, czy Carrie nie umówiła się na jakieś spotkania, o których Premier nic nie wiedziało. Wszystko było możliwe. Nie poznała jednak tego siwowłosego mężczyzny ubranego w dobrze skrojony szary garnitur i białą koszulę z czerwonym krawatem. Prawdopodobnie był to ktoś zainteresowany usługami domu weselnego. Idąc do drzwi, mężczyzna zerknął w jej kierunku, ale myślami był wyraźnie gdzie indziej. Jaclyn miała nadzieję, że temu człowiekowi dopisze szczęście i uda mu się uniknąć spotkania z Carrie. A jeśli nie, to jest pechowcem. Na szczęście to nie jej kłopot!

Rozdział 7

Jaclyn wykorzystwała krótki przejazd, aby się uspokoić i uporządkować myśli, ponieważ spodziewała się, że Madelyn mocno się zdenerwuje, gdy usłyszy, co zaszło. Nie chciała podsycać tego stanu matki, raczej powinna z dystansem odnieść się do wyniku tego starcia, mimo że sam jego przebieg był bulwersujący.

Celowo unikała myślenia o Carrie. Zamiast tego wyobraziła sobie dużą filiżankę gorącej kawy i do tego muffinkę z borówkami na ciepło. Na muffinki nie pozwalała sobie zbyt często, będzie to więc uczta, zresztą zasłużona, chociaż nie sposób było powiedzieć, czy w nagrodę, czy na pocieszenie. Po nitce do kłębka, myśli zaprowadziły ją od kawy do Erica. Zaczęła się zastanawiać, czy on lubi muffinki z borówkami i czy wpadłby do tak eleganckiego lokalu jak U Claire, żeby jedną przekąsić.

Prawdopodobnie nie, to nie było miejsce stosowne dla policjantów, większość gości stanowiły kobiety. Może Erie dałby się namówić, bo kawa była dobra, a wypieki bardzo smaczne. Przez cały dzień bardzo konsekwentnie płoszyła najwątlejsze myśli na jego temat, teraz witała je z zadowoleniem; zgodziłaby się niemal na wszystko, byle tylko nie rozważać tego, co jej się przytrafiło, i trochę ochłonąć.

Skreśliła z ruchliwej ulicy na nieduży parking i natychmiast dostrzegła matkę, siedzącą na zewnątrz kawiarni, przy jednym ze stolików chronionych przed słońcem wielkimi parasolami. Na stoliku stały dwie filiżanki kawy i dwie muffinki, z których jedną Madelyn pogryzała. Jaclyn wysiadła z samochodu i bez pośpiechu otworzyła żeliwną furtkę. Można byłoby powiedzieć, że

wkroczyła na teren kawiarni, gdyby nie kołyszący ruch bioder, wywołany wspomnianiem Erica. Teraz już wiedziała, co oznacza słowo „napalona”. Może powinna się skupić na oszałamiających różach kwitnących w niewielkim ogrodzie albo iść wieczorem na basen. Potrzebowała czegoś nastrojowego, co uspokaja i wprowadza w stan błogości. Myślenie o Ericu nie spełniało żadnego z tych warunków. Usiadła z westchnieniem i uśmiechnęła się, widząc, że matka w ramach rozpusty zamówiła muffinki z lukrem. Madelyn spojrzała na nią ze wzmożoną uwagą, po czym jednym ruchem ściągnęła okulary przeciwsłoneczne.

- Co ci się stało w policzek? spytała.

Jaclyn zdołała na tyle oderwać się od niedawnych przykrych wydarzeń, że przez chwilę wpatrywała się w matkę zdeorientowana. Wreszcie uświadomiła sobie, że ma na policzku czerwony ślad.

- Niesamowite, udało mi się zapomnieć! - stwierdziła ze zdziwieniem. - Ta mała miała czelność mnie uderzyć, ale ze szczęścia, że się jej pozbyłam, całkiem wyleciało mi to z głowy.

- Uderzyła cię? - powtórzyła groźnym tonem Madelyn i uniosła się z krzesła z taką miną, że dla uspokojenia Jaclyn musiała położyć jej rękę na ramieniu. - Wypatroszę ją! Zrobię sobie podwiązki z jej flaków!

- Miałabyś wyjątkowo paskudną bieliznę - odrzekła Jaclyn z uśmiechem. - Nie jestem oczywiście szczęśliwa, że mnie uderzyła, ale kiedy pomyślę, że za tę cenę pozbyłam się jej, bardziej się cieszę, niż złościę.

- Może ty... - syknęła Madelyn, która już stała. - Wystąpimy z oskarżeniem. Zadzwońiłaś po policję? Czy byli świadkowie?

- Mamo, już sobie z tym poradziłam. Nie zawiadomiłam policjantów, ale było pięcioro świadków, więc jesteśmy zabezpieczone, gdyby Carrie próbowała zaszkodzić firmie.

- Co mnie obchodzi firma! - Madelyn kipiała ze złości. - To zaniedbane dziecko, nadające się na twarz kampanii przeciwko puszczałstwu, śmiało cię uderzyć?! Nie ujdzie jej to na sucho!

- Mamo - powtórzyła Jaclyn. - Już sobie z tym poradziłam. Zapowiedziałam, że wytrę podłogę jej tyłkiem, jeśli ponownie spróbuje mnie tknąć. Wygoniłam stamtąd naszych ludzi, zanim ktoś zdążył ją pobić, bo Estefani była tego bliska. Poza tym nie miałabym do nikogo z nich pretensji, nawet gdyby wszyscy zrezygnowali. Przestań więc już sapać jak smok i usiądź. Jest co świętować!

Madelyn zajęła swoje miejsce, lecz nie przestała się burzyć.

- Znam kogoś, kto zna Fayre Dennison - powiedziała. - Już ja się postaram, żeby doszło do niej, z jakim wrednym lachociągiem żeni się jej syn.

Jaclyn wytrzeszczyła oczy Nie miała pojęcia, że jej matka zna takie słowa. Otworzyła usta, zamknęła je i jeszcze parę razy bez powodzenia próbowała wydobyć głos.

- Mamo - powiedziała w końcu słabo.

- Co takiego? - odburknęła Madelyn.

- Lachociąg?

- Ach, to. - Matka zaczerwieniła się i skrzywiła. - Najwyraźniej ty również znasz takie słowo, nie powinnaś się dziwić.

- Znalazłam je na jakimś blogu. A ty?

- Podobnie - odparła mgliście Madelyn.

- Hm. Niech będzie.

- Nie udawaj wiktoriańskiej cnotki, skoro dla ciebie byłam gotowa wyrwać tej dzdirze wszystkie kłaki z głowy. - Bardzo jestem ci wdzięczna za dobre chęci z rwaniem kłaków, ale to nie ma nic wspólnego z lachociągami.

Madelyn zmierzyła ją surowym spojrzeniem.

- Powinnaś docenić to, że traktuję cię jak dorosłą osobę. Poza tym podejrzewam, że obie miewamy swoje ciągi, więc zakończmy

ten temat. - Zerknęła na zegarek. - Chcę wyruszyć wcześniej na wypadek, gdyby po drodze był korek, ale jakieś dziesięć minut mi zostało. Masz jeszcze coś do roboty czy na dzisiaj skończyłaś?

- Skończyłam. Czeka na mnie tona prania i w związku z tym pojedę do domu. Zajmowanie się Carrie kompletnie mnie wyczerpało. Potrzebuję kilka godzin na kanapie przed telewizorem, żeby odtajać.

Nastawię sobie kanał Dom i Ogród albo może historyczny

- Gdyby zdarzyło się coś nowego z tą małpą, natychmiast daj mi znać. Nie chcę, żebyś znowu z nią rozmawiała. Jeśli zadzwoni do Premier, ja się nią zajmę.

- Dobry pomysł - przyznała Jaclyn.

Dzisiaj trzymała nerwy na wodzy i zdołała się powstrzymać przed gwałtowną reakcją, ale nie miała pewności, czy po raz drugi byłaby zdolna do takiego wyczynu. Wątpiła, że Carrie jeszcze się z nimi skontaktuje, bo przecież na pewno nie chciała, żeby wiadomości o jej zachowaniu dotarły do tego nieszczęsnego durnia, z którym bierze ślub. Sean Dennison wydawał się uroczym człowiekiem i prawdopodobnie nie uwierzyłby w tę historię, ale jego matka mogła inaczej zareagować. Z Fayre Dennison należało się liczyć. Carrie na pewno nie chciała mieć z nią zatargów, zwłaszcza przed ślubem, bo mogłoby się okazać, że ślub się nie odbędzie.

Rozstały się z Madelyn dziesięć minut później. Jaclyn poczuła się znacznie rażniej. Tyrady matki na temat Carrie pomogły jej odzyskać poczucie humoru i właściwą perspektywę. Panna Kłoda odeszła w przeszłość, była tylko paskudnym czarnym śladem, muszą kupą na wstecznym lusterku.

To śmieszne, że pozbycie się Carrie dało jej nagle poczucie, że ma więcej czasu, mimo że nic nie ubyło z planu zajęć w tym przeładowanym tygodniu. Wprawdzie nadal musiała się spieszyć, lecz stres zmniejszył się o połowę. Warto byłoby znaleźć trochę wolnego dla Erica. Skoro myśli o nim pozwoliły natychmiast wyrzucić

Carrie z pamięci, to należało zebrać się na odwagę i sprawdzić, czy to jest ktoś wyjątkowy, czy tylko zwykły facet.

Może do niego zadzwonić. Nie, jeszcze nie. Przygryzła wargę, tknięta niepewnością. Powinna zaczekać na telefon od Erica, żeby sprawdzić, czy on dotrzyma danego słowa. Powinna też przezwyciężyć niewiarę w siebie i pozwolić sobie na dobrą zabawę. Erie nie musi być miłością jej życia ani nawet jej partnerem przez rok. Poprzedniej nocy uprawiała z nim seks, chociaż nie jest w nim zakochana i nie mają wobec siebie żadnych zobowiązań. Z tego powodu świat się nie zawalił.

Naturalnie, nie zamierzała zacząć sypiać z byle kim na prawo i lewo, to wydawało się zresztą dość niehigieniczne, potrzebowała jednak gorącego romansu. To lato mogło się okazać bardzo interesujące.

Melissa DeWitt podniosła wzrok znad umów leżących na biurku i piąty raz w ciągu ostatniego kwadransu zerknęła przez okno, żeby sprawdzić, czy samochód Carrie Edwards wciąż stoi na parkingu. Ciężko westchnęła. Dlaczego ta okropna kobieta nie odjedzie?

Melissa nie widziała całego parkingu, tylko niecałą czwartą część rozległego terenu. Ależ rozterki musiała przeżywać Carrie po przyjeździe! Czy wybrać miejsce najbliżej drzwi, czy raczej jedno z niewielu zacienionych. Melissa nawet się zdziwiła, że nie została zbesztana za brak miejsc, które cechowałyby się jednym i drugim. Carrie skarżyła się przecież niemal na wszystko.

Dość dawno Melissa nie słyszała żadnych odgłosów dochodzących z sali przyjęć, ale ponieważ kilka razy rozmawiała przez telefon, nie wykluczała, że jeśli doszło do kolejnych burzliwych wydarzeń, umknęło to jej uwagi. Wydawało jej się niemożliwe, by Jaclyn mogła dalej rozmawiać z tą humorzastą jędzą, ale jeśli nie, to dlaczego Carrie jeszcze tutaj jest?

Melissa omal nie zemdląła z wrażenia, kiedy Carrie spoliczko wała Jaclyn. Bardzo jej współczuła. Jednak szybko to się zmieniło, gdy zobaczyła gniewne błyski w oczach uderzonej. Biedna? Jeszcze czego. Jeśli ktokolwiek potrafi stawić czoło Carrie Edwards, to właśnie Jaclyn Wilde. To, że właścicielka Premier zachowywała spokój i opanowanie, nie oznaczało, że nie gotuje się ze złości. Ciekawe, czy Carrie zdawała sobie sprawę z tego, jak niewiele brakowało, by została posłana na deski. Jaclyn nie zamierzała tak zwyczajnie jej oddać, widać było, że szykuje się do walki.

Dlaczego Carrie wciąż tu jest?

Melissa wstała od biurka, podeszła do otwartych drzwi gabinetu i wyjrzawszy na korytarz, nateżyła słuch, by przekonać się, czy usłyszy głosy. Panowała cisza. Jej pokój był usytuowany w pewnym oddaleniu, po przeciwnej stronie niż sala przyjęć, a między nimi znajdowało się jeszcze kilka mniejszych sal i toalety. Odkąd Carrie zjawiała się po południu, raz po raz do uszu Melissy dochodziły podniesione głosy. Zazwyczaj podczas takich spotkań w domu weselnym słychać było śmiech i żarty, ale nie dzisiaj.

Melissie nie miała ochoty stanąć oko w oko z Carrie, lecz chciała pojechać do domu. Nie mogła tego zrobić dopóty, dopóki w domu weselnym przyszła panna młoda z kimś konferowała. Jedynym sposobem było więc sprawdzić, co się dzieje. Ponieważ przez całe popołudnie Carrie rozstawiała wszystkich po kątach, Melissa wiedziała, czego może się spodziewać, i nawet się nie denerwowała. Jeśli ta wydra spróbuje ją uderzyć, to sama też dostanie, obiecała sobie w duchu Melissa. Stanowczo nie była kobietą skłoną do przemocy, nie wiedziała jednak, czy zdobędzie się na powściągliwość, jaką okazywała Jaclyn. Oczywiście Jaclyn wcale nie była potulna. Gdyby można było zabijać wzrokiem...

Idąc do publicznej części budynku, Melissa nadal starała się łowić uchem wszystkie odgłosy, ale panowała cisza. Świadomość, że

Carrie gdzieś tutaj jest, nie wiadomo jednak gdzie, wydawała jej się złowieszcza. Zajrzała do sali przyjęć, w której stół wciąż był zasłany próbkami i papierami, po czym ruszyła dalej korytarzem w kierunku bocznego wyjścia, które przed przyjazdem Carrie i jej kontrahentów zostawiła otwarte. Zaintrygowana wyszła na dwór z myślą, że może Carrie stoi w tym upale i z kimś rozmawia. Na parkingu nie było nikogo. Oprócz samochodu Carrie stał tylko jej własny.

Wróciła do środka, marszcząc czoło. Czyżby Carrie była w toalecie? A może odjechała z kim innym i postanowiła wrócić po samochód później? Tylko dlaczego tak by postąpiła? Nie było to niemożliwe, ale w takiej sytuacji Carrie powinna ze zwykłej grzeczności zajrzeć do gabinetu Melissy i wspomnieć, że zostawia na parę godzin samochód, bo, na przykład, wybiera się z przyjaciółmi na drinka.

Inna sprawa, że Carrie wobec nikogo nie była w stanie zdobyć się na grzeczność. Wątpliwe zresztą, czy miała jakichkolwiek przyjaciół. Mimo to Melissa żywiła nadzieję, że Carrie odjechała ze znajomym uchodzącym za przyjaciela, a nie czai się w toalecie przed następną konfrontacją.

Wyglądało na to, że kłótnie i poniżanie innych sprawiają jej przyjemność. Melissa nie lubiła spać. Myśl o tym, że jest następnym celem Carrie, przyprawiała ją o ssanie w żołądku. Nie była obecna przy wszystkich spotkaniach tego popołudnia, ale zaglądała tam wystarczająco często, by zobaczyć dosyć, a nawet za dużo.

Licząc się z możliwością przykrego spotkania, skierowała kroki do sali przyjęć, aby posprzątać po Carrie. Od progu zobaczyła, że stół był cały zabałaganiony i nawet na podłodze wały się materiały, chociaż długi obrus zasłaniał część tego przykrego widoku. Nawet jeśli Carrie jeszcze nie wyszła, to z pewnością nie należała do osób, które po sobie sprzątaj.

Gdy tylko weszła do środka, jej uwagę zwrócił nieprzyjemny zapach. Przystanąła i marszcząc czoło, zaczerpnęła powietrza. Ojej. Wrażenie było takie, jakby zapchał się jeden z sedesów. Toalety były jednak w korytarzu, a kiedy Melissa je mijала, niczego niepokojącego nie poczuła. Im głębiej wchodziła do sali przyjęć, tym silniejszy stawał się odór. Czyżby pękła rura kanalizacyjna?

Zwolniła kroku i przycisnęła dłoń do nosa. Serce zabiło jej gwałtowniej. Coś musiało się stać. Coś bardzo złego. Zrobiła jeszcze trzy kroki i zaparło jej dech w piersiach.

Za stołem, na podłodze, leżała Carrie hwards i wpatrywała się w nią nieruchomym, dziwnie pozbawionym wyrazu spojrzeniem zza siatki welonu, którym ktoś zakrył jej twarz. Na podłodze rozlała się kałuża krwi. Rożny, niektóre jeszcze z resztkami krewetek i wołowiny, sterczały z ciała Carrie pod najróżniejszymi kątami.

Melissa usłyszała jak przez mgłę dziwny przeciągły dźwięk i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to krzyk wydobywający się z jej gardła. Miała opinię osoby, która w najtrudniejszej sytuacji zachowuje opanowanie, lecz jeśli nie liczyć pogrzebów, nie widziała dotąd zwłok, a bezpośredni kontakt to jednak co innego niż telewizja. Pewność siebie nagle całkiem ją opuściła. Boże wielki. Woń krzepnącej krwi i bezruch kobiety spoczywającej na podłodze były makabryczne i aż za bardzo realne.

Jej krzyk urwał się nagle, a ona, nie spuszczać wzroku z ciała, cofnęła się. Nie było potrzeby sprawdzać pulsu. Co prawda, Melissa jeszcze nie widziała zwłok z bliska, ale nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że Carrie nie żyje i nie zamierzała jej dotykać.

Już dobrze. Co dalej? Nie mogła przecież stać w miejscu i gapić się na martwą kobietę. Nie mogła też posłuchać głosu instynktu, który radził jej zamknąć drzwi na klucz, pojechać do domu i zostawić problem komu innemu, żeby się nim zajął. Przecież nie

było tutaj nikogo innego. Musiała do kogoś zatelefonować. Dziewięćset jednaście. Tak. Powinna zatelefonować pod dziewięćset jednaście.

Pobiegła do swojego gabinetu. Na weekend zaplanowano spotkanie koleżeńskie maturzystów sprzed dwudziestu pięciu lat. Liczyła na to, że nie trzeba będzie odwoływać imprezy, że policja zdąży posprzątać ten bałagan i jej wypieszczona, schludna sala przyjęć będzie jak nowa. Nie miała jednak pewności. Carrie Edwards nawet po śmierci potrafiła szkodzić innym.

Nagle naszła ją inna myśl. A jeśli morderca wciąż znajduje się w budynku? Obserwuje ją, może czyha za załomem uzbrojony w różny, noże do ciasta i zastrzone patyki do papierowych kwiatów. Potknęła się, zrzuciła ze stóp pantofle na wysokim obcasie, pokonała zakręt korytarza i korzystając z poślizgu, niczym Tom Cruise dotarła do gabinetu. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na klucz, po czym gorączkowo omiotła wzrokiem pokój, aby przekonać się, czy na pewno jest sama. Chwilę potem rzuciła się do telefonu.

Rozdział 8

W upalne popołudnie słońce świeciło Ericowi prosto w oczy, gdy szukał miejsca na zatłoczonej ulicy, żeby postawić samochód. Na parkingu domu weselnego kłębiło się od wozów patrolowych, była też półciężarówka ekipy medycznej i nawet ciężarówka straży pożarnej, chociaż w jakim celu przyjechała straż, Ericowi trudno było dociec. Na wszystkich pojazdach migotały koguty, co jeszcze powiększało wrażenie chaosu. Fakt, wozy patrolowe potrzebują sygnalizacji świetlnej, ale dlaczego cała reszta jej nie wyłączyła? Po drugiej stronie ulicy parkowały samochody stacji telewizyjnych z talerzami anten satelitarnych na dachach. Erie znalazł miejsce, gdzie mógł wjechać przednimi kołami na chodnik, wysiadł i skinął głową kilku mundurowym, dał nura pod taśmą odgradzającą miejsce zdarzenia. W Hopewell morderstwa nie trafiały się często, mieszkali tu głównie przedstawiciele klas średnich i wyższych, gangi nie działały i nawet sprawy narkotykowe dotyczyły częściej środków kupowanych na receptę w aptekach niż amfetaminy i kokainy. Nie oznaczało to, że miejscowa policja nie potrafi sobie poradzić ze śledztwem w sprawie morderstwa. Gdy Erie pracował w Atlancie, gdzie były gangi, narkotyki i cała reszta, przemoc wydawała się nie mieć końca. Służba przypominała działania w strefie wojennej. Natomiast Hopewell stać było, dzięki wpływowi podatkowym, na sówite opłacanie policji, co pozwoliło zatrudnić sprawnych i doświadczonych ludzi, kupić dobre wyposażenie i zorganizować efektywne przeciwdziałanie zbrodniom. Wszystko to przekładało się na wysoką wykrywalność przestępstw.

Porucznik Neille i sierżant Garvey dojechali na miejsce wcześniej, co wzmogło czujność Erica. Z porucznikiem spędził sporo czasu rano, ponieważ prasa zajęła się z wielką energią udaremnionym napadem na sklepik przy stacji benzynowej jako czymś odbiegającym od normy. Dziennikarz skontaktował się z policją, domagając się wywiadu z bohaterem zajścia. Erie odmówił, bo kto ma czas na takie głupoty, ale porucznik zdecydował inaczej. Zanim to się stało, odbyli krótką rozmowę.

Porucznik spojrział na niego ze zdziwioną miną i spytał:

- Dlaczego nie użyłeś broni? Po co czymś rzucać w napastnika?

- Papierkowa robota - odparł Erie; wywołując tym pełne zrozumienia, lecz jednocześnie karcące spojrzenie Neille a. - Dodam, że odkąd skończyłem cztery lata, trenowałem baseball, więc wiedziałem, że trafię.

Udzielony pod przymusem wywiad nie przebiegł gładko. Zadano mu to samo pytanie i udzielił tej samej odpowiedzi. Potem dziennikarz zauważył:

- Podejrzany leży w szpitalu ze wstrząsem mózgu, co nasuwa wątpliwość, czy nie mógł pan rzucić czymś lżejszym niż bańka z olejem.

- Pewnie mógłbym - odparł Erie - ale akurat nie stałem przy zupach.

Za tę uwagę został zbesztany przez sierżanta Garveya, który powiedział mu mniej więcej, żeby nie pyskował za dużo, bo mu się dobiiorą do dupy i wtedy narobi sobie kłopotów.

Garvey, z poważną miną, wyszedł Ericowi na spotkanie.

- Szefowa domu weselnego zidentyfikowała ofiarę jako Carrie Edwards, narzeczoną Seana Dennisona, syna senatora stanowego Douglasa Dennisona.

- Cholera - rzucił Erie.

Nie znosił spraw z udziałem członków elity, ponieważ często rodzina utrudniała i spowalniała śledztwo, stawiając coraz to nowe żądania. O zwiększonym zainteresowaniu mediów, również kosztującym wiele czasu, nie warto było nawet wspominać. Tę sprawę dostałby prawdopodobnie Franklin, starszy i bardziej doświadczony detektyw, ponieważ rzecz dotyczyła wyższych sfer, a on - eufemistycznie mówiąc - był lepszym dyplomata niż Erie. Los sprawił jednak, że Franklin spędzał urlop z rodziną w Disney Worldzie. Chcąc nie chcąc, Erie musiał go zastąpić.

- Właśnie jesteśmy na etapie powiadamiania rodziny ofiary, jej nazwisko jeszcze nie zostało ujawnione dziennikarzom - ciągnął sierżant Garvey, gdy weszli do sali przyjęć.

Technicy pracowali, robiono zdjęcia miejsca zdarzenia i przeczesywano teren w poszukiwaniu śladów. Erie wcisnął ręce do kieszeni i podszedł dostatecznie blisko, by dobrze widzieć ciało, ale nie na tyle blisko, żeby przeszkadzać. Garvey stanął obok niego. Ofiara leżała na plecach w kałuży krwi, jeden pantofel miała na nodze, drugi leżał obok niej, oddalony o jakiś metr. Twarz zasłaniał jej welon. Z ciała wystawało kilka długich, cienkich...

Erie zamrugał, chcąc się upewnić, że wzrok go nie myli.

- Nadziana na różny - stwierdził.

Za jego plecami rozległ się stłumiony chichot mundurowych, którzy usłyszeli tę uwagę. Garvey przybrał minę umęczonego człowieka, widać było jednak, że robi to, aby zapanować nad mimowolnym uśmiechem.

- Wilder, na miłość boską...

Erie przykucnął, żeby lepiej widzieć ciało, i zmierzył je wzrokiem od stóp do głów, tak by nie stracić żadnego szczegółu.

- A jak nazwałbyś to inaczej?

- „Zadźgana”. Pamiętaj o tym, zwłaszcza gdy będziesz rozmawiał z rodziną albo z mediami.

Erie mruknął coś niezrozumiałego i kontynuował oględziny. Z jego punktu widzenia określenie „nadziana na rożny” trafnie opisywało sytuację. Cienkie metalowe pręty sterczały ze zwłok pod różnymi kątami i nawet z pewnej odległości było widać, że niektóre z nich wbiły się bardzo głęboko, inne natomiast ledwo weszły pod skórę. Ran kłutych było więcej niż rożnów, co oznaczało, że zabójca dźgał wielokrotnie, może nawet używając do tego celu obu rąk, na co wskazywałyby różne kąty wbicia. Rożen, który prawdopodobnie przebił serce, został wepchnięty w ciało prawie po sam koniec, choć pozostały jeszcze na nim zakrwawiony kawałek mięsa i chyba kawałek cebuli.

To pech, że Franklin jest na urlopie. Wydawało się, że doświadczony kolega widział już wszystko, tymczasem Erie założyłby się o dużą sumę, że nawet dla niego taki widok stanowiłby nowość. Dobrze wiedział, jaki zamęt spowoduje to wydarzenie. Zabici nie byli jedynymi ofiarami morderstw.

Cierpiały również rodziny, i to długo i głęboko.

Carrie Edwards była piękną młodą kobietą zamordowaną podczas przygotowań do ślubu.

Najprawdopodobniej miała rodziców, rodzeństwo, przyjaciół. Z pewnością miała również narzeczonego, którego trzeba było zawiadomić. Ktoś kochał tę kobietę. Erie nauczył się, że gdyby brał sobie każdą sprawę do serca, nie byłby w stanie normalnie funkcjonować, nie mógł więc pozwolić sobie na nadmiar empatii, na to, by dać się wciągnąć w ból i żalobę, które były otoczką każdego morderstwa. Wszyscy policjanci radzili sobie z obciążeniami, uciekając się do czarnego humoru - im czarniejszy, tym lepszy. Dla dobra rodziny musiał jednak pamiętać, żeby określenie „nadziana na rożny” zachować dla siebie.

Łagodzenie bólu po śmierci tej kobiety należało do kogo innego: do księży, psychiatrów, przyjaciół.

Jego zadaniem było znaleźć mordercę i postawić go przed wymiarem sprawiedliwości.

Wokół ciała leżały porozrzucone kawałki jedzenia, wstążki, zdjęcia kwiatów i welonów i różne broszury. Kobieta broniła się. Stół, za którym upadła, stał ukosem, a ona miała na ramionach ślady walki. Na podłodze leżała również aktówka. Erie wiedział, że gdy technicy skończą, będzie mógł przejrzeć zawartość teczki. Nie liczył jednak na to, że morderca zostawił po sobie tak obciążający dowód. Bardziej prawdopodobne było, że na właściwy trop skieruje ich telefon komórkowy, leżący obok ofiary. Był to iPhone, więc nie wiadomo, co tam znajdą. Odkąd poznał tożsamość ofiary, napięcie, które odczuwał wcześniej, nieco zelżało. Wprawdzie nie dopuszczał takiej myśli do świadomości, jednak gdy usłyszał „dom weselny”, instynktownie przygotował się na możliwość, że to Jaclyn. Pracowała w tej branży, a sam wiedział, jak odbija ludziom planującym ślub. Może to właśnie tutaj się zdarzyło. Komuś ciężko odbiło.

Wstał, bo zobaczył już wszystko, co było istotne.

- Gdzie jest szefowa domu weselnego? - spytał.

- Składa zeznanie przed jednym z naszych ludzi. To ona znalazła ciało i zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście.

Od czasu przyjazdu pierwszego patrolu policjant towarzyszył tej kobiecie bez przerwy zarówno po to, by mieć kontrolę nad miejscem zdarzenia, jak i dlatego, żeby nie pozwolić na dalsze telefony. Policja nie życzyła sobie kontaktów z mediami, przyjaciółmi czy kimkolwiek innym, ponieważ panowanie nad obiegiem informacji było równie ważne jak pilnowanie miejsca zdarzenia.

- Była bliska hysterii - powiedział ponuro Garvey. - Zamknęła się na cztery spusty w swoim gabinecie, przekonana, że seryjny morderca w typie Freddy ego Kruegera chowa się gdzieś w szafie i jest gotowy ją poćwiartować, gdyby tylko przyszło jej do głowy wyściubić nos z pokoju. Policjant przeszukał dokładnie wszystkie pomieszczenia, zanim trochę zdołał ją uspokoić, ale wciąż jest napięta jak struna.

Zdaniem Erica, kobieta nie musiała niczego się obawiać, to nie była robota seryjnego mordercy. Zasłonięcie twarzy welonem - należało sądzić, że już po śmierci ofiary - wskazywało na motyw osobisty. Morderca znał ofiarę, prawdopodobnie bardzo dobrze. Z kolei liczne rany świadczyły o wzburzeniu sprawcy, a to nie pasuje do morderstwa popełnionego przez obcego.

Szybko odebrał raport od policjanta, który pojawił się na miejscu zdarzenia pierwszy. Szeffowa domu weselnego nazywała się Melissa DeWitt. Lepiej nad sobą panowała niż na początku, chociaż przez uchylone drzwi było widać, że raz po raz ociera oczy papierową chusteczką.

Pewnie nie uspokoiłaby się ani trochę, gdyby wiedziała, że jest główną podejrzaną. To zaskakujące, jak często morderca „odkrywa” ciało, ponieważ albo wyobraża sobie, że policja nie będzie go podejrzewać, skoro sam ściąga na siebie uwagę, albo chce mieć związek z miejscem zdarzenia na wypadek, gdyby zostawił tam ślady. W każdym razie od Melissy należało rozpocząć dochodzenie bez względu na to, czy była winna, czy nie.

Odebrawszy raport od mundurowego policjanta, Erie wszedł do pokoju, trzymając w dłoni notes i długopis.

- Pani DeWitt, jestem detektyw Wilder. Czy będzie pani w stanie odpowiedzieć na kilka moich pytań?

- Tak, oczywiście - odrzekła. Głęboko odetchnęła, po czym odwróciła głowę do okna. - To jest samochód Carrie - powiedziała, wskazując srebrną toyotę. - Obserwowałam parking, bo czekałam, aż Carrie odjedzie, żebym mogła zamknąć firmę. W końcu wszyscy poszli... a przynajmniej tak mi się zdawało.

Lekko zadrżała, lecz nie wydawało się, by znów traciła nad sobą panowanie.

- Czy może pani podać mi nazwiska? Muszę wiedzieć o wszystkich osobach, które były tutaj dzisiaj po południu.

Melissa DeWitt skinęła głową.

- Oczywiście. Proszę tylko o chwilę cierpliwości, żebym mogła zebrać myśli. Słowo daję, że trudno mi się skupić.

Jeszcze raz głęboko odetchnęła, a w czasie gdy próbowała się odprężyć, Erie dobrze jej się przyjrzał. Sprawca takiego napadu musiał być cały uwalany krwią. Melissa mogłaby łatwo zmyć krew z ciała przed zatelefonowaniem na policję, ale również na jej stroju nie było widać najmniejszej plamki krwi, a przecież miała białą bluzkę. Musiał sprawdzić, czy pani DeWitt trzyma w pracy zmianę ubrania.

- Carrie miała spotkania z wieloma kontrahentami - powiedziała w końcu.

- Z kontrahentami?

- Z ludźmi, którzy pracują przy organizacji ślubu. Restaura-torka, florysta i tak dalej. To są kontrahenci. Niektórych znam bardzo dobrze, innych tylko z imienia i branży. Dzisiaj wszyscy byli bardzo... nieszczęśliwi. Carrie nie podobało się właściwie nic, co zrobili. Czas uciekał, więc ludzie oczekiwali na jej decyzje, ona tymczasem porozstawiała ich po kątach. Ślubem zajmowała się agencja Premier, więc kontakt do wszystkich ma Jaclyn Wilde. Proszę z nią porozmawiać.

Niech to diabli! Erie zeszywniał. Nie mogło być dwóch różnych organizatorek ślubów, które nazywałyby się tak samo.

- Jaclyn Wilde.

- Tak, organizuje ślubne przyjęcia i wesela. - Pani DeWitt zmarszczyła czoło. - Dziś po południu Carrie zwolniła Jaclyn. Doszło do okropnej sceny. Carrie uderzyła Jaclyn w twarz w obecności kilkorga kontrahentów. Przez chwilę bałam się nawet, że zacznie się bójka.

- Jaclyn... Pani Wilde została zwolniona dziś po południu? Jeszcze gorzej. W dodatku ofiara ją uderzyła. Czy Jaclyn była

kobietą, która w takich okolicznościach mogła stracić zimną krew?

Nie znał jej na tyle, by móc o tym orzec. Wróciły do niego jej własne słowa: „Ona potrafi zmienić najłagodniejszą istotę w furiała nie do okiełznania”. Tak Jaclyn powiedziała o klientce. Pani DeWitt poinformowała go, że Carrie dawała się mocno we znaki wszystkim zatrudnionym przy przygotowaniach do ślubu. Z tego wniosek, że osoba, o której mówiła Jaclyn, leży teraz w sali przyjęć naszpikowana różnami. Cholera jasna!

- Przepraszam panią na chwilę.

- Nie ma sprawy - powiedziała Melissa, sięgając po słuchawkę biurowego aparatu telefonicznego. - Zadzwoń do męża i...

- Byłbym wdzięczny, gdyby pani z tym poczekała - wpadł jej w słowo, dając policjantowi czekającemu przy drzwiach znak, że należy nadal powstrzymać wypływ informacji. - Nie powiadomiliśmy jeszcze rodziny pani Edwards, byłoby bardzo niedobrze, gdyby zdobyli tę informację z telewizji.

- Ach, rozumiem. - Melissa cofnęła rękę.

Erie wstał, zamknął notes i poszedł szukać sierżanta Garveya. Zastał go stojącego obok porucznika Neillea.

- Jest problem - rzekł krótko. Mężczyźni spojrzeli na niego z uwagą.

- Wiadomo, że dziś po południu doszło tutaj do awantury z organizatorką ślubu. Ofiara nie tylko uderzyła w twarz tę kobietę, Jaclyn Wilde, lecz również ją zwolniła.

- I co? - przynaglił go sierżant.

- Znam Jaclyn Wilde. Porucznik Neille zmarszczył czoło.

- Jak dobrze?

- Nie jesteśmy w związku i nie mogę powiedzieć, żebym «nał ją dobrze, ale... - Do diabła, prawda nie wyglądała ładnie, była jednak prawdą. - Spędziliśmy razem ostatnią noc.

Garvey rzucił przekleństwo bardziej paskudne niż zwykle, a potem spytał cicho:

- Dasz radę?

- Tak - odparł bez wahania Erie.

Był przekonany, że mówi prawdę. Nie podobało mu się to, ale był w stanie wykonać swoje zadanie.

Jaclyn Wilde była dla niego możliwością, nie zobowiązaniem.

Garvey zerknął na porucznika Neillea, który westchnął i potarł szczękę.

- Tymczasem pracuj - zdecydował. - Jeśli ona zacznie nam do tego pasować, przekażemy sprawę komu innemu, gdyby okazało się, że masz problem. Zrób to jak należy, Wilder. W razie wątpliwości będziesz musiał przyglądać się jej dłużej i bardziej surowo niż normalnie, więc weź to z góry pod uwagę.

- Biorę.

Wierzył w to. W Hopewell detektywów nie brakowało. Było ich sześciu, dwóch na każdej zmianie.

Franklin, który pracował razem z Erikiem, wracał z Disney Worldu dopiero w niedzielę wieczorem.

Nie było mowy o tym, by wzywać go do powrotu z najszcześniejszego miejsca na ziemi, jeśli Erie zapewnił, że sobie poradzi. Miarą zaufania przełożonych było to, że mimo wszystko pozwolili

Ericowi zajmować się śledztwem. Oświadczył, że nie będzie konfliktu interesów, a oni mu uwierzyli.

Gdyby jeszcze umiał przekonać o tym samego siebie...

Rozdział 9

Jaclyn odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie znalazła się w chłodzie domowego zacisza. Ponieważ nie musiała już robić dobrej miny do złej gry na użytek Madelyn, mogła się trochę odprężyć. Nie czuła się całkowicie zrelaksowana, wciąż bowiem tkwiła w niej złość wywołana tym, że Carrie ją uderzyła, a ona musiała to znieść, zamiast dać nauczkę tej zdzirze. Osiągnęła jednak tyle, że uznała, iż załatwiła sprawę najlepiej, jak się dało, choć na pewno nie w najbardziej satysfakcjonujący sposób.

Niedawne wydarzenia i wynikający z nich stres sprawiły, że czuła się wyczerpana. Perspektywa spędzenia wieczoru w domu i świadomość, że ma niewiele do zrobienia, graniczyła z przekonaniem, iż to prawie raj. Zrzuciła spodnie trzy czwarte i bluzkę bez rękawów, które nosiła przez cały dzień, dołożyła do nich porcję prania z kosza i włożyła wszystko do pralki. Potem zmieniła pościel na świeżą, a używaną zaniosiła do pralni. Pozostało jej wziąć prysznic i przebrać się w piżamę.

Będąc pod prysznicem, usłyszała dzwonek telefonu, nie pobięła jednak go odebrać. Po takim dniu nie było spraw, które nie mogły poczekać. Nie spieszyła się i nawet umyła głowę. Gdy wysuszyła włosy, użyła balsamu do ciała, po czym włożyła piżamę i dopiero wtedy zajrzała do poczty telefonicznej. Nie było wiadomości, więc sprawdziła, kto dzwonił.

To był jej ojciec. Zmarszczyła czoło. Jeśli nie odebrała telefonu, Jacky zwykle zostawiał wiadomość, nawet krótką, w rodzaju: „Cześć, kochanie. Dawno z tobą nie rozmawiałem”. Zdążyła się

przekonać, że brak wiadomości oznaczał, iż ojciec ma do niej sprawę, czyli zapewne chce ją o coś poprosić. Nie sposób było zgadnąć, czego sobie życzy. Z Jackym wszystko było możliwe. Wybrała więc jego numer, a on odpowiedział jeszcze w trakcie pierwszego dzwonka.

- Cześć, malutka - przywitał się radośnie. - Jak się czuje moja dziewczynka?

- Zmęczona. Miałam ciężki dzień w pracy Brałam prysznic, kiedy dzwoniłeś. Co się stało?

- Dlaczego musiało się coś stać? Nic mogę zatelefonować, żeby po prostu z tobą porozmawiać?

Jaelyn uśmiechnęła się, słysząc w jego tonie oburzenie z domieszką poczucia winy. Ojca cechowała poczciwość, był duszą każdego towarzystwa, naprawdę ją kochał, był czarujący i kompletnie nieodpowiedzialny. W jego miłość nie wątpiła ani trochę, była jednak pewna, że gdyby miał wybierać między uratowaniem jej lub siebie przed utonięciem, roniłby potem krokodyle łzy na jej pogrzebie.

- Możesz, ale tego nie zrobiłeś - odparła. - Co się stało?

- No wiesz... mam do ciebie małą prośbę.

Mała prośba sprowadzała się zwykle do pożyczania pieniędzy, ponieważ Jacky nieustannie cierpiał na ich brak. Kupno drogiej butelki szampana, by uczcić cokolwiek, było dla niego ważniejsze niż opłacenie rachunków. Zwykle mu odmawiała, czasem jednak spełniała jego życzenie, jeśli suma nie była zbyt wielka, a powód wywoływał uśmiech na jej twarzy. Kiedyś Jacky domagał się od niej stu dolarów na kupno plastikowych kacuszek, które mogłyby wziąć udział w wyścigu organizowanym na cele dobroczynne. Pomysł spodobał jej się tak bardzo, że dołożyła od siebie drugą setkę, kupili kacuszek za dwieście dolarów i razem wzięli udział w wyścigu. Żadna z ich kaczek nie wygrała, ale bawili się wspaniale.

- Ile i na co?
 - Nie chodzi o pieniądze - odparł szybko. - Dobrze mi się powodzi. Poznałem kogoś i...
 - Wielkie nieba, czy będę miała macochę numer jedenście? Nastąpiła krótka pauza.
 - Jedenaste? - powtórzył wstrząśnięty - Czyżbym był żonaty tyle razy? Była oczywiście twoja matka, potem Brigitta, Kristen, później... - zawiesił głos.
 - Ariel - podpowiedziała mu Jaclyn.
- Nie zdziwiła jej luka w pamięci Jackyego. Ariel przetrwała zaledwie niecałe dwa tygodnie.
- Rzeczywiście, musiałem wyrzucić ją z pamięci. To była wyjątkowa piekielnica, nie dało się z nią mieszkać. Po niej była... już wiem, Peni, prawda? Ale to tylko pięć. Nikogo więcej nie pamiętam.
 - Żartowałam. Na razie doszedłeś do pięciu.
- Z Peni pozostał w związku dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał; to było jego drugie co do długości małżeństwo, ustępujące jedynie temu z Madelyn. Nawiasem mówiąc, „Peni” nie było imieniem, tylko przydomkiem powstałym przez zgubienie jednej literki i wiele mówiącym o upodobaniach jego posiadaczki, co tłumaczyło długotrwałość małżeństwa. Jaclyn wiedziała, że opowieść o pochodzeniu przydomka jest prawdziwa, ponieważ słyszała ją z ust samej zainteresowanej.
- Powinienem być wiedzieć od razu - powiedział zafrasowany - Chyba się przestraszyłem, że kilka rzeczywiście wykreśliłem z pamięci.
 - Mogły się przyczepić do ciebie w Las Vegas jakieś pijawki, o których nie wiem, ale jeśli były, a ty ich nie pamiętasz, to stałbyś się bigamistą. Ja wiem o pięciu.
 - Wobec tego jestem czysty, bo ty znasz wszystkie.

Jacky nie był ani trochę zakłopotany małżeńskimi niepowodzeniami. Nie czuł się też w obowiązku tłumaczyć ze swojego postępowania, jeśli bowiem dobrze się bawił, był to dla niego wystarczający powód, by mieć wszystko, czego pragnie.

- Jeśli się nie żenisz i nie potrzebujesz pieniędzy, to o jakiej przysłudze myślisz?

Nastąpiła kolejna krótka pauza.

- Rzeczywiście kogoś poznałem. Zaprosiłem ją dziś wieczorem na kolację i chcę zrobić na niej wrażenie, więc pomyślałem, że może pożyczylabyś mi swojego ja...

- Nie - przerwała mu oschle Jaclyn. - Nie ma mowy.

- Obiecuję, że będę ostrożny...

- Nie. Twoja ostrożność ogranicza się do zamknięcia za sobą drzwi samochodu. Albo zostawisz kluczyki w stacyjce i ktoś go ukradnie, albo go rozbijesz lub będziesz uprawiał w nim seks.

- Nie zostawiłbym kluczyków - sprzeciwił się. Przynajmniej miał dość uczciwości, by nie zaprzeczyć dwóm

pozostałym możliwościom.

- Odpowiedź wciąż brzmi „nie”. Jeśli chcesz jechać na randkę jaguarem, zwróć się do wypożyczalni.

- W takim wypadku potrzebowałbym pożyczki.

- Nie.

- Jaclyn, malutka...

Ależ był uparty. Trzymał ją przy telefonie jeszcze dwadzieścia minut, raz po raz próbując nowej taktyki, pozostała jednak niezłomna. Zupełnie jej nie obchodzi, że jego nowa seksowna znajoma może okazać się „tą jedną jedyną”, jeśli tylko uda mu się wywrzeć na niej odpowiednie wrażenie. Nie wydaje jej się, by groziła mu śmierć z żalu po utracie wielkiej miłości. Nie zgodzi się na wet, jeśli on obieca przed zwrotem wymyć jaguara i wypucować wszystkie jego detale. W szczerść tej obietnicy nie wątpiła, nie

wierzyła jednak, że starczy mu wytrwałości, by dotrzymać słowa. Gdy wreszcie udało jej się odłożyć słuchawkę, była maksymalnie rozdrażniona, a na ostatnie propozycje ojca odpowiadała krzykiem. Teraz była jeszcze bardziej wyczerpana niż przed wzięciem prysznic. Postanowiła pod żadnym pozorem nie odbierać telefonu tego wieczoru. Chyba że zadzwoni Madelyn albo Erie. Nie, on nie zatelefonuje. Wiedziała, że tego nie może się teraz spodziewać, raczej w przyszłym tygodniu. Musiała się trzymać raz podjętej decyzji i cierpliwie czekać.

Jedynym sposobem na ukojenie jej rozkołatanych nerwów było spędzenie kilku godzin przed telewizorem. Nastawiła kanał Dom i Ogród i zaczęła oglądać kolejne odcinki *House Hunters*. Za każdym razem próbowała zgadnąć, który dom zostanie kupiony; na ogół trafiała, czasem jednak wybór bohatera wprowadzał ją w osłupienie.

Właśnie nadawano trzeci odcinek, kiedy zabrzączał jej telefon komórkowy. Odruchowo stężała, używała go bowiem w zasadzie wyłącznie do pracy. Nieufnie wzięła aparat do ręki i spojrzała na wyświetlacz. Bishop Delaney? Po co, u licha, dzwoni? Nacisnęła zielony przycisk.

- Cześć, Bishop. Coś się stało?

- W domu weselnym popełniono morderstwo - powiedział bez wstępów. - Nie wiem, kogo zabito, ale pomyślałem... Zostawiliśmy cię tam z krwiożerczą Carrie Edwards.

Po sekundzie, której potrzebowała na przyswojenie otrzymanej informacji, poczuła gwałtowne ssanie w dołku.

- Mój Boże, czyżbyś sądził, że Melissa...

Nie była w stanie dokończyć tej myśli. To byłoby potworne, gdyby Melissa została napadnięta i zamordowana.

- Czy jesteś pewien, że doszło do morderstwa?

- Tak słyszał mój przyjaciel. Chciał przejechać tamtędy po drodze do domu, ale ulica była wyłączona z ruchu i musiał skorzy stać z objazdu. Przy najbliższej stacji benzynowej przystanął i spytał, co się stało, a ktoś z obsługi powiedział mu, że podobno zabito jakąś kobietę.

- Kiedy? O której godzinie?

W domu weselnym mogło być dziś wieczorem jakieś przyjęcie albo spotkanie, chociaż Melissa o niczym takim nie wspomniała. Kiedy grupa ludzi schodzi się razem, nie sposób przewidzieć, co im strzeli do łbów. Jaclyn miała szczerą nadzieję, że rzeczywiście coś się działo w domu weselnym wieczorem, ponieważ to znacznie zmniejszyłoby prawdopodobieństwo, że coś się stało Melissie.

- Nie udało mi się ustalić. Szczegóły o jedenastej.

Jaclyn zamierzała wcześniej pójść spać, jednak w tej sytuacji musiała poczekać, jeśli chciała się dowiedzieć, kogo zamordowano. Poświęcili z Bishopem jeszcze kilka minut na domysły, co mogło zajść, ale było to bezproduktywne, bo żadne z nich nie wiedziało niczego pewnego. Gdy w końcu zakończyli rozmowę, Jaclyn kilka razy przełączała telewizor na różne lokalne stacje, w żadnej jednak nie pokazywano niczego spoza ramówki i nawet na pasku nie było wiadomości.

Za piętnaście dziesiąta rozległ się dzwonek u drzwi. Była już tak nakręcona, że poderwała się w jednej chwili. Kto to, do diabła?

Zerknęła na siebie i z szafy przy drzwiach szybko wyjęła sweter, który zamaskowałby jej brak stanika. Naciągnęła go i zerknęła przez wizjer.

Erie?

Bez wątplenia to on był jednym z mężczyzn stojących na podeście. Uderzyła ją straszna myśl, sto razy gorsza od policzka wymierzonego jej przez Carrie Edwards. Madelyn! Coś stało się matce.

Morderstwo...

Przez chwilę mocowała się z zamkiem, wreszcie szarpnięciem otworzyła drzwi. Gdy patrzyła na Erica, drętwiały jej wargi.

- Mama? - spytała słabo. - Czy z moją mamą wszystko w porządku?

Erie wymienił spojrzenia z towarzyszącym mu mężczyzną.

- O ile wiemy, to tak.

Omam nie zemdlam, tak jej ulzylo. Musiala przytrzymac sie framugi.

- To jest sierzant Garvey - przedstawil swojego towarzysza. - Czy mozemy wejsc? Chcielibyśmy zadac pani kilka pytan o Carrie Edwards.

Byla tak blada, kiedy otwierala drzwi, ze Erie nie byl pewien, czy Jaclyn nie robi sie slabo. Teraz, gdy odsuwala sie, by ich wpuścić do mieszkania, wciaz byla bardzo blada.

- Carrie? Tak, prosze wejsc. Czyli moja mama... i to nie byla Melissa. A moze? Czy Carrie zabila Melisse? - Zacisnela dlonie prawie jak do modlitwy i wciaz stala przy wejsciu, a w jej twarzy najlepiej bylo widać wielkie niebieskie oczy.

Ericowi wydawala sie bezwstydnie seksowna, zupełnie jak poprzedniego wieczoru, mimo ze gore pizamy przykryla swetrem. Gdy weszli z Garveyem, zauwazył otwartą szafe przy drzwiach i wciaz lekko kołyszacy sie wieszak, zrozumial wiec, ze przed chwila wyjela sweter. Szkoda, pomyslal, bo chętnie znowu zobaczyly jej piersi, z drugiej strony, cieszył sie, ze tak wyszlo, bo cholernie nie chcial, zeby jej piersi zobaczył Garvey. Uswiadomil sobie mgliście, ze taka zaborczosc nie wrózy niczego dobrego.

Tymczasem Garvey przenikliwym spojrzeniem lustrowal otoczenie, poczawszy od detali eleganckich mebli po Jaclyn. Zanim osiadł w Hopewell, awansowany na stopien sierzanta, pracowal jako detektyw w kilku niezbyt porzadnych miejscach. Z powodu

wcześniejszych kontaktów Erica z Jaclyn nie było mowy o tym, aby przesłuchiwał ją osobiście, co całkiem mu odpowiadało. Bez względu na to, czy była winna, czy nie, Garvey przyszedł tutaj jako dodatkowa para oczu i jako świadek tego, że pracę wykonano jak należy.

- Carrie Edwards została zamordowana dziś po południu - powiedział Erie. - Skąd pani o tym wiedziała?

- Nie wiedziałam - odparła. - To znaczy, nie wiedziałam, że Carrie. Miałam telefon... - Machnęła ręką w stronę salonu, co niewątpliwie miało znaczyć, że gdzieś tam znajduje się aparat telefoniczny, a potem głęboko odetchnęła. - Przepraszam, niech panowie usiądą. Kawy? Mogę włączyć ekspres.

- Nie, dziękujemy - powiedział szybko Erie, zanim Garvey zdążył przyjąć propozycję.

Nie chciał mieć do czynienia z tą lurą, nawet gdyby z uprzejmości musiał wypić tylko dwa łyki. Usiedli więc i Jaclyn wyłączyła pilotem telewizor. Erie wyciągnął notes z wewnętrznej kieszeni marynarki i zrobił kilka notatek.

- Kto do pani zadzwonił? - spytał, starając się, by brzmiało to jak najbardziej naturalnie.

- Bishop Delaney, florysta, który zajmuje się, a w każdym razie zajmował się kwiatami na ślub Carrie. Przyjaciół powiadomił go, że w domu weselnym została zamordowana kobieta, więc Bishop zatelefonował do mnie.

- Po co?

- Ponieważ tego popołudnia on i inni usługodawcy zostawili mnie tam samą z Carrie i od razu pomyślał... ojej.

Ostatniemu słowu towarzyszył dość głośny oddech, po czym Jaclyn zmartwiała. Zapatrzyła się na Erica z twarzą jeszcze bielszą niż wcześniej. Kilka razy poruszyła wargami, ale nie wydobyło się spomiędzy nich żadne słowo.

Erie przyglądał się, jak Jaclyn dochodzi do wniosku, który sam się nasuwał. Wyraz jej oczu stopniowo się zmieniał.

- Pan wie, co się stało dziś po południu - powiedziała bezbarwnie - i myśli, że to ja ją zabiłam.

Rozdział 10

- Przesłuchujemy wszystkich - odparł gładko. - Dlaczego Bishop Delaney do pani zatelefonował? Nie uwierzyła mu. Owszem, była przekonana, że odpytają ludzi, którzy byli w domu weselnym tego popołudnia, ale po tym, co zaszło, to właśnie ona musiała być główną podejrzaną.

Nie chciała okazywać urazy. To było głupie. Rozumiała, że Erie wykonuje swoje obowiązki zawodowe i nie powinna spodziewać się po nim niczego innego. Nie byli związani, nie spotykali się regularnie. Nie mieli ze sobą nic wspólnego oprócz tej jednej nocy.

Trzeźwy umysł niewiele jednak jej pomógł, bo mimo wszystko czuła się tak, jakby właśnie dostała obuchem w głowę. Zdziałało wszystko jednocześnie: wstrząs z powodu morderstwa w domu weselnym, przecucie, że ofiarą mogła paść Melissa, przyjazna, choć niezbyt bliska jej osoba, wreszcie irracjonalna panika, gdy widząc Erica, wbiła sobie do głowy, że przyszedł ją zawiadomić o czymś strasznym, co stało się Madelyn. Jaclyn uważała się za osobę odporną na przeciwności życiowe, w tamtej chwili jednak przerażenieomal nie powaliło jej na kolana. Co więcej, właśnie gdy powoli wychodziła z tego stanu, uświadomiła sobie, że Erie, któremu w ciągu jednej nocy dała więcej siebie niż mężowi przez cały okres małżeństwa, podejrzewa, że ona jest morderczynią.

Z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona i nie szukać w nich pokrzepienia i poczucia bezpieczeństwa po tej strasznej chwili, gdy była przekonana, że coś się stało

Madelyn. Chciała usiąść mu na kolanach i przytulić się, żeby odgrodził ją od świata. Co jej się roilo? Ze jedna wspólnie spędzona noc znaczyła dla niego coś więcej niż seks? Jeśli tak, to z pewnością okazała się naiwna. Teraz zamiast ją pocieszyć, poddawał ją przesłuchaniu. Ech, co za otrzeźwienie. Jaclyn zdawała sobie sprawę z irracjonalności poczucia, że została zdradzona, ale to wcale nie zmniejszyło głębokiej urazy. Przez chwilę obawiała się nawet, że narazi się na ostateczne upokorzenie i wybuchnie płaczem. Pomogła sobie, skupiając uwagę na drugim policjancie, którego nazwiska nie zapamiętała. Był starszy od Erica, niższy, z siwiejącymi włosami, ale spojrzenie miał równie przenikliwe.

- Przepraszam - powiedziała, choć jej głos wciąż brzmiał niepewnie - nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

- Garvey - odpowiedział. - Sierżant Randall Garvey

- Sierżant Garvey - powtórzyła.

Ucisk w piersi ustąpił, dzięki czemu wreszcie mogła głębiej odetchnąć. Zaczęła myśleć jaśniej. Erie zadał jej już dwukrotnie to samo pytanie i na pewno ani on, ani sierżant nie byliby zadowoleni, gdyby trzeba je było postawić po raz trzeci.

- Bishop... przypuszczalnie niepokoił się o mnie. Popołudniowe spotkanie z Carrie było katastrofą, a on razem z resztą usługodawców wyszedł wcześniej i zostawił mnie z nią sam na sam. To znaczy była jeszcze Melissa... Melissa DeWitt, ale ona siedziała w gabinecie.

- Dlaczego miałyby się niepokoić?

- Po co pan pyta, skoro pan wie, że ona mnie uderzyła? - odparła ze złością.

Konsekwentnie patrzyła na sierżanta, mimo że pytanie zadał Erie. Jednak dziwnie było patrzeć Garveyowi w oczy, rozmawiając z Erikiem, więc skupiła wzrok na krawacie.

- Próbujemy odtworzyć przebieg wydarzeń. Dlaczego ona panią uderzyła?

- Nie do końca wiem. Najpierw obraziła Estefani Morales, modystkę szyjącą welony, i niewiele brakowało, by Estefani zrezygnowała z tego zamówienia. Wcześniej, tuż przed moim przyjazdem do domu weselnego, odeszła krawcowa. W każdym razie podczas gdy Carrie rozmawiała przez telefon ze swoim narzeczonym, Seanem Dennisonem, próbowałam uspokoić Estefani. Bishop i ja zaczęliśmy z nią rozmawiać, zaproponowałam, że najpierw załatwimy sprawę tortu weselnego, a do welonu wrócimy później. Kiedy Carrie rozłączyła się z Seanem, straciła wszystko ze stołu, podbiegła, uderzyła mnie w twarz i powiedziała, że rezygnuje z moich usług i mnie zwalnia. Jaclyn machinalnie przytknęła dłoń do policzka, chociaż nie czuła piekącego bólu.

- Rozumiem, że organizacja ślubu Dennisona zapewniła pani duży dochód.

- Tak.

W tym momencie w duchu dziękowała Bogu, że zawarła standardowy kontrakt, który teraz chronił i ją i współpracowników.

- Po rezygnacji klientki musiałaby pani zwrócić jej pieniądze? Tu stąpała po twardym gruncie, więc jej głos zyskał na pewności.

- Nie. W kontrakcie jest jasno powiedziane, że w razie wycofania zlecenia przysługuje nam zapłata za czynności już wykonane. Ponieważ ślub Carrie jest... miał być niedługo, a ja większość spraw zdążyłam załatwić, musiałabym zwrócić przypuszczalnie około tysiąca dolarów. W zasadzie pozostały tylko ostatnie szczegóły do uzgodnienia. Paragraf o częściowej płatności wprowadziłyśmy do umowy po to, żeby zabezpieczyć się przed zleceniodawcami, którzy zrywają umowę w ostatniej chwili i odmawiają całości zapłaty. To się zdarzało.

- Krawcowa nazywa się.

- Gretchen Gibson. Uszyła już suknie drухen, a wczoraj Carne Edwards doszła do wniosku, że jej się nie podobają i chce je zmienić. Tłumaczyłam, że jest na to za mało czasu, a poza tym drухen prawdopodobnie nie stać na zamówienie kolejnej sukni. Gretchen powiedziała jej to samo. Carrie nie lubi jednak... nie lubiła sprzeciwów.

Nie mogła zapamiętać, żeby używać czasu przeszłego. Jakoś nie docierało do niej, że Carrie nie żyje. To prawda, że była okropna, lecz Jaclyn nie życzyła jej źle... Gdy ta nieznośna klientka wyprowadziła ją z równowagi, pomyślała, że byłoby wspaniale, gdyby Carrie przewróciła się w drodze do ołtarza albo żeby ktoś wylał jej na głowę butelkę różowego szampana. To byłoby zabawne. Ale morderstwo? Erie wszystko notował. Chociaż nie patrzyła na niego, widziała go kątem oka. W obawie, że sierżant Garvey uzna, iż fascynuje ją jego pierś, przeniosła wzrok na jego kolana, po chwili jednak uznała, że to też nie najlepszy pomysł, i spojrzała na jego stopy. Czubki butów były wytarte.

- Co pani zrobiła, kiedy pani Edwards ją uderzyła?

- Nic.

- Nic? - W jego tonie pobrzmiwało niedowierzanie. - Proszę nie żartować, pani Wilde, coś musiała pani zrobić.

- ^{Ni}e oddałam jej, jeśli o to chodzi - odparła, nadal wpatrując się w buty sierżanta.

Może trzeba by odwrócić spojrzenie? Ostatecznie jak długo można się wpatrywać w czyjeś buty? Nie należało wyłączać telewizora. Mogłaby, odpowiadając na pytania Erica, gapić się w ekran. W tej sytuacji nie interesowałoby jej, czy bohater programu kupi dom numer jeden, dwa czy numer trzy, ale przynajmniej me musiałaby się zastanawiać, na czym skupić wzrok.

- Chciałam rozkwasić jej nos, ale tego nie zrobiłam. Organizacja imprez zapewnia mi utrzymanie, uderzenie klienta nie wchodzi w rachubę. To byłaby kompromitacja firmy. Chyba że wszyscy potencjalni klienci znaliby tę wydrę, pomyślała. Wtedy rozbicie nosa Carrie zostałyby jej zapisane na plus. Nie podzieliła się jednak tą refleksją z policjantami.

- Co wobec tego pani zrobiła?

Głęboko odetchnęła, usiłując uporządkować chaotyczne wspomnienia z tego popołudnia. Powinna opowiedzieć wszystko, co pamięta, nawet to, co nie stawiało jej w najlepszym świetle, bo i tak lepiej, żeby usłyszeli to od niej niż od kogo innego.

- Carrie zagroziła mi zniszczeniem reputacji Premier. Powiedziała, że nikt nie będzie chciał korzystać z naszych usług. Wtedy naprawdę miałam ochotę jej oddać, ale Bishop mnie powstrzymał, i słusznie, bo przecież miałam nad Carrie przewagę - to ona mnie uderzyła. Dlatego dałam sobie spokój. Postanowiłam zachować się profesjonalnie, więc poprosiłam usługodawców, żeby przenieśli rozmowy na inny termin, a na razie wrócili do swoich miejsc pracy, natomiast Carrie zapowiedziałam, że jeśli jeszcze spróbuje mnie tknąć, zgłoszę to na policji.

To wspomnienie budziło u niej niepewność, ponieważ łączyło się z Erikiem. Stwierdziła przecież, że jest z nim w związku, więc skargi Carrie nie zyskują posłuchu. To oczywiście była nieprawda. Odchrząknęła.

- Powiedziałam jej również, że trenuję kickboxing, więc jeśli jeszcze raz mnie uderzy, wytrę jej tyłkiem podłogę. Oczywiście nie uprawiam kickboxingu, liczyłam na to, że tym kłamstwem powstrzymam ją przed następnymi atakami.

Nie mogła dłużej patrzeć na buty Garveya. Zdesperowana, wbiła wzrok w jego lewą rękę. Obrączka była na miejscu.

- Co stało się potem?

- Hm... Carrie zagroziła, że pozwie mnie do sądu, żeby odebrać wszystkie wpłacone pieniądze. Uprzytomniłam jej, że podpisała określoną umowę, a po drugie uderzyła mnie, na co miałam pięcioro świadków. Ona była zdania, że świadkowie będą trzymać język za zębami, żeby nie stracić zlecenia, więc wytłumaczyłam jej, że zlecenie od niej nie jest im do niczego potrzebne. Na końcu złożyłam jej życzenia udanego ślubu i wyraziłam nadzieję, że zjawi się ktoś jeszcze poza tym nieszczęsnym głupcem, który się z nią żeni. Potem poszłam.

- Pięcioro świadków to kto?

Podawała nazwiska czwórki usługodawców i szefowej domu weselnego.

- Wcześniej powiedziała pani, że Melissa DeWitt przebywała w swoim gabinecie.

- Kiedy Carrie mnie uderzyła, poprosiłam Melissę, żeby pozwoliła mi samodzielnie rozwiązać konflikt z Carrie, a ona powiedziała, że musi załatwić kilka telefonów i wyszła z sali przyjęć. Chwilę potem wyprosiłam stamtąd usługodawców, bo zanosilo się na rękoczyny. Carrie została tylko ze mną, a potem ja też wyszłam.

- Która to była godzina?

- Dokładnie nie wiem, ale zatelefonowałam do matki, która jest też moją partnerką w Premier - dodała dla Garveya, bo Erie już to wiedział. - Spotkałyśmy się w kawiarni U Claire przy kawie z muffinką i wszystko jej opowiedziałam. Czas połączenia można odczytać w mojej komórce - powiedziała, wyjmując aparat. - Podobnie mojej rozmowy z Bishopem, gdyby to panów interesowało.

Erie wyraźnie był zainteresowany, bo wziął od niej telefon, ale w pół gestu zatrzymał rękę i spytał:

- Mogę?

- Oczywiście.

Nie miała niczego do ukrycia, a dane z komórki mogły do wieść, że nie zabiła Carrie. Istniało jednak coś tak paskudnego jak poszlaki, a do tego motyw, musiała więc przyznać, że grożą jej kłopoty. Należało zapomnieć o urażonych uczuciach i skupić się jedynie na obecnej sytuacji, która była poważna. Erie tymczasem otworzył jej telefon i zaczął spisywać dane z wykazu połączeń.

- Czy ktoś widział, jak pani wychodzi? - spytał, zamykając telefon i odkładając go na stół.

- Kiedy siedziałam w samochodzie na parkingu, podjechał jakiś nieznany mi mężczyzna.

- Mężczyzna?

- Siwowłosa, w garniturze. To naprawdę wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

- Widziała pani jego samochód?

- Srebrny Sedan. Na markę nie zwróciłam uwagi.

- Czy wszedł do środka? Zastanowiła się przez chwilę.

- Nie wiem. Szedł w stronę bocznych drzwi, ale nie widziałam, jak wchodził.

- Czy prosto z domu weselnego pojechała pani do kawiarni?

- Tak. Mama miała trochę wolnego czasu przed wieczornym ślubem, który organizowała. - Jaclyn

machinalnie zerknęła na zegarek i pomyślała, że dobrze jest chociaż przez chwilę nie patrzeć na

Garveya. - Przyjęcie weselne powinno wkrótce się skończyć. Mama pewnie zadzwoni, żeby zdać mi relację, jak poszło.

- Co pani robiła po wyjściu z kawiarni?

- Wróciłam do domu. Miałam stertę rzeczy do wyprania.

- Widziała pani kogoś? Rozmawiała z kimś?

- Nie, dopiero wtedy, gdy zadzwonił Bishop, by mnie powiadomić, że w domu weselnym kogoś zamordowano.

Czy wróciła pani do domu weselnego?

- Nie, po co miałabym to robić? - spytała obojętnie.

- Pani aktówka została znaleziona na podłodze. Może wróciła pani, żeby ją zabrać i zastała tam pannę Edwards. Wtedy doszło między wami do następnej kłótni!

- Moja...?

faclyn zamrugła, zdumiona. Jak mogła zapomnieć o aktówce? I dlaczego dotąd nie zauważyła jej braku? Rozejrzała się, jakby zguba powinna w czarodziejski sposób się odnaleźć, ale Erie miał rację. Aktówki nic było.

Wbiła wzrok w odległy o parę metrów punkt i zaczęła rekonstruować zdarzenia.

- Położyłam aktówkę na stole, zdążyłam jednak wyjąć z niej terminarz, bo miałam go przy sobie, kiedy asystentka dzwoniła do mnie kilka razy w trakcie spotkania i uzgadniała różne terminy. Potem Carrie dostała ataku szału i wszystko ze stołu zrzuciła, terminarz podniosła jednak Melissa i podała mi go, zanim poszła do swojego gabinetu. Trzymałam go w rękach, wychodząc, więc nie zwróciłam uwagi na brak aktówki.

To była bardzo zła wiadomość. Aktówka stanowiła pretekst do powrotu, a ona po wyjściu z kawiarni była sama.

- Jakie ubranie pani dzisiaj miała na sobie?

Pytanie wydawało się zupełnie bezzasadne. Zaskoczona, omal nie spojrzała na Erica, ale złapała się na tym i skierowała wzrok na stolik. Dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie, w czym chodziła przez cały dzień, i jednocześnie uświadomiła sobie, że policjanci już to prawdopodobnie wiedzą od Melissy. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- W czarnych spodniach trzy czwarte i czarnej bluzce.

- Czy możemy je zobaczyć?

To też nie wyglądało dobrze. Przygryzła wargę.

- Są w pralce.

- W pralce? Uprała je pani?

Nagle poczuła, że ma dość. Złość wzięła górę nad urazą.

- Tak zwykle robi się z brudnymi rzeczami - powiedziała krótko. - Pan pewnie tego nie wie. - W chwili, gdy padły te słowa, wiedziała, że powinna była ugryźć się w język. Nie należało wtrącać do tej rozmowy elementów osobistych. - Przepraszam, to było niepotrzebne. Rzeczy wciąż leżą w pralce. Jeszcze ich nie wysuszyłam.

- Możemy je zobaczyć?

- Jasne. Róbcie, co chcecie.

Poszła z nimi do niedużej pralni i przyjrzała się, jak wyjmują jej rzeczy z pralki i wybierają spośród nich czarne spodnie trzy czwarte i czarną bluzkę bez rękawów.

- Czy używała pani wybielacza? - spytał Erie.

- Do czarnych ubrań?! Zniszczyłabym je. - On pyta ją o pranie? Przecież jest kawalerem, więc też na pewno czasem pierze. Niemożliwe, żeby nie wiedział nic o wybielaczach.

- Czyli nie używała pani wybielacza?

- Oczywiście, że nie! Czy ubrania wyglądają jak szare?

- Nie.

Czyżby usłyszała w głosie Erica nutę rozbawienia? Może tak, a może nie, ale mimo wszystko miała ochotę go kopnąć.

- Chciałbym zabrać te ubrania, jeśli wolno. Jeśli nie, to oczywiście zawsze mogę postarać się o nakaz.

- Niech pan bierze - odrzekła znużona.

Była gotowa zgodzić się na wiele, byle mieć spokój. Nie przyszło jej jednak do głowy, że zabiorą wszystko, co miała w pralce, i w ten sposób poważnie uszczuplą jej garderobę. Bezradnie przyglądała się, jak policjanci konfiskują jej rzeczy. Musiała przyznać, że są dokładni. Nagle zauważyła, że Erie przygląda się stercie prześcieradeł, i przemknęło jej przez myśl, że może jest mu

przyjemnie wspominać ostatnią noc, zaraz jednak ogarnęła ją złość.

- Przepraszam za zapach w pralni - powiedziała. - Na te prześcieradła chyba skunks nasikał. Muszę je spalić, bo za nic już ich nie chcę.

Policjanci siedzieli na powrót w samochodzie, gdy Garvey szeroko się uśmiechnął.

- Głupio mi to mówić, Wilder, ale nie wydaje mi się, żeby ona czuła się teraz swobodnie w twoim towarzystwie.

- Zauważyłem - odburknął Erie.

Nie dość, że patrzyła wszędzie, tylko nie na niego, to jeszcze zdradziła się ostatecznie tym tekstem o skunksie i prześcieradłach.

- Nie mam pewności, myślę jednak, że ona jest czysta.

- Zgadzam się.

Była wstrząśnięta. Nawet najlepsza aktorka na świecie nie potrafi zblednąć na zawołanie, a tym bardziej zmienić średnicy źrenic. Wszystko, co powiedziała Jaclyn, pasowało do zeznań Melissy De Witt. Uprała ubrania, ale to nie było podejrzane, bo jeśli nosiły ślady krwi, analiza to wykaże. Nie użyła wybielacza, który zniszczyłby dowody, ponieważ - jak sama powiedziała - kto stosuje wybielacz do czarnego?

Poza tym nie mogłaby pojechać do kawiarni U Claire na spotkanie z matką, gdyby miała ślady krwi na ubraniu. Z drugiej strony, nie oznaczało to, że można ją skreślić z listy podejrzanych. Z kawiarni mogła wrócić po aktówkę do domu weselnego i tam wdać się w kolejną ostrą wymianę zdań z tą Edwards, zakończoną zadżganiem Carrie za pomocą roznów do kebabu.

Czy jednak wiedząc już, że aktówka jest w domu weselnym, zostawiłaby ją na miejscu drugi raz? Na to wydawała mu się zbyt zorganizowaną osobą. Jeśli jednak zabiła Carrie w ataku

wściekłości, to zszokowana tym, co zrobiła, najprawdopodobniej natychmiast by uciekła.

Kłopot z tym scenariuszem polegał jednak na tym, że Carrie musiałaby poczekać około godziny w pustej sali przyjęć, z nikim się nie spotykając i niczego tam nie robiąc.

Był jeszcze nieznamy mężczyzna, którego przyjazd zauważyła Jaclyn. Pani DeWitt nie wspomniała o nikim więcej, ale nie wychodziła z gabinetu, więc mogła go nie spostrzec.

Erie skupił się na tysiącach szczegółów, które musieli zbadać: usługodawcy, wśród których dwie kobiety miały zatargi z panną Edwards; nieznamy mężczyzna; wcześniejsze rozmowy z telefonu komórkowego Carrie; lista połączeń do wzięcia od operatora, żeby przekonać się, czy niczego nie wymazano z pamięci telefonu. Jaclyn nie była jeszcze oczyszczona z podejrzeń, ale nie wydawało mu się, żeby była winna. Garvey słusznie powiedział, że Jaclyn nie ma aury, która by ich interesowała. Jednak dopóki nie zostanie ostatecznie wykluczona z listy, musi traktować ją tak jak każdego innego uczestnika dowolnej sprawy.

Oświadczyła, że spali pościel, tę w której razem spali. Poznał prześcieradła, były złote z białymi kropkami. Ona pewnie spełni tę zapowiedź, skoro była taka zła. Niech to diabli! Zapewne Jaclyn nie będzie chciała prywatnie się z nim spotkać.

Rozdział 11

Z drugiego końca sali Madelyn uśmiechnęła się do matki panny młodej, przemiętej kobiety, która przez ostatnie dwa tygodnie umierała ze zdenerwowania, a teraz za pomocą płynnych specyfików wreszcie się rozluźniła. Dzielił je zatłoczony parkiet, na którym krewni i przyjaciele tańczyli przy muzyce granej przez zaproszony na wesele zespół. Goście, elegancko ubrani stosownie do okoliczności, w większości byli mocno podpici. Z punktu widzenia Madelyn miało to dobre i złe strony. Dobre, bo ludzie świetnie się bawili. Złe, bo nadmiar alkoholu naraża na różne nieprzewidziane zdarzenia, które mogą się skończyć obrażeniami ciała, kompromitacją lub nawet interwencją policji. W tym momencie wesela Madelyn mogła jedynie trzymać zaciśnięte kciuki za udaną zabawę.

Ślub minął bez komplikacji, parze młodej zrobiono liczne fotografie. Dzięki Peach, mistrzyni makijażu, drużna z podbitym okiem wyglądała pięknie i niczym nie różniła się od innych. Właśnie w tej chwili drużny - same urodziwe blondynki w lśniących czarnych atłasowych kreacjach - pozowały do zdjęcia z kieliszkami szampana w dłoni. Stanowiły kontrastowe tło dla panny młodej, brunetki w kaskadach bieli. Madelyn wiedziała z całą pewnością, że przynajmniej jedna z druzhen wcześniej nie była blondynką, ale rozjaśniła sobie włosy na żądanie oblubienicy. Bądź co bądź, efekt wizualny miał duże znaczenie.

Suknia ślubna była efektowna. Pod spódnicą sukni mogłaby zmieścić pana młodego i jeszcze drużbę i nikt by tego nie zauważył, może z wyjątkiem rozbrykanego pięcioletniego chłopca od

obrączek, który w pewnej chwili postanowił zajrzeć pod tę górę białej koronki. Bardzo tym wszystkim rozbawił, śmiała się nawet panna młoda, która była ładna i sympatyczna, a w tym uroczystym dniu chciała wyglądać jak księżniczka.

Około dwustu osób przyszło na ślub w staroświeckiej kaplicy, przyozdobionej kremowymi kwiatami i migoczącymi świecami, co wprowadziło nastrój rozmarzenia i zachwyciło nawet Madelyn. Nie była romantyczką, wykurowało ją z tego małżeństwo z Jackym Wildeem, ale niektóre śluby poruszały w niej czułą strunę. Może zależało to bardziej od młodej pary niż od scenerii, a w tym wypadku państwo młodzi byli sobą wyraźnie oczarowani. Patrząc na nich, trudno było się nie uśmiechać. Madelyn cieszyła się więc, że ich ślub i wesele są bliskie doskonałości.

Po ceremonii rodzina i goście przenieśli się do pobliskiego domu weselnego, gdzie nie sposób było dokonać weekendowej rezerwacji później niż z półrocznym wyprzedzeniem, a jeśli ktoś życzył sobie konkretny dzień, to najlepiej, żeby zdecydował się rok wcześniej. Dlatego zdecydowano się na ślub w środku tygodnia, skoro bowiem państwo młodzi tylko tak mogli znaleźć bliski termin w upragnionym miejscu, to nie należało kręcić nosem.

Tymczasem Madelyn nie miała tu nic więcej do roboty, więc mogła spokojniej odetchnąć. Słowo „tymczasem” miało jednak swoje znaczenie. Dopóki państwo młodzi nie odjadą, dopóty jej obecność będzie konieczna. Musiała się upewnić, że odjazd odbył się zgodnie z planem, i dopiero wtedy mogła w spokoju wrócić do domu. Jeden ślub zaliczony, cztery jeszcze przed nią. Gdyby przyjechała z nią Peach, mogłyby porozmawiać o następnych próbach i uroczystościach, komentując jedzenie i stroje na tym weselu i może trochę plotkując. Prawdę mówiąc, nie było tutaj pracy dla dwóch. Nie warto było ściągać Peach akurat na ten wieczór. Następne dni zapowiadały się jeszcze goręcej.

Wzięła od przechodzącego kelnera kieliszek szampana, upiła łyk i obeszyła salę. Na tym łyku zamierzała poprzestać, ale nie odstawiła kieliszka, wciąż trzymała go w ręce, witając się z osobami, które znała, i z wdziękiem przyjmując od rodziny wyrazy uznania za organizację ślubu i wesela. Nie spieszyła się, z każdym zamieniała po kilka zdań, zgodnie z regułami gry. Wszyscy obecni byli potencjalnymi klientami, może prawie wszyscy, bo nie wydawało jej się, by dziewięćdziesięciodwuletni pradziadek panny młodej potrzebował usług Premier. Tak czy inaczej, należało zadbać o dobre wrażenie. Nie wyjęła ani jednej wizytówki, bo przecież ci, którym się podobało, zapamiętają nazwę firmy, a niezadowoleni i nie-zainteresowani i tak wyrzuciliby bilet wizytowy do najbliższego kosza.

Czasem myślała o tym, że miały z Jaclyn mnóstwo szczęścia, wybrawszy dość przypadkowo zajęcie. Uruchomienie wspólnie z córką agencji Premier okazało się najmądrzejszą decyzją, jaką Madelyn podjęła. Były także inne, kretyńskie - Jaclyn świadkiem -ale założenie firmy było niewątpliwie przejawem geniuszu. Sama sobie była szefową, a do tego utrzymywały z Jaclyn bliskie stosunki. Nie każda kobieta może pracować z własnym dzieckiem, to jasne. Madelyn udało się stworzyć firmę, która prosperowała. Peach i Diedra, które później dołączyły, były teraz jak rodzina. Zażyłość z Peach trwała znacznie dłużej, ale wspólna praca umocniła ich więź.

Długie i czasem bardzo męczące dni zwykle pomagały Madelyn bronić się przed poczuciem, że jest jeszcze zbyt młoda, by rezygnować z mężczyzn. Zwykle, choć nie zawsze.

Małżeństwa przypominały kolejkę górską. Miały swoje wzloty oraz upadki i gwałtowne zwroty, a czasem stawiały sprawy na głowie i człowiekowi robiło się od tego niedobrze. Pomysł, żeby zająć się ślubami i weselami - które były jak ta ekscytująca

pierwsza chwila, gdy wsiada się do lśniącego wagonika i z dreszczykiem emocji zapina pasy przed szaloną jazdą - mogła wydawać się dziwna u kobiety, której pierwsze małżeństwo wypadło z szyn, roztrzaskało się i spłonęło. Było wiele sposobów na opisanie związku z Jackym Wilde'em.

Lata, które z nim spędziła, rzeczywiście przypominały wariacką jazdę; były wspaniałe szczyty, ale przede wszystkim upadki. Gdyby wiedziała wówczas tyle, ile teraz... mimo to poślubiłaby tego drania. Złamał jej serce, ale bywało też wspaniale, zwłaszcza na początku. Przede wszystkim zaś Jacky dał jej Jaclyn.

Bezgranicznie kochała córkę nie tylko dlatego, że była jej dzieckiem, lecz również dlatego, że darzyła ją jako osobę szczerą sympatią. Nawet gdyby nic łączyło ich bliskie pokrewieństwo, Jaclyn prawdopodobnie byłaby jej ulubienicą. Madelyn przygnębiała myśl, że swoim małżeństwem nauczyła córkę nadmiernej ostrożności i być może Jaclyn nie zazna niemal zatrważającej ekstazy związku opartego na uczuciu. Nie polepszało jej samopoczucia to, że małżeństwo córki skończyło się tak szybko. Co gorsza, za tym rozwodem nie stał żaden dramat, po prostu drogi Jaclyn i jej męża rozeszły się, jakby uznali, że nie ma o co walczyć.

Co zaś do przykładu, jaki dał Jacky swoimi pięcioma małżeństwami... Nie ma o czym mówić.

Madelyn pragnęła, żeby jej córka pokochała, zaryzykowała, wsiadła do lśniącego wagonika, nie wiedząc, dokąd się potoczy. Smuciło ją więc, że to pragnienie pewnie się nie ziści, a Jaclyn może się nie zakochać. Do tego niezbędne były wiara i skok w nieznane - trzeba było komuś zaufać i pozwolić, by stał się dla ciebie ważny. Jaclyn bardzo zręcznie unikała wszelkiego ryzyka, jakie wiąże się z zaangażowaniem uczuciowym.

Zaskoczona Madelyn drgnęła, czując, że ktoś ujmuje ją od tyłu za ramię. Zdziwiło ją, kogo widzi. Shirley, jedna z jej dobrych znajomych, często pracująca przy ślubach w Atlancie i okolicach,

znana była z tego, że podczas wesela nie opuszcza kuchni. Zatem musiało dojść do kuchennej katastrofy, uznała Madelyn. Shirley istotnie miała zatroskany wyraz twarzy.

- Czy twoja córka mieszka w Hopewell?

- Tak. - Madelyn poczuła nagły skurcz serca. Matczyny instynkt został wyrwany z uśpienia, bez wątpienia bowiem coś się stało. Shirley miała rumieńce na policzkach i błyszczące oczy -Dlaczego pytasz?

- W domu weselnym w Hopewell popełniono morderstwo -odparła, zniżając głos do szeptu. - Wiesz, w tym dużym.

Madelyn zmartwiała.

- Kogo zamordowano? - spytała z najwyższym wysiłkiem.

Odeszły z Shirley na bok, aby znaleźć się dalej od pary zajmującej miejsca przy najbliższym stoliku przykrytym białym obrusem. Co dzisiaj odbywało się w I Hopewell? Madelyn szybko rozważała różne możliwości. Melissa, szefowa? Ktoś z kontrahentów? Może jeden z dobrych znajomych? Ofiarą mógł być ktokolwiek z ich światka. W milczeniu wzniosła modlitwę dziękczynną, że Jaclyn nie miała dziś wieczorem niczego w programie, a gdy się rozstawały, zapowiedziała, że wraca prosto do domu.

Powinna teraz siedzieć bezpiecznie w domowych pieleszach, oglądając ulubiony kanał Dom i Ogród.

- Nie wiem - odparła Shirley - Słyszałam jednak, że na parkingu pełno było samochodów służb ratunkowych i policyjnych i że ktoś nie żyje.

Madelyn przeszył dreszcz. Świadomość, że córka otarła się o zbrodnię, wywołała u niej nagłą potrzebę usłyszenia jej głosu. Nie chodziło tylko o to, że Jaclyn mogła znać więcej szczegółów niż Shirley.

Szybko rozejrzała się po sali, stwierdziła, że nie widać, by szykowały się jakieś kłopoty, i zważym krokiem skierowała się do toalety.

Po drodze otworzyła wieczorową torebkę zdobioną kryształami górskimi i wyjęła z niej komórkę. Przed rozpoczęciem ślubu wyłączyła sygnał, okazało się więc, że ma pięć nieodebranych połączeń. Sprawdziła, że Jaclyn nie dzwoniła, i wbrew temu, co dyktowała logika, poczuła przyływ niepokoju, chociaż prawdopodobieństwo, że to Jaclyn padła ofiarą, było znikome. Przystąpiwszy próg toalety, zaczęła wybierać numer.

- Halo? - odpowiedziała Jaclyn po pierwszym dzwonku, jakby spodziewała się telefonu.

Pod Madelyn ugięły się kolana. Głos niewątpliwie należał do jej córki, choć wydawał się dość słaby i napięty.

- Shirley właśnie powiedziała mi...

- Mamo! Słyszałaś...

Obie urwały w tej samej chwili, gdy ich słowa nałożyły się na siebie. Potem Jaclyn odetchnęła i powiedziała:

- Słyszałaś, co stało się w domu weselnym?

- Shirley coś mi powiedziała, ale ona niewiele wie. A co ty wiesz?

- To Carrie.

- Zabiła kogoś? Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło u tej psychopatycznej potworzycy.

- Nikogo nie zabiła. To ją ktoś zamordował.

Madelyn usiłowała przyswoić sobie tę wiadomość i coś do niej dodać. Wyszło to następująco:

- I tak nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło. To na prawdę był psychopatyczny potwór.

Jaclyn czekała na stosowną grzecznościową przeciwwagę dla tego oświadczenia, ale się nie doczekała.

- Nie powiesz: „Boże, miej litość”? - spytała w końcu.

- Wolę się okazać niemiłosierna, niż kłamać. Tak mi się zdaje. No dobrze, skłamię. Boże, miej litość.

Jaclyn wydała z siebie dziwny odgłos, coś pośredniego między czknięciem a wymuszonym śmiechem.

- Była tu policja, zadawała pytania - odezwała się po chwili. -Wiedzą, że Carrie mnie uderzyła. Przypuszczają, że ja to zrobiłam.

Madelyn uległa atakowi przerażenia.

- Co takiego?! - wykrzyknęła przenikliwie i ponieważ rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy w toalecie nikogo nie ma.

W szparze pod drzwiami jednej z kabin zauważyła praktyczne czarne czółenka. Były całkiem nieruchome, ich właścicielka nie siusiała, nie robiła niczego innego - co do tego zresztą nie można było mieć pewności - lecz najwyraźniej podsłuchiwała.

- Poczekaj chwilę - powiedziała do córki. - Wyjdę na dwór.

Musiała jeszcze raz precyzyjnie przejść przez tłum. W końcu owionęło ją wilgotne powietrze wieczoru.

Nawet tu jednak nie była zupełnie sama, dookoła bowiem stało kilku palaczy. Spojrzała na nich z rozdrażnieniem, czego oczywiście nie mogli zauważyć, i odeszła w przeciwnym kierunku. Dopiero kiedy ich rozmowy stały się niezrozumiałe, uznała, że i jej słów nie będzie tam słychać.

- W porządku - powiedziała. - Jestem sama. Czy mówisz poważnie? Czy gliniarze w Hopewell to kompletne matole?

- Wygląda na to, że ostatnia widziałam ją żywą - odparła posępnie Jaclyn.

- Nie. Ostatni był ten, kto ją zabił.

- W porządku. Ostatnia z tych, o których policja wie. Połącz to z faktem, że ona mnie uderzyła, a potem mi wymówiła. Miałam motyw.

- Zważywszy na jej osobowość, prawdopodobnie pół aglomeracji Atlanty miało motyw - stwierdziła zapalczywie Madelyn. -Poza tym zostawiłaś ją w domu weselnym i przyjechałaś do kawiarni U Claire. Jestem twoim alibi.

- Najwyraźniej stwierdzenie dokładnego czasu zgonu nie jest w życiu tak proste jak w serialach. Zresztą jest jeszcze najgorsze. Zo stawiałam po południu w domu weselnym aktówkę, a oni ją znaleźli. Mogłam zabić Carrie albo przed spotkaniem z tobą, albo potem.

- Ale tego nie zrobiłaś.

- Oczywiście, że nie. W zasadzie się nie martwię - powiedziała Jaclyn, choć z jej tonu Madelyn wnioskuje zupełnie co innego. - Nie zrobiłam tego, więc nie może być dowodów na coś wręcz przeciwnego. Tyle że obecnie jestem główną podejrzaną. Zabrali moje ubranie.

- Ubranie?

Madelyn spróbowała sobie wyobrazić Jaclyn stojącą nago pośrodku pokoju.

- To, które nosiłam dzisiaj. Uprałam je, co też nie wywarło dobrego wrażenia. Zabrali wszystko, co miałam w pralce.

Postępowanie policji wydawało się Madelyn bezceremonialne i upokarzające. Wiedziała, że jest w tej chwili potrzebna córce.

- Zaraz sprawdzę, czy mogę przyspieszyć bieg wydarzeń, żeby szczęśliwa młoda para odjechała ku swemu wspólnemu przeznaczeniu - powiedziała. - Potem błyskawicznie do ciebie przyjadę. Nie martw się, kochanie, dopilnuję, żeby to wszystko się wyjaśniło.

Jaclyn rozłączyła się, pokrzepiona rozmową z matką. Dźwięk głosu Madelyn sprawił, że poczuła się lepiej, uwierzyła, że wszystko się ułoży. Policja znajdzie człowieka, który zabił Carrie, a ona wkrótce zapomni o dzisiejszym wieczorze. Nagle przyszło jej do głowy, że powinna zadzwonić do ojca. Jeśli ktokolwiek znał sposoby na policję, to właśnie Jacky.

Ze światem musiało dziać się coś naprawdę niedobrego, jeśli rozważała zwrócenie się o radę do ojca. Prawdopodobnie kazałby

jej natychmiast wyjechać do Meksyku. Uciekanie przed kłopotami było stałą taktyką Jackyego. Postanowiła spełniać wszystkie życzenia policji. Madelyn będzie ją wspierać w każdej sytuacji, a wszyscy kontrahenci, którzy byli po południu w domu weselnym, potwierdzą każde jej słowo. Jeśli po zakończeniu śledztwa Erie Wilder ośmieli się jeszcze raz zaproponować jej spotkanie, jakby nic nie zaszło, ona ugryzie się w język i nie nazwie go podstępny draniem - ostatecznie wykonywał przecież swoją pracę - tylko powie mu, że nie wydaje jej się, by do siebie pasowali. Godne zachowanie poprawi jej samopoczucie.

Wbrew tym planom wybuchnęła płaczem.

Rozdział 12

Erie był tak zmęczony, że idąc do komendy, ledwie przebierał nogami. Miał za sobą bardzo długi dzień, a poprzedniej nocy spał krótko, chociaż na to ostatnie nie narzekał. Godziny spędzone z Jaclyn dostarczyły mu wspaniałych przeżyć. Wiedział, że zanim wróci do domu, musi opisać dowody rzeczowe i wypełnić liczne dokumenty, więc zobaczy swoje łóżko dopiero za kilka godzin.

Rodzina ofiary została powiadomiona. To było najtrudniejsze. Razem z Garveyem odbyli dwie niełatwe wizyty Rodzice zamordowanej byli zrozpaczeni. Nie wylewali łez, nie zamęczali detektywów pytaniami, ale wyglądali tak, jakby uszło z nich powietrze. Nagle odebrano im rację istnienia. Narzeczony, Sean Dennison, którego ojciec był senatorem stanowym, przeżył wstrząs.

- Przecież z nią rozmawiałem - powtarzał. - To nie może być ona.

Wiedzieli, że do niej dzwonił, ponieważ wcześniej sprawdzili połączenia zarejestrowane w telefonie ofiary. Sean twierdził, że podczas tej rozmowy był w pracy, co rano można było łatwo zweryfikować, więc jeśli skłamał, to głupio. Naturalnie, Erie nie wykluczał różnych nieprzemyślanych zachowań, przecież stykał się z nimi na co dzień. Na ogół przestępcy nie byli tytanami umysłu.

Erie wpadł do komendy, zanim pojechał przesłuchać Jaclyn. Teraz musiał się zająć zarekwirowanymi jej ubraniami oraz wciągnąć do akt otrzymane od niej upoważnienia, napisać raport... Do diabła, czy należało się dziwić, że wolał rzucić w tego bandziora bańką z olejem, niż strzelić? Gdyby użył broni, wciąż jeszcze

byłby zajęty wypełnianiem formularzy. A tak mógł bez przeszkód pracować nad sprawą zabójstwa... i wypełniać formularze. Od tej cholernej roboty papierkowej nie było ucieczki.

Uwinał się z ewidencjonowaniem przedmiotów i przekazał je do badania, chociaż był pewien, że na ubraniach Jaclyn nie ma żadnych śladów, w tym krwi, i powinien wyeliminować ją z kręgu podejrzanych. Garvey stwierdził, że Jaclyn nie ma odpowiedniej aury, u żadnego z nich nie dał o sobie znać instynkt. Jednak podczas rozprawy sądowej nie mogli przedstawić swoich odczuć, tylko dowody. Dopóki Jaclyn nie zostanie ostatecznie wyleliminowana z kręgu podejrzanych, on musi zachować szczególną ostrożność w postępowaniu ze wszystkim, co jej dotyczy. Nie wolno dopuścić do przypuszczenia, że traktuje Jaclyn ulgowo.

Nawet nie wolno mu zadzwonić do niej i powiedzieć: „Cześć, uważam, że tego nie zrobiłaś, ale muszę przeprowadzić śledztwo zgodnie z obowiązującymi procedurami i traktować cię jak każdego innego podejrzanego”. Taka rozmowa telefoniczna byłaby z jego strony przekroczeniem uprawnień i nic nie mógł na to poradzić. Po zamknięciu dochodzenia jeszcze raz spróbuje szczęścia u Jaclyn. Może nie należy do osób, które chowają urazy. Może potrafi zachować się racjonalnie i nie dramatyzować bez potrzeby. Nie wydawała mu się nadmiernie emocjonalnym typem, przeciwnie, była chłodna i opanowana. To pozwalało mu żywić nadzieję, a zarazem stanowiło dodatkową zachętę, by sprawnie przeprowadzić śledztwo i znaleźć winnego.

Z czystej ciekawości przeprowadził komputerowe poszukiwania na temat roznów do kebabu. Okazało się, że mogą być bambusowe, stalowe nierdzewne, dekoracyjne albo zwyczajne. Uznał, że mężczyzna przy zdrowych zmysłach, oprócz zawodowych kucharzy, nie poświęciłby najmniejszej uwagi pieczeniu na pręcie mięsa z warzywami.

Odsunął od siebie pisany raport, odchylił się na oparcie krzesła i oparł stopy o blat biurka. Splótłszy palce na karku, rozluźnił mięśnie ramion, zamknął oczy, po czym zaczął analizować w myślach wszystko, co zobaczył i usłyszał tego wieczoru, żeby jakoś to uporządkować.

Przede wszystkim to zabójstwo prawie na pewno należało do kategorii morderstw drugiego, a nie pierwszego stopnia. Wybór narzędzia - rożnów do kebabu - wskazywał na brak premedytacji.

Ktokolwiek zabił Carrie, nie pojawił się na miejscu z takim zamiarem, tylko prawdopodobnie w trakcie awantury sięgnął po to, co miał pod ręką.

O obecności rożnów wiedzieli wszyscy zatrudnieni przy organizacji ślubu Carrie Edwards oraz Jaclyn i Melissa DeWitt. Z drugiej strony, trzeba by kogoś obeznanego z prawem, żeby postarał się upozorować zbrodnię zagrożoną najwyższym wymiarem kary na morderstwo drugiego stopnia, a zabójcy nie myśleli z reguły o obniżaniu grożącego im wyroku, lecz o tym, by uniknąć kary i kropka. Carrie Edwards została zabita bronią, która była pod ręką, czyli rożnami do kebabu. Zręczny adwokat mógłby nawet przekonująco wykazać, że nie można traktować rożnów do kebabu jak śmiertelnej broni, że tylko w wyniku nieszczęśliwego wypadku jeden z nich wbił się między żebra Carrie i przebił jej serce.

Carrie została zraniona wielokrotnie, jakby zabójca chwycił rożny jeden za drugim i dźgał. Kiedy wbił jakiś albo upuścił, sięgał po następny. To z kolei sugerowało atak szału. Ofiara nie została zabita na zimno, z wyrachowaniem. Zabójca zakrył jej twarz welonem, co jasno wskazywało na to, że nie chciał patrzeć na to, co się stało. Tego czynu nie popełnił obcy, uznał Erie, Carrie znała mordercę.

Kąty, pod jakimi wbito rożny, mogły im coś powiedzieć o wzroście napastnika. Carrie miała - sprawdził w notatkach - metr

sześćdziesiąt. Nosiła pantofle na ośmiocentymetrowym obcasie, co podwyższało ją do metra sześćdziesięciu ośmiu. Dokładnie obejrzał wszystkie rożny - wbito je pod kilkoma różnymi kątami. Ona naturalnie nie stała nieruchomo, walczyła, próbowała uciec, może usiłowała szarpać się z napastnikiem.

- Jeśli chcesz spać, Wilder, to lepiej idź do domu - rozległ się głos Garveya.

- Nie przeszkadzaj mi w prowadzeniu śledztwa - powiedział Erie, nie otwierając oczu.

- Tak to się nazywa?

Czuł, że Garvey przysiadł na krawędzi jego biurka. Gdy westchnął i uniósł powieki, zobaczył zmęczoną twarz sierżanta.

- Co tu jeszcze robisz? Garvey krzywo się uśmiechnął.

- Podobnie jak ty prowadzę śledztwo. Przyjemnie mi ze świadomością, że pracuję nad sprawą, a nie rozgarniam papiery, wysyłam was w różne miejsca i świecę za was oczami, kiedy któryś spieprzy robotę.

Erie go rozumiał. Chociaż jego własną ambicją było osiągnięcie jak najwyższego awansu w hierarchii policji lokalnej - mimo że nie wykluczał powrotu do pracy w policji stanowej lub federalnej - to wiedział doskonale, że w miarę realizacji planów będzie mu brakować konkretnych dochodzeń.

Gdyby przeszedł na poziom stanowy lub federalny, mógłby pozostać przy pracy dochodzeniowej. To jednak należało do niesprecyzowanej przyszłości. Obecnie zajmował się morderstwem Carrie Edwards.

- Nad czym dumasz?

- Wyobrażam sobie kąty penetracji - odparł Garvey.

- Człowieku, przestań się zajmować seksem i wracaj do sprawy

- Mędek - odburknął Garvey, ale uśmiechnął się z uznaniem. Erie zdjął stopy z biurka i usiadł wyprostowany

- Z tego, co widziałem, ślady uderzeń były na całym ciele: od lewej, od prawej, ukośnie od góry, ukośnie od dołu. Niektóre rożny sterczały z bardzo powierzchownych ran. Ona się broniła, próbowała uciec. Może upadła i sprawca uderzył wtedy prosto z góry. To byłby ten rożen, który przebił serce. Jeśli lekarz uzna, że te ciosy tylko wyglądają w taki sposób, jakby zadawano je ze wszystkich stron, trudno nam będzie ustalić wzrost sprawcy.

Wziął długopis i szybko naszkicował na kartce rożen.

- Tych świństw jest osiemnaście, każde z nierdzewnej stali, długie na ponad czterdzieści centymetrów. Są duże, ale niewygodne, gdybyś chciał kogoś nimi dźgnąć. To kółeczko przy jednym końcu jest jedynym uchwytem. Inaczej jeśli ostrze napotka opór, dłoń ześlizgnie ci się wzdłuż rożna.

- Nie najlepsza broń. Sprawca nie przyszedł z zamiarem zabicia ofiary.

- Może nie, a może tak. Mamy siedmioro ludzi, którzy wiedzieli, że są tam rożny: organizatorka ślubów, szefowa domu weselnego, krawcowa, florysta, modystka, cukierniczka przygotowująca tort i restauratorka. Nie wykluczam również rzeźnika, piekarza i specjalisty od świec.

Garvey spojrzał znacząco w sufit, a Erie przypomniał sobie, żeby zanadto się nie mądrzyć. Starał się, ale na ogół kiepsko mu to wychodziło.

- W każdym razie trzy osoby weszły w konflikt z ofiarą tuż przed morderstwem, co nie znaczy, że reszta nie miała z nią zatargów wcześniej. Nie rysuje się z tego obraz sympatycznej, ciepłej Carrie Edwards. Wygląda na to, że była to jędza odsądzająca innych od czci i wiary.

W dziewięćdziesięciu procentach przypadków sprawcą okazuje się ktoś z rodziny albo przyjaciół. Może pan młody uświadomił sobie swój błąd i próbował z nią zerwać.

- Chciałbym, żeby to było takie proste, ale on nie wydaje się do tego zdolny. Powiedział, że był w pracy, kiedy do niej dzwonił, a to można łatwo zweryfikować. Przypuszczam zresztą, że wykluczy go lekarz, który poda nam przybliżoną godzinę śmierci, chyba że narzeczony ma zdolność teleportacji. Nie powiedział tego głośno, ale żywił nadzieję, że raport medyczny wykluczy również Jaclyn. Moment śmierci nie będzie określony co do minuty, tak jak zdarza się to w programach telewizyjnych, ale na pewno znajdzie się w stosunkowo wąskim przedziale czasowym. A telewizja? W życiu właściwie nic nie dzieje się tak jak na ekranie poza tym, że wszyscy muszą oddychać.

Technikom nie udało się zdjąć z różnów żadnych użytecznych odcisków linii papilarnych. Pręty były zbyt wąskie, by ktokolwiek mający więcej niż dwa lata mógł je dobrze uchwycić. Chcąc uderzyć z jakąkolwiek siłą, należało drewniane kółeczko z końca różna oprzeć na dłoni, a nie trzymać je w palcach.

- A co z siwowłosym mężczyzną, którego pani Wilde rzekomo widziała pod domem weselnym?

- Żadnemu z nas nie wydaje się, by to ona zabiła Carrie Edwards, a jeśli jest niewinna, to nie ma powodu kłamać.

- Pani DeWitt nie widziała nikogo od czasu, gdy poszła do gabinetu, do chwili znalezienia ciała.

- To nie znaczy, że nikt nie wszedł. Przyznała przecież, że boczne drzwi były otwarte. Możliwe, że to właśnie pani Wilde, jako świadek, jest jedynym ogniwem, który może powiązać zabójcę z miejscem zbrodni, chyba że znajdziemy coś ciekawego w raportach lekarza i techników.

Ustalenie tożsamości mężczyzny mogło być skomplikowane. Erie nie poznał dotąd ojca pana młodego, senatora stanowego, ale widział plakaty z jego podobizną - był siwowłosy. Ojciec ofiary też miał siwe włosy. Według Melissy DeWitt, wcześniej tego dnia

w domu weselnym odbywały się trzy różne spotkania, a w dwóch z nich też uczestniczyli mężczyźni potencjalnie odpowiadający opisowi. Spodziewał się więc, że technicy znajdą mnóstwo siwych włosów, należących do różnych ludzi. W dodatku należało pamiętać, że każdy z obecnych mógł wcześniej mieć kontakt z kimś siwym i przenieść włosy na ubraniu.

Jaclyn powiedziała jednak, że widziała siwowłosego mężczyznę w szarym lub srebrnym samochodzie. To dawało pewien punkt zaczepienia, gdyby nic innego nie wypaliło. W tej sprawie nie brakowało podejrzanych, raczej był ich nadmiar. Zdaje się, że niemal każdy, kto kontaktował się z ofiarą, miał do niej pretensje.

Garvey podniósł się, ziewając.

- Obaj musimy się przespać - orzekł, pocierając dłonią policzek, co przypominało szuranie papieru ściernego. - Moja śliczna panna młoda i tak będzie na mnie zła. Chciała mieć w domu sierżanta, żebym nie pełnił służby w nocy, a ja i tak zarywam noce.

Garvey mówił o swojej żonie, którą miał już czternaście lat, „moja śliczna panna młoda”, i brzmiało to uroczo. Kiedy Erie ją poznał, doszedł do wniosku, że Garvey nazywa tak połowicę prawdopodobnie ze strachu. Kobieta była niska, dość otyła i miała zwodniczo pocziwą twarz, ale dom prowadziła jak specjalista od musztry. Kiedyś Garvey kupił sobie nalepkę na samochód z tekstem „ŻYJĘ ZE ZGAGĄ, ale czasem pozwala mi iść na ryby”. Zrobił to dla żartu, tymczasem pani Garvey nalepka bardzo się spodobała i uparła się, żeby mąż ozdobił nią samochód. Musiał znosić wiele docinków z powodu nalepki do czasu, aż zmienił wóz i „przypadkiem” zapomniał ją przkleić.

Garveyowie byli małżeństwem od czternastu lat, więc może tajemnica ich udanego związku kryła się właśnie w wyborze kogoś, kto potrafi każdego przywołać do porządku, doszedł do wniosku Erie.

Wstał, bo o tej porze naprawdę niewiele mógł zrobić.

- Ucałuj ją ode mnie - powiedział, uznając, że nie zaszkodzi mieć dobre notowania u pani Garvey.
- Nie chrzań i jeśli masz jaja, to pocałuj ją sam.

Rozdział 13

Następnego rana Jaclyn zwlokła się z łóżka wcześniej i przez kilka minut oglądała lokalne wiadomości. Nie podano żadnych informacji na temat morderstwa Carrie, co oznaczało, że nikogo nie aresztowano, a cały ten koszmar nie skończy się jak za dotknięciem różdżki. Madelyn wyszła dopiero po północy, ponieważ próbowała ją pocieszać, a jednocześnie raz po raz wracała do wydarzeń w domu weselnym, czym w zasadzie niweczyła wyniki uspokojenia córki. Bez względu na to, co obie myślały i jak bardzo były wzburzone, czekały na nich obowiązki zawodowe: dwie próby ślubu wieczorem, a po drodze załatwianie szczegółów wszystkich pięciu ślubów i wesel, przypadających na kolejne trzy dni. Nie było wyjścia, Jaclyn musi zebrać się w sobie i dotrzeć do siedziby Premier.

Wciąż martwiła się tym, że przesłuchiowano ją jako podejrzaną w sprawie morderstwa Carrie; chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie zareagowałby inaczej. Co jednak mogła z tym zrobić? Nie mogła na własną rękę szukać zabójcy, bo nie miała pojęcia o dochodzeniach. Pozostało jej się modlić, żeby Eric okazał się naprawdę dobrym detektywem.

Więcej czasu zajęło jej pogodzenie się z faktem, że wykonując swoją pracę, Eric wziął pod lupę właśnie ją. W gruncie rzeczy powinna dać sobie spokój z urazą, wyleczyć się z Erica i spisać go na straty. Spędzili razem noc, lecz na ogół dla mężczyzny nie było to nic poważnego. Natomiast ona, wbrew temu, co powtarzała sobie o ostrożności i nieangażowaniu się, pozwoliła sobie na stanowczo zbyt wielkie oczekiwania. Teraz, mimo że usiłowała złagodzić

rozczarowanie, wcale nie była pewna, czy mogliby zacząć od nowa. Zresztą Erie wcale nie musiałby być tym zainteresowany. Skoro choćby przez krótki czas podejrzewał ją o popełnienie zbrodni, to mógł nie życzyć sobie dalszej znajomości. Nie miała prawa żywić o to do niego pretensji, bo prawdopodobnie sama tak by zareagowała.

Zjadła kilka łyżeczek płatków kukurydzianych bezpośrednio z pudełka, ale smakowały jak trociny, więc krzywiąc się, odłożyła opakowanie do szafki. Uznała, że kawa jej wystarczy. Gdy się ubierała, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, nawet nie sprawdzając numeru.

- Cześć, malutka - rozległ się radosny głos Jackyego.

Po raz drugi ojciec telefonuje do niej w ciągu dwunastu godzin? Musiało mu naprawdę bardzo zależeć na pożyczaniu jaguara i zaimponowaniu nowej znajomej. Czasem mijały miesiące, zanim Jacky się odezwał. Próbowwała dzwonić, ale zgłaszała się automatyczna sekretarka, która w dodatku komunikowała, że skrzynka jest pełna, wobec tego Jaclyn nawet nie mogła zostawić wiadomości. To był ulubiony trick Jacky ego: nie odbierać niechcianych rozmów.

- Nie możesz skorzystać z mojego samochodu - oznajmiła na wstępie. - I nie dręcz mnie, bo dzisiaj tego nie zniosę.

- Przecież to drobna przysługa - zaczął jęklonie, jednak coś w jej głosie musiało obudzić od dawna uśpiony instynkt ojcowski, bo spytał: - Co jest nie tak?

Jaclyn nabrała powietrza. Nie miało sensu czegokolwiek przed nim ukrywać, a poza tym nie należało przedłużać rozmowy. Musiała się ubrać i pojechać do pracy.

- Wczoraj wieczorem po naszej rozmowie przesłuchiwała mnie policja - powiedziała. - Podejrzewają mnie o zamordowanie jednej z klientek.

- Zgłupieli? To przecież oczywiste, że tego nie zrobiłaś.
- Oni nie są tego tacy pewni, ale dziękuję, że we mnie nie zwątpiłeś.
- Ani przez chwilę. Gdyby mnie podejrzewali... - Urwał, jakby zorientował się, że był bliski przyznania się do czegoś, co miało pozostać tajemnicą. Gładko jednak powrócił do rozmowy - A kto nie żyje? Znam go?
- Ona nazywa się... nazywała się Carrie Edwards.
- Chyba nadal się tak nazywa, tyle że na tamtym świecie.
- Pewnie tak, ale na tym świecie już jej nie ma.

Dziwna była ta rozmowa, zwłaszcza jak na wczesną godzinę poranną.

- Carrie Edwards, Carrie Edwards - powtórzył Jacky. - Poczekaj, już wiem. Senator stanowy, ten, który startuje do kongresu, Dennison... Narzeczona jego syna została zamordowana. Była twoją klientką?

- Do wczorajszego popołudnia. Wymówiła mi, zanim została zabita.

Jacky zamilkł na chwilę.

- Ajajaj! - powiedział w końcu.

- Fatalny zbieg okoliczności.

- Nie martw się tym. Gliniarze wszystko wyprostują.

Nie martw się. To była właśnie filozofia życiowa Jacky ego Wilde a, którą stosował we wszystkich sytuacjach, nawet tych najbardziej beznadziejnych.

- Mam nadzieję, lecz tymczasem się martwię.

Zerknęła na zegarek. Nie powinna przedłużać rozmowy, groziło jej bowiem, że przyjedzie do pracy później, niż zaplanowała. Bycie własnym szefem było wspaniałe, ale w małej firmie, takiej jak Premier, oznaczało również, że trzeba pracować po wiele godzin, żeby z powodzeniem funkcjonować na rynku.

- Przykro mi, ale muszę wyjść. Mamy w tym tygodniu bardzo napięty harmonogram i...
 - Czekaj! Zanim się rozłączysz, powiedz, czy myślałaś jeszcze o pożyczeniu mi jaguara.
- Jaclyn opuściła słuchawkę i przez kilka sekund wpatrywała się w przestrzeń z wyrazem niedowierzania na twarzy. Kiedy jednak usłyszała „Halo... halo?“, ponownie przytknęła słuchawkę do ucha.
- Nie - oświadczyła stanowczo. - Nie myślałam o tym ani chwili. Bardziej zajmowało mnie to, że mogę zostać aresztowana, niż twoja potrzeba znalezienia wozu, którym mógłbyś olśnić swoją ostatnią łózkową panienkę.
 - Ej, nie musisz od razu z taką pogardą, młoda damo. Lola nie jest taka.
 - A ile ma lat?
 - Co za różnica? - spytał wymijająco.
 - Młodsza ode mnie?
 - Nie pytałem.
 - Traktuję to jak odpowiedź twierdzącą. Zresztą to bez znaczenia. Nawet jeśli ona byłaby w odpowiednim dla ciebie wieku, też bym się nie zgodziła. Samochody tracisz równie łatwo jak pieniądze. Mam jeden samochód, i to potrzebny.
 - Nie w nocy!
 - Jacky! Przynajmniej połowa mojej pracy to są wieczory i noce. Sam wiesz, że właśnie wtedy ludzie biorą śluby i urządzą wesela. W tym tygodniu pracuję co wieczór i na pewno nie obejdę się bez samochodu. Poza tym nawet gdybym nie pracowała, i tak nie pożyczyłabym ci wozu.
 - W porządku, skoro tak do tego podchodzisz - powiedział nadąsany.
 - Właśnie tak.

Pożegnanie było oschłe. Jaclyn rozłączyła się z przekonaniem, że ojciec nie odezwie się przez następne kilka miesięcy. Trochę jej ulżyło i zarazem trochę ją to zasmuciło, ale przede wszystkim odczuwała irytację. Kochała ojca, lecz na nim nie polegała. Różowe okulary, przez które na niego patrzyła, potłukły się dawno temu, więc widziała go bez upiększeń, ze wszystkimi pryszczami. To zabawne, ale irytacja sprawiła, że nieco mniej martwiła się swoją sytuacją prawną. Nie, poprawiła się w duchu, mniej się skupiła na swoim zmartwieniu. Przynajmniej taki był pożytek z Ja-ckyego. Szybko skończyła się ubierać, chwyciła terminarz i przez chwilę rozglądała się za aktówką, zanim przypomniała sobie, że jest w rękach policji.

- Tylko nie to! - jęknęła.

Potrzebowała tej teczki. Znajdowały się w niej notatki dotyczące szczegółów prób i ceremonii oraz wesel, które zbliżały się do niej niczym wielka fala. Na pewno będzie ją mogła dzisiaj odzyskać... Chyba... Nie przychodził jej do głowy żaden powód, dla którego stałoby się inaczej, bo przecież teczka nie miała nic wspólnego z morderstwem Carrie oprócz tego, że została na miejscu zbrodni. A może uznają ją za dowód rzeczowy? Może była za-plamiona krwią Carrie?

Cholera, cholera, cholera!

Świadomość, że bezmyślnie zostawiła teczkę, nie poprawiła nastroju Jaclyn. Miała wizytówkę Erica z numerem prywatnej komórki na odwrocie. Wolałaby nie dzwonić do niego w żadnej sprawie, ale musiała odzyskać teczkę. Może powiedziałby: „Nie ma problemu, aktówka nie była narzędziem zbrodni, proszę ją odebrać w komendzie”. To wątpliwe, ale niewykluczone. Z drugiej strony, jednak znalazła się w grupie osób podejrzanych, przypuszczała więc, że zatrzymają aktówkę na dowód jej obecności na miejscu

zbrodni. Może policjanci uznali, że Jaclyn wróciła do domu weselnego po spotkaniu z Madelyn. Wiedziała, że nie przekona się, jeżeli nie spróbuje. Zerknęła na zegarek i uznała, że pora może być zbyt wczesna na telefonowanie. To, że nie ma pojęcia o jego godzinach pracy, było dla niej kolejnym dobitnym przypomnieniem, że postąpiła nieprawdopodobnie lekkomyślnie, idąc do łóżka z człowiekiem, którego praktycznie nie знаła.

Na szczęście, gdyby nie udało się odzyskać aktówki, wszystkie dane dotyczące poszczególnych imprez, starannie zanotowane, znajdowały się w biurowych segregatorach, a także w komputerze. Wyciąganie informacji z różnych plików zajmie sporo czasu, ale jest do zrobienia.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, Jaclyn podjechała pod siedzibę Premier. Parking był pusty, w budynku nie paliło się światło, wzięła więc z półeczki w desce rozdzielczej latarkę i uzbrojona dodatkowo w gaz pieprzowy, otworzyła zapasowe wejście. Pozapalała lampy, zamknęła drzwi i nastawiła kawę. Jak zwykle rozpoczęła dzień od sporządzenia listy spraw do załatwienia. Najważniejsze były dwie próby ślubów, Madelyn wzięła różową, a ona tę z buldogiem imieniem Uga. Była to maskotka drużyny futbolowej Uniwersytetu Stanu Georgia. Nie był to pierwszy ślub tematycznie związany z futbolem, jaki Jaclyn organizowała, i na pewno nie ostatni. W końcu Premier działała na amerykańskim Południu.

Diedra przyjechała wkrótce po Jaclyn, czym ją zaskoczyła. Asystentka miała dopiero dwadzieścia cztery lata, prowadziła bardzo aktywne życie towarzyskie i nie lubiła wczesnie wstawać. Nie spóźniała się, zwykle docierała do biura punkt ósma, ale niechętnie zjawiała się wcześniej.

Weszła z pewnym trudem, niosąc torebkę, teczkę, wielki kubek kawy od Starbucka i przykryty półmisek. Widząc to, Jaclyn

zerwała się od biurka, żeby wziąć od niej półmisek, zanim stłucze się z wielkim hukiem. Okazał się zaskakująco ciężki jak na swój rozmiar.

- Co tu masz?

- Karmę. Dokładniej mówiąc, podwójne brownie deluxe z polewą krówkową. Przygotowałam to swoimi zręcznymi rączkami, ponieważ doszłam do wniosku, że jeśli podejrzana o morderstwo może czegoś potrzebować, to na pewno czekolady

Diedra znalazła miejsce na kubek i uwolniła się od reszty bagaży. Jaclyn postawiła półmisek na biurku, czując, że cieknie jej ślinka.

- Podwójne deluxe? - Nie miała pojęcia, co się za tym kryje, ale jeśli zawierało czekoladę, to musiało być pyszne. - Skąd wiesz?

- spytała.

- Twoja mama zadzwoniła do Peach, a Peach do mnie. To głupie myśleć, że zabiłaś tę małpę, chociaż gdybyś to zrobiła, dałabym ci niepodważalne alibi i nawet nie musiałabyś mi za to zapłacić - odparła Diedra z błyskiem w piwnych oczach. - Nie powinnam źle mówić o zmarłych, ale to naprawdę trudne, kiedy nie przypomina się nic dobrego.

- Nie mogła być aż tak zła. Miała rodzinę i przyjaciół, którzy ją lubili. My znałyśmy ją tylko od jednej strony. Nie zabija się z powodu wygórowanych czy nawet absurdalnych wymagań.

- Była też małostkowa i mściwa - powiedziała oschle Diedra.

- Nie zapominaj o tym.

- Zgoda, była wymagająca, małostkowa i mściwa, lecz nie zasłużyła na śmierć.

Jaclyn nie wiedziała, dlaczego broni nadzwyczaj uciążliwej klientki. Nie lubiła jej, cieszyła się, że panna Edwards jej wymówiła. Żal jej było narzeczonego Carrie, ale żałowałyby go także, gdyby ślub się odbył.

- Jak to się stało? Ktoś ją zastrzelił? Rozbił jej głowę?

Jaclyn uświadomiła sobie, że poprzedniego wieczoru ani Erie, ani sierżant Garvey nie powiedzieli jej, w jaki sposób Carrie została zabita, a ona była zanadto roztrzęsiona, aby zapytać.

- Właściwie nie wiem. Po prostu założyłam, że została zastrzelona.

- Chcesz powiedzieć, że nie spytałaś? - Diedra wydawała się zdumiona, jakby niedopatrzenie Jaclyn nie mieściło jej się w głowie.

- W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Byłam mocno poruszona, kiedy detektywi mnie przesłuchiwali. - W nozdrza łaskotał ją zapach jeszcze ciepłego ciasta, gwałtownie pobudzający apetyt. Uchyliła aluminiową folię i głęboko zaciągnęła się aromatem. - O której wstałaś, żeby to upiec?

- O wiele za wcześniej. Nie zrobiłabym tego dla nikogo innego.

- Całe szczęście, że akurat dzisiaj przyszedłaś tak wcześniej. Detektywi przesłuchiwali mnie między innymi dlatego, że zostawiłam aktówkę w domu weselnym, co oznacza, że teraz oni ją mają, a nie ja. Diedra zdumiała się jeszcze bardziej.

- Przecież nigdy jej nigdzie nie zostawiłaś.

- Wczoraj tak się stało. Zauważyłam to dopiero wtedy, gdy detektywi o tym wspomnieli. Spotkanie z Carrie bardzo mnie rozstroiło.

Widząc pytające spojrzenie Diedry Jaclyn głęboko odetchnęła. Nie miała ochoty opowiadać o tym, jak Carrie spoliczkowała ją przy tylu świadkach.

- To była katastrofa od samego początku - powiedziała. -Gretchen zrezygnowała, Estefani nosiła się z tym samym zamiarem, a wtedy Carrie mnie uderzyła w twarz i zerwała kontrakt.

- O mój Boże.

Diedra otworzyła usta i ze zgrozą wymalowaną na twarzy przyglądała się Jaclyn.

- Byłam tak skonsternowana, że nawet Carrie nie oddałam -wyznała Jaclyn. - Przecież nigdy z nikim się nie biłam. Nie wiem, czy nie wprasowałaby mnie w podłogę. Na szczęście Bishop w porę mi przypomniał, że jeśli jej przyłożę, to ona może podać mnie do sądu, więc okazałam jej moralną wyższość, chociaż prawdę mówiąc, bardzo mi się to nie podobało.

- Dobrze zrobiłaś. Prawdopodobnie uderzyła cię z nadzieją, że odpowiesz podobnie i wtedy będzie mogła złożyć pozew przeciwko naszej agencji. Spotkałam wcześniej parę osób tego pokroju. Panoszą się i sprawiają mnóstwo kłopotów, sprawdzają, jak daleko mogą się posunąć, zupełnie jakby właśnie to je kręciło.

Zdaniem Jaclyn, ten opis pasował do Carrie.

- W każdym razie uznałam, że trzeba odesłać kontrahentów, zanim Carrie uderzy kogoś innego. Estefani wyglądała jak mały wulkan przed wybuchem. Oczami wyobraźni widziałam artykuły w gazetach o bójce w domu weselnym. Tymczasem Carrie zażądała zwrotu pieniędzy. Musiałam jej przypomnieć, że zgodnie z kontraktem nie przysługuje jej prawo do uzyskania zwrotu za wydatki przez nas poniesione. Nie spodobało jej się to, lecz nie miała sposobu, żeby to zmienić. Potem wyszłam. Melissa zaszyła się w swoim gabinecie, więc tego nie widziała. Kiedy już siedziałam w samochodzie, na parking podjechał srebrny wóz i wysiadł z niego mężczyzna. Zauważył mnie, lecz nie wiem, kto to był. Nie mam pojęcia ani jak go odszukać, ani czy mógł zabić Carrie.

Diedra głośno nabrała powietrza.

- Widziałaś mordercę?

- Widziałam mężczyznę. To tylko możliwość, że właśnie on zamordował Carrie. Ja tego nie wiem.

Erie i sierżant Garvey nie wydawali się szczególnie zainteresowani jej opowieścią o siwowłosym mężczyźnie, a jeśli Melissa go nie zauważyła, nie było sposobu, by udowodnić jego istnienie. Jac-lyn pomyślała, że nie widziała nawet, czy mężczyzna wszedł do budynku. Melissa mogła zamknąć frontowe drzwi, jeśli tego dnia nie miała więcej umówionych spotkań. Wtedy mężczyzna poszedłby do głównego wejścia, przekonał się, że są zamknięte, wrócił do samochodu i odjechał.

- A on cię widział?

- Zaparkował samochód obok mojego auta. Nie wyobrażam sobie, że mógłby mnie nie spostrzec. Być może Diedra oglądała zbyt wiele filmów kryminalnych, w każdym razie powiedziała zdecydowanie:

- Jeśli on zabił Carrie, to jesteś jedyną osobą, która widziała go na miejscu zbrodni. I on wie, że go zobaczyłaś. Musisz się ukryć!

Rozdział 14

Szukanie kryjówki było nierealne, przynajmniej w tym tygodniu. Terminarz Jaclyn był wypełniony po brzegi, a o tym, że jej zniknięcie nie spodobałoby się policji z Hopewell, nawet nie było sensu wspominać. Poza tym skąd mężczyzna, którego widziała, znałby jej tożsamość? Z jego punktu widzenia mogła być po prostu jeszcze jedną klientką domu weselnego. W dodatku ten siwowłosy nieznajomy mógłby być nią zainteresowany jedynie wtedy, gdyby to rzeczywiście on zabił Carrie. Taka możliwość była jednak bardzo niepokojąca. Jaclyn dodała sobie otuchy, biorąc ciastko z czekoladą, zdecydowanie poprawiającą nastrój. Jednocześnie zaczęła przeglądać teczki, wypisując z nich informacje potrzebne do sporządzenia planu zajęć na bieżący dzień. Nie potrafiła się zmusić do zatelefonowania do Erica z prośbą o przysługę. Woląca zadać sobie trud odtworzenia wszystkich danych, które miała w aktówce. Diedra pomagała jej, wyszukując szczegóły w plikach komputerowych, drukując zdjęcia, wynajdując numery telefonów.

Madelyn i Peach przyjechały w odstępie kilku minut, więc jeszcze dwukrotnie Jaclyn opowiedziała z detalami o katastrofalnym spotkaniu z kontrahentami, morderstwie Carrie i rozmowie z policjantami. Zastanawiała się także na głos, kto mógł popełnić tę zbrodnię - nawiasem mówiąc, lista była długa. W trakcie jej relacji raz po raz rozlegały się okrzyki oburzenia, wyrazy współczucia i wsparcia. Raczyły się też wszystkie pysznymi ciastkami, po czym wróciły do pracy

Jach/n właśnie rozmawiała z menedżerem restauracji, w której po próbie ślubu miała się odbyć kolacja, i potwierdzała rezerwację, gdy usłyszała brzęczyk systemu alarmowego, informujący, że ktoś otworzył drzwi wejściowe. Chwilę potem rozległ się głos Diedry:

- Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Czy zastałem Madelyn Wilde? - padło pytanie zadane przez Erica Wildera.

Jaclyn zdrewniała. Co on tutaj robi? Przecież to oczywiste. Przyszedł zadawać następne pytania. Znała ten głos, choć wolałaby go nie znać. Pierwszy raz usłyszała go niecałe czterdzieści osiem godzin temu, ale dobrze zapadł jej w pamięć. Wiedziała, jak brzmi podczas grzecznościowej rozmowy, poznała jego głębsze, bardziej szorstkie tony wtedy, gdy się kochali z Erikiem, pamiętała jego beznamiętne brzmienie, gdy Erie przesłuchiwał ją w sprawie morderstwa.

Zerwała się z krzesła i znieruchomiała. Co tak naprawdę mogła zrobić? Nie zgodzić się na rozmowę z jej matką? A gdyby Madelyn, chroniąc córkę, nie chciała odpowiedzieć na pytania detektywa Wildera, zawiózłby ją na komendę policji i tam przesłuchał. Do tego Jaclyn nie dopuścić.

Jedyne, co mogła zrobić, to zignorować go. Taki scenariusz wydawał jej się najlepszy pod warunkiem, że Erie i Madelyn dopuszczą do jego realizacji. Gdyby Madelyn sprzeciwiła się rozmowie, trzeba byłoby ją przekonać, żeby współpracowała i odpowiedziała na wszystkie zadane pytania. Cała reszta była w rękach Erica. Jaclyn liczyła na to, że jej nie będzie ponownie przesłuchiwał. Gdyby jednak okazało się, że i z nią Erie życzy sobie porozmawiać, musiała odpowiadać najspokojniej, jak umiała. Jednak nie zamierzała mu niczego ułatwiać ani zauważać jego obecności, jeśli nie okaże się to konieczne. Usiadła więc z powrotem, ochłonęła na tyle, by powiedzieć „dziękuję” menedżerowi

restauracji i zakończyć rozmowę, jednocześnie odhaczając wykonanie pierwszego punktu w planie dnia. Pilnowała się, żeby nie spojrzeć ku drzwiom.

Jednak emocje przeważały nad rozsądkiem. Poczula się tak, jakby wyrzucono ją nagą na środek autostrady między stanowej. Zanim zdążyła się powstrzymać, znów zerwała się z miejsca, dała susa do drzwi swojego pokoju i zatrzasnęła je z hukiem.

Trzask drzwi rozniósł się echem po całym biurze. Erie zerknął na lśniące drewniane drzwi. Wcześniej zauważył tylko smukłe ramię, sięgające do klamki, lecz ani przez sekundę nie wątpił, czyj gabinet znajduje się po drugiej stronie. Najwyraźniej Jaclyn nie miała ochoty go widzieć.

Znów spojrzał na urodziwą młodą kobietę, która nagle zmieniła się na twarzy. Spoglądała na niego wrogo, po powitalnym uśmiechu nie było śladu.

Nie ulegało wątpliwości, że znalazł się w obozie wroga.

Siedziba Premier nie wyglądała jednak jak koszary, wewnątrz było kobiece, choć bez ozdobnych fidrygałków, powiedziałby, że raczej europejskie w stylu. Ciężkie draperie i masywne meble, sprawiające wrażenie drogich i nieusuwalnych, jakby stały tu od czasu przybycia pierwszych osadników na „Mayflower”. Wcześniej był w mieszkaniu Jaclyn, mógł więc dostrzec pewne przejawy jej upodobań w niektórych meblach, dziełach sztuki i kompozycjach kwiatowych. Nawet biurko młodej kobiety, która go wpuściła do środka, nie było zwykłą odrapaną konstrukcją z metalu, jak u niego w komendzie, lecz ozdobnym stołem, na którym nowoczesny komputer wydawał się nie na miejscu.

Trzaśnięcie drzwiami sprawiło, że w polu jego widzenia pojawiły się jeszcze dwie kobiety w średnim wieku, obie atrakcyjne, choć w różny sposób. Jedna, niższa i krągłjsza, miała puszyste

rude włosy i przenikliwe zielone oczy z błyskiem, który mówił „dobrze mi tutaj”. Było oczywiste, że nie jest matką Jaclyn. Musiała nią być druga kobieta, choć nie z racji koloru włosów i oczu.

Wprawdzie była blondynką, lecz odcień nie wydawał się naturalny, a jej oczy, mimo że niebieskie, nie miały irlandzkiej intensywności oczu Jaclyn. Jednak kształt twarzy z tymi samymi wydatnymi kośćmi policzkowymi, lekko kanciastym podbródkiem i pełnymi, zmysłowymi ustami, nie pozostawiał wątpliwości. Widząc Madelyn Wilde, Erie mógł sobie wyobrazić, jak Jaclyn będzie się prezentować za jakieś dwadzieścia pięć lat. Bardzo atrakcyjnie.

Skarcił się w duchu za takie rozmyślenia. Obecny wygląd Madelyn Wilde i przyszły Jaclyn nie miały dla niego żadnego znaczenia.

- Madelyn Wilde? - spytał uprzejmie, choć doskonale wiedział, kogo ma przed sobą. Pokazał odznakę policyjną. - Detektyw Erie Wilder. Czy mógłbym z panią porozmawiać?

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem, a jej miła twarz przybrała wojowniczy wyraz.

- Którą komendę policji pan reprezentuje? - spytała, choć doskonale to wiedziała.

- Hopewell - odrzekł Erie.

- Jest pan poza granicami jurysdykcji, prawda?

Zamierzał potraktować ją wyrozumiale, ponieważ ani on, ani Garvey nie przypuszczał, by Jaclyn była zabójczynią. Chodziło mu o potwierdzenie różnych szczegółów, nie mógł jednak pozwolić, by kwestionowano jego autorytet.

- Tak, szanowna pani. Nie przyszedłem tu nikogo aresztować, ale zadać kilka pytań. Jeśli nie chce pani odpowiedzieć, mogę zatelefonować po policję z Atlanty albo zaprosić panią do odwiedzenia komendy policji w Hopewell, wedle życzenia.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zamknięte przed chwilą drzwi gwałtownie się otworzyły i w progu stanęła Jaclyn. Oczy jej pałały, a twarz wykrzywił grymas wściekłości.

- Niech pan zostawi moją matkę w spokoju - wysyczała tak, jakby złość przeszkadzała jej normalnie mówić.

Czyż to nie ciekawe? - pomyślał, przyglądając jej się z uwagą i pilnując jednocześnie, by nie zdradzić się z fascynacją. Rozzłoszczona Jaclyn Wilde robiła duże wrażenie nie tylko dlatego, że jej oczy nabierały niezwyklej wyrazistości, lecz także z tego powodu, że zazwyczaj była chłodna i opanowana. Warto było ją zobaczyć, gdy traci nad sobą kontrolę. Nie było to tak wspaniałe jak podczas uprawiania seksu, ale miało z nim coś wspólnego. Erie uznał, że chętnie popatrzyłby czasem, jak Jaclyn wpada w złość, Tymczasem jednak musiał się skupić na swoim zadaniu, im szybciej bowiem wykluczy Jaclyn spośród podejrzanych, tym lepiej.

- Decyzja należy do pani Wilde - powiedział obojętnym tonem. - Mnie jest wszystko jedno, gdzie porozmawiamy

Przesłuchanie się odbędzie, i to wynikało z jego słów jasno. Madelyn szybko podeszła do córki i położyła jej rękę na ramieniu.

- Nic się nie stało - zapewniła, wyraźnie zdenerwowana stresem Jaclyn. - Nie ściągaj na siebie kłopotów bez potrzeby. To tylko parę pytań.

Cztery obecne w siedzibie agencji kobiety różniły się stylem i zachowaniem, ale Erie odniósł wrażenie, że każda z nich skoczyłaby w ogień za pozostałe. Doszedł do wniosku, że gdyby nie był gliniarzem, razem wypychałoby go teraz za drzwi. Oczywiście gdyby nie był z policji, nie przyszedłby tutaj przesłuchiwać jednej z nich. To, że musiał to zrobić, miało swoje dobre i złe strony Dobre, bo sprowokował Jaclyn i mógł się przyjrzeć, jak wybucha złością, złe, bo na razie musiał się od niej trzymać z daleka.

Atmosfera była napięta i gdyby rzeczywiście można było zabić wzrokiem, przeniósłby się już na tamten świat. Stanowił zagrożenie. Jaclyn mogła wyplakać się przed nimi, że przesłuchiwał ją straszny typ, który zabrał jej ubranie i traktował ją jak podejrzaną. Zresztą formalnie nią była. Kobiety miały skłonność do zwierania szeregu, gdy którejś z nich coś groziło, i właśnie natrafił na zwarty szereg.

Zaczął się zastanawiać, jak zareagowały one - indywidualnie i zbiorowo - na wiadomość, że Carrie uderzyła Jaclyn. Morderstwo panny Edwards nosiło znamiona zbrodni w afekcie, czynu wywołanego kłótnią, która wymknęła się spod kontroli. Jeśli tak, to może należało dokładniej się przyjrzeć właśnie Madelyn Wilde. Bez trudu mógł sobie wyobrazić matkę występującą w obronie córki.

- Tędy - rzuciła Madelyn i nie patrząc na Erica, ruszyła korytarzem do swojego gabinetu.

Obcasy jej pantofli energicznie stukwały mimo chodnika chroniącego lśniący drewniany parkiet. Erie poszedł za nią, uważając, by nie spojrzeć na Jaclyn, mijając ją. Z gniewem umiał sobie poradzić, co więcej, widok rozeźlonej Jaclyn podniecał go, zresztą, jak wszystko, co miało z nią związek, nie chciał jednak zobaczyć w jej oczach nienawiści, a właśnie takim uczuciem darzyła go prawdopodobnie w tej chwili.

Madelyn skręciła w prawo, do swojego pokoju usytuowanego przy końcu korytarza. Erie wszedł za nią do środka, zamknął drzwi i rozejrzał się po wnętrzu. Pokój wyglądał bardzo kobieco, były w nim lampy z frędzlastymi abażurami, ozdobnie oprawione obrazy i krzesła wskazujące swoim rozmiarem, że zaprojektowano je specjalnie dla kobiet.

- Proszę. - Madelyn wskazała mu jedno z takich krzesel, a sama zajęła miejsce za biurkiem. - Niech pan usiadzie.

Erie nieufnie zmierzył wzrokiem krzesła, wybrał jedno z nich i ostrożnie umieścił na nim swój ciężar. Odetchnął z ulgą, gdy

okazało się mocniejsze, niż z wyglądu, choć było dla niego za niskie. Miał wrażenie, że kolana ugniatają mu klatkę piersiową, zdecydował się więc nieco rozprostować nogi. Popatrzył na Madelyn i przekonał się, że przygląda mu się z satysfakcją, jakby wiedziała, że jest mu bardzo niewygodnie.

Wyjął długopis, otworzył notes i znalazł zapiski z przesłuchania Jaclyn.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać - powiedział uprzejmie z nadzieją, że rozładuje sytuację.

- Nie wydaje mi się, że bym miała wybór, detektywie.

- Jedynie co do miejsca - przyznał.

- Niech pan pyta, o co chce.

Oparł się wygodniej i założył nogę na nogę. Tą swobodną pozycją komunikował, że to on ma tutaj władzę, mimo że ona siedzi za biurkiem.

- Może opowie mi pani, co robiła wczoraj po południu.

- Od której do której?

- Powiedzmy od trzeciej.

Zdaniem lekarza, dokonującego oględzin zwłok, godzina śmierci Carrie była późniejsza, ale tego Erie nie musiał mówić.

Sięgnęła po leżący z boku na biurku terminarz, potem wyjęła z torebki smartfon BlackBerry przejrzała listę rozmów i rozpoczęła swój recital, zdając pełną relację ze wszystkich spotkań i rozmów telefonicznych. Doszła do rozmowy z córką i okazało się, że godzina odczytana z komórki zgadza się z podaną przez Jaclyn. Podała mu smartfon, żeby mógł to sprawdzić, więc sumiennie zanotował informację i oddał jej aparat.

- Jest pani świetnie zorganizowana - powiedział.

- Jestem organizatorką imprez - odparła, wydymając wargi. - Czyli jest to moja sprawność zawodowa.

Trzeba pamiętać o każdym szczególe.

Co pani robiła po rozmowie z córką?

Pojechałam do kawiarni U Claire, zamówiłam kawę i muffinki i czekałam przy stoliku na Jaclyn.

- Czy ma pani rachunek?

- Nie. A pan ma rachunek ze swojego wczorajszego lunchu? Zapłaciłam kartą kredytową, więc jest dowód, gdyby był to jakiś problem.

- Co potem?

- Siedziałyśmy i rozmawiałyśmy. Wczoraj wieczorem odbywały się organizowane przeze mnie ślub i wesele, więc nie miałam czasu pojechać do domu i odpocząć.

- Co Jaclyn pani powiedziała?

- Ze Carrie ją uderzyła, jeśli o to panu chodzi - odparła ostro. - To była istna jędza. Żałuję, że przyjął od niej zlecenie. To była zdecydowanie najgorsza klientka w całej historii Premier, i to nawet nie z powodu nieracjonalnych wymagań. Panny młode często stawiają różne żądania, nieraz nonsensowne, ale ponieważ są w stresie, można je zrozumieć. Carrie wyróżniała się podłością. Cieszyło ją to, że sprawia innym kłopoty, że obraża ludzi i wyprowadza ich z równowagi.

- Co pani zrobiła, kiedy Jaclyn powiedziała, że Carrie ją uderzyła?

- Nic szczególnego nie zrobiłam, bo córka by mi na to nie pozwoliła. Ona jest bardzo zrównoważona. Miałam jednak ochotę znaleźć tę terroryzującą wszystkich wstrętną małpę i jej wpier... spuścić jej łanie.

- Ale nie zrobiła pani tego?

- Nie. Jaclyn zwróciła mi uwagę, że w zaistniałej sytuacji Premier ma przewagę z prawnego punktu widzenia. Poza tym poinformowała mnie, że Carrie zrezygnowała z naszych usług. Na szczęście uwolniłyśmy się od niej.

- Co z pieniędzmi, które wpłaciła? - spytał Erie, choć znał odpowiedź.

Rzecz sprowadzała się do zadawania tych samych pytań różnym osobom, żeby przekonać się, czy zawsze padają takie same odpowiedzi. Jeśli nie, była to wskazówka, gdzie należy szukać dokładniej.

- Nie dostałaby z powrotem dużej sumy. W kontraktach, które zawieramy, jest klauzula, że w razie wypowiedzenia nam usług zachowujemy pieniądze za czynności już wykonane. Ślub i wesele Carrie zostały prawie w całości zaplanowane i zleciłyśmy większość usług.

To samo powiedziała mu Jaclyn, ale właścicielki Premier wcześniej rozmawiały ze sobą, mogły więc umówić się co do szczegółów i nawet przeciwiczyć wspólną wersję.

- Czy mogę zobaczyć egzemplarz umowy? - spytał.

- Oczywiście.

Madelyn otworzyła szufladę, przełożyła kilka teczek i wyciągnęła jedną w kolorze zielonym.

- Już mam.

Przesunęła ku niemu teczkę po biurku. Erie dość długo przeglądał różne dokumenty, nim znalazł kontrakt. Odszukanie najważniejszego paragrafu nie nastęczało trudności. Brzmiał on dokładnie tak, jak już dwa razy mu streszczano. Jak wynikało z daty, Carrie Edwards podpisała dokument przed ponad rokiem.

- Cholera, tyle czasu potrzeba na zaplanowanie ślubu? - powiedział całkiem bez zastanowienia. -

Przepraszam - dodał po chwili.

Zbyła przeprosiny machnięciem ręki.

- Chce pan mieć kopię kontraktu?

- Jeśli to pani nie przeszkadza.

Nie sądził, by była mu potrzebna, ale lepiej mieć wszystko dopięte na ostatni guzik.

Madelyn wzięła kontrakt i otworzyła drzwi szafy za którymi pojawiło się nieduże urządzenie, łączące cechy drukarki z fotokopiarką. Skopiowała dokument strona po stronie, równo złożyła wszystkie kartki, spięła je w rogu spinaczem i podała detektywowi. Potem powtórzyła czynności z oryginałem i schowała go do akt, które włożyła znowu do szuflady

Erie był gotów się założyć, że gdyby te cztery kobiety kiedykolwiek postanowiły kogoś zamordować, to zbrodnia zostałaby drobiazgowo przygotowana, zaplanowana i popełniona. Żadnego szczegółu nie zostawiłyby przypadkowi, niczego nie zrobiłyby bez namysłu, nie pozostawiłyby przez niezręczność żadnych śladów. Prawdopodobnie zbrodnia uszłaby im płazem, pomyślał na poły rozbawiony, na poły zirytowany, ponieważ jako śledczy nie znosił, kiedy sprawca pozostawał bezkarny.

- O której godzinie wyszła pani z kawiarni?

- Piętnaście po piątej.

- Dokładnie? - spytał niezadowolony, że otrzymał tak precyzyjną odpowiedź. Z jego doświadczenia wynikało, że ludzie mogą wiedzieć takie rzeczy z grubsza, ale nie co do minuty.

- Dokładnie - odrzekła stanowczo Madelyn. - Często spoglądam na zegarek. To w mojej branży typowe. Mówiłam panu, że miałam na głowie ślub i wesele i musiałam odpowiednio wcześniej stawić się na miejscu.

- Czyli gdzie?

Wymieniła nazwę kościoła. Erie wiedział, że przejazd musiał jej zająć przynajmniej trzy kwadransy. Co więcej, jechała w przeciwnym kierunku niż Hopewell.

- O której pani dotarła?

- O szóstej zero dwie. W kościele była już część kontrahentów i większość ludzi odgrywających jakąś rolę podczas ślubu, więc dużo osób może to potwierdzić. Chce pan listę?

- Proszę - odparł Erie.

Madelyn przeglądała notatki i jak karabin maszynowy wymieniała nazwiska i numery telefonów. Erie ledwie zdążył zapisywać. Coś podobnego! Te kobiety były przerażająco zorganizowane. Madelyn nie znalazła się na liście głównych podejrzanych, ale był gotów umieścić tam jej nazwisko. Jednak rozmowa zasadniczo wykluczyła taką możliwość. Jeśli dojechała do kościoła o podanej przez siebie godzinie, to nie miała sposobu, żeby pojechać do Hopewell, zabić Carrie i wrócić do kościoła. W dodatku musiałyby przecież zajrzeć do domu, żeby się przebrać.

Alibi Jaclyn, potwierdzone przez jej matkę, też było nie do podważenia. Określony przez lekarza sądowego czas popełnienia morderstwa zaczynał się około godziny, kiedy Jaclyn rozstała się z Carrie. Jeśli jednak to ona zabiła, musiałyby wejść do kawiarni, gdzie czekała na nią matka, umazana krwią. Ktokolwiek zabił Carrie Edwards, odszedł lub odbiegł z miejsca zdarzenia uwalany krwią i był wściekły, a prawdopodobnie również spanikowany Erie postanowił rozegrać sprawę zgodnie z procedurami i poczekać, aż otrzyma raport, że na ubraniu Jaclyn nie znaleziono śladów krwi, ale był święcie przekonany, że żadna z tych kobiet nie wpadłaby w panikę. Bez względu na to, jak bardzo się starał, nie umiał sobie wyobrazić, że Jaclyn Wilde traci panowanie nad sobą i w ataku szału zabija pannę Edwards. Potrafił ją ujrzeć na wiele sposobów, także gdy leży pod nim, naga i zaróżowiona, ale na pewno nie jako morderczynię. Problem polegał na tym, że chociaż Erie potrafił działać bezstronnie, to myślami wciąż wracał do nocy spędzonej z Jaclyn, i tu jego bezstronność się kończyła.

Dobrze się stało, że zbliżył się o krok do oczyszczenia Jaclyn z podejrzeń, źle, że znalazł się na samym początku drogi. Zamordowanej Carrie prawie nikt nie lubił, więc potencjalnych podejrzanych nie brakowało.

Od Madelyn niczego więcej się nie dowie. Była niewinna i dostarczyła znakomitego alibi córce. Lepiej więc podążać innymi tropami. Przez chwilę sprawdzał w notatkach, czy nie przeoczył czegoś ważnego, ale wszystko wyglądało na oczywiste. Zamknął notes i wstał.

- Dziękuję bardzo, pani Wilde. Będę z panią w kontakcie.

Dwie pozostałe kobiety wciąż znajdowały się w pomieszczeniu, w którym je zostawił, ich twarze miały ten sam wrogi wyraz. Gabinet Jaclyn znów zamknięty Erie pożegnał obie pracownice Premier, miło się do nich uśmiechając, by sprowokować choćby niewielkie ocieplenie atmosfery. Starsza, rudowłosa, zmrużyła oczy i zacisnęła wargi.

Wkrótce Jaclyn będzie oczyszczona z podejrzeń, wiedział jednak, że z punktu widzenia ich znajomości może to się stać za późno. Mogło być na to zbyt późno już od poprzedniego wieczoru, odkąd ją przesłuchał. Gdy wsiadał do samochodu, przypomniał sobie uwagę o skunksie i aż się wzdrygnął. Zrozumiał, że Jaclyn będzie długo chować urazę. Nagle coś przemknęło mu przez myśl. Czy Jaclyn powiedziała matce, że spędziła z nim noc?

Najwyraźniej to przemilczała. Nie była typem kobiety, która rozpowiada na prawo i lewo o każdym swoim pocałunku. Poza tym Madelyn inaczej odniosłaby się do niego.

Rozdział 15

Przed drzwiami gabinetu rozległ się głos Madelyn, na który nakładały się głośne, jednocześnie zadane pytania Peach i Diedry. Jaclyn znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Gdy przez dłuższą chwilę nie dobiegł jej uszu znacznie niższy głos Erica, odetchnęła z ulgą i energicznie otworzyła drzwi.

Rozejrzała się jeszcze, by zyskać pewność, że poszedł, i spytała:

- Ico?

- Pytał, co robiłam wczoraj, i sporządził mnóstwo notatek -odparła Madelyn. - Chyba upewniał się, czy nie zabiłam Carrie, ale przecież zupełnie nie miałam sposobu. Kiedy zjadłyśmy po muffince i wyszłyśmy z kawiarni U Claire, nie zdążyłabym pojechać do domu weselnego, a potem nie spóźnić się na ślub i wesele.

- Jadłyście muffinki U Claire? - zainteresowała się Peach.

- Wczoraj po południu, zaraz po tym, jak Carrie nam wymówiła - wyjaśniła Jaclyn.

- Po pierwsze - wtrąciła niezadowolona Diedra - mogłyście kupić więcej muffinek, żebyśmy i my mogły dzisiaj je zjeść. Mówię to tylko dla porządku. Po drugie, on najprawdopodobniej sprawdzał, czy byłaś tam, gdzie zeznałaś, że byłaś. Madelyn dała ci alibi.

- Możliwe - przyznała żałośnie Jaclyn.

Powinna była przewidzieć, że Erie zechce przesłuchać matkę. Gdyby pomyślała o tym wcześniej, byłaby lepiej przygotowana na jego wizytę. Tak się nie stało i najpierw się wściekła, a teraz opadła z sił.

- Nie jestem pewna - powiedziała Madelyn. - Pytał, co robiłam wczoraj od trzeciej aż do przyjazdu na ślub, więc... - Wzruszyła ramionami. - Czy któraś z was kupiła rano gazetę? W telewizyjnych wiadomościach mówiono oszczędnie o tym morderstwie. Może w gazecie napiszą więcej, na przykład, o której godzinie zabito Carrie.

- Pójdę kupić - zaofiarowała się Diedra. Wzięła torebkę i kluczyki samochodowe i wyszła.

- Potrzebuję więcej kawy - oznajmiła Peach - i jeszcze jedno ciastko.

Z tymi słowami udała się do kuchenki.

- Dlaczego? - spytała Madelyn, ruszając za nią. - Przecież to nie ciebie przesłuchiowano.

Jaclyn, uznawszy, że czekolada koi nerwy na tyle, by się nie przejmować kaloriami, udała się ich śladem. Weszła do kuchni, gdy Peach mówiła:

- Pocieszam się dlatego, że nie zostałam przesłuchana.

- Co takiego?

- Madelyn, czyżbyś była martwa od pasa w dół? - Peach spojrzała ze skrucą na Jaclyn. - Przepraszam, słoneczko, ale wiesz, że twoja matka ma życie miłosne...

- Peach! - przerwała jej groźnie Madelyn.

- Owszem, wiem - przyznała Jaclyn, nalewając sobie kawy i biorąc jeszcze jedno ciastko.

- Daj spokój, nie musisz się zachowywać jak matka przełożona w klasztorze - powiedziała Peach, przesyłając Madelyn spojrzenie pod hasłem „a nie mówiłam”, po czym odgryzła kęs ciastka. - Właśnie wspomniałam, że detektyw emanował testosteronem. Zaszła taka reakcja chemiczna, że omal nie wzięła mnie chcica, a przecież byłam na niego wściekła. Wyobraźcie sobie tylko, co mogłoby się stać, gdybym była w innym nastroju.

Jaclyn omal nie zakrztusiła się kawą.

- Mam dobre dwadzieścia lat więcej niż ten detektyw, i ty również, Peach Reynolds - stwierdziła Madelyn. - Nie wyczułam testosteronu tego policjanta, więc i ty nie powinnaś.

- Starsze kobiety już mogą uderzać do młodszych mężczyzn. Nawiasem mówiąc, nie widziałam w tym niczego złego. Starsi panowie uganiają się za pod fruwać kami, więc dlaczego kobiety w naszym wieku nie mogą od czasu do czasu pozwolić sobie na przyjemność? To nawet ma sens, skoro nie musimy się obawiać niechcianej ciąży. Celibat powinien być dla młodych i głupich, a nie dla dojrzałych i mądrych.

Uciekać czy bronić swego? Mąknąć coś o znajomości z Erikiem -choć nie o wspólnej nocy - czy milczeć? Jaclyn była w kropce. Jedno wiedziała: nie chce słuchać matki i kobiety, które była dla niej jak ciotka, rozprawiających o poziomie testosteronu Erica.

- Uhm... - zaczęła, choć jeszcze nie była zdecydowana, co powie dalej. Nie miało to zresztą większego znaczenia, ponieważ nie zwracano na nią uwagi.

Madelyn wsparła się pod boki.

- Mam dla ciebie nowinę, Peach. Zanim dojrzejesz i zmądrzejesz, jest już za późno na celibat. To jak gadanie o zamknięciu drzwi stajni, kiedy koń dawno uciekł!

- W tym rzecz. Dojrzałe i mądre kobiety nie powinny żyć w abstynencji. Powinniśmy stawiać na wigor, czyli w tym wypadku na młodszych mężczyzn.

- Czyś ty oszalała?! Ten mężczyzna prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, o które podejrzewa moją córkę. Wszystko mi jedno, czy to wigor, gulasz, czy crème brûlée - nie lubię i już!

- To prawda - przyznała po chwili Peach. - Ja też go nie lubię, ale jeśli podejść do rzeczy bezosobowo, to wysocy, śniadzi i lekko nieokrzesani mężczyźni zawsze mi się podobali.

Jaclyn odłożyła ciastko na papierowy ręcznik, obawiając się, że się zakrztusi, jeśli weźmie je teraz do ust. Nie miała pojęcia, kto byłby bardziej zakłopotany, ona czy Madelyn i Peach, gdyby wyjawiała im, że przeżyła przygodę z Erikiem. „Przygoda” to właściwe określenie, bo jedna noc nie tworzy związku. Nawet jednak o przygodzie nie należało wspominać w świetle tego, o czym rozmawiały Madelyn i Peach. Niby nie miało to znaczenia, bo nic więcej między nią a Erikiem się nie wydarzy, chyba że on aresztuje ją na podstawie poszlak. Nie mogła jednak puścić pary z ust, bo to znaczyłoby, że robi z igły widły. Najlepiej będzie, jeśli zajmie się tym, co obecnie najważniejsze, choć nie miała pojęcia, jaką inicjatywą mogłaby się wykazać.

- Pozostaje mi tylko pracować - powiedziała głośno, wreszcie odrywając tym uwagę matki i Peach od ich sporu.

- Co takiego? - spytały jednocześnie.

- Mówię o całej tej sytuacji - wyjaśniła Jaclyn. - Nic ode mnie nie zależy. Nie podoba mi się to, ale muszę skupić się na tym, na co mam wpływ, czyli na pracy. O, do diabła! Skoro przyszedł, mogłam go spytać o aktówkę, a tymczasem zamknęłam się w gabinecie jak wystraszony dzieciak.

- Myślałam, że odtworzyłyście już z Diedrą wszystkie potrzebne dane - powiedziała Peach.

- Tak, ale tylko na próbę ślubu i sam ślub z buldogiem, bo to była najpilniejsza sprawa. Musimy jeszcze zająć się resztą.

Madelyn odłamała rożek ciastka i wsunęła go do ust.

- To niewygodne, lecz poradzimy sobie. Mamy wszystkie informacje, trzeba je tylko zebrać w jednym miejscu.

- Wiem, ale ten czas mogłybyśmy poświęcić na co innego.

- Na przykład na jedzenie ciastek - powiedziała z uśmiechem Peach. - Słoneczko, wiem, że jesteś w stresie, jednak to niedługo minie i wszystko się ułoży. Przecież nie zabiłaś jej, więc nie mogą dowieść, że to zrobiłaś.

- Poszlaki...

- Będą wskazywać na wiele osób, które miały zatargi z Carrie. Twoje ubranie wzięli prawdopodobnie dlatego, że szukają śladów krwi. Nie zabiłaś jej, więc ich nie będzie. Gdy tylko skończą badanie i dostaną raport, przestaniesz być podejrzana.

- Czy tak się dzieje w serialu *Kryminalne zagadki Las Vegas*⁷.

- Wszyscy faceci, z którymi się spotykam, uwielbiają *Kryminalne zagadki Las Vegas*, więc siłą rzeczy też oglądam niektóre odcinki. Najbardziej podejrzany jest zawsze ten, kto nie popełnił zbrodni, co stanowi jakąś pociechę. Niezależnie od *Kryminalnych zagadek Las Vegas* na to, że szukają śladów krwi, wskazuje zdrowy rozsądek. Dlatego zabrali ci ubranie, które miałaś na sobie w dniu zabójstwa. Powiedz, czy wczoraj wieczorem przecierali ci ręce wacikiem w poszukiwaniu śladów prochu?

- Nie, a dlaczego mieliby to robić?

- To znaczy, że jej nie zastrzelono. Gdyby zginęła od broni palnej, policjanci zrobiliby to na pewno. Wcześniej Jaclyn zakładała, że Carrie zastrzelono, uznała jednak, że musiała popełnić błąd. Widocznie uległa sugestii telewizyjnych wiadomości, w których niemal wszystkie morderstwa popełniane są za pomocą broni palnej. Kiedy walczą gangi, pewnie tak jest, ale co z innymi zabójstwami?

- Jest dużo sposobów na to, by kogoś zabić - odezwała się po namyśle Madelyn. - Uduszenie, cios czymś ciężkim w czaszkę, dźgnięcie, pchnięcie ofiary tak, by padając, uderzyła głową o coś twardego, chociaż w tej ostatniej sytuacji jest to raczej wypadek. W grę wchodzi też otrucie, ale wtedy interesowałyby ich raczej Irena i Audrey, bo to one przyniosły próbki żywności. Czyli truciznę możemy skreślić.

Listę ewentualnych przyczyn śmierci Carrie można było wydłużać. Jaclyn mogłaby do niej dopisać kilka interesujących

wariantów, ale miała ważniejsze zajęcia. Zerknęła na zegarek, zastanawiając się, kiedy wróci Diedra.

- Muszę odebrać rzeczy z pralni chemicznej przed spotkaniem w Dunwoody - powiedziała. -

Gdybyście znalazły w gazecie coś ciekawego, zadzwońcie do mnie.

Przyniosła ze swojego gabinetu torebkę i terminarz, a także teczkę z odtworzoną przez nią i Diedrę listą spraw do załatwienia, po czym opuściła budynek przez wyjście na parking.

Erie stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o jaguara. Najwyraźniej czekał na nią.

Jaclyn przystanąła raptownie, choć jej buty na obcasachabrały lekkiego poślizgu na betonowym chodniku. Ogarnął ją trudny do opanowania atak paniki, a jednocześnie złości. Omal nie uciekła z powrotem do środka, już nawet położyła dłoń na klamce drzwi, ale przecież byłoby to niewybaczalne tchórzostwo. Wciąż żałowała, że nie spoliczkowała Carrie w odpowiedzi na jej uderzenie, więc teraz nie mogła czmychnąć.

Erie odepchnął się od karoserii jaguara i zbliżył do Jaclyn. Pomyślała, że tchórzostwo zdarza się każdemu i pchnęła drzwi. Jeśli chciał jej coś powiedzieć, to wołała mieć świadków.

- Powinienem poinformować, żeby nie opuszczała pani miasta - oznajmił beznamiętnym tonem, mrużąc orzechowe oczy.

Nie opuszczać miasta? Już była poza miastem, ponieważ znajdowała się w Atlancie, a nie w Hopewell.

- Jakie są granice tego „miasta”? Chodzi o Hopewell czy o Atlantę? Właśnie wybieram się na spotkanie do Dunwoody Czy to jest poza miastem?

Na twarzy Erica pojawił się wyraz lekkiego zniecierpliwienia.

- Dunwoody może być. Proszę nie opuszczać tej okolicy Nie jechać na urlop na Bahamy

Jaclyn zdążyła zebrać myśli, więc zainteresowało ją, co on właściwie tutaj robi. Popatrzyła na jego wóz zaparkowany obok jej jaguara. Jeśli miał jej coś do powiedzenia, dlaczego nie wszedł do środka albo dlaczego nie zadzwonił? Miał numer do firmy i wiedział, że ją tam zastanie. Znał też numer jej komórki. Tymczasem stał oparty o jej samochód, jakby był gotowy długo czekać, chociaż mógł przypuszczać, że będzie siedziała w biurze do końca dnia.

Jedno nie ulegało pewności: nie było go tutaj, kiedy wychodziła Diedra, bo ona bez wątplenia przysłałaby ostrzeżenie. Czyli poszedł sobie, a potem wrócił.

- Co pan tutaj robi? spytała nieufnie. Działo się coś podejrzanego, a ona nie życzyła sobie mieć z tym nic wspólnego. - Zamierzał pan przeszukać mój samochód?

- Nie mogę bez nakazu - odparł spokojnie.

- Może zamierzał pan to zrobić bez nakazu. Widziała, jak tężeje mu twarz.

- Nie, szanowna pani. Postępuję zgodnie z regulaminem.

- Opierał się pan o mój samochód, więc jeśli nie zamierzał pan przeprowadzić nielegalnego przeszukania, to co, u diabła, pan robił? - spytała ostro.

Słyszała nutę wrogości w swoim głosie. I po co było ćwiczyć się w opanowaniu? - zadała sobie w duchu pytanie. Mniejsza o to.

- Czekałem na panią.

- Z jakiego powodu? Dlaczego nie wszedł pan do środka? I w ogóle po co pan wrócił? Przecież można było załatwić to telefonicznie.

- Pomyślałem, że gdybym zadzwonił, usłyszałbym byle jaką wymówkę uzasadniającą pani niedostępność.

Poderwała głowę i gniewnie spojrzała mu w oczy

- W pełni współpracuję z policją, tak samo jak moja matka. Nie dałam panu żadnego powodu do podejrzenia mnie o wymówki.

- Rzeczywiście, szanowna pani współpracuje - przyznał obojętnie. - Doceniam to.

Ta „szanowna pani” doprowadzała ją do szału, o czym Erie świetnie wiedział.

- W takim razie pańskie wyjaśnienie nie trzyma się kupy, detektywie.

- Chciałem mieć pewność, że dostała pani moją wiadomość.

- Owszem, słyszałam ją głośno i wyraźnie - odparła oschle. Spojrzała na samochody i nasunęło jej się kilka pytań.

- Skąd pan wiedział, który wóz jest mój? - Przecież Madelyn jeździła identycznym.

- Po tablicy rejestracyjnej.

Fantastycznie! Nie podobała jej się myśl, że jej nazwisko krąży po wszystkich możliwych instancjach wymiaru sprawiedliwości, lecz nie mogła nic na to poradzić. To, że jest podejrzaną w sprawie o morderstwo, nie było tajemnicą państwową. Przeszła więc do drugiego pytania:

- Skąd pan wiedział, że wyjdę? - Zdawało jej się, że zna odpowiedź, ale chciała się upewnić.

- Mam aktówkę, pamięta pani? Przeczytałem wszystko, co jest w środku. Znam pani rozkład zajęć, więc doszedłem do wniosku, że wkrótce pojedzie pani na spotkanie w Dunwoody.

Tak przypuszczała. Nie chciała go o nic prosić, ale akurat nadarzyła się okazja.

- Czy mogę dostać tę aktówkę z powrotem? - Zanim zdążył jej odmówić, dodała: - Albo niech pan zatrzyma aktówkę, ale zwróci mi zawartość. Potrzebuję teczek, które w niej były. A jeśli nie, to czy nie mógłby pan zlecić komuś skopiowania zawartości tych teczek?

- Aktówka jest dowodem znalezionym na miejscu zbrodni - odparł Erie, co przyjęła jako stanowcze „nie”. Tymczasem on ciągnął: - Nie widzę jednak powodu, dla którego nie moglibyśmy

zrobić dla pani kopii zawartości. Skonsultuję sprawę z porucznikiem i jeśli się zgodzi, dopilnuję, aby dostała pani kopie. Cholera! Musi mu podziękować.

- Dziękuję. - Ledwo przeszło jej to przez gardło.

- Nie ma za co.

Ta rozmowa była jak zrywanie bandażu z rany, która przed chwilą przestała krwawić. Jaclyn nie mogła pozwolić, żeby Erie ją ranił i jednocześnie tak wiele dla niej znaczył. Za późno, ostrzegł głos rozsądku. Powinna była posłuchać tego głosu poprzedniego wieczoru, kiedy zapraszała Erica do siebie, ale była głucha na przestrogi. Pragnęła, żeby ten głos ucichł, a Erie odjechał. Poza tym powinna dać sobie radę... musiała dać sobie radę. Potrzebowała na to czasu, ale na pewno jej się uda.

- Jeszcze coś? - spytała szorstko.

- Nie. Na razie to wszystko.

Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, wyminęła Erica, wsiadła do samochodu i odjechała, nie oglądając się za siebie.

Poszło nie najgorzej, uznał Erie, zajmując miejsce za kierownicą. Wiedział, że Jaclyn nie spodoba się zakaz opuszczania miejsca zamieszkania, wydał go jednak, ponieważ była podejrzaną. Przestrzegał procedur i postępował zgodnie z nimi. Nie okazał Jaclyn względów i nie zaproponował żadnej przysługi, nawet drobnej. W nagrodę patrzyła na niego tak, jakby był ohydny ślimakiem, którego oślizgłe resztki musiała właśnie zebrać z podeszwy, bo wdepnęła na niego eleganckim pantoflem. Bardzo go to zirytowało, bo przecież robił wszystko, żeby skreślić ją z listy podejrzanych, a gdyby nie honorował obowiązujących go zasad, zostałby odsunięty od śledztwa. Inni detektywi postaraliby się rozwiązać sprawę, a byli dobrzy, chociaż nie mieli takiej dodatkowej motywacji jak on.

Poprzedniego wieczoru długo był na nogach, a dziś rano wstał wczesnie. Nie zdążył zajrzeć do komendy, ponieważ chciał przesłuchać Madelyn Wilde i mieć to z głowy. Dobrze, że była tak zorganizowaną kobietą, prawdopodobnie nie robiła nawet pauzy na siusianie bez sporządzenia na ten temat notatki w terminarzu, naturalnie zaszyfrowanej, żeby nikt nie odgadł, że musiała przerwać pracę i iść do toalety. Dała jednak córce mocne alibi. Jeśli z laboratorium nie przyjdzie raport, że na dostarczonym czarnym ubraniu znaleziono krew ofiary, czego nie oczekiwał, to Jaclyn miała prostą drogę do uwolnienia się od podejrzeń.

Nie wydawało się zresztą, by ją to obchodziło. Była na niego tak wściekła, że nawet nie żywił najmniejszych wątpliwości.

Podobało mu się jednak, kiedy Jaclyn wpadała w złość. Tę chłodną damę można było wyprowadzić z równowagi i byłby gotów się założyć, że bywa to całkiem zabawne. Zburzył jej opanowanie w łóżku, kiedy wbijała mu paznokcie w plecy i gryzła poduszkę, żeby nie krzyczeć, miło było jednak wiedzieć, że i poza łóżkiem jest do tego zdolna. Działo to podobnie jak świadomość, że Jaclyn nie umie parzyć kawy. Zdawało mu się, że w jednej osobie kryją się dwie, niczym księżniczka i żebraczka, chociaż z tego, co mówiła i robiła Jaclyn, nie wynikało, by miała podobne poczucie. Czyżby wzięło się to z braku pewności siebie? Przez moment zastanawiał się nad tym, ale zaraz pokręcił głową. Nie. Po prostu chciał wiedzieć, czy może z nią iść do łóżka bez obaw o protesty, że zniszczy jej fryzurę, i czy może podnieść głos, nie narażając się na strumień łez. Z tego, co zaobserwował rano, nie było powodu do takich niepokojów, pozostawało jednak pytanie, czy jeszcze kiedykolwiek Jaclyn pójdzie z nim do łóżka.

Należało zachować właściwą kolejność - najpierw oczyścić ją z podejrzeń, a dopiero potem popracować nad odzyskaniem względów.

Wziął się więc do tego, co najważniejsze. Następna na jego liście była Gretchen Gibson. Jej pracownia Elegant Stitches znajdowała się w niewielkim, ale ekskluzywnym zespole handlowym na planie litery „U”, otaczającym parking z fontanną pośrodku. O tak wczesnej porze - jeszcze nie minęła dziewiąta - parking był pusty. Erie zajrzał od drugiej strony i stwierdził, że na tyłach Elegant Stitches, tuż przed drzwiami, parkuje honda civic.

Wrócił do frontowych drzwi i energicznie zastukał. Po mniej więcej dziesięciu sekundach ukazała się niska, krągła blondynka w średnim wieku i wskazała na tabliczkę „zamknięte”. Erie wyciągnął portfel i błysnął odznaką policyjną. Kobieta otworzyła usta ze zdziwienia, potem uniosła wskazujący palec i znikła w głębi pracowni. Niemal natychmiast pojawiła się z powrotem, niosąc pęk kluczy. Przez chwilę mocowała się z zasuwą i łańcuchem, w końcu otworzyła drzwi.

- Gretchen Gibson?

- Tak - powiedziała nieufnie. - Czym mogę służyć?

- Detektyw Erie Wilder. Czy mogę wejść?

- Tak, naturalnie.

Cofnęła się i szerzej uchyliła drzwi. Gdy wszedł, znów bardzo starannie je zamknęła.

- Chodzi o Carrie Edwards, prawda? - spytała.

- Rzeczywiście chcę zadać kilka pytań o pannę Edwards, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - powiedział, starając się, by głos brzmiał przyjaźnie.

W pracy detektywa bardzo ważna była umiejętność skłonienia ludzi do mówienia, a to zawsze było łatwiejsze, kiedy rozmówca czuł się swobodnie. Erie był prawie o głowę wyższy od Gretchen Gibson, i już to mogło działać zastraszająco. Na swój wzrost nie miał rady, ale mógł sprawić wrażenie sympatycznego człowieka.

- Czytałam w gazecie, że zabito ją wczoraj po południu - powiedziała krawcowa. - Wczoraj wieczorem dzwoniło zresztą do mnie w tej sprawie kilkoro przyjaciół. - Westchnęła ciężko i wyprostowała ramiona. - Pewnie już pan wie o naszej sprzeczce.
- Rozumiem, że to była trudna klientka. Grace poczerwieniała.
- Trudna? To tak, jakby powiedzieć, że Charles Manson jest lekko zaburzony. Ona była wredną, złośliwą larwą i nie waham się tego powiedzieć wprost.
- Niech mi pani opowie, co zaszło - poprosił Erie. Gretchen Gibson zacisnęła wargi.
- Mam na zapleczu świeżą kawę. Chciałby pan się napić? Usiądziemy w biurze i opowiem panu, jak wyglądało załatwianie spraw z Carrie Edwards.

Pół godziny później Erie wyszedł z pracowni z kilkoma stronicami notatek i kolejną potencjalną podejrzaną skreśloną z listy. Kiedy Gretchen Gibson opuściła dom weselny, Carrie Edwards bez wątpienia żyła i panoszyła się w najlepsze, potem zaś, w czasie gdy Carrie zabito, Gretchen była u siebie w pracowni i obsługiwała klientkę, która przyszła do miary sukni ślubnej.

Gretchen powiedziała mu niejedno. Gdyby miał kierować się tym, co od niej usłyszał, lista osób, które z ochotą zabiłyby Carrie Edwards, musiałaby być znacznie dłuższa niż lista tych, którzy takiej chęci by nie mieli. Jedna z druzhen zrezygnowała z udziału w uroczystości po wścieklej kłótni z Carrie. Najczęściej w przypadkach morderstw Erie mógł wskazać jedną lub dwie osoby zainteresowane śmiercią ofiary. W tej sprawie było ich znacznie więcej.

Rozdział 16

W drodze do komendy Erie podjechał do okienka McDonalda, żeby wypić jeszcze jedną kawę. Ta, którą poczęstowała go pani Gibson, była wprawdzie zwyczajna, niearomatyzowana, ale tak słaba, że od pierwszej chwili widział dno filiżanki. Potrzebował kofeiny. Nie chciał ryzykować wstępowania do sklepiku ze wszystkim, więc wybrał miejsce, gdzie kawa na pewno będzie dobra. Poza tym sprzedaż z okienka dla kierowców raczej dawała gwarancję, że obędzie się bez niespodzianek. Kasjerka, przeraźliwie chuda nastolatka z lekkim wytrzeszczem oczu odsunęła szybkę.

- Śmietanka? Cukier? - spytała, wykonując jednocześnie ruch gałkami ocznymi ku wnętrzu restauracji, by dodać już bezgłośnie: „Pomocy, policja”.

- Nie, proszę czarną - odparł i szybko zerknął za jej plecy.

Obsługa za ladą, zamiast zwijać się jak w ukropie, stała w sztywnych pozach. Nie widział wielu klientów, ale ci, których dostrzegł, zachowywali się tak samo, jak pracownicy: stali nieruchomo.

Jasna cholera! Tylko nie to! To wbrew zasadom prawdopodobieństwa.

- Pieprzony los - mruknął pod nosem Erie, choć w tej chwili miał ochotę walić głową w kierownicę. Podjechał po kawę, a tu grasuje jakiś rabuś. Co jest z tym światem, że nawet nie można spokojnie się napić kawy?

Nie widział napastnika, ale potrafił go zlokalizować. Musiał stać w pobliżu bocznego wejścia, które otwierało się niemal na

samochód Erica. Nie sposób było powiedzieć, czy ten łobuz nie trzyma kasjerki na muszce. Odwrócił głowę. No tak, po prawej stronie stał jakiś gruchot z zapalonym silnikiem i dymił z rury wydechowej. Kierowcy nie było, co oznaczało, że drań działa sam. Dziewczyna z wytrzeszczem podała kawę Ericowi. Skinął głową, udał, że upija łyk, po czym powiedział głośno:

- Ta kawa jest stara. Czy można dostać świeżą? Kasjerka spojrzała na niego zbolałym wzrokiem.
- Proszę posłuchać - dodał. - Jeśli uważa pani, że nie warto robić świeżej kawy, to chcę porozmawiać z kierownikiem.

Mówiąc to, wyjął portfel i dyskretnie błysnął jej przed oczami policyjną odznaką. Odetchnęła, również skinęła głową i odparła:

- Dobrze, proszę pana, ale to chwilę potrwa.
- Nie szkodzi.

Cholera. I co dalej? Podjechał za blisko budynku, żeby móc otworzyć drzwi od strony kierowcy. Zgasił więc silnik i rozpiął pas, wysiadł z samochodu po stronie pasażera. Kawę zabrał z sobą. Nie miał ani chwili do stracenia. Sprawy toczyły się szybko i w każdej chwili ktoś mógł zostać skrzywdzony. Na pewno nie można też było dopuścić do strzelaniny w restauracji pełnej ludzi.

Ściągnął wieczko z kubka i okrążając maskę samochodu w kierunku wejścia do McDonalda, chciał wyciągnąć broń z kabury. W tym momencie omal nie wpadł na niego barczysty drań, który wybiegł ze środka, trzymając woreczek z pieniędzmi w jednej ręce i pistolet w drugiej.

- Z drogi, kutasie! - ryknął.

Skierował broń na Erica, który lewą ręką cisnął kubkiem z gorącą kawą w twarz bandziora. Ten wrzasnął i odruchowo chciał się zasłonić. Omal nie uderzył przy tym pistoletem w nos Erica, który błyskawicznie wyrzucił naprzód lewe ramię, chwycił napastnika

za nadgarstek i gwałtownie go wykręcił. Osilek pisnął jak nastoletnia uczennica i upuścił broń, która poleciała na bok, raz po raz odbijając się od chodnika. Erie odnotował to z pewnym niedowierzaniem. Ciężki pistolet z pewnością nie koziołkowałby w ten sposób. To musiało być lekkie i plastikowe...

Pistolet na wodę?

- Koniec tego! - krzyknął i pchnął rabusia twarzą na maskę samochodu. Skuł go, zanim tamten zaczął się drzeć, że go parzy.

Erie kipiał z wściekłości.

- Więcej nie piję rano żadnej pierdolonej kawy!

Za jego plecami ludzie, którzy wybiegli z McDonalda na ulicę, zaczęli go oklaskiwać.

- Ej, Wilder, płacisz tym opryszkom, żebyś mógł strugać bohatera?

Usłyszał ten docinek natychmiast, gdy tylko przestąpił próg komendy. W milczeniu dotarł do swojego zniszczonego biurka. Natychmiast podszedł do niego roześmiany Garvey. Cholera, pozostali też się uśmiechali.

- Był wywiad z dzieciakiem. Zrobił świetną robotę - dodał sierżant. - Tylko musieli wypikać, jakiej kawy nie będziesz już pił, ale można wyczytać to z jego ruchu warg. Aha, porucznik chce cię zobaczyć.

- Teraz?

- Może być.

- O kurwa - mruknął pod nosem Erie, ale posłusznie poszedł na górę.

Przecież nie był w stanie powstrzymać lokalnej stacji telewizyjnej przed robieniem wywiadów z klientami restauracji. To było do przewidzenia, że dziennikarz wynajdzie jakieś bystre dziecko, któreomal nie zsiusiało się z podniecenia, że będzie w telewizji.

Dlaczego nie mogli wybrać jakiegoś przerażonego malucha, który wciska buzię w mamine ramię?

Relację nadawano we wszystkich wydaniach wiadomości.

- I fiuuuut! - powiedział chłopak, naśladując Erica ciskającego kubkiem. Na twarzy malca wykwitł szeroki uśmiech. - Potem zabrał temu bandycie pistolet i rzucił bandytę na samochód. O tak: łubudu! - Ten ruch również zademonstrował. - I jeszcze powiedział, że więcej nie pije rano żadnej pierdolonej kawy.

„Pierdolonej” rzeczywiście wypikano, ale Carycy miał rację - ruch ust był wymowny. Nie było najmniejszych wątpliwości co do słów dziecka.

Erie zapukał do gabinetu porucznika i słysząc stłumione „wejść”, pchnął drzwi.

- Pan chciał mnie widzieć?

Nawet w jego uszach zabrzmiało to opryskliwie.

- Siadaj. - Neille odchylił się na oparcie czarnego skórzanego fotela. - Wilder, czy masz jakieś zastrzeżenia co do zatrzymywania przestępców zwyczajnymi metodami?

Erie zajął jedno z krzeseł przeznaczonych dla gości.

- W restauracji było dużo ludzi - wyjaśnił. Nie chciałem fruujących pocisków.

To wyjaśnienie uznał za zrozumiałe samo przez się.

- Nie wiem, czy mogłeś mieć większy fart, zważywszy na to, że ten typ nie miał prawdziwej broni.

Gdybyś go postrzelił, dziennikarze podnieśliby wrzawę.

- Gdybym miał fart, nie nadziewałbym się na takie sytuacje - odparł z irytacją.

- W każdym razie dzwoniło z sekretariatu burmistrza, mam pięć próśb o wywiad z tobą, a organizacja charytatywna chce wiedzieć, czy zgodzisz się wziąć udział w aukcji...

- Nie, do cholery! - burknął Erie i ugryzł się w język. - Przepraszam, poruczniku.

Neille uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak przypuszczałem. Odmówiłem w twoim imieniu. - Wciąż szeroko się uśmiechając, splótł dłonie na karku. - Nie wiem jednak, czy uda mi się uchronić cię przed wywiadami. Dzień po dniu zatrzymałeś niekonwencjonalnymi metodami dwóch bandziorów, a burmistrz uważa, że wywiady przysporzyłyby nam korzystnego rozgłosu.

- Nie mam czasu się zajmować rozgłosem. - Erie potarł dłonią policzek. - Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, jest dużo podejrzanych, tyle że żaden nie wydaje się sprawcą, a przez cały ten cyrk już i tak straciłem kawał przedpołudnia.

- Rozumiem i zrobię co w mojej mocy, żeby odwlec sprawę, może tymczasem zdarzy się coś innego, co odwróci uwagę od twojej roześmianej buźki i skieruje ją w inną stronę. Jeśli jednak burmistrz powie, że masz udzielić wywiadów, musisz to zrobić.

- Tak jest.

Zawiedziony Erie wstał i wrócił do swojego biurka i papierkowej roboty, która na niego czekała. Przeszkadzały mu uśmieшки kolegów. Ze też akurat dzisiaj musiało mu się przytrafić takie gigantyczne marnotrawstwo czasu, kiedy zupełnie nie wiedział, w co wsadzić ręce. Spojrzał na stertę formularzy, zgromadzoną na biurku. To właśnie fascynowało go w telewizyjnych filmach kryminalnych, których bohaterowie-detektywi nie musieli się zajmować biurokracją. W rzeczywistości trzeba było sporządzić i włączyć do akt mnóstwo raportów, powypełniać najróżniejsze zamówienia, opisać dokładnie każdy zebrany dowód rzeczowy

Usiadł na krześle i zaczął przeglądać raporty, żeby zdecydować, od czego zacznie. Wiedział, że wyników analizy ubrania Jaclyn jeszcze nie będzie, bo przecież wysłał materiały do laboratorium

nie dalej jak poprzedniego wieczoru. Zapewne technicy nie wzięli się do roboty, zwłaszcza że przed badaniem należało dobrze wysuszyć ubranie.

Był za to wstępny raport z oględzin miejsca zdarzenia, zawierający listę wszystkich zabezpieczonych śladów. Na wyniki analiz trzeba było poczekać, jednak samo odnalezienie śladu mogło czasem skierować na właściwy trop. Wprawdzie oddzielenie informacji istotnych od nieistotnych pochłaniało sporo czasu, ale na początek dobre i to.

Wyjął raport z szarej koperty i zaczął czytać. Najpierw zwrócił uwagę na włosy - było ich na miejscu zdarzenia mnóstwo, niemal w każdym kolorze, jaki zdarzał się u ludzi, a najbardziej zaintrygowała go obecność kilku włosów jaskraworóżowych.

Garvey przysiadł na krześle obok. Erie spojrzał na niego.

- Widziałeś to?

- Tak.

- Siwe włosy

- Tylko nie wiadomo, skąd się tam wzięły To przecież miejsce publiczne.

Zapewne kolosalnie komplikowało to problem, choć może wcale nie tak bardzo. Zwykle gdy zaczynało się coś dokładnie badać, odpowiedzi okazywały się w końcu całkiem nieskomplikowane.

- Przesłuchałem dziś rano Madelyn Wilde, matkę Jaclyn. Jest tak zorganizowaną kobietą, że szwajcarski bank przy niej wysiada. Zapisuje każdą minutę. Wczoraj po południu jadła z córką muffin-ki w kawiarni U Claire, a z raportu medycznego wynika, że gdyby Jaclyn była naszym sprawcą, musiałaby po dokonaniu czynu spokojnie opuścić miejsce zbrodni i udać się prosto na spotkanie z mamą i na słodką przekąskę.

- A tego nie mogłaby zrobić, gdyby była zachlapana krwią.

- Właśnie.

- I tak nie widziałem jej w roli sprawczyni. Na razie nie możemy jej skreślić z listy podejrzanych, ale sądzę, że przyglądając się jej, tracimy czas.

Ericowi ulżyło, gdy usłyszał opinię sierżanta. Garvey najczęściej pozwalał im iść za głosem instynktu, wiedział bowiem, że jego podwładni to profesjonaliści. Nie szkodziło jednak zyskać aprobaty dla zmiany zainteresowań.

Mając opinię lekarza w sprawie godziny śmierci ofiary i zeznanie Jaclyn o siwowłosym mężczyźnie, musieli odnaleźć takich mężczyzn w życiu Carrie Edwards. Należało oczywiście przeprowadzić dokładne poszukiwania, narzucały się jednak dwie osoby: ojciec ofiary i ojciec jej narzeczonego.

Ponurym faktem było to, że ilekroć zabijano kobietę, zwykle sprawcą okazywał się bliski jej mężczyzna.

- Była taka piękna - powiedziała Corene Edwards.

Głos miała tak wąty, że Erie zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda jej się otrząsnąć po śmierci córki. Jak w ogóle po czymś takim można dojść do siebie? Wiedział, że ludzie to robią, zwykle okazują się znacznie silniejsi, niżby sami się o to podejrzewali. Jednak w pierwszej chwili byli całkiem załamani, wydawałoby się, że nieodwracalnie.

- To prawda - przyznał łagodnie.

Carrie nie była uosobieniem uroku i czaru, lecz dla swoich rodziców była ich dzieckiem. Erie siedział razem z Garveyem w salonie państwa Edwards. Dom był ceglany, utrzymany w stylu lat osiemdziesiątych, ale podwórze było wychuchane, a wnętrze, choć już nie nowe, wyglądało nieskazitelnie. Gdy dotarli z Garveyem na miejsce, drzwi garażu były podniesione, więc zobaczyli tam dwa samochody zaparkowane obok siebie: czerwonego forda i niebieskiego forda półciężarówkę. Inne wozy stały jedno obok drugiego

na podjeździe. Jeden z nich był szary, więc Erie sumiennie spisał numer rejestracyjny i sprawdził go, nim jeszcze weszli do domu. Okazało się, że samochód należy do osiemdziesięcioletniej kobiety. U pary żałobników zastali sporo przyjaciół i członków rodziny, którzy przyjechali ich pocieszyć na tyle, na ile mogli - odbierali telefony, otwierali drzwi i przyjmowali w imieniu gospodarzy żywność. Darów było tyle, że stół w jadalni, widoczny przez otwarte drzwi zwieńczone łukiem, wyglądał tak, jakby lada chwila mógł się pod nimi załamać. Osiemdziesięcioletnia kobieta okazała się ciotką Corene, miała wszystkiego metr pięćdziesiąt wzrostu i wyglądała tak, jakby byle podmuch mógł ją przewrócić. Na pewno nie mogła być morderczynią. Energiczna kobieta, która przedstawiła się jako najbliższa sąsiadka, przejęła komendę nad gośćmi i zaprowadziła wszystkich do kuchni w głębi domu, żeby Edwardsowie mogli spokojnie porozmawiać z detektywami.

Ojciec Carrie, Howard, usiadł ze spuszczoną głową obok żony. Oboje trzymali się za ręce, jakby tylko dzięki wzajemnemu wsparciu mogli jeszcze funkcjonować. Wydawało się, że odkąd poprzedniego wieczoru dostali od Erica wiadomość o śmierci córki, zestarzeni się o lata. Howard był nie tyle siwowłosym, ile srebrzy-stowłosym chudym mężczyzną z długimi kończynami i zgrabnymi dłońmi pianisty o długich palcach.

- Czy wie pan, kto to zrobił naszemu dziecku? - spytał. Przy ostatnim słowie zadrżał mu głos, a po policzkach popłynęły łzy.

- Jeszcze nie - odrzekł Erie. - Mamy nadzieję, że państwo wiedzą coś, co pomoże nam ująć zabójcę. Czy powiedziała wam, na przykład, co zaplanowała na wczorajsze popołudnie po spotkaniu z kontrahentami agencji ślubnej w domu weselnym?

- Nie - odrzekła Corene. Oczy miała podpuchnięte, twarz przeraźliwie bladą, jakby płakała tyle, że jej skóra nie mogła już

się zaczerwienić ani pokryć plamami. - Wiem, że nie podobała jej się ślubna suknia, ale nie wiem dlaczego. Carrie była bardzo wymagająca. Chciała, żeby jej wesele było doskonałe. Mówiła, że będzie miała idealnego męża, więc wszystko inne też musi być idealne.

Z jej słów wyłaniała się ta sama postać wyjątkowo uciążliwej i wymagającej osoby, którą widzieli w Carrie wszyscy, ale tę opinię Erie zachował dla siebie.

- Miała z nami zjeść kolację dziś wieczorem - odezwał się Howard. - Jest czwartek. Zawsze w ten dzień tygodnia je z nami kolację.

Myśl o tym, że nigdy więcej nie ugoszczą córki, sprawiła, że chuda pierś Howarda gwałtownie zafalowała.

- Czy ona wspominała kogoś, z kim się pokłóciła, kto mógłby mieć do niej pretensje?

- Nie wiem - odrzekła apatycznie Corene. - Mówiła tylko, że ludzie robią jej na złość, ale ona się nimi zajmie. Dużo opowiadała o tym, jak wszystko powinno według niej wyglądać.

- Krawcowa Gretchen Gibson powiedziała mi o kłótni Carrie z druhną...

- Taite Boyne. To najlepsza przyjaciółka Carrie. Córka mówiła, że to załatwi, więc przypuszczam, że tak zrobiła. Przyjaźniły się od niepamiętnych czasów.

- Panna Boyne zrezygnowała z udziału w ceremonii. Czy poszukiwanie innej pierwszej druhny było dla Carrie trudne?

- Och nie, zadzwoniła do kogo innego. Wyjaśniła mi, że Taite nie było stać na suknię i dlatego zrezygnowała. Córka była zakłopotana jej problemami finansowymi.

Pani Gibson, która była świadkiem zażartej kłótni między młodymi kobietami, opowiedziała mu zupełnie co innego, ale Erie nie zamierzał podawać w wątpliwość słów pani Edwards. Jego praca

polegała na zachęcaniu ludzi do mówienia, a nie na zrażaniu ich do siebie tak, by w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać.

- Czy Carrie wydawała się czymś zaniepokojona?

- Ależ skąd! Szalała za szczęścia. Za każdym razem, kiedy ją widzieliśmy, była coraz bardziej podekscytowana ślubem. Zapewniała nas, że będzie najwspanialszy w tym roku i stanie się dla wszystkich wzorem. Cieszyła ją myśl o tym. Uważała, że ślub i wesele zostaną opisane w kilku magazynach.

- Czy znajdowała wspólny język z narzeczoną i jego rodziną? Howard podniósł głowę i odrobinę się usztywnił.

- Pan myśli, że mógł to zrobić Sean?

Wyraźnie się ożywił, oczy zapłonęły mu gniewem. Łatwo było zauważyć, że potrzeba mu kogoś, kogo mógłby obwinie o cierpienie.

- Zdecydowanie nie - odparł Erie, zgodnie z prawdą. Sean Dennison rozmawiał z Carrie przez komórkę tuż przed jej śmiercią, a był wówczas w pracy i pozostawał tam jeszcze przez godzinę po przypuszczalnym czasie jej śmierci. Było to łatwe do zweryfikowania i niewzruszone alibi. - Każde śledztwo zaczyna się od ludzi z najbliższego otoczenia ofiary, potem obejmuje ich znajomych i zatacza coraz szersze kręgi. To zrozumiałe, prawda?

Była to częściowa prawda. Rzadko zdarzało im się wychodzić poza grupę bezpośrednio otaczającą ofiarę. Howard znów się zgarbił.

- O ile mi wiadomo, nie miała żadnych kłopotów z nikim z rodziny narzeczonego - powiedział. - Nie znam jednak nikogo z przyjaciół Seana. Poznaliśmy oczywiście jego rodziców, ale spotkaliśmy się wszystkiego dwa razy.

- Robią wrażenie sympatycznych ludzi - dodała Corene i jej głos odpłynął, a ona sama jakby się wyłączyła, znieruchomiła bowiem i wbiła wzrok w podłogę.

- Dziękuję państwu za to, że poświęcili mi tyle czasu - podsumował łagodnym tonem Erie. - Będziemy w kontakcie.

Państwo Edwards nie mieli dla niego żadnych informacji, a byli tak ogłuszeni żałobą, że zadawanie im następnych pytań graniczyłoby z nadużyciem.

Wrócili z Garveyem do samochodu. Sierżant wcisnął ręce do kieszeni, zabrzęczały drobne monety.

- Pudło.

- Owszem. Może u Dennisonów dopisze nam szczęście.

Dennisonowie mieszkali w Muckhad, co oznaczało, że policja znów przekracza granice swojej jurysdykcji, ale Erie wcześniej zatelefonował i poprosił o spotkanie, więc oboje państwo Dennisonowie mieli na nich czekać. Starał się wyrazić swoją prośbę najogólniej jak to możliwe. Na wypadek gdyby senator był w jakikolwiek sposób zamieszany w tę sprawę, Erie nie chciał przedwcześnie ujawnić przed nim zbyt wielu informacji.

Świadectwem zamożności rodziny Dennisonów, a właściwie pani Dennison, była imponująca brama w wysokim kamiennym ogrodzeniu, za którą ciągnął się rozległy teren. Domu nie było widać. Po lewej stronie zamontowano domofon, a wyżej kamerę. Erie opuścił szybę i użył przycisku domofonu.

- Słucham - odpowiedział energiczny kobiecy głos.

- Sierżant Garvey i detektyw Wilder do senatora Dennisona i jego żony.

Nastąpiła pauza, podczas której niewątpliwie sprawdzano ich nazwiska na liście, w końcu brama zaczęła się powoli otwierać. Erie wymienił spojrzenia z Garveyem, po czym wjechał do środka. We wstecznym lusterku mógł podziwiać, jak płynnie działa mechanizm zamykającej się bramy.

Betonowy podjazd udający kostkę skręcał w prawo, w kępę starych drzew z wielkimi, dającymi cień koronami. Dopiero gdy przejechali dalej, ich oczom ukazał

się dom. Stał nieco po lewej stronie, także wśród drzew. Sprawiał wrażenie obiektu z katalogu biura podróży. Do obszernej dwupiętrowej budowli z żółtego piaskowca z balkonami i portykami przylegał duży garaż na kilka samochodów. Niestety, był zamknięty, tak więc nie mogli zobaczyć wozów. Właściwie nie musieli ich oglądać, ponieważ dokładne informacje na temat aut zarejestrowanych na nazwisko senatora mogli dostać w wydziale ruchu drogowego.

Erie zaparkował przed frontowym wejściem i razem z sierżantem podszedł do dwuskrzydłowych drzwi ponadtrzymetrowej wysokości. Przycisnął guzik dzwonka i usłyszał z wnętrza odgłos basowego gongu.

- Co to, świątynia? - zdziwił się.

- Tylko jeśli jesteś Indianą Jonesem - odparł Garvey

Erie nie znosił stać na schodach, więc wpatrywał się w uwagę w sekundnik zegarka i gdy wskazówka najechała na trójkę, podniósł rękę, by zadzwonić ponownie. Zanim jednak zdążył to zrobić, lewą część drzwi otworzyła im kobieta w nieokreślonym wieku, ubrana w skromną garsonkę.

- Jestem Nora Franks, asystentka pana Dennisona - przedstawiła się. Emocjonalnością tonu mogłaby rywalizować z bakłazanem. - Proszę wejść.

Skorzystali z zaproszenia. Erie przyglądał się kobiecie z daleko posuniętą nieufnością. Nora Franks, też coś. Byłby gotów założyć się, że kobieta nazywa się Danvers, a gdzieś w pobliżu czyha duch Rebeki; nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy Rebeka naprawdę była duchem. Czytał tę przeklętą książkę z obowiązku, żeby zaliczyć zajęcia z literatury w szkole średniej, i wycierpiał każdą minutę lektury. Dopuszczał więc myśl, że szczegóły pomyliły mu się z *Makbetem* lub czymkolwiek innym.

- Tędy, proszę.

Poprowadziła ich po marmurowej posadzce, stukając obcasami praktycznych czółenek. Dwa biegi głównych schodów spotykały się na podeście, z którego pięć kolejnych stopni prowadziło na piętro. Pośrodku holu wisiał kandelabr, który musiał dorównywać wysokością Ericowi, a wyglądał jak olbrzymia oszlifowana łąza. Dokładnie pod nim stał inkrustowany stolik, na którym umieszczono wielki bukiet świeżo ściętych kwiatów. Poznał hortensje, ponieważ rosło ich trochę u jego matki, poza tym jednak nie potrafiłby wymienić nazw. Pachniały jednak ładnie. Pani Danvers - cholera, pani Franks, i powinien to zapamiętać, żeby nic pomylić się w niestosownej chwili - przystanęła przy zamkniętych drzwiach po lewej stronie i delikatnie zapukała, pochylając głowę. Erie nie usłyszał odpowiedzi, ale ona musiała usłyszeć, bo otworzyła drzwi.

- Szanowna pani, panie senatorze. Sierżant Garvey i detektyw Wilder.

Z tymi słowami odsunęła się, skinęła im głową na pożegnanie i zamknęła za nimi drzwi. Erie pomyślał, że ponieważ się nie przedstawili, ta sama kobieta musiała z nimi rozmawiać przez domofon. Znaleźli się w bibliotece, której ściany od podłogi po sufit zajmowały półki z książkami wszelkich wielkości. W odróżnieniu od wielu podobnych pokoi ten wyglądał tak, jakby książki rzeczywiście czytano. Przede wszystkim nie były ustawione kolorami ani według rozmiarów. Kieszonkowe wydania mieszały się z tomami w twardych oprawach. Niektóre tomy leżały w poprzek, jeden na drugim, były też takie z oderwanymi grzbietami. Na półkach stało również mnóstwo bibelotów: fotografie w ramkach, przedmioty wyglądające na cenne rzeźby, a obok tanie pamiątki z wakacji, takie jak rozgwiżdża oparta o stertę książek.

Ericowi spodobał się ten pokój i to było dla niego zaskoczenie, ponieważ nie spodziewał się, żeby cokolwiek u Dennisonów mu

się podobało. Podczas wizyty musiał pilnie zwracać uwagę na to, czy któreś z gospodarzy nie wyda mu się prawdopodobnym zabójcą, ale jego osobiste upodobania były od tego zupełnie niezależne. Kobieta, która odłożyła książkę i wstała z głębokiego brązowego fotela, natychmiast wzbudziła jego sympatię.

- Jestem Fayre Dennison - powiedziała i podeszła do nich z wyciągniętą ręką.

Obaj uścisnęli jej dłoń. Erie docenił także siłę tego uścisku, ani przez chwilę bowiem nie miał wrażenia, jakby trzymał zdechłą rybę. Kobieta była nieduża, wzrostu najwyżej przeciętnego, i miała smukłą sylwetkę sportsmenki, która nie stara się ograniczać do liścia sałaty dziennie, lecz spala kalorie w ruchu.

Zwracała uwagę. Jeśli Douglasowi Dennisonowi zależało na żonie, która byłaby dla niego atutem w polityce, to nie mógł trafić lepiej, nawet gdyby zamówił partnerkę u projektanta. Fayre Dennison miała platynowe włosy do ramion, zaczesane do tyłu i spięte na karku czarną kłamrą. Nie próbowała łagodzić surowości tej fryzury grzywką ani luźnymi kosmykami, zresztą jej twarzy nie było to potrzebne. Twarz o wyraźnym konturze, ale bardzo kobieca, z niedużym dołkiem w podbródku, prostymi, ciemnymi brwiami i oczami, które w zestawieniu ze srebrzystą bielą włosów wydawały się czarne, broniła się sama. Głos Fayre brzmiał energicznie, spojrzenie wydawało się zarazem przyjazne i bystre. Była ubrana całkiem nieformalnie w białe spodnie, czarną bluzkę i czarne pantofle na płaskim obcasie, ale to wszystko wyglądało na niej tak, jakby kosztowało milion dolarów. Jej wiek Erie ocenił na blisko sześćdziesiąt lat dlatego, że widział, z jaką łatwością Fayre dźwiga na swych smukłych ramionach autorytet, a nie z powodu nielicznych zmarszczek.

Senator Dennison stanął nieco z tyłu. W odróżnieniu od ludzi, którzy zupełnie nie przypominają swoich fotograficznych

wizerunków, nie dość, że był fotogeniczny, to jeszcze w naturze wyglądał tak samo. Był około piętnastu centymetrów wyższy od żony, atletycznie zbudowany, jego ramiona wciąż zachowały mu skulaturę. Opalenizna wydawała się u niego naturalna, a nie ze spreju. Miał szpakowate włosy, swobodny uśmiech i przyjazne niebieskie oczy. Był ubrany bardziej oficjalnie niż żona, wciąż miał na sobie spodnie i koszulę od garnituru, ale zdjął marynarkę i krawat, a rękawy koszuli podwinął. Erie bardzo uważnie mu się przyglądał, choć robił to dyskretnie. Z pozoru senator należał do tych ludzi, których lubi się od pierwszej chwili - uprzejmy, inteligentny. Nie zadowalało go życie z pieniędzy żony, więc założył firmę, osiągnął niemało, a gdy przeszedł do polityki, kontynuował sukcesy.

Oboje byli z pozoru odprężeni, Erie dostrzegał jednak oznaki napięcia. Przecież zamordowano narzeczoną ich syna. W tej chwili tkwili na aucie, ale wkrótce mieli znaleźć się w samym centrum boiska. Musieli pamiętać o opinii publicznej, odpowiadać na pytania dziennikarzy, pocieszać syna, zrobić co w ich mocy, by wesprzeć małżonków w żałobie, którzy w przyszłym miesiącu zostaliby teściami Seana. Na razie korzystali ze względnego spokoju, choć wiedzieli, że nie potrwa on długo.

- Proszę usiąść - powiedziała Fayre, wskazując wielką skórzaną sofę. - Czy chcą panowie czegoś się napić? Wiem, że alkohol jest wykluczony, ale mogę zaproponować kawę, mrożoną herbatę albo napoje gazowane.

Dennisonowie trzymali w dłoniach po kieliszku białego wina.

- Nie, dziękujemy - odrzekł Erie, gdy usiedli.

Miękka, kosztowna skóra ugięła się pod jego pośladkami akurat na tyle, by obudzić u niego chęć zapadnięcia się w mebel. Erie odparł jednak tę pokusę i usiadł na samej krawędzi, opierając noś na kolanie.

Fayre spojrzała na niego i na twarzy wykwitł jej uśmiech.

- Rozumiem. Oglądałam wiadomości w południe. Pan już nigdy nie będzie pił kawy.

Garvey stłumił radosne parsknięcie, a Erie poczuł, że palą go policzki.

- Bardzo panią przepraszam.

- Niech pan nie waży się tego robić. To przynajmniej było coś zabawnego, a odkąd wczoraj wieczorem dotarła do nas wiadomość o Carrie, nie jest nam do śmiechu. Ten chłopiec miał mnóstwo wdzięku, ale dziękuję losowi, że to nie ja jestem jego matką, bo obawiam się, że może być z nim sporo kłopotów. Pan natomiast bardzo dzielnie się zachował i uważani, że ma pan prawo do kilku mocnych słów, jeśli są potrzebne.

- Wcale nie tak dzielnie. - Skubnął kołnierzyk, gorąco rozlało mu się bowiem na kark. - Ten typ był uzbrojony w pistolet na wodę.

- Ale pan tego nie wiedział. Myślał pan, że broń jest prawdziwa.

- To prawda.

- Nie oglądałem wiadomości - włączył się senator. - O czym mowa?

- Wytłumaczę ci później. Wieczorem pewnie powtórzą ten materiał, więc sam obejrzysz.

- To znaczy, że musi być naprawdę pierwszorzędny - stwierdził senator, uśmiechając się pod nosem. - Zgoda, mogę poczekać.

- No dobrze - powiedziała pani senatorowa, przenosząc wzrok z Erica na Garveya - przypuszczam, że panowie przyszli zapytać, czy któreś z nas zabiło Carrie.

- Fayre! - zawołał zszokowany senator.

- Tak, proszę pani - przyznał Erie, bo tak podpowiedział mu instynkt. Nie miało sensu wciskać tej kobiecie kitu, założyłby się, że miała wrodzony wykrywacz kłamstw. - To rutynowa procedura.

- Tak, najpierw przyjrzeć się rodzinie. Jeśli o mnie chodzi, nie lubiłam jej, ale jakoś się z nią dogadywałam dla dobra Seana.

- Myślałem, że ją lubisz! - powiedział senator, wyraźnie zaskoczony

- Raczej nie. Sean był z nią szczęśliwy, nie miałam więc nic przeciwko temu, żeby ją poślubił. Carrie i ja zawarłyśmy milczące porozumienie. Dopóki ona nie próbuje gierki, żeby mnie zdominować, i daje szczęście Seanowi, dopóty jesteśmy w dobrych stosunkach. Intercyzę podpisała bez zastrzeżeń, nie wykluczam więc, że może naprawdę kochała Seana, a nie tylko go wykorzystywała.

- Co nasuwa pani myśl, że mogła go wykorzystywać? - spytał Garvey.

Zazwyczaj pozostawał na drugim planie i pozwalał prowadzić przesłuchanie Ericowi, ale Fayre Dennison miała w sobie coś takiego, co budziło w człowieku inicjatywę. Erie nie potrafiłby tego nazwać; prawie zapomniał, po co tutaj przyszedł.

Charyzma, olśniło go. Tak, właśnie to. Fayre Dennison miała charyzmę tego rodzaju, że przyciągała ludzi do siebie i skłaniała ich, by się otworzyli. Rozmawiało się z nią tak, jakby było się znowu dzieckiem i rozpakowywało bożonarodzeniowe prezenty.

Cholera. Miał na nią chętkę jak nastolatek, a przecież ta kobieta była w wieku jego matki. Widocznie był to dzień spotkań z atrakcyjnymi starszymi kobietami - najpierw Madelyn Wilde, a teraz Fayre Dennison. Bardzo się różniły, ale do obu poczuł instynktowną sympatię i chętnie spędziłby z nimi więcej czasu. Co więcej, mama Jaclyn nawet nie próbowała go czarować, bo była zdenerwowana.

- Przeczucie - odrzekła po krótkim namyśle Fayre. - Carrie lubiła wykorzystywać ludzi. Ze mną niczego nie próbowała, a dla Seana zawsze była miła, ale widziałam, jak zachowuje się w stosunku do innych. To przeczucie nie było niczym określonym, ale

będąc w jej towarzystwie, odnosiłam wrażenie, że Carrie musiała sobie powtarzać, iż powinna być sympatyczna. Na przykład w restauracji. Jeśli jakiś drobiazg był nie po jej myśli, natychmiast przybierała ten zimny, złośliwy wyraz twarzy, a gdy po chwili łapała się na tym, natychmiast uśmiechała się tak słodko, że aż bolały mnie zęby

- Mówi pani, że spisano intercyzę?

- Tak. Ciężko pracowaliśmy, żeby Sean nie wyrósł na rozpuszczonego bachora, jak wiele dzieci w jego sytuacji. Nie zapewniliśmy mu pracy, musiał sam jej poszukać i sam też odpowiada za swoje rachunki. Dopisało nam szczęście, że jest naprawdę miłym człowiekiem. Jedyna jego wada, jeśli wada można to nazwać, polega na tym, że jest skłonny dostrzegać u ludzi przede wszystkim to, co dobre. - Uśmiechnęła się dyskretnie, lecz z dumą. - Jest jednak inteligentny i my też, więc wyłączyliśmy z tego równania majątek rodziny. Podpisując intercyzę, Carrie zrzekła się wszelkich praw do pieniędzy, które otrzyma Sean w spadku. To wszystko. Uważaliśmy, że wystąpienie z ewentualnymi zastrzeżeniami w sprawie pieniędzy, które sam zarobił, należy do niego. Nie postawił takich warunków. Zresztą, jak powiedziałam, Carrie niczego nie kwestionowała, po prostu podpisała dokument.

- Może go kochała.

- Może. - Ton głosu pani Dennison sugerował, że wcale tak nie uważa, ale ponieważ Carrie nie żyje, należy pozostawić sprawę otwartą.

- Czy znają państwo kogoś, z kim Carrie nie mogła się dogadać, na przykład kogoś, z kim się pokłóciła do tego stopnia, że sprawy wymknęły się spod kontroli?

- Carrie kłóciła się ze wszystkimi, z wyjątkiem nas i Seana - odparł z westchnieniem senator. - Przyznaję, że martwiłem się wyborem Seana, ale ona zawsze była... Miało się wrażenie, że on

wydobywa z niej to, co najlepsze, jeśli pan mnie rozumie. Kiedy była z nim, nie zachowywała się tak jak w stosunku do innych osób.

- Któraś z tych kłótni była szczególnie ostra?

- Tylko ta z Taite Boyne - odrzekła Fayre. - Były najlepszymi przyjaciółkami. Taite miała wystąpić podczas ślubu jako pierwsza drużna, ale z tego, co wiem, bardzo się z Carrie skłóciły i Taite zdecydowała, że nie przyjdzie na ślub.

Ton jej głosu komunikował, że pierwsza drużna rezygnująca z udziału w ślubie to kataklizm tego samego rzędu, co pożar niszczący kościół do fundamentów.

Już drugi raz została wymieniona pierwsza drużna. Problem polegał na tym, że siłą rzeczy nie mogła być siwowłosym mężczyzną, a nikt nie widział jej w domu weselnym.

- Wydaje mi się, że doszły do porozumienia - wtrącił senator i wzruszył ramionami. - Nie jestem pewien. Słyszałem, że Sean rozmawia z Carrie na ten temat, i stąd u mnie to wrażenie.

- Możliwe. - Fayre też wzruszyła ramionami. - Było tyle nie kończących się dramatów związanych z przygotowaniem do ślubu, że szybko przestałam się nimi interesować. Nie powinna mieć żadnych problemów z tym, co zaplanowała. Należało podjąć decyzje, trzymać się ich, a szczegóły zostawić zawodowcom. Gdyby wynikły jakieś kłopoty, zawsze można byłoby bez wysiłku coś zaimprowizować.

- Muszę o to zapytać - powiedział Erie. - Gdzie państwo byli wczoraj między trzecią a szóstą po południu?

Pani senatorowa nie poczuła się ani trochę urażona. Nawet spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Byłam tutaj, a ze mną cztery inne członkinie komitetu przygotowującego Bal Szklanej Kuli. Z zapalem snułyśmy różne plany. Ostatnia wyszła chyba Sydney Philips... około wpół do szóstej.

Oczywiście była też Nora, to znaczy pani Franks.

- Ja byłem w pracy - dodał senator. - Musiałem zostać nieco dłużej niż zwykle. Wyszedłem z biura mniej więcej kwadrans po piątej, a do domu dojechałem... która to była? Szósta? Chyba trochę wcześniej.

Jako alibi obydwaj wyjaśnienia wydawały się solidne pod warunkiem, że zostaną potwierdzone. Erie spisał nazwiska członków komitetu, w którym zasiadała pani Dennison, oraz niezbędne informacje dotyczące senatora, ale weryfikacja była w obu wypadkach tak łatwa, że nie warto byłoby kłamać. To zaś oznaczało, że nie wiadomo gdzie szukać siwowłosego mężczyzny, którego widziała Jaclyn.

Razem z Garveyem wstali, to samo zrobił senator.

- Odprowadzę panów do drzwi - powiedział. Gdy przechodzili przez wyłożoną marmurami sień, spytał: - Czy wiedzą panowie choćby w przybliżeniu, kiedy ciało Carrie zostanie wydane rodzicom?

- Prawdopodobnie jutro - odparł Garvey. Senator skinął głową. Wydawał się zadumany

- Wobec tego jutro po południu będzie można załatwić pogrzeb. Fayre i ja wygospodarujemy czas, żeby spędzić go z Seanem i rodzicami Carrie, może pomożemy im w podjęciu decyzji. Syn jest bardzo przybity Nawet jest w tej chwili w domu, ale śpi na górze. W nocy nie mógł zasnąć, w końcu jednak go zmoгло, bo już był tak zmęczony, że nie potrafił ustać na nogach.

Otworzył drzwi i wyszedł z nimi na zewnątrz. Tam przystanął, wcisnął ręce do kieszeni i wbił wzrok w ziemię. Ta poza i wyraz twarzy, jakby naznaczony poczuciem winy, sprawiły, że zatrzymał się również Erie. Garvey odwrócił się i poszedł za jego przykładem. Trzej mężczyźni stanęli w luźnym kręgu.

- Muszę przyznać się do czegoś, o czym wolałbym nie mówić - powiedział senator.

Erie bacznie przyglądał się wszystkim, nawet drobnym zmianom na jego twarzy.

- Nie byłem w pracy - dodał cicho.

Erie wiedział już, dokąd zmierza rozmowa, i nie musiał zastanawiać się nad tym dłużej niż sekundę.

- Czy chce pan nam wyjaśnić, gdzie był naprawdę?

- Z moją... Posłuchajcie, mam przyjaciółkę. Byłem z nią. Bingo! Domysł Eriego szybko się potwierdził.

A swoją drogą,

jakim trzeba być głupcem, żeby oszukiwać kobietę pokroju Fayre Dennison. Pieprzonym głupcem, ot co! Erie nie zdradził się jednak ze swoją opinią, tylko powiedział:

- Proszę podać jej imię, nazwisko, adres i numer telefonu. Senator skinął głową.

- Wyszedłem z pracy wcześniej, żeby z nią pobyć. Jej też udało się znaleźć trochę wolnego czasu, więc wykorzystaliśmy okazję na spotkanie.

- Ona nazywa się... - nacisnął Erie. Senator wyglądał w tej chwili żałośnie.

- Ja... Mniejsza o to, nie będę się tłumaczył. To Taite Boyne. Niedawna pierwsza drużna Carrie, pomyślał Erie. No, no. Zaczynało się robić ciekawie.

Rozdział 17

- Gotów do następnego przesłuchania? - spytał Garvey, gdy wraz z Erikiem znalazł się w samochodzie. Wybierał numer Taite Boyne.

- Jasne.

Było po piątej, słoneczny żar wciąż dawał się we znaki, lecz praca w policji nie trwała od dziewiątej do piątej. I nawet nie od ósmej do piątej, niech to szlag trafi. W te lepsze dni pracowało się mniej więcej od siódmej do szóstej. Erie przesunął do końca regulator klimatyzacji.

Po chwili Garvey przerwał próbę połączenia.

- Nic z tego - powiedział niepotrzebnie.

Wybrał drugi numer podany im przez senatora Dennisona. Tym razem trafił na automatyczną sekretarkę.

- Pani Boyne? Mówi detektyw Erie Wilder z policji w Hopewell.

- Dzięki - mruknął Erie. To rzeczywiście była jego sprawa, więc sierżant pozwalał mu ją prowadzić.

- Chciałbym uzyskać od pani kilka informacji dotyczących Carrie Edwards - ciągnął gładko Garvey - Proszę oddzwonić pod... - Zawahał się, po czym podał numer komórki Erica.

Ekskluzywny butik, który Taite Boyne zaopatrywała w towar, na pewno już był nieczynny, chociaż trudno było powiedzieć, ile czasu ktoś taki jak panna Boyne spędza w sklepie po jego zamknięciu. W każdym razie nie odebrała telefonu komórkowego. Nie podniosła także słuchawki telefonu stacjonarnego w domu.

Zanosiło się na to, że ich dzień pracy dobiegł końca. Chyba że panna Boyne szybko oddzwoni, ale Erie na to nie liczył.

Garvey wyraźnie podzielał jego opinię, bo ziewnął i zauważył:

- Moja panna młoda z rumieńcami ucieszy się, gdy przyjdę o przyzwoitej godzinie.
- Chciałeś chyba powiedzieć, że cieszysz się z powrotu do domu o przyzwoitej godzinie, bo dzięki temu twoja panna młoda z rumieńcami nie obetnie ci jaj, żeby nakarmić cię nimi na kolację?
- Słusznie - przyznał Garvey, uśmiechając się, jak zwykle gdy wspominał o żonie. - Potrawka z jaj jest dosyć żylasta.

Erie nie zazdrościł sierzantowi żony, ale zazdrościł mu zażyłości w związku. Miał nadzieję, że któregoś dnia znajdzie kobietę, o której wciąż będzie mówił z uśmiechem po wielu latach małżeństwa. Stąd było już niedaleko do myśli o Jaclyn, bo ich znajomość została stłumiona w zarodku, zanim dostała swoją szansę. Naturalnie, nie brał pod uwagę małżeństwa ani niczego podobnego. W żadnym wypadku! Boże broń. Uważał jednak, że między nimi solidnie zaiskrzyło, a to był bardzo dobry początek.

- Nie rozumiem takich dupków jak senator - powiedział, gdy jego myśli naturalnym torem dotarły do małżonków, których właśnie opuścili. - Po co zdradza taką kobietę jak jego żona?

- Ja też nie rozumiem - przyznał Garvey. - Mądra, elegancka, ładna, bogata... czego jeszcze chcieć?

Nie sposób było się dowiedzieć, co działo się między tymi dwojgiem. W każdym razie Erie od pierwszej chwili polubił panią Dennison tak bardzo, że gdy senator przyznał się do zdrady, natychmiast zakwalifikował go do kategorii kosmicznych głupców.

Wrócili do komendy w Hopewell i z ociąganiem weszli do środka, aby sprawdzić, co tymczasem się wydarzyło i jakie raporty wpłynęły. Główna sala nie przypominała już ula, wciąż jednak

kręciło się tam sporo osób, a przynajmniej pół tuzina z nich miało coś do powiedzenia o porannym incydencie z kawą. Ha, ha. Myśl o kawie przywiodła Ericowi przed oczy obraz Jaclyn. Obiecał skopiować dla niej zawartość aktówki. Dobrze, że sobie o tym przypomniał. Garvey poszedł do swojego biurka, a tymczasem Erie zadzwonił do urzędnika z wydziału dowodowego, który miał u niego dług wdzięczności, a potem wziął się do przeglądania maili. Właśnie wtedy zawołał go sierżant.

- Mam coś ciekawego z wydziału ruchu drogowego - powiedział. - Zgadnij, kto jest właścicielem srebrnego mercedesa.

Mercedes był ważną poszlaką.

- Senator - odparł Erie. - Nie chrzanisz?

- Nie chrzanję. Sprawa robi się coraz bardziej śliska. Bogaty polityk właśnie wpadał po uszy w bagno i obaj dobrze o tym wiedzieli.

- Nasza potencjalna podejrzana numer jeden zmienia się w ten sposób w świadka numer jeden.

To odkrycie nie uwalniało ich od kłopotów. Skoro mieli już podstawę, mogli pokazać Jaclyn zdjęcia różnych siwowłosych mężczyzn, w tym senatora, żeby sprawdzić, czy zostanie przez nią zidentyfikowany, ale właśnie tu krył się zasadniczy problem. Dennison był senatorem stanowym, kandydującym do senatu federalnego, więc jego reklamy wyborcze pojawiały się w wielu kanałach telewizyjnych. Jaclyn mogła łatwo ulec złudzeniu, że go rozpoznaje, bo podświadomie zapamiętała te reklamy. Erie chciał wsadzić za kratki mordercę, ale nade wszystko nie życzył sobie aresztować niewłaściwego człowieka.

Tymczasem nie mieli dostatecznie dużo przesłanek, aby uzyskać nakaz przeszukania samochodu.

Sędzia nie chciałby ich słuchać, poza tym senator miał alibi: spotkał się z przyjaciółką. Alibi zawsze można obalić. Gdyby, na przykład, wyszło na jaw, że

senator ma przyjaciółkę, Fayre Dennison mogłaby wkroczyć do akcji i zainteresować się alibi męża.

- Powinieneś jeszcze raz porozmawiać z Jaclyn Wilde - poradził Garvey - Sprawdź, czy uda ci się wydobyć od niej dokładniejszy opis mężczyzny, którego widziała na parkingu domu weselnego.

Erie pomyślał o szczegółowym harmonogramie tygodnia, który znajdował się w jej aktówce.

Wiedział, gdzie i o której może znaleźć Jaclyn. Takie zorganizowanie miało swoje zalety.

- Już jadę - powiedział. Odwrócił się do wyjścia.

- Wilder! - zawołał go Garvey. Erie obrócił się ze zdziwioną miną.

- Jeśli jutro rano przysłoby ci do głowy wpaść gdzieś na kawę, to lepiej tego nie rób.

Zdarzało się, że Madelyn przychodziła na ślubną ceremonię tak chora, że ledwie mogła podnieść głowę. Potrafiła się zmobilizować, jeśli okoliczności tego wymagały. Stawiała czoło migrenom, bólom miesiączkowym (te, dzięki Bogu, wreszcie miała za sobą) i wirusowym infekcjom żołądka, choć przy okazji tych ostatnich Madelyn zastanawiała się, co pomyśli o niej panna młoda, jeśli w trakcie miodowego miesiąca nagle zachoruje. Naturalnie, nieomagając, Madelyn starała się ograniczać bezpośrednie kontakty z ludźmi, ale jeśli akurat nie miał jej kto zastąpić, musiała robić swoje. Tego wieczoru nie czuła się dobrze, wybrała się jednak na próbę ceremonii. W końcu czy miała wybór? To, że Carrie Edwards pozwoliła się zabić, nie oznaczało, że czas zatrzymał się dla innych nowożeńców. Agencja Premier musiała realizować zlecenia i należycie wypełnić obowiązki. Kosztowało ją wiele wysiłku, by nie tylko sprostać wieczornej próbie i ślubowi nazajutrz, lecz do tego prezentować uśmiechniętą

twarz. Nikt przecież nie życzy sobie organizatora imprezy z twarzą Nemezis. Madelyn wiedziała, że zważywszy na jej obecny ponury nastrój, podejmuje trudne wyzwanie.

Panna młoda, pełna uroku dziewczyna, miała niemal patologiczne upodobanie do koloru różowego. Różowe były kwiaty, zaproszenia i kilometry wstążek. Różowiły się suknie druhen, świece i nawet szarfy drużbów przy smokingach. Tort weselny o smaku truskawkowym był polany różowym lukrem. Przynajmniej jednak udekorowano go czerwonymi różyczkami, ktoś bowiem zwrócił uwagę, że różowe róże zginą na tle różowego lukru, i panna młoda ustąpiła.

Próba też nie była wolna od tej tonacji. Panna młoda nosiła różową suknię, a pan młody odpowiedni do tego krawat. Wszystkie drużny miały na sobie rozmaite warianty różu, choć tego wieczoru jeszcze nie zharmonizowane. Ich piękne i barwne suknie reprezentowały całą paletę odcieni, od neonowego po malinowy. Matka panny młodej ubrała się w śliczny kostium koktajlowy, do którego dobrała zbyt dużą jaskraworóżową torebkę. Z kolei matka pana młodego włożyła długą, lejącą się spódnicę w wielkie różowe kwiaty. Nawet wielokolorowa bluzka Peach miała różowy akcent.

Madelyn, która wybrała kostium w kolorze morskim, czuła się jak ryba pływająca w morzu różowości. Wyróżniała się nie tylko kolorem kreacji, lecz również narastającą irytacją, której jednak nie ośmieliła się okazać. Należało się zachować w pełni profesjonalnie. Carrie Edwards do końca pozostała sobą, pomyślała ze złością. Dlaczego nie pozwoliła się zabić tydzień wcześniej, kiedy agencja Premier nie organizowała tylu ślubów i wesel?

Peach pochyliła się do Madelyn i szepnęła:

- Zaraz rzygnę.

Madelyn zerknęła znacząco na różowy akcent bluzki swojej przyjaciółki i skarciła ją wzrokiem. Nie wytrzymała jednak z tą

karzącą miną długo, poczucie humoru wzięło górę. Wyraz twarzy Peach, usiłującej ukryć zgrozę, był bezcenny. Na szczęście państwo młodzi oraz ci wszyscy, którzy brali udział w próbie, nie zwracali na nie uwagi. Stały z boku i cicho wypowiedzianej uwagi nikt nie usłyszał.

- To czysty przypadek - szepnęła Peach, skubiąc różowy kwiatusek na swoim rękawie. - Nie miałam przecież momentu iluminacji. Wiem, że ślub ma być na różowo, ale próba też?

Pewne zamieszanie wybuchło, gdy pięcioletni chłopiec od obrączek chciał przejść nawą do ołtarza. Dziewczynka sypiąca płatki, młodsza od niego o dwa lata, była bowiem zdania, że należy jej się pierwszeństwo, ponieważ jest „ifcinką”, a „ifcinki zafsie siom piersie!”. Madelyn musiała interweniować i wyjaśnić temu chochlikowi z jedwabistymi włosami, że ludzie, którzy są naprawdę ważni, zawsze idą na końcu i dlatego panna młoda podchodzi do ołtarza jako ostatnia. Dziewczynka zadumała się, by w końcu zdecydować, że i tak nie chce uczestniczyć w tej głupiej paradzie. Zapowiadało się, że będzie zabawnie.

Mimo wszystko różowemu ślubowi daleko było do najokropniejszego wydarzenia w dorobku Premier. Nawet nie mieścił się w czołowej dziesiątce. Gdyby Madelyn lepiej się czuła, w nadmiarze różu mogłaby nawet dojrzeć niewinny urok, bo przecież zadaniem agencji było zapewnić pannie młodej to, czego sobie życzyła, aby jej wielki dzień był wyjątkowy i wolny od kłopotów. Ta panna młoda zapragnęła akurat, by było różowo, więc trzeba było tego dopilnować. Agencja Premier dostarczyła wszystko - od tkanin po kwiaty, od ciast i serwetek po obrusy i prezenty dla panny młodej. Występowało tyle różnych odcieni różu, że ich zharmonizowanie wymagało licznych eksperymentów i pochłonęło niemało wysiłku. Nawet jeśli nazajutrz wszystko dookoła miało być różowe, to

przynajmniej odcienie się nie gryzły. Ostateczny efekt mógł się podobać, jeżeli komuś kolor pasował do nastroju.

Jeśli nie liczyć obfitości jednego koloru, organizacja tego ślubu i wesela nie wymagała nadzwyczajnych starań. Obie rodziny zachowywały się sympatycznie, wszyscy promienieli życzliwością i oprócz dziewczynki sypiącej płatki nie było w całym towarzystwie ani jednej histeryczki. Państwo młodzi wyglądali na bardzo w sobie zakochanych i patrzyli na siebie z niekłamanym zachwytem. Gdyby mogło to pomóc w gładkim przebiegu innych ślubów, Madelyn byłaby nawet gotowa zainwestować w różową kreację. Może nawet jednakowe różowe kostiumy dla całej ekipy Premier, różowe wizytówki i zjadliwie różowe jaguary. Ten pomysł wprowadziłby Jaclyn w przerażenie.

Pierwszy raz tego długiego dnia Madelyn poczuła, że szczerze się uśmiecha.

Gdy próba szczęśliwie dobiegła końca, dziewczynkę sypiącą płatki udało się przekonać, że będzie gwiazdą wydarzenia, jeśli zgodzi się przejść nawą przed panną młodą. Natomiast matka panny młodej zaprosiła Madelyn i Peach na kolację zamówioną w uznanej restauracji specjalizującej się w owocach morza. Kiedy indziej Madelyn uległaby pokusie, ale tego dnia czuła się wykończona. Zmęczyła się robieniem dobrej miny do złej gry, udawaniem, że wszystko jest w porządku, choć wcale nie było. Z uśmiechem podziękowała więc za zaproszenie i na pożegnanie potwierdziła godzinę spotkania nazajutrz w kościele.

Peach, zamiast skierować się na parkingu do swojego samochodu, poszła za Madelyn.

- Jak tam Jaclyn? Nie chcę usłyszeć sztampowego „w porządku”. Widziałam ją dzisiaj i wydaje się trzymać całkiem dobrze, ale jako jej matka wiesz, czy robi to tylko na pokaz.

- Znosi to lepiej niż ja, gdybym była na jej miejscu.

Madelyn starała się oddzielić sprawy zawodowe od troski o córkę, lecz nie udało jej się pozbyć niepokoju, który w miarę upływu dnia ukrywała coraz głębiej pod warstwą złości. Najlepiej, gdyby miała pod ręką osobę, na której mogłaby skupić negatywne uczucia. Czy powinna być zła na Carrie Edwards, która była wyjątkową wydrą i sprowadziła na nie całe to nieszczęście? A może raczej na detektywa Erica Wildera, który miał czelność traktować Jaclyn jak morderczynię?

- Morderstwo samo w sobie jest czymś złym - dodała opryskliwie - ale nie potrafię znieść myśli, że ktokolwiek choćby przez krótką chwilę podejrzewał Jaclyn o popełnienie takiego czynu. Chciałabym się spotkać z tym Erikiem Wilderem oko w oko i...

- Wiem, co bym z nim zrobiła, gdyby to na mnie wypadło - wtrąciła z westchnieniem Peach, ale szybko dodała: - Już ja bym mu dała. - Urwała i wydeła wargi. - Oj, to chyba nie zabrzmiało tak jak powinno.

- Chyba właśnie zabrzmiało - odparła Madelyn. - Jak doświadczony detektyw może być tak ślepy? Jaclyn nie jest zdolna...

- Tego nie jestem pewna - wpadła jej w słowo Peach. - Jeśli nadarzy się okazja, a motywacja będzie dostatecznie silna... Naturalnie, nie uważam, że Jaclyn zabiła Carrie Edwards - dodała szybko. - Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Jednak czy nie sądzisz, że w określonych okolicznościach byłabyś zdolna zabić człowieka, żeby chronić kogoś, kogo kochasz? Ja wiem, że byłabym. Może więc Carrie zabił ktoś, kogo nigdy nie podejrzewałybyśmy o skłonność do przemocy.

- Niewykluczone - przyznała Madelyn.

Peach starała się racjonalnie rozumować, podczas gdy ona nie miała na to najmniejszej ochoty. Była matką, a jej dziecko stało wobec zagrożenia. Znowu ożyła jej złość.

- Powiem ci tyle: gdyby Jaclyn postanowiła zabić Carrie Edwards, zrobiłaby to w tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Jest zbyt inteligentna, by zabić kobietę chwilę po tym, jak została przez nią spoliczkowana i zwolniona w obecności wiarygodnych świadków.

Gdyby Jaclyn postanowiła zabić Carrie Edwards, oczywiście teoretycznie, bo w praktyce nie zrobiłaby tego na pewno, to ciało nigdy nie zostałoby znalezione. Madelyn nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości, ponieważ pod tym względem były z córką bardzo do siebie podobne, a ona postąpiłaby właśnie w ten sposób.

Samochody wyjeżdżały jeden za drugim z parkingu, uczestnicy próby powoli przenosili się z kościoła do restauracji na kolację. Madelyn i Peach żegnały się, machając ręką i rozdzielając uśmiechy oraz przyjazne „do widzenia”.

Madelyn chciała porozmawiać z córką, aby zapewnić ją o swojej chęci pomocy i spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Jednak próba, którą zawiadywała Jaclyn, zaczęła się godzinę później niż tutaj, nie należało więc przeszkadzać. Trzeba było poczekać, aż Jaclyn zatelefonuje. Madelyn nie było spieszno do samotnego spędzania czasu, tym bardziej że złość nabierała mocy. Przechyliła głowę i spytała przyjaciółkę:

- Masz jakieś plany kolacyjne?

- Czy kuchnia dietetyczna cię interesuje? - spytała ironicznie Peach.

- Nie. Mam w lodówce lasagne. Pojedźmy do mnie, nastawię mikrofalę i otworzę butelkę czerwonego wina. Zjemy, zrzucimy z nóg pantofle i wygodnie się ulokujemy na kanapie. Wciąż nie opowiedziałas mi dokładnie o facecie, z którym spotkałaś się w ostatni weekend. Prawdę mówiąc, chętnie pogadam o czymś neutralnym.

Peach westchnęła.

- Ty złotousta diablico, namówiłaś mnie na lasagne.

Madelyn miała nadzieję, że wieczór w towarzystwie Peach i kilka kieliszków wina ułatwią jej później przespać noc, choć taka nadzieja mogła się okazać płonna. Trudno było odpoczywać dopóty, dopóki nie wyjaśni się sytuacja jej dziecka.

W historii agencji Premier nie był to pierwszy ślub pod znakiem futbolu, jednak Jaclyn zauważyła, że uczestnicy tego ślubu są wyjątkowo mocno zaangażowani w kibicowanie Bulldogom, a to miało swoje znaczenie. Był środek lata, tymczasem pan młody i jego drużbowie przyszli na próbę w bluzach ukochanego klubu. Nawet trochę się dziwiła, że nikt nie wpadł na pomysł, by obrączki podać efektownym podkręconym rzutem piłki futbolowej, przyozdobionej wstążkami w klubowych barwach, czerwonej i czarnej. Musiałaby wtedy odważyć się na sprzeciw. Z jej doświadczeń wynikało, że rzucanie czymkolwiek podczas ślubu nie jest dobrym pomysłem.

Na Południu futbol na poziomie uniwersyteckim był niemal religią, ale i tak Jaclyn zdziwiła się, gdy panna młoda zażyczyła sobie ceremonię ślubną odwołującą się w dekoracjach do tradycji drużyny Georgia Bulldogs. Naturalnie, zadaniem agencji było spełnić jej życzenie, ale znalezienie materiałów, wstążek, a zwłaszcza kwiatów dokładnie w odcieniu czerwieni barw drużyny było niełatwe.

Diedra otrzymała surowy zakaz wspominania przy jakiegokolwiek okazji związanej z tym ślubem, że jest zapalonym kibicem Georgia Tech. Organizatorów zwalniano z mniej istotnych powodów. Jaclyn uczestniczyła w niejednym spotkaniu branżowym, podczas którego jej koleżanki dyskutowały o delikatnej kwestii uniwersyteckiego futbolu i sposobach radzenia sobie z gwałtowną rywalizacją i podziałem lojalności. W Alabamie, na przykład, nikt zdrowy na umyśle

nie organizował ślubów w dniu derbów między Uniwersytetami Alabama i Auburn, ponieważ nie przyszedłby wtedy nikt oprócz najbliższej rodziny. Większość obecnych byłaby wściekła, że traci ważny mecz, co nie sprzyjałoby pogodnej atmosferze.

Nazajutrz Diedra miała pilnować przebiegu właściwej ceremonii, ale na próbie wystarczała obecność jednej przedstawicielki Premier, więc Jaclyn zdecydowała, że asystentka może nie pracować.

Oczywiście jako szefowa agencji mogła wymóc na asystentce, żeby uczestniczyła w próbie, ale Jaclyn wolała mieć zajęcie. Nawet więcej, potrzebowała myśleć o czymś innym niż martwe niedosze panny młode i irytujący policjanci.

Stanowczo nie zamierzała rozmyślać o jednym, szczególnie denerwującym policjancie. Frustruje się, bo nie potrafi przejść do porządku dziennego nad tym, że nastąpił koniec ciekawie zapowiadającej się znajomości. W takiej sytuacji złość jest uzasadniona i nawet wychodzi na zdrowie. Natomiast uraza jest głupia oraz irracjonalna. Przez cały dzień powtarzała sobie, że musi pogodzić się z losem, lecz udało jej się to umiarkowanie. Właściwie wcale jej się nie udało!

Z zamyślenia wyrwało ją hau-hau pana młodego, charakterystyczny dla Bulldogów szczek przyjemności, podniecenia i satysfakcji. Jaclyn z trudem zachowała powagę na twarzy. Czy u tego człowieka był to normalny sposób wyrażania radości? Czy szczekał podczas uprawiania seksu?

Kompletny obłęd. Dobrze było przynajmniej to, że panna młoda się roześmiała, gorzej, że kilku innych mężczyzn odpowiedziało mu podobnym szczekaniem.

Dwoje małych dzieci, siostrzeniec i siostrzenica oblubienicy, bawiło się, ganiając w tę i z powrotem główną nawą. Reguły zabawy znali tylko oni, ale obejmowały one mnóstwo okrzyków i chichotów, które całkiem nieźle pasowały do szczekania. Ponieważ te bezmyślne gonitwy skutecznie ich zajmowały, a zachowywanie

dzieciaków - oczywiście według subiektywnych kryteriów - niebyło zbyt głośne, towarzystwo pozwalało im dokazywać. Rodzina była przyzwyczajona do chaosu. Nawet Jaclyn nie zwracała na to uwagi, gdy na początku instruowała uczestników próby, a potem przyglądała się jej przebiegowi. Gdyby orszak ślubny, idąc do ołtarza, musiał mijać dzieciaki slalomem, nikomu nie przeszkadzałoby to w najmniejszym stopniu. Nastrój tego wieczoru był gwarny i radosny. Byłoby jednak nadmiarem szczęścia domagać się od losu wieczoru bez żadnej przykrej niespodzianki. Mały chłopiec, w ocenie Jaclyn czteroletni, biegnąc, okrążył koniec ławy, potknął się i upadł jak długi na twarz pośrodku bocznej nawy. Przez dłuższy czas leżał nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku. Przerazona Jaclyn, która miała do niego ledwie kilka metrów, pospieszyła, aby sprawdzić, co się stało. Czyżby malec stracił przytomność? Na szczęście jej obawy szybko się rozwiały, bo chłopiec zaczął wyć, i to coraz intensywniej, aż osiągnął podobieństwo do syreny okrętowej. Przyklekła obok i dotknęła pleców malca, co jednak tylko pobudziło go do jeszcze głośniejszego wrzasku. Kierowało się już ku nim mnóstwo ludzi, a dookoła wciąż rozbrzmiewała nagrana muzyka.

- Usiądź, kochanie, zobaczymy, gdzie uderzyłeś się w głowę - powiedziała z nadzieją, że nie będzie krwi.

Nie była przesadnie wrażliwa, ale... Przygotowana na najgorsze, pomogła mu przekreślić się na plecy i unieść do pozycji siedzącej. Gdy spojrzała na twarz chłopca, odetchnęła z ulgą. Było dużo łez i smarków, ale bez krwi.

- Zaraz wszystko się zagoi - zapewniła łagodnie, odgarniając mu włosy do tyłu, żeby sprawdzić, czy ma guza na czole.

Gdy chłopiec stwierdził, że głos nie należy do matki ani babki, lecz do obcej osoby, wydarł się jeszcze głośniej.

Jaclyn wstała i zrobiła miejsce dla matki, która zachowała stoicki spokój, jeśli zważyć na natężenie krzyku. W życiu Jaclyn nie było małych dzieci. Nie miała braci ani sióstr, ani nawet ciotecznego kuzynostwa. Jeśli jednak właśnie tego tak jej brakowało, to może lepiej kupić sobie chomika albo rybkę. Była to smutna konstatacja, przecież chciała założyć rodzinę.

Tymczasem matka sprawdziła, czy nos, usta i czaszka dziecka są całe, zupełnie jakby wykonywała tę czynność tysiące razy - może rzeczywiście tak było. Potem wyciągnęła chusteczkę i otarła mu smarki z policzków. Chłopiec dalej krzyczał, na co matka reagowała uspokajającym posykiwaniem. Nie wydawała się przejmować, więc Jaclyn uznała, że i ona nie musie się martwić.

Nagle za jej plecami znajomy głos powiedział:

- Co tu robicie? Obdzieracie to dziecko żywcem ze skóry? Zmartwiała i aż zjeżyły jej się włoski na karku. Skąd się tutaj

wziął? Zamierza przesłuchiwać ją przy klientach? A może aresztować...

Erie nie chwycił jej jednak za ręce i nie wyciągnął kajdanków, tylko przeszedł tuż obok niej, tak blisko, że poczuła jego zapach i nawet przez chwilę odbierała promieniujące od niego ciepło.

Przykucnął przy wydzierającym się malcu, odchylił marynarkę, pokazując wielki czarny pistolet w kaburze i policyjną odznakę przy pasie, po czym dłonią pieszczotliwie zmierzwił chłopcu włosy.

- Wygląda na to, że pacnąłeś.

Chłopiec natychmiast ucichł. Dostrzegł policyjne atrybuty i oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia.

Pociągnął nosem i skinął głową. Jego matka zmierzyła Erica taksującym spojrzeniem, podjęła błyskawiczną decyzję i wycofała się. Była tylko matką. Jak mogła konkurować z magią prawdziwego pistoletu i lśniącej odznaki?

- To prawdziwe? - spytał chłopiec, wskazując pistolet.

- Jasne. Plakietka też.

- *Bad boys, bad boys...* - zaśpiewał.

Całkiem dobrze mu to wyszło. Potrafił powtórzyć melodię, mimo że miał zaledwie jakieś cztery lata. Zaraz jednak wargi znowu zaczęły mu drżeć, a w oczach pojawiły się łzy.

- Pan przyszedł po mnie? - spytał spłoszony

Matka zasłoniła usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie. Przychodzę tylko po niegrzecznych chłopców, a o ile wiem, ty należysz do grzecznych. Erie znów zmierzwił mu włosy - Jesteś dzielny. Wygląda na to, że będziesz miał śliwę na czole. Jeśli chcesz ostro grać, musisz się nauczyć, jak się chronić przed siniakami.

- A jak?

Erie wstał, ale położył chłopcu dłoń na ramieniu.

- Zaraz się zastanowimy. - Potem dodał dostatecznie głośno, by wszyscy mogli usłyszeć: - Widzę, że masz w rodzinie sporo kibiców futbolu.

Kilku mężczyzn szczerknęło w odpowiedzi. Chłopiec skinął głową i razem z Erikiem spojrzeli ku ołtarzowi, gdzie stało ich z pół tuzina i czekało na dalszy ciąg próby.

- Założę się, że ktoś z nich chętnie kupi ci kask w twoim rozmiarze, żebyś przy następnym takim wstrząsie miał chronioną głowę. Chcesz zostać futbolistą, kiedy będziesz większy?

Chłopiec entuzjastycznie skinął głową.

- O tak, widzę - powiedział Erie. - Jesteś twardziel. Założę się, że mógłbyś grać jako biegacz, bo to jest pozycja dla twardzieli.

- Rozgrywający - sprostował chłopiec.

- Żartujesz? Chcesz być rozgrywającym? Ho, ho, to musisz być wielkim twardzielem. Na pewno potrzebujesz kasku.

Chłopiec dumnie wypchnął do przodu pierś. Łzy natychmiast wyschły, wargi przestały mu drżeć. Jeszcze niedawno był jak

skalpowany i nagle wszystko znów było w porządku. Jaclyn nie zamierzała dziękować Ericowi. Owszem, odwrócił uwagę dziecka akurat wtedy, gdy było to potrzebne, ale przecież nic złego się nie stało.

Pan młody obiecał kupić chłopcu futbolowy kask i ochraniacze, obiecał też, że mały będzie je mógł włożyć na ślub nazajutrz wieczorem. Prawdę mówiąc, Jaclyn inaczej wyobrażała sobie elegancki ślub, lecz nie ona była panną młodą. Liczyło się tylko to, że nowożeńcy są zadowoleni. Ubrałaby w kaski wszystkie dzieci, gdyby tylko tego chciały.

- Czy coś się stało? - spytała Erica matka panny młodej.

- Nie, wszystko w porządku. Jestem przyjacielem pani Wilde.

Czyżby? Jaclyn zacisnęła usta, żeby nic powiedzieć czegoś niewłaściwego. Tymczasem matka panny młodej przeniosła wzrok z Jaclyn na Erica, nieznacznie się uśmiechnęła i zostawiła ich samych.

Obecni znów skupili uwagę na próbie. Było już późno. Do tego momentu wszyscy dobrze się bawili, teraz jednak groziło im, że nie zdążą na umówioną godzinę do restauracji, musieli więc zwiększyć tempo.

Jaclyn wystąpiła naprzód, ustawiła orszak we właściwym porządku i próbny ślub potoczył się dalej od punktu, w którym nastąpiła przerwa. Wiedziała, że Erie przesunął się i stoi tuż za jej plecami. Poczowała swędzenie między łopatkami, jakby wyciągnął pistolet i trzymał ją na muszce. Znów nawiedziła ją obawa, że Erie zamierza ją tutaj przesłuchać. A może nawet aresztować w obecności klientów?

On jednak tylko spokojnie stał i przyglądał się próbie. Pastor kontrolował sytuację i Jaclyn nie miała nic więcej do roboty, musiała jedynie być w pobliżu na wypadek, gdyby okazało się, że jest potrzebna. Dokazujące wcześniej dzieci na stanowcze życzenie matki usiadły w drugiej ławie, gdzie wymieniały głośne szeptki i machały nogami.

Wreszcie Jaclyn poczuła, że dłużej nie może milczeć.

- Co pan tu robi? - szepnęła do Erica, nie kryjąc niechęci.

- Usłyszałem krzyk o pomoc, więc zgodnie ze swoim obowiązkiem musiałem zbadać, co się stało.

Służyć i chronić - to moje zadanie.

Doskonale wiedział, że nie o to go zapytała. Nie wyciągnął jednak kajdanków ani notesu, toteż nieco się odprężyła. Wyglądało na to, że jeśli chce z nią rozmawiać, poczeka do końca próby, więc nie groziło jej znalezienie się w kłopotliwej sytuacji.

Do diabła, przecież nie zrobiła niczego złego, a jednak płaci za to wysoką cenę! Owszem, gdyby ktoś ją spytał, przyznałaby bez wahania, że świat bez Carrie Edwards jest lepszy, ale to nie oznaczało, że ją zabiła. Nawet chciałyby mieć Carrie na kilka minut z powrotem, żeby wygarnąć jej to, z czym wstrzymywała się przez kilka miesięcy, przygotowując jej ślub.

Kiedy próba dobiegła końca, odeszła, nie zamieniając z Erikiem ani jednego słowa. Pożegnała się z panną młodą i jej matką, przypomniała wszystkim, o której godzinie mają stawć się nazajutrz w kościele. Od udziału w kolacji wymówiła się już wcześniej, a sądząc po sposobie, w jaki obecni patrzyli na Erica, uważano, że to on jest powodem odmowy

Akurat.

Gdy uczestnicy próby zaczęli opuszczać kościół, Jaclyn odwróciła się, by sprawdzić, czy Erie stoi na swoim miejscu i potrząsa kajdankami, niczym czarny charakter z sobotniej kreskówki w telewizji. Ale nie było go. Zaskoczona rozejrzała się dookoła, lecz nigdzie go nie zauważyła. Przez jedną głupią, upajającą chwilę poddała się uczuciu ulgi, jednak przemieszanej z rozczarowaniem.

Wychodziła ostatnia, jeśli nie liczyć pastora, który zamknął za nią drzwi kościoła. Wiedziała, że duchowny wyjdzie potem bocznymi drzwiami, przy których zaparkował auto, najpierw jednak

musi sprawdzić, czy wszystko w kościele jest zostawione na noc we właściwym porządku.

Przystanęła na szczycie schodów i znów się rozejrzała.

Na parkingu wciąż stało kilka samochodów, inne właśnie wyjeżdżały na ulicę. Para nowożeńców wsiadała do czerwonej półciężarówki pana młodego, ozdobionej nalepkami i flagami Bulldogów.

O kilka miejsc parkingowych dalej stała toyota. Druhá, będąca jej właścicielką, odświeżała warstwę szminki na ustach, a jej koleżanka, siedząca już w samochodzie, coś do niej szczebiotała. Szczęśliwi ludzie, pomyślała Jaclyn. Co z tego, że ich futbolowa obsesja posunęła się nieco za daleko? W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Mogli cieszyć się życiem, nie szkodząc nikomu, a nazajutrz będą uczestniczyć w uroczystej ceremonii i weselu.

Był tam naturalnie również wóz pastora i jej jaguar. Tuż obok parkował samochód Erica, ale pusty. On sam stał oparty w swobodnej pozycji o jej jaguara, podobnie jak rano, trzymając w dłoni plik papierów. Jaclyn głęboko odetchnęła i wyprostowana ruszyła do jaguara, czując, jak mocno bije jej serce.

Najchętniej powiedziałaaby Ericowi, żeby poszedł do diabła, rzuciła się na niego, wyładowała złość i rozczarowanie, które dręczyły ją przez cały dzień, ale oczywiście nie mogła. To nie był Erie Wilder, bohater przygody, która trwała jedną noc. To był detektyw Erie Wilder. W każdym innym czasie satysfakcja może zrekompensowałaby jej takie ryzyko, ale w tym tygodniu miała zbyt napięty harmonogram.

Przystanęła przed nim z kluczami w dłoni.

- Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania, detektywie? Westchnął, bo nazwała go „detektywem”?

A może po prostu

był zmęczony

- Tak. Chodzi o siwowłosego mężczyznę, którego widziała pani przed domem weselnym wczoraj po południu. Czy może mi

pani podać więcej szczegółów na jego temat? Na przykład jakiej marki był jego samochód?

- Nie - odparła. - Mężczyzna, siwe włosy, srebrny samochód. To wszystko. Miałam zły dzień i nie w głowie mi było przyglądać się ludziom na parkingu. Wolałabym, żeby nie nachodził mnie pan podczas pracy. Dał mi pan numer telefonu i jeśli coś sobie przypomnę, to zadzwonię i przekażę informację.

- Wcale pani nie nachodzę.

- To kwestia do ustalenia.

Znacząco zabręczczała kluczykami, ale Erie wciąż stał oparty o maskę i blokował jej dostęp do drzwiczek. Prawdopodobnie wybrał taką pozycję celowo. Nie próbowała go odsunąć, gdyż nie wyglądało na to, by miała szansę cokolwiek w ten sposób osiągnąć, nie zdecydowała się też na otwarcie drzwiczek po stronie pasażera, bo wtedy sprawiłaby wrażenie zdesperowanej. Stała w miejscu.

Patrząc na Erica, mimowolnie wróciła myślą do tamtej nocy, kiedy dzięki niemu poczuła się lepiej niż kiedykolwiek w ostatnich latach. Zapomniała o wszystkim oprócz tego, że jest kobietą. To była jednorazowa przygoda, a jednak dałaby wszystko za to, by powiedział, że wie o jej niewinności, wierzy w nią i będzie o nią walczył.

Dobra, dobra. Najwyraźniej traciła czas.

Po chwili milczenia Erie powiedział:

- Mam kopie, o które pani prosiła.

- Aha.

Niech go szlag trafi! Jak śmiał wyświadczyć jej przysługę, kiedy ona tak się stara, żeby być na niego wściekłą? „Aha” nie wystarczało, musiała mu podziękować.

- Dziękuję - powiedziała sztywno, biorąc od niego plik kartek.

- Wpadnę jutro pokazać pani kilka zdjęć...

Jutro? To był w tym trudnym tygodniu najbardziej zapchany terminami, wariacki dzień. Zatchnęła się z wrażenia. Po chwili zarejestrowała, że jej usta poruszają się i usłyszała, jak mówi:

- Posłuchaj, ty szpotawy ogierze. Albo mnie aresztuj, albo zostaw w spokoju!

Rozdział 18

- Jak pani mnie nazwała? - spytał przez zęby.

Jaclyn zasłoniła usta. Powiedziała to na głos! To musi być senny koszmar, z którego zbudzi się za parę minut w swoim łóżku, wtulona w miękką pościel. Niemożliwe, żeby stała twarzą w twarz z Erikiem Wilderem na prawie pustym parkingu, oświetlonym jedynie przez upiorne sodowe lampy służące ochronie terenu.

- Szpotawym ogierem? - przypomniał.

Bardzo żałowała, że ziemia nie chce się pod nią rozstąpić. Dlaczego nie odebrało jej głosu, zanim otworzyła usta? Dlaczego Erie Wilder nie może trzymać się z dala od niej, o sto kilometrów albo i więcej? I dlaczego wpadła na niego w ratuszu?

- Można panią aresztować za obrazę funkcjonariusza policji na służbie - wycedził, jakby trudno mu było mówić.

- To dlaczego mnie pan nie aresztuje? - Była tak zła, że wyciągnęła przed siebie ramiona i podsunęła mu nadgarstki. - Może mnie pan skuć i zawieźć prosto do aresztu, prawda? No, dalej! Niech mnie pan oskarży o ponurą zbrodnię nazwania go złamasem i sprawdźmy, czy w sądzie nie zostanie pan wyśmiany, wielki panie funkcjonariuszu wymiaru sprawiedliwości!

Miała wrażenie, że jej ciałem i mową owładnęła jakaś nieznana jej kretynka. Ta sama kretynka z całej siły pchnęła detektywa.

- No, dalej! Niech mnie pan aresztuje!

Pchnęła go jeszcze raz, żeby nie pozostawić cienia wątpliwości, co należy zrobić.

Jaclyn - powiedział takim tonem, jakby się dusił. Na tym jednak poprzestał, bo zaczął wyć. Może nie jak wilk do księżycy, może nie było to szczekanie kibiców Georgia Bulldogs, ale aż zatoczył się ze śmiechu, cały czerwony na twarzy

- Niech pan sobie idzie! - krzyknęła. - Żałuję, że kiedykolwiek pana spotkałam. Mam nadzieję, że dostanie pan krzywicy! I beri-beri!

- Przecież pani nawet nie wie, co to jest beri-beri - zdołał wyjąkać, zanim znów ryknął śmiechem.

- To straszna choroba, która zamienia człowieka w dupka żółtego!

Jaclyn nie pamiętała, by kiedykolwiek tak się wściekła, a co najgorsze była przy tym bezsilna. Nie mogła dla własnej satysfakcji poderwać go z ziemi i wrzucić do sklepu przez wystawę. Ani zastrzelić czy dźgnąć, bo nie miała przy sobie broni. Nie mogła go kopnąć, bo jej pantofle miały odkryte palce, lub trzasnąć go w głowę papierami, które trzymała w dłoni, bo prawie by nie poczuł. Mogła jedynie wydrzeć się na niego, tym bardziej że wciąż była we władzy nieznanej jej kretynki.

- Pani Wilde? - odezwał się z pewnym wahaniem pastor, który właśnie wyszedł z kościoła bocznymi drzwiami i był świadkiem wybuchu Jaclyn. - Czy dobrze się pani czuje?

- Nie, wcale nie!

Tupnęła z całej siły, cisnęła kluczyki na ziemię i właśnie zamierzała wykonać na nich serię podskoków, ale w ostatniej chwili zreflektowała się, że niszcząc pilota do samochodu, działałaby na własną szkodę, więc tylko napięła wszystkie mięśnie i wydała okrzyk furii.

Erie przez cały czas zanosił się śmiechem i osłabiło go to tak bardzo, że musiał się oprzeć o karoserię jaguara, a dłońmi wciąż bił się po kolanach. Wreszcie opanował się na tyle, by się schylić

po kluczyki, ale musiał próbować trzy razy, zanim wreszcie znalazły się w jego dłoni.

- Czy mogę w czymś pomóc? - nalegał pastor.

Widać było, że jest zakłopotany. Być może sądził, że Jaclyn grozi niebezpieczeństwo, bardziej prawdopodobne jednak, że zdumiała go przemiana eleganckiej Jaclyn Wilde w szalejącą wariatkę.

- Tak! - wrzasnęła i wskazała Erica. - Proszę dać mu w dziób! Najmocniej, jak się da! Wtedy poczuje się lepiej.

- Tego nie mogę zrobić - powiedział skonsternowany duchowny

- To niech pan nie zgłasza się do pomocy!

Wyrwała Ericowi kluczyki z ręki i nacisnęła guzik pilota, żeby otworzyć drzwi. Miała już pierwsze przebłyski jasnego myślenia, więc uznała, że najlepiej odjechać stąd jak najszybciej, zanim zostanie aresztowana najpewniej za zakłócanie porządku publicznego, co niewątpliwie robiła.

Dławiąc się ze śmiechu, Erie energicznie położył dłoń na drzwiach jej samochodu, uniemożliwiając jej ich otwarcie.

- Jaclyn, przestań... - zdołał wybąkać. Stała o pół kroku przed nim i burknęła groźnie:

- Zmusz mnie.

- O Boże. - Nabrał powietrza, odetchnął i spojrzał na duchownego. - Przepraszam.

- Nic się nie stało - odparł ten, nieznacznie się uśmiechając. - Chyba rozumiem.

- Ona przyjdzie tu jutro i będzie spokojna, jakby nic się nie stało. Będzie się panu wydawało, że to był tylko sen.

- Wątpię, ale mogę spróbować. Proszę mi jednak powiedzieć, młody człowieku, czy nic jej się nie stanie, jeśli ją z panem zostawię?

- Jej na pewno nie. Nie jestem tylko pewien, czy ja to przeżyję - odparł Erie, znów parszcząc śmiechem.

- Niech pan przestanie chichotać - surowo napomniała go Jaclyn.

Dzięki obecności duchownego miała czas, aby trochę nad sobą zapanować, wciąż jednak ponosił ją temperament. Dotąd nigdy nie zdarzyło jej się w taki sposób stracić kontroli na sobą, ale też nie przypominała sobie, by ktokolwiek tak ją rozeźlił. Nawet uderzenie przez Carrie nie wyzwoliło u niej takiego histerycznego ataku.

Erie potarł twarz.

- Gliniarze nie chichoczą - oznajmił.

Od śmiechu łzy kapały mu z oczu, twarz miał czerwoną i ledwie mógł złapać oddech. Duchowny uśmiechnął się do nich ciepło i odszedł do swojego samochodu. Zostali sami.

Jaclyn słyszała swój głośny oddech. Rozsądek wreszcie odzyskał nad nią władzę, więc ostatnie minuty wydawały jej się czymś całkiem nierealnym. Przecież nigdy nie zachowywała się w ten sposób, a zwłaszcza publicznie. Gdyby powiedziała, że czuje się tym zażenowana, byłby to rażący eufemizm. Stała przejęta zgrozą i głęboko upokorzona. Straciła nad sobą kontrolę, postąpiła skandalicznie.

Chętnie padłaby bez świadomości i przeleżała tak do czasu odjazdu Erica. Problem w tym, że by nie odjechał. Zostałby przy niej, pewnie podłożył jej kurtkę pod głowę, zadzwonił pod 911 i w ogóle postępowałby tak jak trzeba. Tak więc zachowanie pełnej świadomości wydawało się najlepszą, choć niezbyt przyjemną możliwością. Nabrała ustami powietrza.

- Przepraszam.

Jakoś przeszło jej to przez gardło, jednak najpierw musiała odchrząknąć. I tak zresztą głos zabrzmiał ochryple i pusto.

- Nie ma sprawy - odparł swobodnie, znów opierając się pośladkami o jej samochód.

Pomyślała, że zwykle „przepraszam” to za mało po tym, co zrobiła. Twarz jej płonęła, głos wciąż brzmiał chropawo, mimo to bohaterko dodała:

- Jest sprawa. Zachowałam się okropnie. Wprawiłam pana w zażenowanie.
- Nie czułem się zażenowany, tylko bardzo rozbawiony. Takiego fantastycznego ataku złości jeszcze nie widziałem. Sama wynalazczość jest godna uwagi. Przebiła pani moją mamę, która przyłożyła ojcu po głowie pudełkiem z mąką. Moja mama jest zresztą bardziej człowiekiem czynu, beri beri nie przyszyłoby jej do głowy.

Skrzyżował ramiona i uśmiechnął się. W jednej chwili zaczęły buzować jej hormony i porwała ją ta sama lala szaleństwa co przy pierwszym spotkaniu. Czuła, że tonie, i to przerażało ją nie mniej niż utrata panowania nad sobą. Chcąc dokończyć przeprosiny, musiała oderwać wzrok od Erica.

- Siebie w każdym razie zażenowałam. Naprawdę bardzo przepraszam - oświadczyła mężnie.
- Jaclyn...

Zatraciła się w melodii tego głosu.

- Rozumiem, że jest pani w dużym stresie. Przykro mi, że jeszcze go powiększam, ale zależy mi na tym, żeby obejrzała pani kilka zdjęć.

Z jej punktu widzenia mógł sobie tylko wyobrazić, że zna głębię jej stresu.

- Jutro mam ślub i próbę i muszę osobiście zająć się jednym i drugim, ponieważ mama też ma ślub i próbę. Przez dwa dni będziemy biegiem przenosić się z miejsca na miejsce. Wiem, że może mnie pan zmusić, żebym zamiast tego oglądała zdjęcia, żebym...
- Morderstwo jest ważniejsze niż śluby - zwrócił jej uwagę.
- Zdobywanie środków utrzymania też figuruje wysoko na liście priorytetów - zauważyła Jaclyn, czując, że jej samokontrola

znów słabnie. - Poza tym nie poznałabym tego człowieka, nawet gdyby stanął obok mnie.

- Tego nie wiemy dopóty, dopóki pani nie spróbuje - stwierdził Erie, odbijając się od karoserii, by po chwili otworzyć przed nią drzwi samochodu. - Proszę teraz jechać do domu i odtajać. Będę z panią w kontakcie.

Wsiadła do jaguara, wciąż trzymając w dłoni plik papierów. Jego pożegnalne słowa kazały jej przypuszczać, że następnego dnia Erie Wilder zrujnuje jej harmonogram pracy.

Nazajutrz wczesnym rankiem Erie dotarł do komendy, nie natykając się po drodze na rabunek, który zżarłby mu pół dnia pracy. Metoda zapobiegawcza była prosta - poszperał po kątach, znalazł stary termos, kawę zaparzył w domu i wziął termos ze sobą. Skoro nawet McDonald dla kierowców nic był dla niego bezpiecznym miejscem, należało zmienić przyzwyczajenia. Od tej pory kawę będzie przygotowywał sam. Nie ma wyjścia, inne sposoby wyraźnie mu nie służą.

Natychmiast po przyjściu zauważył na biurku szarą kopertę. Leżała na samym wierzchu sterty papierów i na pewno nie było jej tam po południu, gdy wrócili do komendy z Garveyem. Tak wcześnie w laboratorium jeszcze nikt nie pracował, z czego wynikało, że ktoś przyniósł wyniki poprzedniego dnia wieczorem.

Na to czekał. Może powinien był wpaść na chwilę do komendy po rozmowie z Jaclyn, ale przyglądanie się jej odjazdowi z parkingu wpędziło go w drażliwy nastrój, więc pojechał prosto do domu, żeby poleżeć kilka godzin w łóżku, bo na to, że zaśnie, nie liczył.

To nie przedstawienie, które urządziła Jaclyn, zirytowało Erica, lecz to, że od początku tej sprawy miał związane ręce i nie mógł jej pomóc, chociaż bardzo chciał. Musiał walczyć z sobą, by nie objąć jej i nie zacząć całować do nieprzytomności tam, na parkingu.

Niesamowite! Kto by przypuszczał, że atak złości może go nakręcić? Ale to nie histeria, to Jaclyn, którą nagle opuścił chłód damy.

W zasadzie nie użyła ani jednego brzydkiego słowa, naprawdę. Tupiała, cisnęła kluczykami o ziemię, wykrzyczała kilka pomysłowych i zabawnych określeń, które trudno było nazwać obelgami, bo nie sposób tak zakwalifikować życzenie, że przydarzy mu się beri-beri. To był raczej dowód na to, że Jaclyn życzy mu jak najgorzej. Dwa razy pchnęła go ramieniem, ale choć formalnie z tego powodu mógłby wnieść przeciwko niej oskarżenie, czułby się wtedy jak kompletny idiota, bo przecież był cięższy od niej o trzydzieści parę kilo, może nawet o czterdzieści. Nie dźgnęła go łokciem w bok, nie próbowała uderzyć ani ugryźć. Zupełnie jakby nie miała pojęcia, jak fizycznie zaatakować przeciwnika. Wprawdzie sama się przyznała, że omal nie uderzyła Carrie Edwards, ale to było co innego, bo tamta ją zaatakowała.

Prowokowanie Jaclyn Wilde stawało się jego ulubionym zajęciem. Podobała mu się w złości jeszcze bardziej niż zwykle.

Po awanturze pojechał do domu i nie spał, tylko rozmyślał o Jaclyn. Wyobrażał sobie, jak kocha się z nią, gotową i chętną. Czuje, jak ona obejmuje go tymi niesamowitymi nogami, które aż się proszą, by je rozłożyć. Widzi jej odchyloną głowę i usta, z których wrywa się okrzyk rozkoszy. Tak, to był miły sposób na bezsenność, najlepszy jaki może być, teraz jednak za to słono płacił, bo był zmęczony, a dzień dopiero co się zaczął. Chciał się trochę zdrzemnąć, więc posłużył się bodaj najstarszą metodą znaną mężczyznom, ale chociaż pomogła mu pozbyć się napięcia, to daleko było temu do przyjemności, jaką odczuwał, gdy uprawiał seks z Jaclyn.

Ciężko opadł na krzesło i wziął do ręki kopertę, siłą odrywając się od erotycznych fantazji, które nachodziły go nieproszone.

Wiedział, co znajdzie w kopercie, ale mimo wszystko zawahał się, zanim ją otworzył. Wyniki badań oczyszczą Jaclyn

z podejrzeń. Jeśli miał jeszcze co do tego jakieś wątpliwości, pozbył się ich ubiegłego wieczoru. Ponieważ jednak instynkt, jak i rozsądek podpowiadały mu, że Jaclyn nie mogła zabić Carrie Edwards, ta chwila wahania go zaniepokoiła.

Może był zanadto pewien wyników Złamał zasadę i pozwolił, by emocje wzięły górę nad rozumem. Może - cholera jasna! - Jaclyn uśpiła jego czujność i brakowało mu już naprawdę niewiele, by się w niej zakochać. Ech, był stanowczo za stary i zbyt mądry na to, by jedna noc świetnego seksu pozbawiła go zdolności myślenia. Chociaż może jednak nie taki mądry, skoro, chcąc nie chcąc, jednak dał się omotać.

Nie wolno mu było tak się nią ekscytować. Nie był gotowy do rezygnacji z życia singla. Lubił swój status. Tyle że... diabli nadali Jaclyn. Długie nogi, klasa, zaskakujące, nieco abstrakcyjne poczucie humoru. Czy mógł po prostu odejść, poddać się, nie próbując niczego więcej?

Cholera, nie. Będzie się o nią starał dopóty, dopóki wystarczy mu determinacji. Jego matka mogła potwierdzić, że kiedy na coś się uparł, to swój cel osiągał, żeby się waliło i paliło. Miał pod górę, jeśli chciał przekonać Jaclyn, by dała mu szansę, ale lubił wyzwania. Może zresztą ta góra nie była aż taka wysoka. Przecież gdyby Jaclyn nie przywiązywała znaczenia do ich znajomości, nie zalazłaby mu tak za skórę.

Głęboko usatysfakcjonowany swoją decyzją nalał kawy z termosu do filiżanki, upił łyk, po czym otworzył teczkę z raportem, rozparł się na krześle i zaczął czytać.

W telewizyjnych serialach człowiek wchodzi do pokoju i natychmiast zaczyna rozsiewać cenne komórki naskórka, które nieodwołalnie wiążą go ze zbrodnią. W życiu, niestety, nie jest tak łatwo. Na pierwszej stronie raportu szczegółowo opisano wszystkie ślady zebrane na miejscu zdarzenia.

Technicy znaleźli liczne

włókna z dywanów, które przylgnęły ludziom do podeszew i zostały w ten sposób przeniesione na podłogę sali przyjęć. Natrafiono również na grudki ziemi, trawę, niezidentyfikowane włókna i włosy... Pioruńsko dużo włosów zwierzęcych i ludzkich. Najwyraźniej ludzie przemycali na przyjęcia swoich ulubieńców. Kawałków psiej i kociej sierści można się było spodziewać. Erie się zdziwił dopiero wtedy, gdy pojawiły się włosy kóz i innych zwierząt z inwentarza wiejskiego.

Według laborantów, znalezione siwe włosy pochodziły z siedmiu różnych głów, co stanowiło zaskakująco niewielką liczbę. Przez salę przyjęć domu weselnego przewijały się setki ludzi i chociaż po każdym wydarzeniu robiono tam porządki, pojedyncze włosy nie były łatwe do zauważenia dla sprzątającej ekipy. Przy żadnym z siwych włosów nie pozostał ani kawałek mieszka włosowego, co oznaczało, że nawet gdyby mieli próbkę do porów nania, analiza DNA była nie do przeprowadzenia. Raport zajmował kilka stron, więc po pobieżnym przeczytaniu pierwszej, Erie zaczął go kartkować w poszukiwaniu opisu bardzo konkretnego dowodu, a właściwie jego braku. Cztery strony dalej natrafił na fragment, który go najbardziej zainteresował. Na ubraniu, które Jaclyn nosiła w środę, nie znaleziono śladu krwi. Zdecydowanie mu ulżyło. Nie czułby większej ulgi nawet wtedy, gdyby przekonał się, że to jego samego oczyszczono z podejrzania o popełnienie morderstwa. Wiedział, że z oficjalnym skreśleniem Jaclyn z listy podejrzanych musi poczekać do rozmowy z sierżantem Garveyem i porucznikiem Neilleem, ale w zasadzie było to przesądzone, tak jak zdawało im się od początku. Wkrótce więc będzie mógł przekazać pomyślną wiadomość Jaclyn...

Zaraz, chwileczkę!

Jaclyn z pewnością ucieszyłaby ta wiadomość, nie ulegało jednak wątpliwości, że nie oblewałaby jej razem z nim. Za to

prawdopodobnie wygarnęłyby mu od serca, że ośmielił się w nią wątpić. Wcale tak nie było, ale to nie znaczyło, że ona przyjęłaby jego punkt widzenia. Musiałby wysłuchać przemowy zaczynającej się od „a nie mówiłam”, połączonej z ogólnym wygaworem.

Zresztą jeśli Jaclyn przestanie być podejrzana, będzie mu trudniej się z nią widywać. Nie zostanie potraktowany miło. Nie znaczy to, że poprzedniego wieczoru była miła, ale rozbawiła go tak, że nie miał nic przeciwko jej atakowi złości. Jednak uwolniona od podejrzeń mogłaby zamienić jego życie w piekło i prawdopodobnie skorzystałaby z tej możliwości. Zostały mu tylko fotografie do pokazania. Potem Jaclyn zażąda, żeby dał jej spokój, a jemu nie pozostanie nic innego, jak się z tym pogodzić. W razie gdyby zachodziła konieczność skontaktowania się z policją, mogła nawet się domagać, aby przeszukiwał ją kto inny, co oznaczało, że przejmie ją Garvey albo Franklin, gdy wróci z urlopu. Na to nie mógł pozwolić.

Po twarzy przemknął mu uśmiešek. Na razie nie podzieli się z Jaclyn nowiną. Mógł z tym poczekać kilka dni, licząc na to, że przestanie być na niego wściekła. Należało wykorzystać ten czas na ponowne zaskarwienie sobie jej łask.

Skończył czytać bardzo drobiazgowy, lecz nieszczególnie pomocny raport. Zbyt wielu ludzi chodziło po tej sali i w niej tańczyło. Na domiar złego każdy podejrzany mógłby wytłumaczyć się z obecności w domu weselnym, było to przecież miejsce publiczne. Za paznokciami ofiary nie natrafiono nawet na śladowe pozostałości naskórka, na jej ciele, poza ranami od ciosów, także nie znaleziono śladów pozostawionych przez domniemanego mordercę. Śledztwo wracało do punktu wyjścia. Wykluczenie Jaclyn z grona podejrzanych stanowiło w zasadzie jedyne istotne stwierdzenie raportu.

Był jeszcze siwowłosy mężczyzna za kierownicą srebrnego samochodu, na przykład senator Dennison, choć niekoniecznie. Nawet gdyby Jaclyn wybrała jego zdjęcie z zestawu, każdy szanujący się adwokat powiedziałby, że poznała go, ponieważ ostatnio często widywała jego twarz w związku z kampanią wyborczą.

Krew była śladem, który musiał w końcu tak czy inaczej wskazać mordercę. Morderca zmasakrował ciało Carrie i nie odszedł z miejsca zbrodni w nieskazitelnie czystym ubraniu. Czy jest to któryś z rozwścieczonych kontrahentów, potajemny kochanek, żadna zemsty drużyna czy ktoś inny, jeszcze niezidentyfikowany, ślad krwi opowie swoją historię. Nawet jeśli sprawca pozbył się stroju, który nosił w dniu zbrodni, to była duża szansa, że chociaż samochód wymył, to nie dość dokładnie. Może pozostała na przykład cienka smuga na wykładzinie, bo morderca rozdeptał wcześniej kroplę krwi... Coś musiało się znaleźć.

Niechby poszukiwanym człowiekiem był pan senator. Na myśl o senatorze instynkt Erica zaczynał wysyłać sygnały alarmowe może dlatego, że był to krętacz, ale Erie szukał wszystkiego, co w jakikolwiek sposób odbiegało od normy. Gdyby senator Dennison postanowił nagle sprzedać samochód, wydałoby się to cholernie podejrzane, więc należało sądzić, że w razie potrzeby zaczęłby jeździć innym wozem z tego pięciostanowiskowego garażu, ale srebrny pozostawiłby u siebie. W takiej sytuacji ślady krwi wciąż byłyby na miejscu i tylko by czekały, aby ktoś je odkrył.

Niestety, Erie nie miał najmniejszych szans na przekonanie sędziego, by wydał nakaz przeszukania samochodu senatora stanowego. Co do ubrania, minęły prawie dwa dni. Morderca miał mnóstwo czasu, by pozbyć się kompromitującego dowodu, paląc go, zakopując lub po prostu oddając do schroniska dla bezdomnych po spraniu śladów krwi. Trzeba byłoby mieć kolosalne szczęście,

żeby znaleźć to ubranie. Samochód dawał największą szansę. Trzeba tylko rozbudować materiał dowodowy.

W tej chwili wszedł Garvey i skierował się do dystrybutora z kawą.

- Nie miałeś kawowych przygód dzisiaj rano? - spytał.

- Przyniosłem swoją.

- Bystre posunięcie, skoro tak ci sprzyja szczęście. Nie wierzę własnym oczom, że przyjechałeś dzisiaj przede mną - powiedział sierżant, nalewając brązowy płyn do ulubionego kubka.

- Dużo roboty - odparł Erie. - Spłynął raport z laboratorium. - Pomachał szarą kopertą.

- Streść mi go.

Garvey przysiadł na biurku Erica i pociągnął łyk kawy

- Nie było śladów krwi na ubraniu Jaclyn Wilde. Garvey skrzywił się i znacząco zajrzał do kubka.

- Ten syf został z nocnej zmiany, prawda?

- Aha. Chcesz trochę mojej?

- Dawaj. - Przeszedł do pokoju socjalnego, wylał lurę do zlewu, a po powrocie skorzystał z termosu Erica. - W takim razie możemy zadzwonić do dziewczyny senatora i sprawdzić, czego się od niej dowiemy

- Już to robię.

Jaclyn niechcący zapewniła sobie kilka godzin spokojnego snu. Wściekłe awantury są wyczerpujące.

Wprawdzie nie rzuciła się na ziemię, nie kopała i nie pluła, jednak odniosła wrażenie, że poszła na całość. Wyczerpana, zasnęła natychmiast, gdy położyła się do łóżka. Chociaż rano nie czuła się wypoczęta, to przynajmniej nie padała z nóg.

Znajdowały się w połowie drogi. Był piątek. Jeśli uda im się przetrwać sobotę i niedzielę bez poważnych komplikacji w tym

ślubnym maratonie, dotrą bezpiecznie do mety. Niedzielny ślub i wesele zostały zaplanowane z wielkim rozmachem, tak że Jaclyn zajmowała się nim wspólnie z matką. Miały do dyspozycji Peach i Diedrę, należało więc być dobrej myśli.

Znowu nie zdążyła zjeść w domu śniadania. Jadąc samochodem do pracy, pozwoliła sobie na nadzieję, że zostało chociaż jedno ciastko z poprzedniego dnia. Czekoladowe ciastko i filiżanka kawy postawiłyby ją na nogi.

Zajechała na parking przed siedzibą Premier i ze zdumieniem stwierdziła, że chociaż godzina była wczesna, dotarła na miejsce ostatnia. To było niezwykle.

Diedra wyszła jej naprzeciwko. Oczy gorączkowo jej błyszczały

- Słyszałaś? - spytała podekscytowana.

- O czym?

Diedra zniżyła głos, jakby nie chciała, żeby ktoś w biurze je podsłuchał, chociaż były w swoim gronie.

- Jak została zamordowana Carrie.

Jaclyn zadała sobie w duchu pytanie, czy na pewno chce poznać szczegóły. Trup pozostaje trupem, a to, w jaki sposób Carrie doszła do tego stanu, wydawało się mało istotne. Ponieważ jednak Jaclyn wpadła jak śliwka w kompot w to śledztwo, chciała się czegoś dowiedzieć.

- Niczego nie słyszałam.

- Została zakłuta.

Pierwsza myśl Jaclyn była taka, że nożem zabija się znacznie brudniej niż pistoletem. Jest bliskość i osobisty kontakt. Nic dziwnego, że Erie szukał śladów krwi na jej ubraniu.

- Zakłuta całkiem dosłownie - ciągnęła Diedra - rożnami do kebabów, które leżały na stole. Nie jednym, tylko wieloma i po kilka razy Melissa DeWitt znalazła ciało. Opowiedziała o tym swojej przyjaciółce Sharon pod przysięgą dochowania tajemnicy,

bo w zasadzie nie powinna o tym mówić, ale Sharon powtórzyła Gretchen, Gretchen przekazała Bishopowi Delaneyowi, a sama rozumiesz, że jeśli Bishop coś wie, to wiedzą wszyscy
Dołączyła do nich Peach, trzymając w ręce fdziankę parującej kawy

- Ciekawe, dlaczego od razu nie przesłuchali restauratorki. Policja musi przecież uwzględnić narzędzie zbrodni, kiedy sporządza listę podejrzanych.

- Czyli gdyby ktoś wepchnął jej do gardła kulę z lukru, poszliby prosto do dekoratorki tortu - zauważyła Diedra.

- Właśnie tak - potwierdziła Peach. - A gdyby miała sto patyków do kwiatów, to do florysty

- Uduszenie sztuką białego atłasu oznacza krawcową.

- Klopsiki w obu nozdrzach i w gardle to znowu restaurator-ka. Ona wydaje mi się coraz bardziej podejrzana - oświadczyła Peach.

- Przestańcie! - zażądała Jaclyn. - To straszne. Carrie mogła być... no, sobą, ale przecież nie żyje.

- Teraz znacznie bardziej mi się podoba - wyznała Diedra. - Ale to tylko takie gadanie.

- Kontrahentów, którzy życzyli jej jak najgorzej, nie brakuje - powiedziała Peach. - Może większość z nich tylko o tym marzyła, ale któreś mogło to marzenie wprowadzić w czyn.

Jaclyn skierowała się do gabinetu matki, starając się nie dopuszczać do siebie myśli, że ktoś, kogo dobrze znała, z kim pracowała, mógł zadźgać Carrie Edwards.

- Słyszałyście na pewno wiele razy, że o zmarłych źle się nie mówi - zawołała jeszcze przez ramię.

- Powiadają też, że uczciwości nigdy za wiele - odparła Diedra. - W naszej sytuacji te dwie mądrości nie pasują do siebie.

Rzeczywiście tak było.

**

Taite Boyne była wściekła, że policja z Hopewell chce ją przesłuchać, lecz musiała przyznać, że się tego spodziewała. Doug zadzwonił do niej spanikowany, ale uspokoiła go i zapowiedziała mu, że wszystko załatwi. Miała ważniejsze sprawy na głowie, ale tymczasem musiała udawać miłą osobkę. W końcu w jej najlepiej pojętym interesie było uniknięcie konfliktu ze śledczym.

Detektyw Erie Wilder zatelefonował do niej poprzedniego wieczoru na komórkę i do domu, ale nie oddzwoniła, bo potrzebowała czasu, żeby dokładnie wszystko przemyśleć i wprawić się w odpowiedni stan umysłu. Kiedy powtórzył próbę z samego rana, odebrała telefon i umówili się na spotkanie. zaproponowała jako miejsce dom, a nie butik, bo nie chciała, żeby policjanci kręcili się po sklepie, który zaopatrywała w towar. Lubiła to zajęcie, ponieważ sama decydowała, kiedy pracuje, i często wyjeżdżała z miasta. Dzięki temu miała dużo czasu dla senatora, a on z tego skwapliwie korzystał.

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, była gotowa. To trochę tak, jak grać na scenie, pomyślała. Trzeba wejść w rolę, wyćwiczyć niektóre wyrażenia i ton głosu oraz wcielić się w postać. Wiele zależało od tego, czy uda jej się zachować właściwe proporcje między kilkoma różnymi problemami.

Otworzyła drzwi dwustupięćdziesięciometrowego domu nad jeziorem, który kupił jej Doug. Jezioro było prywatne, a powierzchnia działki była dostatecznie duża, by sąsiedzi nie widzieli, kto tu przyjeżdża. Zresztą Doug zawsze wprowadzał samochód do garażu z trzema stanowiskami i dopiero tam wysiadał. Nie pokazywał się też często na zewnątrz. Dom był zapisany na jej nazwisko, rachunki przychodziły na jej nazwisko i płaciła za wszystko ze swojego bieżącego rachunku. Wścibski dziennikarz musiałby kopać bardzo głęboko albo mieć mnóstwo szczęścia, żeby połączyć jej nazwisko

z nazwiskiem senatora. Wszystko to mogło zostać zrujnowane wyłącznie dlatego, że Carrie była chciwą dziwką.

Ze spokojem, lecz i smutkiem na twarzy wprowadziła do swojego ulubionego pokoju dwóch policjantów: Wildera i Garveya. Przez oszklone drzwi roztaczał się stąd widok na lśniący basen, a pięćdziesiąt metrów za basenem zaczynało się jezioro, w którego tafli odbijało się błękitne, bezchmurne niebo. Obserwowała, jak gliniarze rozglądają się dookoła i notują każdy szczegół, między innymi wyciągniętą przez nią z głębi szafy fotografię, na której śmiały się z Carrie, głowa przy głowie. W każdej sztuce rekwizyty na scenie miały duże znaczenie, ponieważ tworzyły nastrój. Chodziło jej o to, by był on żałobny, lecz nie rozpaczliwy.

- Napiją się panowie kawy albo mrożonej herbaty? - spytała, gdy usiedli.

- Nie, dziękuję - odpowiedział za nich obu Wilder.

Była zadowolona, że niczego nie chcą, bo przecież im prędzej skończą, tym szybciej sobie pójdą. Mimochodem Taite odnotowała, że w epoce przed nastaniem Douga nie miałyby nic przeciwko pogłębieniu znajomości z Wilderem. Byłoby z nim zabawnie, ale nie zamierzała ryzykować tego, co osiągnęła, dla jednego gorącego numeru.

Zajęła miejsce na krześle naprzeciwko kanapy, gdzie usiedli policjanci. Ubrała się na ten dzień tak, by osiągnąć właściwy efekt. Żakiet był obcisły, ale nie zanadto obcisły, czarna spódnica sięgała do kolan, a bluzka była idealnie gładka i biała. Nie przesadziła z makijażem. Nie wyglądała blado, ale też nie radośnie. Wykorzystała cienie do powiek, by pod oczami powstały nieznaczne sińce. Jako specjalistka od zakupów musiała wyglądać doskonale, nie udawała więc starej panny, lecz jedynie wykazała pewną powściągliwość. Pantofle na dziesięciocentymetrowym obcasie były modne i eleganckie, można było uznać, że właśnie w takich chodzi do

pracy osoba zaopatrująca elegancki butik. Zresztą, rzeczywiście wybierała się do pracy zaraz po pozbyciu się policjantów. Pewien kontakt z rzeczywistością zawsze był na miejscu.

- Dziękujemy za zgodę na rozmowę, pani Boyne - odezwał się detektyw Wilder. - Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Carrie Edwards. Co może nam pani o niej powiedzieć?

Taite przypuszczała, że zadał to pytanie, żeby się rozgadała, może nawet powiedziała więcej, niż zamierzała.

- Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami - odrzekła i postarała się, by przy ostatnim słowie głos jej lekko zadrżał. To był udany detal.

Przez kilka minut detektyw zadawał jej pytania bez znaczenia. Jak długo znała Carrie? Gdzie się poznały? Kiedy ostatnio ją widziała? I tak dalej. Taite odpowiadała szczerze, ponieważ wiedziała, że sprawdzą każdy drobiazg. Po co kłamać, gdy nie ma potrzeby? Jeśli człowiek często trzyma się prawdy, inni chętniej mu wierzą, kiedy musi skłamać.

- Gdzie pani była w środowe popołudnie między godziną trzecią a szóstą?

- Tutaj.

- Sama?

Głęboko nabrała powietrza i głośno wypuściła je przez usta.

- Nie. - Spojrzała na swoje ręce i splotła dłonie. - Był ze mną Doug... to znaczy senator Dennison. Poprzedniego dnia wróciłam do Atlanty z dwutygodniowej podróży do Londynu, a on wyszedł wcześniej z pracy, więc mogliśmy spędzić razem trochę czasu.

- Nie przyjechał tu w dniu pani powrotu?

- Nie. Za bardzo zmęczyła mnie podróż. Różnica czasu, pan rozumie.

To też było prawdą, przynajmniej jeśli chodzi o różnicę czasu. Poza tym rzeczywiście była w Londynie.

- O której senator tutaj przyjechał?

Taite potarła czoło, próbując sobie przypomnieć odruchy wskazujące na kłamstwo, żeby przypadkiem nie pozwolić sobie na żaden z nich. Spojrzenie w prawo czy w lewo? Nie pamiętała, więc na wszelki wypadek zamknęła oczy, jakby czytała odpowiedź z wewnętrznej strony powiek.

- Przyjechał tutaj... zaraz po trzeciej.

- A odjechał?

- Był prawie trzy godziny, więc... około szóstej.

- Czy jest pani tego pewna? Spojrzała detektywowi prosto w oczy

- Mamy zwyczaj patrzeć na zegarki, detektywie. Musimy Niech wywnioskuje z tego, co chce. Nie zamierzała przeproszać ani udawać zakłopotanej, bo nie była zakłopotana. Tymczasem Wilder dotarł do istoty tej rozmowy, do pytania, które musiało paść:

- O ile wiem, nie tak dawno temu pokłóciła się pani z Carrie? Westchnęła.

- Niezupełnie.

- Nie pokłóciła się pani? Miała pani być pierwszą druhną, ale zrezygnowała pani z udziału w ślubie.

- Ja... my... - Urwała i głęboko odetchnęła. - To Carrie poznała mnie z Dougiem podczas przyjęcia, na którym zbierano pieniądze na jego kampanię. Nie zamierzaliśmy... Nie szukałam wówczas partnera, on też nie planował niczego zmieniać w swoim życiu, ale samo tak wyszło.

- Carrie to odkryła?

Taite podniosła wzrok, lekko zaskoczone spojrzenie znalazła właśnie wtedy, gdy było potrzebne.

- Wiedziała o tym od początku. Policjanci szybko wymienili spojrzenia.

- O co się panie pokłóciły?

- To nie była prawdziwa kłótnia. Gdy Carrie poprosiła mnie, żebym pełniła rolę pierwszej drużyny, nie miałam pojęcia, kim jest Doug, i w ogóle nic o nim nie wiedziałam. Ale kiedy zaczęliśmy być ze sobą, uznałam, że to byłoby... niezręczne, gdybym uczestniczyła w ślubie Carrie i Seana Dennisona w obecności Douga i jego żony. Z kolei gdybym zrezygnowała bez istotnego powodu, wyglądałoby to niepoważnie, więc Carrie i ja zaaranżowałyśmy kłótnię.

- Ona aprobowała pani związek z senatorem?

- Nie bardzo. Martwiła się o mnie. Powiedziała, że kobieta numer dwa nigdy nie kończy we właściwym miejscu, i mogła mieć rację. - Szybko zaczerpnęła tchu. - Wiem, że ryzykuję.

Dawno doszła do wniosku, że wyjdzie na swoje bez względu na to, czy Doug opuści żonę, czy nie.

Gdyby wiadomość o romansie rozeszła się i ta bogata małpa, pani Dennison, wyrzuciłaby męża oszusta z domu, jego kariera prawdopodobnie przetrwałaby mimo wszystko. W Waszyngtonie nie sposób rzucić kamieniem, żeby nie trafić polityka, który dopuścił się zdrady małżeńskiej. Gdyby Douga i ją przyłapano, na pewien czas daliby sobie spokój, a potem zaczęli dalej od punktu, w którym przzerwali.

Jeśli Doug się rozwiedzie... Taite wiedziała, że znakomicie nadaje się na żonę senatora. Jeśli zaś się nie rozwiedzie... Cóż, obecnie funkcjonowała nie najgorzej. W każdym wypadku musiała konsekwentnie trwać przy Douglasie. On był jej przepustką do lepszego życia, więc zamierzała go zatrzymać.

- Carrie i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami - powiedziała i zdołała wyczarować łzawe spojrzenie. Naprawdę płakać by nie potrafiła, ale też byłaby to przesada. - Pozostałyśmy przyjaciółkami. Carrie odwiedziła mnie tutaj nie dalej jak w zeszłym tygodniu. Złościły ją różne szczegóły dotyczące ślubu i potrzebowała

trochę oddechu. Naturalnie, wiem, że ona często bywała bardzo męcząca, ale mnie okazywała wiele przyjaźni. Będzie mi jej brakowało.

Poszło, pomyślała z ulgą Taite. Trochę prawdy zmieszane z kilkoma ordynarnymi kłamstwami. Lepiej nie można było.

Po powrocie do komendy Erie usiadł na krześle przy biurku, splatając dłonie na karku i wlepiając wzrok w sufit. Odnosił wrażenie, że mózg mu wiruje. Biurko przed nim było zasłane raportami i notatkami, ale całą ich zawartość miał już w głowie. To właśnie w jego umyśle fakty musiały się w końcu połączyć w jakąś całość.

Wszyscy świadkowie powinni być tacy jak kontrahenci Jaclyn. Osoby obecne w środę po południu w domu weselnym co do jednej opowiedziały tę samą historię. Naoczni świadkowie są na ogół zaskakująco niewiarygodni, ci ludzie jednak mieli nawyk zwracania uwagi na szczegóły tego, co dzieje się wokół nich. Ich opowieści pasowały do siebie we wszystkich głównych kwestiach. Gdyby każdy szczegół był taki sam, wiedziałby, że spotkali się wcześniej i uzgodnili, co będą mówić.

Wszyscy opowiedzieli o konfrontacji Jaclyn i Carrie Edwards, z niewielkimi różnicami w przytaczanych słowach i następstwie faktów. Ich wersje wydarzeń były jednak dostatecznie podobne i spójne, by mógł im uwierzyć.

Z pozoru Jaclyn miała najlepszy motyw, ale żaden z dowodów nie wspierał takiej tezy. Ona po prostu nie nadawała się na podejrzaną. Senator wyglądał tak, jakby nadawał się na sprawcę, ale przyjaciółka zapewniła mu solidne alibi. Jeśli nie uda im się zdobyć jakiegoś dowodu z samochodu senatora, który bez wątplenia nie interesował się alibi swojego właściciela, znajdą się w punkcie zerowym.

Erie nie umiał do końca rozgryźć Taite Boyne. Według niektórych świadków pokłóciła się z Carrie. Mało tego, że się pokłóciła, to razem wyprodukowały efektowną i bardzo wiarygodną awanturę, w której byłoby im bardzo trudno wypaść przekonująco, gdyby obie nie umiały zrećźnie grać. Jeśli zaś Taite miała talenty aktorskie, podawało to w wątpliwość cały jej dzisiejszy występ.

Uroniła parę łez i wyraziła smutek, który wydawał się szczery. Nie przesadziła z tym i nawet nie próbowała udawać, że jest zakłopotana romanssem z senatorem. Uznał ją za twardą sztukę. Tyle że kłótnia z Carrie nie pasowała do reszty. No bo jak? Taite pieprzy się z senatorem kilka razy w tygodniu, ale nie może znieść obecności w kościele, gdzie jej kochanek wraz z żoną oglądają ślub swojego syna? To nie trzymało się kupy.

W tym momencie podszedł Garvey z wiecznie obecnym kubkiem kawy w dłoni i oparł się o biurko Erica.

- Ciekawe. Tylko jedna osoba ma coś dobrego do powiedzenia o Carrie i tak się składa, że akurat ona podczas morderstwa uprawia seks z niedoszłym teściem ofiary. To brzmi tak, jakbyśmy mieli zadatki mydlanej opery na nasz prywatny użytek. Brakuje tylko niegodziwego bliźniaka i dziecka z nieprawego łoża. Oglądaj nas dalej.

Erie uśmiechnął się.

- Mamy więc tutaj jeden wielki pieprznik.

- I co w tym nowego? - spytał Garvey i dodał z nutą szczerzej emocji: - Rany, jak ja lubię tę robotę. Może Franklin zostanie na urlopie jeszcze przez tydzień.

W innych okolicznościach Erie podzielałby odczucia Garveya. Uwielbiał prowadzenie śledztwa. Dostawał łamigłówkę w kawałkach, a robota polegała na tym, żeby poskładać te porzucane kawałki w sensowną całość. Wiedział, że i tym razem to się uda. Ktoś gdzieś na pewno popełnił błąd. Wystarczyło tylko stwierdzić, kto i w którym miejscu.

Ziewnął i wyjrzał przez okno. Słońce powoli zmierzało ku zachodowi. Odsunął krzesło i wstał. Mieli za sobą z Garveyem długie godziny pracy, bo obaj przyszli bardzo wcześnie. Było późne popołudnie i nikt nie żywiłby do nich pretensji, gdyby poszli do domu. Przez ostatnie kilka godzin prowadzili przesłuchania, wypełniali formularze, pisali zlecenia do laboratorium, czytali i pisali raporty. Erie był wykończony, ale miał przed sobą jeszcze jeden punkt programu, zanim zamknie ten dzień.

Rozdział 19

Niektóre małżeństwa nie mają szans przetrwać i z góry to wiadomo.

Jaclyn nabrała powietrza do płuc, a potem powoli wypuściła je ustami, starając się zachować obojętną minę. Zdjęcia z tego ślubu na pewno nie trafią do ulotki reklamowej Premier, używanej przez agencję do polecania swoich usług potencjalnym klientom. Za nic. Przeciwnie, Jaclyn miała szczerą nadzieję, że nikt nigdy nie dowie się o udziale Premier w tej uroczystości.

Nie był to ten rodzaj imprezy, który wymaga zatrudnienia profesjonalnego organizatora. Jednak przerażona planami narzeczonej syna jej przyszła teściowa w ostatniej chwili zwróciła się do Premier, chcąc uratować ceremonię. Jaclyn wiedziała już, że nie powinna była przyjąć tego zlecenia, zwłaszcza że zdawała sobie sprawę z napiętego harmonogramu agencji, ale ta nieszczęsna kobieta popadła w desperację, zresztą całkiem słusznie. Od początku Jaclyn nie była przekonana, że może skutecznie pomóc. Ostatecznie rezultat starań był taki, że kobieta pozbyła się pieniędzy, a ślub i tak nieuchronnie zmierzał ku katastrofie, co pasowało do młodej pary, która nie mogła stworzyć udanego małżeństwa. Tego wieczoru agencję Premier czekały jeszcze dwa śluby i jedna próba, osiągnęły więc punkt kulminacyjny szalonego tygodnia. Następnego dnia miało być nieco łatwiej, bo były zaplanowane dwa śluby i tylko jedna próba. W niedzielę miała się odbyć ostatnia ślubna ceremonia, po której harmonogram zajęć agencji powinien wrócić do normy. W każdym razie Jaclyn obiecała sobie, że jeśli Madelyn jeszcze kiedykolwiek zaplanuje tyle ślubów,

w dodatku jeden za drugim, to ona pojedzie na urlop i nie wróci dopóty, dopóki nie będzie po wszystkim.

W innych okolicznościach Jaclyn miałyby pieczę nad jednym ślubem, a Peach i Diedra poprowadziłyby próby. Tymczasem była tu, gdzie była, ponieważ jako jedyna osoba w Premier potrafiła kontaktować się z rodziną panny młodej, nie tracąc równowagi i powstrzymując się od głośnego śmiechu. Tak więc, chcąc nie chcąc, będzie musiała obsłużyć dzisiejszą próbę, jak i jutrzejszy ślub. Na szczęście rodzina zgodziła się na urządzenie próby o nieco wcześniejszej godzinie, więc Jaclyn mogła pojechać stąd bezpośrednio na ślub Bulldogów, gdzie Diedra już od jakiegoś czasu nad właściwym przebiegiem uroczystości. Madelyn i Peach prowadziły tymczasem inną próbę, którą między sobą nazywały „dramatem rodzinnym”, a potem ślub na różowo.

Ślub, którego próbie obecnie przyglądała się Jaclyn, niewątpliwie był przegraną sprawą. Była jednak dumna z tego, że udało jej się zniechęcić pannę młodą do tortu tematycznie związanego z wyścigami samochodów organizacji NASCAR. Agencja podpowiedziała inny wybór, ale panna młoda nawet teraz powtarzała, że byłoby naprawdę fajnie, gdyby figurki oblubieńców na torcie wysiadały z oblepionej kolorowymi naklejkami miniatutki samochodu, dokładnie takiego, jakim jeździ prawdziwy mistrz, Dale Junior. Jaclyn nie była miłośniczką wyścigów, jednak wiedziała, kim jest Dale Junior, i była niemal pewna, że nie jeździ jaskrawoniebieskim samochodem. Najwyraźniej liczyły się przede wszystkim nalepki.

Przekonała też matkę panny młodej, że wykorzystanie kolorowych lampek bożonarodzeniowych („przecież tak ładnie migają!”) do udekorowania stodoły, w której nazajutrz miało się odbywać wesele, to niestosowny pomysł. Poza tym zmieniła nieco oprawę muzyczną ceremonii i przynajmniej przejściu panny młodej do ołtarza miał towarzyszyć marsz weselny, a nie Willie Nelson

lub Brad Paisley Naturalnie, Willie i Brad znaleźli się w programie, lecz nie podczas drogi do ołtarza. Nazajutrz miały pojawić się prawdziwe kwiaty, nie plastikowe, które panna młoda początkowo zaplanowała. Tłumaczyła, że nic wiedzna, i chciała wykorzystać je potem do ozdoby nowego domu, a może zanieść na cmentarz i zrobić z nich w Memoriał Day kompozycję na grobie tatusia. Nawet nie wybrała w tym celu kwiatów jedwabnych, tylko plastikowe, we wszystkich możliwych kolorach, z których niewiele przypominało odcienie spotykane w przyrodzie. Jaclyn pomyślała z wisielczym humorem, że plastikowe kwiaty znakomicie pasują do migających lampek choinkowych. Nie miała nic przeciwko lampkom, ale w święta Bożego Narodzenia. Plastikowych kwiatów nie zносиła bez względu na okazję.

Na szczęście, w stodole nie było odpowiedniego oświetlenia do przeprowadzenia próby późnym popołudniem, więc próba i kolacja odbywały się w barze restauracyjnym, stanowiącym własność pastora. Niefortunne było tylko to, że należała ona do sieci Porky's¹ BBQ, więc dookoła wisiały hasła reklamujące menu. Najbardziej widoczne było dumne zapewnienie „pokochacie nasze zady”. Drugie miejsce należało się informacji „najlepsze zady w mieście”.

Jaclyn nie była pewna, czy właściciel rzeczywiście jest duchownym, ale było to najmniejsze z jej zmartwień. Dla pana młodego byłoby prawdziwym, choć ukrytym zrzędzeniem losu, gdyby ślub okazał się nieważny, więc na wszelki wypadek trzymała buzię na kłódkę.

Zaimprovizowany ołtarz ustawiono pod reklamującym piwo Budweiser neonem, który jarzył się ze wszystkich sił, póki Jaclyn nie zażądała jego wyłączenia. Gdyby miała pomysł, jak go zdjąć, zrobiłaby to bez wahania. Podobnie jak reklamy zadów,

¹Pork (ang). - wieprzowina.

był on jednak moeno przykręcony do boazerii. Stół pod ciemnym już neonem udekorowano barwnymi plastikowymi kwiatami, niewątpliwie tymi, którym Jaclyn odmówiła prawa do pojawienia się w dniu ślubu. Kolorystycznie gryzły się one nieprzytomnie z kraciastymi biało-czerwonymi obrusami na stolikach, w większości kwadratowych, choć były także okrągłe.

Te obrusy nie były najgorsze. Jaclyn wiedziała, że mogłaby coś z takiego motywu wycisnąć, gdyby miała na to czas, pieniądze, a co najważniejsze - pozwolenie. Jeszcze białe stokrotki, biała i czerwona zastawa i byłby całkiem elegancki piknik. Tymczasem starała się tylko zapobiegać całkowitej klęsce na tyłu frontach, na ilu się dało.

Niestety, jej możliwości wydawały się mocno ograniczone. Matka pana młodego, wdowa w średnim wieku, była bardzo blada, ale mimo to próbowała się uśmiechać. Jaclyn współczuła jej serdecznie. Nigdy nie widziała jednocześnie w tym samym miejscu tyłu głów z ustawionymi żelazkami na włosy. Stroje były wyjątkowo nieformalne, jedynie Jaclyn oraz matka i siostry pana młodego miały na sobie kreacje, które można by uznać za odpowiednie na taką okazję, co w zasadzie oznaczało tylko tyle, że nie nosiły dżinsów i bawełnianych koszulek z zabawnym hasłem. Natomiast pastor, który niemal na pewno uzyskał święcenia drogą internetową... No cóż. Jaclyn liczyła na to, że do następnego dnia zdąży się umyć i może nawet włoży krawat. Był to potężny mężczyzna z obfitymi, zakręconymi ku górze wąsami i łysą głową, którą obwiązał czerwoną chustką. Tego dnia miał na sobie wytarte dżinsy i koszulkę harleyowca z oderwanymi rękawami, eksponującą kolorowe tatuaże na obu ramionach - od nadgarstka do barku.

Z drugiej strony, jeśli kiedykolwiek usługi Jaclyn były naprawdę niezbędne, to właśnie tu i teraz. Nikt z obecnych nie miał

pojęcia, kto gdzie powinien stać ani jaki jest właściwy porządek zdarzeń. Nawet jeśli matka panny młodej będzie siadać przy dźwiękach piosenki Brada Paisleya o szukaniu kleszczy przy księżycu, to przynajmniej zrobi to, do licha, we właściwym czasie. W każdym razie będzie tak, jeśli nazajutrz wszystko pójdzie zgodnie z planem, panna młoda i jej matka nie zostaną dziś wieczorem aresztowane, a pastora nie uśmierci konkurencyjny gang motocyklowy.

Dużo było tych „jeśli”, więc Jaclyn uważała, że szanse na pomyślne dobrnięcie do końca uroczystości są niewielkie. Na razie należało przetrwać dzisiejszy wieczór.

Lampki choinkowe, które Jaclyn dyplomatycznymi zabiegami usunęła z wesela, zostały wyciągnięte przed próbą. Wisiały dosłownie wszędzie w radosnym nieładzie i kompletnie nie pasowały Jedynym osiągnięciem Jaclyn było zniechęcenie przyjaciółek panny młodej do pracowitego podkreślenia za pomocą rzucających błyski lampek konturów rozmaitych elementów wystroju, od kranu do piwa po bochen chleba, leżący na kontuarze.

Ta koszmarne próba była tak zwariowana, że przynajmniej pozwoliła jej oderwać się na chwilę od rozmyślań o Carrie Edwards i Ericu Wilderze. Prawdę mówiąc, Jaclyn myślała nie tyle o Carrie, ile właśnie o Ericu. Było to smutne, ale nie do tego stopnia, by zaczęła miło wspominać Pannę Kłodę. Natomiast Erie... był najbardziej irytującym mężczyzną, jakiego zdarzyło jej się spotkać. Im usilniej starała się wyrzucić go z głowy, tym więcej miejsca w niej zajmował. To przez niego zrobiła z siebie istne widowisko i nie potrafiła sobie wyobrazić, jak dziś wieczorem spojrzy w oczy sympatycznemu pastrowi udzielającemu ślubu fanom Bulldogów. Może uda, że niczego nie pamięta.

Nie była w stanie pozbyć się sprzed oczu obrazu Erica, gdy doglądała próby, która przypominała jej zapędzanie do zagrody

dzikich świń, żeby zawiązać im kokardki na ogonach. Kokardki nie były wystarczającą zachętą, więc świnię wyglądały na krnąbrne. W końcu próba zaczęła przebiegać sprawnie i nawet matka pana młodego przestała być przeraźliwie blada. Nagle pastor wydał dziki okrzyk i zaprosił wszystkich do baru na gorące skrzydełka i Piwo, po których zaproponował pudding bananowy i czekoladowe ciastka.

Matka pana młodego natychmiast znów zbladła jak kreda. Jaclyn widziała już wcześniej zastawę i ze zgrozą zauważyła puszki z lukrem, stojące przy ciastkach, oraz wielobarwne jaskrawe smugi na obu deserach. Jej klientka nalegała na zorganizowanie kolacji w przyzwoitej i dobrej restauracji.

Przynajmniej nad tą częścią wydarzenia Jaclyn powinna mieć kontrolę, ale szczęśliwa para twierdziła z uporem, że nie ma sensu się przenosić, skoro na miejscu jest taka fantastyczna wyżerka, a bar i tak jest dla nich zarezerwowany na cały wieczór. Tak więc matkę pana młodego właściwie postawiono przed faktem dokonanym. Jaclyn usłyszała w pewnej chwili, jak kobieta szepcze do jednej ze swych córek, że nie jest pewna, czy nie podmieniono jej dziecka w szpitalu, bo przecież niemożliwe, żeby urodziła kogoś, kto teraz robi jej coś takiego.

Brat panny młodej, oczywiście z irokezem na głowie, usiadł przy Jaclyn, przesłał jej zachęcający uśmiech i skinął głową.

- Nie mogę uwierzyć, śliczna, że jesteś tutaj sama - powiedział, mierząc ją znaczącym spojrzeniem. - Taka kobieta jak ty nie powinna przychodzić bez faceta.

- Jestem w pracy - odparła chłodno Jaclyn.

Chłopak, który mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, nie zwrócił uwagi na jej słowa.

Przysunął się bliżej, naruszając granice przestrzeni osobistej. Jaclyn poczuła zapach piwa i nieświeży oddech, po czym mignął jej przed oczami widok zepsutych zębów. Ten człowiek stanowczo nie powinien się uśmiechać. Jaclyn

odsunęła się o krok. Przysięgła sobie w duchu, że jeśli ten typek jej dotknie, to oberwie. Przez ostatnie dwa dni doszła do granicy wytrzymałości i tym razem nie zawaha się oddać.

Tak, to by dobrze wyglądało u podejrzanej o zamordowanie Carrie Edwards. Czasem jednak warto było zapłacić jakąś cenę.

- Pozwól, śliczna, że odwiozę cię do domu.

- Nie jestem zainteresowana - oznajmiła i okręciła się na pięcie.

Obowiązki już wypełniła. Byłoby wspaniale, gdyby jeszcze zdołała dojść do samochodu nienagabywana. Wciąż miała przecież przed sobą ślub Bulldogów, dzięki Ericowi wzbogacony o dodatkowy szczegół, czyli chłopca od obrączek w stroju futbolisty Całe szczęście, że Diedra już tam na nią czeka. Nazajutrz też zapowiadał się ciężki dzień i chciała w końcu dotrzeć do domu i wyciągnąć się na łóżku, przykrywając się kocem podciągniętym pod brodę. Właśnie miała pożegnać się z kobietą, która ją zatrudniła, gdy drzwi baru się otworzyły.

- To jest prywatne przyjęcie. Nie umiesz przeczytać tabliczki „zamknięte”, ćwoku? - spytała przepalonym głosem matka panny młodej.

Zebrani w lokalu odwrócili się w stronę drzwi. Jaclyn natychmiast poznała wysokiego, muskularnego mężczyznę, który przenikliwym wzrokiem omiół wnętrze grillowni. Tymczasem Erie Wilder zmierzył matkę panny młodej lodowatym spojrzeniem i błysnął jej przed oczami policyjną odznaką.

- Detektywie ćwoku - poprawił.

Na sali zapadła cisza. Pierwszy raz w ciągu tego popołudnia można byłoby usłyszeć stuk szpilki wypadającej komuś z włosów.

- Przepraszam za ćwoka - powiedziała zrezygnowana kobieta. - Proszę wejść.

W powietrzu zawisło jeszcze „trudno, nic na to nie poradzę”.

Kilka osób wpadło w widoczny popłoch, a Jaclyn zastanawiała się, ilu gości podejrzewa, że policjant przyszedł w ich sprawie. Przypuszczała, że innego dnia wielu z nich słusznie by się zaniepokoiło, tym razem jednak wszyscy byli bezpieczni. Detektyw Wilder przyszedł do niej.

Sztywno wyprostowana, podeszła do Erica, piorunując go wzrokiem. Znowu przeszkodził jej w pracy. Już poprzednio zrobił to o jeden raz za dużo. Teraz wydał jej się irytujący w najwyższym stopniu.

- Mam jeszcze kilka pytań - wyjaśnił, gdy się zbliżył.

Za jej plecami przyjęcie potoczyło się dalej, choć goście zachowywali się ciszej niż poprzednio, a kilka par oczu wciąż ukradkiem śledziło przybysza. Eric z kolei nie patrzył prosto na nią, lecz na salę za jej plecami.

- Nie może pan z tym poczekać? - spytała tak, żeby tylko on słyszał.

- Nie, muszę z panią porozmawiać dziś wieczorem. - Rozejrzał się po sali, uśmiechnął kpiąco i dodał:

- Nawiasem mówiąc, dobra robota. Podobają mi się zwłaszcza te lampki. Bardzo ożywiają lokal.

- Pocałuj mnie w...!

Natychmiast spojrzał na Jaclyn, mrużąc powieki.

- Kiedy tylko sobie życzysz, kochanie.

Pobladła i cofnęła się o krok. Nie ma mowy. Najpierw zgasł jak żarówka, chociaż niczego od niego nie wymagała poza cichym wsparciem świadczącym o tym, że jej wierzy, niech teraz nie zapala się bez sensu, bo ona nie jest ćmą.

- Niech pan nie waży się tak do mnie mówić - odparła chłodno. — Ani teraz, ani nigdy

Prawdę mówiąc, sprowokowała go, każąc się pocałować, co oznaczało, że znowu musi go przeprosić.

To zaczynało wchodzić

jej w nawyk do tego stopnia, że na widok Erica miała ochotę uciekać. Mogła również wypisać blankiet z przeprosinami, odbić go w większej ilości na ksero i wręczać mu po sztuce przy kolejnej gafie. Zanim pierwsze słowo przeszło jej przez gardło, Erie wbił wzrok w jej wargi.

- Zawsze warto spróbować.

Zaniemówiła z wrażenia. Otworzyła usta, ale nie dobyło się z nich żadne słowo. Erie znów uśmiechnął się kpiąco i skinął głową w stronę pastora.

- Dlaczego nie ma pani swojej firmowej chustki na głowie z napisem „organizator”?

Chęć przeproszania minęła jej w jednej chwili. Najchętniej wywaliłaby mu na łeb cały pudding bananowy ze stołu. Dość jednak skompromitowała się poprzedniego wieczoru i nie wolno jej było o tym zapomnieć. Nie pozwoli, żeby Erie znowu doprowadził ją do szału. Będzie chłodna i opanowana, nawet gdyby miało ją to zabić.

- Oszczędzam na jutro - odparła.

Wbrew temu, jak się zachowywała, w głębi duszy zapagnęła powiedzieć mu, że gdyby nie ona, ten ślub byłby jeszcze dużo gorszy, podzielić się z nim wszystkimi swoimi krzywdami, wyżalić się na stodołę, plastikowe kwiaty i piosenkę Brada Paisleya o kleszczach. Jednak nie podda się i nie spoufali z Erikiem Wilderem. Wyprostowała się jeszcze bardziej i posłała mu obojętne spojrzenie.

- Niech pan zadaje pytania, byle szybko. Na następnej uroczystości muszę być najpóźniej za godzinę. Co pan chce wiedzieć?

- Myślałem, że porozmawiamy o środowym popołudniu, żeby sprawdzić, czy pamięta pani coś więcej na temat siwowłosego mężczyzny, którego pani spostrzegła na parkingu. A może pamięta pani, czy Carrie mówiła coś o...

- Niech pan da spokój, detektywie - przerwała mu. - Powiedziałam panu wszystko, co pamiętam, jak długo będziemy to wałkować?

- Do oporu - odparł bez śladu rozbawienia, które było słyszalne w jego głosie jeszcze przed chwilą. Czy nie można poczekać...

- Panie posterunkowy - zawołał pastor, więc oboje odwrócili się ku rosnącemu mężczyźnie z wąsami, który stał za kontuarem. -Może ma pan ochotę na piwo i skrzydełka?

Erie nie zwrócił mu uwagi, że jest detektywem, a nie posterunkowym. Ci ludzie nie bawili się w takie rozróżnienia, policjant to policjant.

- Za piwo dziękuję, ale skrzydełek chętnie spróbuję. I może do tego szklanekę słodkiej herbaty - odparł Erie, wyminął Jaclyn i podszedł do kontuaru.

- Już się robi - powiedział kelner. - Mamy też czekoladowe ciastka. Załapałby się pan na pudding bananowy, ale się skończył.

To ostatecznie uniemożliwiło Jaclyn urzeczywistnienie jej pomysłu. Śladem Erica podeszła do kontuaru. Była tak oburzona, że czuła się w tej chwili jak postać z wiktoriańskiego melodramatu. Najchętniej oskarżycielsko skierowałaby ku niemu palec i spytała gniewnie „jak pan śmie?!”. Co on sobie właściwie wyobraża? To jej praca, jej świat, a on łazi za nią, jakby spodziewał się ująć ją podczas dokonywania jakiegoś aktu terroryzmu. Jedną taką sytuację można wyjaśnić jako odchylenie od normy, ale dwie? A jeśli nazajutrz Erie pojawi się znowu? Ludzie zaczną gadać, że w agencji dzieje się coś niedobrego, i klienci odejdą do konkurencji.

Gdy tylko Erie wszedł głębiej do lokalu i odsunął się od drzwi, para, która miała jeszcze pełne talerze, nagle wstała od stołu i z cichym „do widzenia” skierowanym do współbiedniaków, wymknęła się na ulicę tak, by zwracać na siebie jak najmniej uwagi.

Wychodzili przecież jako pierwsi goście. Wkrótce po tym wziął z nich przykład jakiś mężczyzna. Następnie ulotnił się młodzieniec z irokezem, i było widać, że też mu się spieszy. Jaclyn rozumiała, że ci ludzie znacznie się różnią od jej typowych klientów, nie mogła jednak przestać myśleć o tym, w co się wpakowała.

- Ile osób wyszło? - spytał Erie, gdy tylko stanęła obok niego.

- Cztery

- O! Myślałem, że będzie pięć.

Wiedziała, że nie należy dać się wciągnąć do rozmowy. Powinna odpowiedzieć na jego pytania i odjechać najszybciej, jak to możliwe. Ciekawość jednak wzięła górę.

- Kto piąty? - spytała.

Dyskretnie spojrzął przez ramię i zlokalizował osobę, którą miał na myśli.

- Kobieta w czerwonym z wylewającymi się cyckami. Coś podobnego! To panna młoda.

Jaclyn nie zdążyła otrząsnąć się z szoku, kiedy Erie klepnął stołek obok siebie.

- Niech pani usiądzie obok mnie, porozmawiamy

Poczuła, że ma tego wszystkiego wyżej uszu. Musiała natychmiast stąd wyjść, a jeśli Ericowi się to nie spodoba, to trudno. Wskazała mu szyldzik za barem, elegancko proponujący „pocałuj mnie w zad”.

Jaclyn odwróciła się do niego plecami i podeszła do stolika, przy którym siedziały trzy kobiety. Erie zauważył, że ze wszystkich gości płci żeńskiej tylko one nie starają się jak najbardziej odsłonić biustów. Siedziały blisko siebie, jakby otaczali je Marsjanie, którzy mogą w każdej chwili zaatakować. Najstarsza z nich wyglądała na tak głęboko nieszczęśliwą, że mogła być jedynie matką pana młodego. Rozejrzawszy się dookoła, Erie dostrzegł faceta, który zwiślał

dość bezwładnie, choć wciąż jeszcze nie przybrał klasycznej pozy narkomana, rozpoznawalnej w każdej sytuacji. Ci ludzie naprawdę mieli szczęście, że nie przyszedł do nich policjant z wydziału do walki z narkomanią. Erica nie obchodziło, kto z obecnych ma przy sobie marihuanę, a kto najczęściej razy siedział. Musiałby wkroczyć do akcji, gdyby odkrył na parkingu przenośną fabryczkę amfetaminy, zresztą przed wejściem do knajpy kilka razy pociągnął nosem, poza tym jednak nie zamierzał się wtrącać. To nie ci ludzie byli dziś wieczorem jego celem.

Jego cel wyróżniał się tutaj jak diament w kupie kamieni. Jaclyn miała klasę, urodę i charakter. W tej sytuacji inne kobiety za-plakiwałyby się albo całkiem rozsypały, ona zachowywała stoicki spokój. W każdym razie przez większość czasu. Do tego zabójczy chód: seksowny, niespieszny, urzekający. Granatowy kostium obcisły wszędzie tam, gdzie powinien, i kusząco wcięty w talię podkreślał smukłość jej figury, a spódnica, kończąca się tuż powyżej kolan, pozwalała Ericowi do woli upajać się widokiem kształtnych łydek. Mordercze spojrzenie, które Jaclyn mu przesłała, poruszyło go do głębi, chociaż wcale nie tak, jakby sobie tego życzyła.

Zamieniwszy kilka słów z trzema przestraszonymi kobietami, Jaclyn uśmiechnęła się do nich i nie oglądając się za siebie, opuściła restaurację. Erie zsunął się ze stołka i ruszył za nią. Nikt nie żałował, że gliniarz wychodzi, i nikt nie skomentował tego, że skrzydełka i herbata pozostały prawie nietknięte. Na parkingu z łatwością dogonił Jaclyn. Wprawdzie miała długie nogi, ale w obcisłej spódnicy i na wysokich obcasach trudno jest szybko chodzić.

- Naprawdę muszę z panią porozmawiać - powiedział, gdy stanęła przy jaguarze.
- Jeśli pan chce jeszcze raz mnie przesłuchać, proszę zwrócić się do mojego prawnika.

- Do diabła, Jaclyn, posłuchaj - powiedział zirytowany

- Pani Wilde, jeśli można - odparła, rzucając torebkę na siedzenie po stronie pasażera.

Wsiadła do samochodu, ale nie zdążyła zamknąć drzwi, bo Erie je przytrzymał.

- Ten siwowłosy mężczyzna przed domem weselnym... - zaczął. - Czy pani...

Przesłała mu niedowierzające spojrzenie, które było bardzo wymowne nawet na słabo oświetlonym parkingu.

- Co mam jeszcze powiedzieć, żeby wreszcie do pana dotarło? - spytała. - Nie zwróciłam uwagi na jego twarz i nie wiem, jakiej marki był jego wóz, poza tym, że to srebrny sedan. Nie jestem fanką motoryzacji. Na pewno nie była to ciężarówka ani wielki samochód terenowy. Mógł mieć ewentualnie nieznaczną żółtawą odcień, ale jestem prawie pewna, że był srebrny Zostawiłam Carrie żywą! Byłam wzburzona, nawet wściekła, więc nie w głowie mi było wpatrywanie się w obcych ludzi spotkanych na parkingu. Skończyliśmy? Czekają na mnie pilne obowiązki i próbuję je wykonywać, więc niech pan się odsunie!

Erie szybko cofnął dłoń, gdy Jaclyn zatrząskiwiała drzwiami. Nie spoglądając już na niego, zapaliła silnik i energicznie wyjechała z parkingu, niemal strzelając żwirem spod opon.

Cóż, rozmowa potoczyła się mniej więcej zgodnie z jego oczekiwaniami. Choć jednak nie dowiedział się niczego użytecznego, to przynajmniej zrobił pierwszy krok w kierunku odnowienia poufanych stosunków. Znów ją zirytował. Wciąż między nimi iskrzyło. Nawet gdy była na niego wściekła, nawet kiedy starała się niczego po sobie nie pokazać, iskry wciąż się sypały

Podążył wzrokiem za tylnymi światłami jaguara, póki nie znikły. Zastanawiał się, czy nie pojechać za nią, ale jaki miałoby to sens? Jaclyn będzie naprawdę zajęta, więc jeśli znów go zobaczy,

nie zrobi szczęśliwej miny. Lepiej zapewnić jej tego wieczoru trochę spokoju, niech ochłonie. Mężczyzna, o którego ją wypytywał, nie był tylko pretekstem. Czasem ludzie pamiętali więcej, niż im się zdawało, ale musieli najpierw trochę o tym pomyśleć, żeby szczegóły do nich wróciły. Jaclyn na pewno widziała więcej, lecz na razie nie zdawała sobie z tego sprawy. Jutro się z nią skontaktuje. Może tymczasem Jaclyn przestanie robić na jego widok taką minę, jakby chciała go uderzyć.

Rozdział 20

Pewnie tylko dlatego, że Jaclyn miała świeżo w pamięci sceny z grillowni Porcky s BBQ, ślub Bulldogów nie tylko oceniła pozytywnie, lecz nawet uznała go za niepozobawiony uroku. Na szczęście było na czym skupić uwagę, bo inaczej pojechałaby do domu i tam pieniała się z powodu ostatniego starcia z Erikiem. Nie mogłaby przez to jeść, spać ani nawet oglądać ulubionego kanału Dom i Ogród. Dobrze było mieć zajęcie, jeszcze lepiej - nie móc przez to za dużo myśleć.

Gościom bardzo podobała się nietradycyjna oprawa ceremonii i głośno się śmiali, gdy chłopiec od obrączek szedł uroczystym krokiem do ołtarza we fraczku i futbolowym kasku. Obecność tylu zadowolonych ludzi musiała wytwarzać dobrą atmosferę. Jaclyn pomyślała, że należy jej się trochę dobrej karmy, ostatnio bowiem złej miała w nadmiarze.

Na kościelnym terenie stało kilka budynków poza świątynią, z których jeden mieścił dużą salę przyjęć. Zamiast więc wsiąść do samochodów i przejechać w inne miejsce, goście mogli przejść kilka kroków na wesele, co bardzo ułatwiło organizację. Pogoda sprzyjała, duchota nieco ustąpiła i wieczorem było czym oddychać. Nawet wiał lekki wiatr. Na niebie ukazał się półksiężyc, a poniżej przesuwały się pojedyncze, drobne chmury rozświetlone srebrzystą poświatą.

Cała uroczystość wypadła znakomicie, wszystkie życzenia klientów zostały spełnione, nie trzeba było zażegnawać żadnych nagłych klęsk. Krótko mówiąc, wieczór zakończył się dla Jaclyn sukcesem, przynajmniej z profesjonalnego punktu widzenia.

Jeśli chodzi o sprawy osobiste, trudno było jej orzec, na czym właściwie stoi i jakie ma w związku z tym odczucia. Zbyt wiele zdarzyło się przez ostatnie cztery dni, począwszy od szalonego pomysłu, by iść do łóżka z Erikiem kilka godzin po tym, jak się poznali. Targały nią najrozmaitsze emocje, od ekstazy po furję, a w tej wybuchowej mieszance były też lęk, smutek, uraza i nawet poczucie winy. Trudno było się doszukać w tym wszystkim sensu, Jaclyn skupiła się więc na tym, by nie zatonać, trzymać w każdej chwili głowę nad powierzchnią wody i liczyć na to, że gdy minie ten piekielny tydzień, równowaga umysłu powoli wróci.

Przed północą państwo młodzi odjechali i większość gości się rozeszła. Diedra, która czuwała nad przebiegiem uroczystości od bardzo wczesnej godziny, zdołała w nagrodę zapewnić sobie wygodne miejsce na kościelnym parkingu. Jaclyn pożegnała się z asystentką i powlokła się do swojego wozu - musiała zostawić samochód na ulicy cztery i pół przecznicy dalej. Dwoje zapóźnionych gości szło w tym samym kierunku, więc nie była sama, ale tylko do czasu, gdy dotarli do swojego wozu. Na pożegnanie odebrała od nich gratulacje za udany wieczór i ostatnie trzydzieści metrów musiała pokonać samotnie. Obcasy jej pantofli rytmicznie stukały o chodnik.

Była w dobrej części Atlanty, okolicy zamieszkannej przez górną warstwę klasy średniej. O tej porze panował tu spokój. Rosnące wzdłuż ulicy potężne drzewa rzucały cienie i dawały poczucie świeżości. Ktoś w pobliżu miał ogród, bo w powietrzu unosiły się kwietne zapachy. Jaclyn pomyślała, że chciałaby mieć mały ogród na patiu, choć wiedziała, że nie starczyłoby jej czasu, by się nim zajmować. Z oddali doleciał ją śmiech i trzask zamykanych drzwi samochodu. To był udany wieczór. Nie, poprawiła się natychmiast, tylko ostatnia jego część była udana.

Otworzyła jaguara i wsiadła. Odetchnęła z ulgą, w myśli odhaczając wszystkie wykonane tego dnia zadania. Połowa roboty -trzy śluby za nimi, trzy przed. Prawdopodobnie Madelyn i Peach kończą pracę przy różowym przyjęciu. Po powrocie do domu zadzwoni do matki i sprawdzi, jak wypadły próba dramatu rodzinnego i różowy ślub. Ponieważ jednak nie odbierała w ciągu wieczoru żadnych telefonów, przypuszczała, że problemów nie było. Może jakieś drobne potknięcia, ale z pewnością nie problemy. To było coś.

Niedzielną, z rozmachem przygotowana uroczystość - ślub i wesele - wymagała od agencji Premier całodziennej mobilizacji, ale potem miały kilka wolnych dni na odpoczynek i zebranie sił. Jaclyn rozważała nawet wzięcie wolnego poniedziałku. Odkąd założyły z Madelyn Premier, nie zdarzyło się, by tak po prostu nie poszła do pracy. Raz, trzy lata temu, wyjechała na tygodniowy urlop, kilka razy została w domu, gdy zachorowała, a w firmie akurat niewiele się działo, poza tym zawsze była na posterunku. Po takim tygodniu jak ten zasłużyła na mały relaks.

Zapaliła silnik i obejrzała się do tyłu, żeby sprawdzić, czy nikt nie nadjeżdża. Dobrze, że wykazała się ostrożnością, bo właśnie w tej chwili ruszył samochód zaparkowany nieco bliżej skrzyżowania i potoczył się naprzód ulicą, niezbyt pewnie utrzymując prosty kierunek. Jaclyn machinalnie wzmogła czujność. Postanowiła zaczekać, aż szybko, lecz zygzakiem jadący samochód znajdzie się przed nią, kierowca bowiem prawdopodobnie był pijany. Miała nadzieję, że to nie żaden z gości weselnych. Naturalnie, część ludzi piła alkohol, ale nikt wyraźnie nie przesadził. Poza tym oprócz niej i pary, która wcześniej wsiadła do samochodu, nikt w tę stronę nie szedł. Najwidoczniej kierowca tego samochodu siedział w środku. Może czekał, aż trochę otrzeźwieje, a może nie mógł znaleźć kluczyków.

Dobrze, że jeszcze nie ruszyła. Jeśli ten idiota minie ją bez stłuczki, będzie miała wolną drogę. Jednak widok we wstecznym lusterku nie napawał jej optymizmem. Samochód zdawał się zmierzać zygżakiem prosto na nią. Jeszcze tylko kilka sekund... Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy, opuściła powieki i zaczęła się modlić.

Pisk opon sprawił, że otworzyła oczy. Samochód nie zatrzymał się jednak całkowicie. Bardzo powoli toczył się naprzód i właśnie zaczynał ją mijać. Gwałtownie odwróciła głowę, ale silne światło latarni, stojącej po drugiej stronie ulicy sprawiło, że sylwetka kierowcy była ciemną plamą. Dostrzegła za to błysk metalu. Przez ułamek sekundy nie wierzyła własnym oczom. To był pistolet.

Rozległ się głośny trzask, w policzek uderzył ją gorący podmuch i deszcz drobin hartowanego szkła z bocznej szyby. Instynktownie rzuciła się w bok i rozplaszczyła się na siedzeniu. Huknął następny strzał, znacznie głośniejszy. Tym razem fala gorącego powietrza przeszła nad nią. Przycisnęła twarz do miękkiej skóry, jakby mogło to cokolwiek pomóc. Usłyszała krzyk i dopiero po chwili zorientowała się, że to ona krzyczy.

Leżała wystawiona na strzał jak kaczką. Nie mogła jednak skoczyć do drzwi, bo to zmniejszało jej szanse. Ten człowiek mógł już wysiąść i właśnie podchodzić do wybitej szyby. Była w potrzasku. Nic nie mogła zrobić. Ogarnął ją przeraźliwy żal, że już nigdy nie powie Ericowi...

- Jaclyn!

Przeraźliwy głos należał do Diedry. Nałożyły się na niego inne dźwięki: krzyki mężczyzny, trzask samochodowych drzwi, a potem zamiast trzeciego strzału przeraźliwy pisk opon. Nie ulegało wątpliwości, że niedoszły morderca ucieka.

Czas nagle zwolnił. Jaclyn słyszała chropawy świst powietrza przepływającego jej przez gardło, czuła przyspieszone uderzenia

serca. Nozdrza wypełniał jej zapach skóry mieszający się ze słodkim aromatem kwiatów i gryzącą wonią prochu.

Powoli, jakby w ciągu tych kilku sekund postarzała się o pięćdziesiąt lat, usiadła i rozejrzała się dookoła. Ku swemu zaskoczeniu, w głębi ulicy, na tle kościoła, zobaczyła złowieszczy samochód. Wyglądał tak, jakby zarył się na miękkim poboczu. Zrozumiała, że od chwili strzałów mogło upłynąć zaledwie kilka sekund. Odrętwiała pomyślała, że trzeba zapisać numer, lecz samochód nie miał tablicy rejestracyjnej. Właśnie w tej chwili opony chwyciły twarde podłoże, wóz z piskiem opon dojechał do rogu, skręcił w prawo i znikł.

Diedra biegła ku niej przez ulicę, wciąż głośno ją wołając i jednocześnie wybierając numer w komórce. Kilka metrów za nią biegła zapóźniona para z kościelnego parkingu. Zbliżali się też jej niedawni towarzysze, którzy nie zdążyli odjechać. Na całej ulicy zapalały się światła i otwierały drzwi. Z każdą sekundą robiło się bardziej tłoczno.

- Czy nic pani nie jest? - krzyknął do niej mężczyzna.

Dziwne pytanie, pomyślała. Gdyby coś jej się stało, jak mogła by odpowiedzieć?

Wargi miała jak z drewna, ale z wielkim wysiłkiem zdołała otworzyć drzwi auta i wysiadła. Miała takie wrażenie, jakby poruszała się pod wodą, walcząc z silnym prądem. Pomyślała, że strzały mogły być przypadkowe, mogła też zostać wzięta za kogoś innego, chociaż jaguar czynił takie przypuszczenie właściwie niemożliwym. Wchodziły też w grę wyjątkowo wredny i głupi kawał albo kontakt z gangiem.

Wydawało się mało prawdopodobne, by którekolwiek z tych przypuszczeń wchodziło w rachubę. Ktokolwiek siedział w tym samochodzie, chciał strzelić właśnie do niej. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobił.

Ericowi serce wciąż waliło jak szalone, gdy dojechał na miejsce zdarzenia. Telefon odebrał, leżąc w łóżku. Zerwał się i z kluczykami w jednej ręce, a pistoletem w drugiej zmierzał do drzwi, gdy nagle uświadomił sobie, że jest nagi. Siarczyście klnąc, wrócił do sypialni, żeby się ubrać. Nałożył na siebie to, co akurat wpadło mu w rękę, czyli spodnie z poprzedniego dnia i szarą bawełnianą koszulkę, którą zwykle wkładał do siłowni. Na bieliznę nie było czasu. Ważne, że pamiętał o pasie, do którego mógł przypiąć odznakę. Chwycił też uprząż z kaburą.

Podczas szybkiej jazdy wozem zatelefonował do kumpla z policji w Atlancie, zapowiadając rychły przyjazd. Dowiedział się, że Jaclyn nie doznała żadnego uszczerbku. Dwie najważniejsze sprawy były załatwione, zwolnił więc do rozsądniejszej prędkości. Wprawdzie znał w Atlancie wielu ludzi z czasów, gdy tam pracował, ale zawsze pokazywał im się ubrany i uczesany. Młodszy funkcjonariusze, widząc na wpół ubranego, obwieszzonego bronią człowieka, mogliby w ataku paniki strzelić. Dlatego uprzedził o tym, że jedzie na miejsce zdarzenia, i dodatkowo uruchomił koguta.

Gdy dotarł, wysiadł i zaczął rozglądać się za Jaclyn. Zauważył ją na kościelnym parkingu, w towarzystwie matki i przyjaciółek, paru osób, których nie znał, i kilku gliniarzy w mundurach i po cywilnemu. Madelyn Wilde trzymała dłoń na ramieniu córki, a obie asystentki stały w pobliżu, samą swą obecnością udzielając wsparcia. Łatwo było też wypatrzeć jaguara. Stał przy krawężniku po drugiej stronie ulicy w otoczeniu policjantów. Szyba po stronie kierowcy była strzaskana.

Z czterech kobiet Jaclyn wydawała się najspokojniejsza. Rozmawiała z policjantami z Atlanty. Zbliżał się do niej, mijając slalomem różne niechlujnie zaparkowane pojazdy. Musiał napominać

się w duchu, żeby nie zerwać się do biegu. Przecież nie została postrzelona. Nic jej się nie stało. Gdy znalazł się obok, raptownie odwróciła ku niemu głowę, jakby w ciele miała wbudowany radar.

- Co pan tu robi? - spytała z nieukrywaną wrogością.

- Ja też witam. Słyszałem, że miała pani drobne problemy.

- Jak pan o tym usłyszał? spytała podejrzliwie i mrużąc oczy, spojrzała na detektywa, z którym rozmawiała. - To pan do niego zadzwonił? Skąd...

- Ja zadzwoniłam - przerwała jej z westchnieniem Peach. - Prawie wychodziłam z siebie, tak się martwiłam, i uznałam, że to najlepsze, co mogę zrobić.

- Co ci przyszło do głowy?! - spytała Madelyn, zarazem zdumiona i oburzona.

- Dlaczego ktoś miałby strzelać do Jaclyn? To musiał być ten sam człowiek, który zabił Carrie. Niemożliwe, żeby jedno z drugim się nie łączyło.

Miała rację. Erie byłby gotów postawić dużą sumę na siwowłosego mężczyznę, który prawdopodobnie sądził, że Jaclyn może go zidentyfikować.

- A skąd znasz jego numer? - Głos Madelyn brzmiał głośniejszy, w miarę jak starała się dojrzeć sens w czymś, co uważała za bezsensowne.

Peach przesłała Ericowi błagalne spojrzenie, zachęcając go do interwencji.

- Miałam w torebce jego wizytówkę i...

- Skąd ta wizytówka?! - prawie krzyknęła Madelyn, rozkładając ramiona.

- Z twojego kosza na śmieci - wyznała bezwstydnie Peach. - Leżała na samym wierzchu, wydawało mi się, że szkoda ją zmarnować.

Erie pomyślał, że wyrzucanie jego wizytówek zdarza się dość często. Sprzeczka kobiet stawała się coraz bardziej zażarta, a on tymczasem pochwycił spojrzenie Jaclyn. Widział, że jest zmęczona i przerażona, niewiele mu brakowało, by podejść i ją objąć, żeby mogła przez chwilę na nim się wesprzeć. Akurat. Miałyby się wtedy z pyszna.

- Wszystko w porządku? - spytał tylko.

Odpowiedziała skinieniem głowy. Nie uwierzył jej. Nie została postrzelona, to prawda, ale daleka była od równowagi.

Podszedł przedstawić się detektywom z Atlanty, po czym wziął na stronę prowadzącego śledztwo i wyjaśnił mu, że Jaclyn jest świadkiem w śledztwie w sprawie morderstwa w Hopewell.

- Jest twoja, kolego - powiedział policjant z Atlanty - Próbowałem ustalić, co widziała, ale świadkowie są, delikatnie mówiąc, trochę przymuleni. Tylko pani Wilde i pani Kelley nie piły, ale one są akurat najbardziej przestraszone. Porozmawiaj z nimi, tymczasem przesłucham resztę.

Określenie „przymuleni” rzeczywiście było łagodne. W każdym razie Jaclyn i Diedra, mówiąc czasem jedna przez drugą, wytłumaczyły mu, co zaszło. Nie trwało to długo. Na szczęście zgadzały się co do głównych punktów. Kiedy Jaclyn zbierała się do odjazdu, ktoś zatrzymał się przy jej samochodzie i oddał dwa strzały. Diedra i kilkoro innych świadków, którzy wcześniej byli na weselu, mogli potwierdzić słowa Jaclyn.

Na myśl o tym, że siedziała w samochodzie wystawiona na kule napastnika, serce podeszło mu do gardła.

- Niech panie powiedzą, że co to był za samochód - odezwał się znowu, świadom, że jego głos brzmi niemal błagalnie.

Jeden z detektywów smutno pokiwał głową, więc nietrudno było odgadnąć, co nastąpi.

- Był osobowy - odparła Diedra. - Nie ciężarówka i nie terenowy Czarny.

- Wydaje mi się, że bardziej chyba niebieski - powiedziała Jaclyn.
- Według innych świadków, którzy znajdowali się za daleko, by cokolwiek stwierdzić z niezbłą pewnością poza tym, że strzelano, ten samochód mógł być zielony - wtrącił jeden z miejscowych detektywów.

- Marka? - spytał z nadzieją Erie.

Wiedział, że po Jaclyn nie może spodziewać się odpowiedzi, ale może inni świadkowie...

Detektyw znów pokręcił głową. Cholera, nie do wiary

- Panie są dwie, na pewno zapamiętałyście jakieś szczegóły dotyczące tego wozu - zachęcił Erie, wędrując spojrzeniem między Jaclyn a Diedrą.

Jaclyn tylko wzruszyła ramionami, a Diedra powiedziała:

- To chyba nie był mustang. Mustanga bym poznała... pewnie bym poznała.

- I to wszystko? Nie mustang?

- Wszystkie samochody średniej wielkości wyglądają podobnie - dodała niepewnie Jaclyn. - To już coś, prawda? Był średni, nie taki olbrzymi i nie mini cooper.

- Możemy przesłać tę informację do wszystkich jednostek. Nie mustang i nie mini cooper. Zbierzemy wszystkie możliwe dane i dokonamy selekcji. Rozumiem, że rejestracji panie nie znają?

- Nie było tablicy - odrzekła Jaclyn. - O tym pomyślałam. Nasuwał się mrozący krew w żyłach wniosek. Sprawca nie

działał pod wpływem nagłego odruchu. Zaplanował atak i dlatego zdjął tablicę rejestracyjną na wypadek, gdyby byli świadkowie.

- A kierowca?

Jaclyn zadrżała, więc matka szybko otoczyła ją ramieniem i uściskała. Po chwili Jaclyn głęboko odetchnęła i stanęła wyprostowana, jakby się zmobilizowała.

- Myślę, że miał coś na głowie, może maskę narciarską albo kominiarkę. Nie widziałam ani kawałka twarzy, tylko pistolet wymierzony prosto we mnie. Człowiek praworęczny, ciemny rękaw. Jeszcze... jeszcze rękawiczki.

Diedra skinęła głową.

- Przejeżdżał obok mnie i nie widziałam niczego jaśniejszego, więc musiał mieć jakiś kaptur na twarzy. Ale... - Zmrużyła oczy i się skupiła. - Kiedy o tym myślę, sądzę, że kierowca nie był zbyt duży. Może niewysoki mężczyzna, a może kobieta. Trudno orzec, kiedy ktoś siedzi w samochodzie, mam jednak wrażenie, że to nie był nikt duży

Jaelyn popadła w zamyślenie.

- Masz rację - powiedziała. - Patrząc na tego człowieka, pomyślałam, że mogę być kapkę od niego wyższa.

Ani jedna, ani druga oczywiście nie rozróżniała marek samochodów, może z wyjątkiem mustanga i mini Coopera, ale co do reszty ich wyobrażenia o szczegółach i proporcjach z grubsza pasowały. Było się od czego odbić, uznał Erie.

- Napastnik na pewno praworęczny?

- Na pewno. Tamten samochód stał za moim, po tej samej stronie. Kiedy ruszył, obserwowałam go we wstecznym lusterku, chciałam zaczekać, aż przejedzie. Wóz poruszał się zygzakiem i przyszło mi do głowy, że kierowca jest pijany. Potem on... może ona... no, więc ten ktoś zatrzymał samochód obok mojego, wyciągnął ramię, o tak - tu zademonstrowała - i dwa razy strzelił.

Erie odszedł na chwilę, by obejrzeć samochód. Szyba po stronie kierowcy była przestrzelona, siedzenia i podłogę zaścielały drobiny hartowanego szkła. Dowiedział się, że łusek nie znaleziono, co jednak niekoniecznie znaczyło, że sprawca posługiwał się rewolwerem. Broń mogła być automatyczna, ale łuski wyrzuciła

do samochodu napastnika. Przy odrobinie szczęścia mogli znaleźć którąś z nich pod wykładziną. Jaguar nadawał się do użytku, ale Erie zatrzymał go, żeby poszukać śladów. Zajęli go na jego wniosek koledzy z Atlanty. Takie przeszukiwanie musiało potrwać. Prowadzenie dochodzenia jest bardzo żmudne. Czas płynął, minęło wpół do drugiej, potem druga. Dopiero przed trzecią ekipa zaczęła się zwijać. Erie przez cały czas nie spuszczał oka z Jaclyn, która z minuty na minutę stawała się bledsza. Nie była zadowolona z utraty samochodu, ale nie protestowała. Ktoś do niej strzelał, więc znalezienie sprawcy było w jej najlepiej pojętym interesie.

- Wypożyczę samochód na czas naprawy powiedziała i uśmiechnęła się smutno. - Przynajmniej powstrzyma to Jacky ego przed zadreczaniem mnie, żebyś mu pożyczyła jaguara.

- Kim jest Jacky? - spytał Erie, zanim zdążył ugryźć się w język.

Ogarnęła go złość, bo poczuł ukłucie zazdrości. Jaclyn popatrzyła na niego tak, jakby nie mogła pojąć, czemu zadaje takie głupie pytanie. Madelyn zmarszczyła czoło.

- Ojcem Jaclyn - powiedziała krótko.

Nie ulegało wątpliwości, że nie życzy sobie drażenia tego tematu. No dobrze. Przynajmniej poznał źródło imienia Jaclyn: połowa Jacka i połowa Madelyn.

- Spytałem, czy możesz jechać - zwróciła się do Jaclyn matka. - Jesteś wykończona.

- Dziękuję, mamo.

- Ja ją odwiozę do domu - zaproponował Erie.

- Dziękuję, ale to nie jest konieczne - odparła chłodno Jaclyn.

Znosiła tę sytuację całkiem dobrze, lecz Erie nie miał wątpliwości, że wkrótce Jaclyn po prostu padnie ze zmęczenia.

- Chcę pani zadać jeszcze kilka pytań - wyjaśnił.

Nie było to do końca kłamstwo, ponieważ naprawdę chciał się jeszcze tego i owego od niej dowiedzieć, chociaż zasadniczo były to pytania już zadane, tyle że inaczej sformułowane. Czasem drobna zmiana słowa nagle ożywiała pamięć.

Mogę zrobić to po drodze do I Iopcwell albo pojechać za panią i porozmawiać z nią w domu - dodał.

- Niech będzie - powiedziała znużona. - Im szybciej będę miała to z głowy, tym lepiej. - Cmoknęła Madelyn w policzek. - Cieszę się, że przyjechałaś. Do zobaczenia jutro. Przyjadę późno, bo muszę załatwić sobie samochód, ale na pewno będę.

- Powinnaś wziąć wolny dzień - poradziła Madelyn, na co Jac-lyn przecząco pokręciła głową.

- Nie, lepiej mi będzie w pracy, bo tam mam czym zająć myśli. Poza tym jutro jest kolejny trudny dzień. Jeszcze nic nie wiesz o mojej dzisiejszej próbie. Muszę ci to dokładnie opowiedzieć.

Erie, który był na miejscu próby, rozumiał odczucia Jaclyn.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz już bezpieczna w domu - poprosiła Madelyn.

- Dobrze.

Podziękowała Diedrze i Peach, posterunkowym i detektywom z Atlanty, podziękowała też świadkom, przeprosiła za kłopot ludzi mieszkających w okolicy. Widząc u niej oznaki rychłego załamania, Erie ujął ją za łokieć i zaczął prowadzić do samochodu. Odkąd się potknęła, z każdym krokiem trzymał ją mocniej.

- Nie bardzo wiem, o co jeszcze może pan zapytać - odezwała się. - Wszystko panu powiedziałam i niczego więcej nie wiem ani o Carrie, ani o dzisiejszym wieczorze.

- Kiedy zacznie pani mówić, może coś ciekawego lub nowego przyjdzie pani do głowy.

- Nie sądzę.

- Wobec tego porozmawiamy o samochodach.

Otworzył przed nią drzwi. Gdy usiadła, zaczęła się mozolić z zapięciem pasa, więc pochylił się i jej pomógł, a potem obszedł maskę i zajmąwszy miejsce za kierownicą, zapiał swój pas.

- Przysięgam, że gdy to się skończy, zabiorę panią na targi motoryzacyjne.

- Kiedy to się skończy, nigdy więcej się z panem nie spotkam - odpowiedziała.

- Każda kobieta powinna znać różnicę między fordem, toyotą i cadillakiem.

- Wszystkie mają po cztery koła i po kierownicy. A poza tym co za różnica?

- Jeśli ma się pani przez to poczuć lepiej, możemy zabrać Diedrę. Ja piernicę, „mini cooper”!

Rozdział 21

Mocne męskie ramię objęło Jaclyn. Na wpół uśpiona westchnęła i mocno wtuliła się w Erica, bo ta bliskość dawała jej poczucie bezpieczeństwa, a ona ledwie żyła ze stresu i zmęczenia, jakby ktoś wyciągnął z niej wszystkie kości.

- Jesteś w domu - szepnął i drugą ręką lekko ujął ją pod brodę.

Dotknął jej warg w niezobowiązującym pocałunku, który jednak powoli stawał się coraz głębszy, aż w końcu poczuła w ustach jego język i zmęczenie zaczęło ustępować przed zalewającą ją falą gorąca. Tak, jestem w domu, pomyślała leniwie. Znowu westchnęła, oparła mu dłoń na karku i wsunęła ją w jego włosy. Męski zapach mieszał się z wonią nocnego powietrza. Ciekawe, pomyślała. Dlaczego mężczyźni różnią się zapachem od kobiet? Nie ulegało to jednak wątpliwości, a ona, mając nozdrza pełne tego zapachu, zamruczała jak kotka.

Erie wolno przesunął ręką po jej piersiach, pocierając je, by odnaleźć sutki pod warstwami materiału. Gdy wreszcie mu się to udało, zaczął delikatnie je drażnić. Jaclyn czuła, że jest jej przyjemnie, to doznanie przychodziło falami, nasilało się i słabło, ale każda następna fala sięgała wyżej. Zmęczenie ustępowało, choć wciąż nie wydawało jej się, by miała w ciele choć jedną kość. Znała ten dotyk i promieniujące od niego ciepło, wiedziała, jak Erie się porusza i jak wydobyć z niego jęk, pamiętała odgłosy, które wydawał, gdy szczytował. Nie powinna się z nim całować, pozwalać, żeby

dotykał jej w taki sposób, lecz omal tego wieczoru nie zginęła i piagnęła go jeszcze bardziej niż w dniu, gdy pierwszy raz się spotkali.

Właśnie na tym polegał jej błąd za pierwszym razem. Skoczyła na głęboką wodę, zanim się rozejrzała. Niefrasobliwość była już nie dla niej, tak teraz nie funkcjonowała. Eric wywabiał ją z jej kącika ulubionych przyzwyczajzeń, sprowokował do robienia i mówienia tego, na co normalnie za nic by sobie nie pozwoliła. Takie kąciki mają jednak to do siebie, że są wygodne, a opuszczanie ich naraża na ryzyko.

W jej głowie cicho zabrzęczał dzwonek alarmowy. Jeszcze chwila i będzie miała podciągniętą spódnicę i ściągniętą bieliznę, a wtedy będzie za późno na to, aby się wycofać. Nie chciała tego zbliżenia, wiedziała bowiem, że później, tak jak to się stało poprzednio, nieuchronnie narazi ją na emocjonalną huśtawkę.

Położyła Ericowi rękę na ramieniu i przerywając pocałunek, zdecydowanie go odepchnęła, a jednocześnie odwróciła głowę.

- Nie. Przykro mi. Byłam w półśnie i... nie. Znieruchomiał, po chwili jednak z cichym sykiem wypuścił

powietrze ustami i powoli się odsunął. Usiadł wyprostowany na miejscu kierowcy

- W porządku.

Jeśli nawet odmowa wzbudziła w nim złość, nie pokazał tego po sobie, Eric miał wprawę w ukrywaniu uczuć.

Powinna teraz wysiąść z samochodu i wejść do domu. Musiała przespać choćby tylko kilka godzin, zanim zacznie się następny pełen zajęć, pracowity dzień. Siedzenie z Erikiem w zalegającym samochodzie mroku oznaczało jedynie, że Jaclyn wręcz naprasza się o kłopoty. Z drugiej strony, przez większą część drogi drzemała i Eric nie zadał jej zapowiadanych pytań, a ona zdecydowanie nie chciała zaprosić go do mieszkania. Samochód był więc lepszą z dwóch złych możliwości.

- Przepraszam, zasnęłam - powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to jak najbardziej rześko, choć wciąż czuła się znużona i pozbawiona energii. - O co koniecznie chciał mnie pan zapytać? Powiedziałam już wszystko, co pamiętam. Moje odpowiedzi niczego nie zmieniają, chyba że chce pan, żebym zaczęła wymyślać banialuki.

Przez chwilę Kric w milczeniu bębnił palcami po kierownicy. Czekając, nie bardzo rozumiejąc, co może być tak skomplikowane, że trudno mu to wyrazić. I tak powie mu, że nie wie, wejdzie do domu i wreszcie będzie mogła położyć się spać.

- Mamy wyniki testów pani ubrań - odezwał się w końcu. - Nie ma śladów krwi.

- To oczywiste. Wiedziałam, że ich nie będzie.

Może dlatego, że Jaclyn była wykończona, potrwało chwilę, zanim w pełni zrozumiała, co Erie powiedział. Aż zatrzęsała się z nagłej złości, która przegnała senność i znużenie. Nakazała sobie jednak kontrolować własne reakcje. Nie pozwoli na taką klęskę, jaką poniosła poprzedniego wieczoru, kiedy niczego nie osiągnęła, za to przeżyła ogromne upokorzenie.

- Ach, już rozumiem - wycedziła, nie podnosząc głosu. - Dostał pan wyniki testów, dowodzące, że nie zabiłam Carrie, a przynajmniej nie w tym ubraniu, więc teraz znowu można mnie całować? Już mi pan wierzy? Nie, pan nie wierzy mnie, tylko wynikom testów. Ty ciole!

Swędziała ją ręka, żeby z całej siły mu przyłożyć. Musiała zacisnąć dłonie w pięści, aby zapanować nad tym niebezpiecznym odruchem.

- Wie pan co? Może pan mnie pocałować w tyłek.

- Jak pani sobie życzy - odparł ze złością Erie. - Podoba mi się pani tyłek. Dodam, że wierzyłem pani od samego początku, podobnie jak sierżant Garvey.

- Dziwacznie pan to okazywał - odburknęła. - Wystarczyłby jeden telefon, żeby powiedzieć mi... Nieważne, nie zrobił pan tego i to mówi samo za siebie.
- To mówi jedynie, że dopóki pani nie została uwolniona od podejrzeń, co oznacza potwierdzenie niewinności za pomocą materiału dowodowego, a nie mojej opinii, dopóty postępowaniem zgodnie z procedurą. Musiałem traktować panią jak pozostałe podejrzane osoby, a nawet jeszcze bardziej bezstronnie, bo inaczej zostałbym odsunięty od śledztwa. Obecnie nasz zespół jest uszczuplony z powodu urlopów i tylko dlatego pozwolono mi pracować przy tej sprawie. Zabiegałem o to, bo miałem silniejszą motywację, żeby dokładniej zbadać okoliczności, niż może zrobiliby to koledzy. Nie wiedziałem, co znajdziemy ani jak mocne będą poszlaki przeciwko pani, wiedziałem jednak, że chcę prowadzić to śledztwo, żeby dopilnować wszystkiego. Uważałem, że w ten sposób wpłynę na szybkie uwolnienie pani od podejrzeń.
- Pięknie dziękuję - odparła sarkastycznie Jaclyn.
- Niech pani da sobie spokój z urażonymi uczuciami i posłucha tego, co mówię - powiedział ostrym tonem Erie. Światła z tablicy rozdzielczej malowały na jego surowej twarzy niepokojące cienie. - Za nic nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby porucznik albo kapitan, albo, co gorsza, prokurator okręgowy, mieli jakiegokolwiek podstawy, by sądzić, że manipuluję sprawą na pani korzyść. Nie mogłem wykonywać żadnych nieoficjalnych krzepiących telefonów, bo mogłoby to się wydać. Dla pani dobra musiałem być całkowicie bezstronny i nie zamierzam przeproszać za to, że starannie wykonuję swoją pracę.
- Mogłam pana wysłuchać, bo jest pan policjantem, więc muszę z panem współpracować, żeby nie wpakować się w kłopoty, lecz nie dam sobie spokoju z czymkolwiek. Wie pan dlaczego? Gdyby był pan do głębi przekonany, że nie zabiłam Carrie, to

wiedziałyby, że testy na obecność krwi na moim ubraniu dadzą wynik negatywny. Rozumiem, że Irzeba stosować się do procedur. Sama tego pilnuję, lecz jeden krotki telefon nie zagroziłby śledztwu, a mnie zrobiłby wielką różnicę. Tymczasem pan nie zadzwonił.

- I zachowa się pani jak żoźła i odrzuci coś, co mogło być wspaniałe, tylko dlatego, że postąpiłem tak, jak tego wymagają ode mnie zasady pracy policji?

- Sam pan mówi, że tak postąpił zwróciła mu uwagę, wściekła na odwracanie kota ogonem. - Jeśli ja jestem żoźła, to kim pan jest? Cała rzecz sprowadza się do tego, że pan mi nie zaufał. A teraz ja panu nie ufam. Daleko nam do tego, żebyśmy zaczęli tam, gdzie skończyliśmy poprzednio, więc niech pan trzyma ręce przy sobie i nic mi nie tłumaczy. Jeśli o mnie chodzi, nie musimy więcej się widywać.

- I tu się pani myli. Zdażyła pani zapomnieć o tym, że ktoś próbował panią dzisiaj zabić? Peach miała rację. To nie był przypadek i prawdopodobnie łączy się z morderstwem Carrie Edwards. Mężczyzna, którego pani zauważyła, prawdopodobnie zabił pannę Edwards, a do tego wie, że pani go widziała. Ma jednak solidne alibi, na razie więc nie mogę wystąpić o nakaz rewizji, chyba że pani uda się go zidentyfikować. Wtedy wszystko by się zmieniło.

- Nie potrafię go zidentyfikować - powiedziała zdesperowana Jaclyn. - Nie zwracałam na niego uwagi. Nie potrafiłabym go wybrać z jednoosobowego rzędu. Tyle że on o tym nie wie.

- Przeciwnie. Zakłada, że pani może go rozpoznać. Prawdopodobnie sprawdzenie, kim pani jest, zabrało mu trochę czasu, ale to jest informacja dostępna w sferze publicznej. Teraz musimy odkryć, jak dowiedział się, gdzie pani będzie dzisiaj wieczorem.

Dopiero w tej chwili otworzyła jej się klapka w mózgu.

- Powiedział pan, że on ma alibi. Czyli wie pan, kto to jest.

- Domyślam się z dużym prawdopodobieństwem. Niestety, nie potrafię tego udowodnić.
- Kto to?
- Nie mogę ujawnić tej informacji - odparł Erie, zmuszając się do okazania cierpliwości. - Sprawa jest w toku.
- Ktoś, kto myśli, że mogę go zidentyfikować, właśnie próbował mnie zabić. Nie sądzi pan, że byłabym bezpieczniejsza, wiedząc, o kogo chodzi? Tak na wszelki wypadek, gdybym jeszcze go zobaczyła. Wtedy mogłabym nawet zadzwonić do pana i powiedzieć: „Hej, on jest tutaj, niech pan przyjedzie!”.

Pokręcił głową.

- Nie mogę wyjawić, kto to jest, bo nic wolno mi podsuwać żadnych sugestii. Kiedy pokażę zdjęcia, chodzi o to, żeby pani wskazała go dlatego, że był pod domem weselnym, a nie dlatego, że się pani zasugerowała usłyszana ode mnie informacją.

Z prawnego punktu widzenia wydawało się to sensowne. Niestety, w rzeczywistości było mocno irytujące.

- Zamierza pan ryzykować moje życie, żeby samemu pozostać bez skazy i mieć klarowną sytuację.
- Nie. Wiem, o kogo chodzi, dlatego będę trzymał się jak najbliżej pani, żeby nie dać mu żadnej okazji.
- Uśmiechnął się ponuro. - Ponieważ on wie, kim pani jest, będzie mógł się dowiedzieć, gdzie pani mieszka, może nawet już to zrobił. Tak więc pani nie pozbędzie się mnie, kochanie, nawet gdyby pani bardzo chciała.

W praktyce oznaczało to, że Jaclyn nie może spać we własnym domu i ta koszmarna noc jeszcze się nie skończyła. Erie wszedł do mieszkania i dokładnie je przeszukał, zanim pozwolił jej wejść wyłącznie po to, aby jak najszybciej spakowała swoje rzeczy. Nie protestowała, bo nie była tak głupia, żeby bez potrzeby narażać życie. Była jednak gotowa zrobić wściekłą awanturę, gdyby Erie spróbował zawieźć ją do siebie. O tym nie było mowy.

Najwidoczniej lo wiedział, bo nie wystąpił z propozycją. Zamiast tego zawiózł Jaclyn do hotelowego apartamentowca, gdzie zakwaterował ją w dwupokojowym mieszkaniu złożonym z pokoju dziennego połączonego z aneksem kuchennym i oddzielnej sypialni. Nie był to dom, ale nie mogła narzekać. Dla ostrożności Erie zameldował Jaclyn pod swoim nazwiskiem i zapłacił swoją kartą kredytową.

- A co z pracą? - spytała bardzo zaniepokojona, stojąc pośrodku pokoju dziennego. - Przecież on wie, gdzie pracuję. Mama, Peach i Diedra też są w niebezpieczeństwie.

- Jest sobota. Wprawdzie powiedziała pani matce, że będzie lepiej, jeśli przyjdzie dzisiaj do pracy. ale chyba nie musi pani siedzieć w biurze?

Była tak zmęczona, że myślenie przychodziło jej z dużą trudnością. Ze wszystkich sił skupiła się na pytaniu.

- Najwyżej wpadnę tam na trochę. Nie mamy dzisiaj spotkań z potencjalnymi klientami, więc pozostają dwa śluby i próba. Miałam na myśli nie tyle siedzenie w firmie, ile pracę w terenie.

- Czyli w weekend wszystkie powinnyście być bezpieczne. Gdyby sprawa przeciągnęła się do poniedziałku, wtedy mogłaby pani rozważyć wzięcie krótkiego urlopu.

Czy to nie ironia losu, że niedawno sama wpadła na podobny pomysł, choć z zupełnie innego powodu? - zadała sobie w duchu pytanie Jaclyn. Jednak urlop wzięty po to, by ukryć się przed mordercą, nie wydawał jej się nawet w połowie tak zachęcający jak wcześniejszy pomysł. To odbierało wiele blasku marzeniu o odpoczynku i odprężeniu, bardziej przypominało szukanie schronu.

- Czy na waszej stronie internetowej jest informacja, w których wydarzeniach uczestniczy pani osobiście?

Zrozumiała, że Erie wciąż pracuje nad szczegółami. Musiał być nie mniej zmęczony niż ona. Oczywiście miał podkrążone, włosy

potargane, zarost na twarzy. Jednak nawet w tenisówkach włożonych na białe stopy, pogniecionych spodniach i obcisłej koszulce, która podkreślała umięśniony tors, wydawał się niewiarygodnie męski i seksowny. Z zaniemówieniem sobie, że może już nie spotkać nikogo, kto tak wspaniale budziłby jej ciało do życia jak Erie. To była bolesna myśl, więc na wszelki wypadek skupiła uwagę na jego pytaniu.

- Nie - odparła. - Nie publikujemy takich informacji. Wprawdzie wielu naszych klientów pisze o naszych imprezach na Face-booku, ale trzeba by najpierw wiedzieć, że są naszymi klientami, a potem dostać się na ich listę znajomych. To raczej niewykonalne.

- Nie - przyznał - ale ten człowiek panią znalazł. Kiedy ustalimy, w jaki sposób to zrobił, będziemy mieli łączące ogniwo.

Świt zbliżał się tak szybko, że żadne z nich nie mogło liczyć na więcej niż dwie, trzy godziny snu. Erie był w jeszcze gorszej sytuacji niż ona, bo musiał dojechać do domu. Gdy wyszedł, starannie zamknęła za nim drzwi i założyła łańcuch, potem rozebrała się, siłą woli odwiesiła kostium do szafy i położyła się do łóżka. Nie zapomniała o nastawieniu budzika w komórce. Potem pozostało jej skulić się w czystej pościeli i wreszcie mogła się wypłakać.

Kiedy sądziła, że nadszedł jej koniec, ostatnią myśl skierowała ku Ericowi. Targnęła się żal, że nie zdążyła mu powiedzieć o swojej miłości. Teraz nie potrafiła zrozumieć, jak mogła najść ją taka myśl. Przecież nawet go dobrze nie знаła, chyba więc nie mogła go pokochać. A przecież ich znajomość mogła tak pięknie rozkwitnąć. Jaclyn miała poczucie dotkliwej straty.

Rozdział 22

Budzik zadzwonił o wpół do ósmej. Jaclyn wyciągnęła ramię spod kołdry, po omacku znalazła komórkę i wyłączyła natrętny dźwięk. Gdy poczuła telefon w dłoni, przypomniała sobie, że w nocy nie zadzwoniła do matki. Szybko wybrała jej numer, mrugając, żeby skupić wzrok na klawiaturze.

- Co się dzieje? - powitała ją Madelyn.

- Jestem w hotelu - poinformowała Jaclyn i ziewnęła. - Detektyw Wilder uznał, że będę bezpieczniejsza, jeśli nikt nie będzie wiedział, gdzie mnie szukać, spakowałam więc torbę i pozwoliłam się przywieźć do hotelu. Wprowadziłam się mniej więcej o wpół do piątej. Kiedy tylko wyszedł, padłam na łóżko i natychmiast zasnęłam.

- Bezpieczniejsza?

Instynkt macierzyński działał. Madelyn od razu wyłowiła z całej wypowiedzi najbardziej niepokojące słowo.

- Przed człowiekiem, który do mnie strzelał - wyjaśniła Jaclyn, usiadła w pościeli i przetarła oczy. - Dobra wiadomość jest taka, że oficjalnie skreślono mnie z listy podejrzanych. Zła też jest, bo mężczyzna, którego widziałam pod domem weselnym na parkingu, prawdopodobnie zabił Carrie. Detektyw spodziewa się, że potrafię zidentyfikować tego człowieka.

- O Boże!

- Mam jeszcze inne nowiny obu rodzajów. Dobra jest następująca: detektyw twierdzi, że prawie na pewno wie, kim jest ten człowiek. Zła - brakuje mu poszlak i nie dostanie nakazu rewizji.

Stąd jego nadzieja, że jeśli przyniesie mi plik zdjęć, zdołam wskazać palcem faceta i powiedzieć: „To ten”. Niestety, nie dam rady. Naprawdę w ogóle nie zwracałam na niego uwagi.

Wolałaby, żeby w wyglądzie tego człowieka było coś charakterystycznego. Gdyby zapamiętała jego twarz, miałyby kłopot z głowy.

- Obie z Diedrą twierdziłyście, zdaje się, że kobieta mogła strzelać do ciebie.

- Alboniewysoki mężczyzna zwróciła jej uwagę Jaclyn i zamknęła oczy.

Zaczęła myśleć o człowieku, którego ujrzała na parkingu przed domem weselnym. W twarzy nie zauważyła niczego szczególnego, ale miała dobrą pamięć przestrzenną. Bardzo wyraźnie przypomniało jej się, jak wysoki wydawał jej się ten mężczyzna na tle samochodu. On na pewno nie był niski. Metr osiemdziesiąt, może nawet więcej.

- Nie sądzę jednak, żeby to był ten, którego widziałam na parkingu domu weselnego.

- To się nie składa do kupy.

- Może kogoś wynajął - powiedziała niepewnie Jaclyn. -Możliwe, że strzały nie miały nic wspólnego z Carrie.

- Prawdopodobieństwo jest wyjątkowo małe. Zgadzam się z Peach, to musiało mieć związek z Carrie.

- Albo z kimś innym, komu organizowałam ślub. Musiałabym tylko znaleźć pannę młodą, która na każdego pluła z nienawiści.

Zapadło milczenie. Pierwsza odezwała się bardzo nieszczęśliwym tonem Madelyn.

- Był wczoraj telefon... Jeśli dzwoniła akurat kobieta, która strzelała, to chyba powiedziałam jej, gdzie może cię znaleźć wieczorem.

- Co takiego?!

- Wczoraj ktoś zadzwonił do firmy. Diedra odebrała i przekazała mi słuchawkę. Kobieta przedstawiła się jako twoja dawna przyjaciółka z collegeu i powiedziała, że umówiłyście się na drinka, ale coś jej się pokręciło z godzina. Przedstawiła się, lecz niewyraźnie, poza tym wczoraj miałyśmy urwanie głowy, więc nie zwróciłam na to uwagi. Wyjaśniłam jej, że asystujesz przy próbie, a potem jedziesz na ślub, więc pewnie pokręciła jej się nie tylko godzina, ale i dzień. Dałam jej numer twojej komórki, żeby mogła się z tobą dogadać. Zadzwoniła? spytała z nadzieją Madelyn.

Nikt nie telefonował i nie rozmawiałam ostatnio z żadną koleżanką z college u.

- Omal przeze mnie nie zginęłaś - stwierdziła ze zgrozą Madelyn. Głos jej się załamał i dopiero po chwili dodała przez łzy: -Na pewno można sprawdzić tę rozmowę, odkryć, kto to był.

- Powiadomię detektywa Wildera. Nie płacz, mamó. Nie zrobiłaś nic złego. To вина tego, kto strzelał, a nie twoja. - Również w oczach Jaclyn zakręciły się łzy - Proszę, nie płacz, bo przez ciebie zacznę ryczeć i obie będziemy miały dzisiaj podkrążone oczy.

- Tak bardzo cię przepraszam, malutka.

Pocieszenie matki zajęło Jaclyn kilka minut, przy czym obie solidnie się wyplakały. Gdy wreszcie się rozłączyły, Jaclyn wygrzebała z torebki wizytówkę Erica i wybrała numer jego komórki.

- Coś się stało, Jaclyn?

Zaskoczona odsunęła aparat i wlepiła w niego wzrok tak, jakby był siedliskiem Marsjan. Co innego, gdy rozmowę zaczyna od pytania jej matka, która zna numer, a co innego Erie, do którego nigdy nie telefonowała. Ostrożnie przytknęła z powrotem komórkę do ucha.

- Skąd pan wiedział, kto dzwoni?

- Poznałem numer.

- Nie dzwoniłam do pana.

- Nie, ale ja telefonowałem do ciebie. Pamiętasz, przy jakiej okazji? Byłem w tobie chyba szybciej, niż zdążyłaś dotknąć plecami materaca.

Zalała ją fala gorąca. Pewnie, że pamiętała, i to dobrze. Nawet gdyby chciała zapomnieć, to ciało natychmiast zaczęło przypominać sobie bliskość Erica i ich wspólne doznania. Czuła obejmujące ją silne ramiona, sprężyste włosy torsu drażniące jej piersi, dłonie unoszące pośladki przy każdym pchnięciu. Sutki nagle jej stwardniały, zdawało jej się, że czuje wokół nich żar wsysających je warg.

- Ja... - powiedziała i zamilkła, bo miała w głowie pustkę. Nie potrafiła wymyślić żadnej riposty.

Zamknęła oczy i mocno

zaciśnęła uda z nadzieją, że to pomoże jej zapanować nad boleśnie rozbudzonym ciałem.

- Tak - odparł schrypniętym głosem, najwidoczniej walcząc ze swoimi wspomnieniami. - Ty.

Odetchnęła dość niepewnie. Aż to tej chwili nie przemawiały do niej uroki seksu przez telefon. Teraz je dostrzegła, ale chwila była zdecydowanie nieodpowiednia.

- Jakaś kobieta zadzwoniła wczoraj do naszej agencji i rozmawiała z Madelyn. Powiedziała, że jest moją koleżanką z college u i umówiła się ze mną na drinka. - Język jej się plątał. Jacelyn zaczerpnęła tchu. - W każdym razie mama poinformowała ją, gdzie będę wieczorem. A gdyby chciał pan spytać, to nie, nie umawiałam się z żadną koleżanką na drinka.

- Z jakiego numer dzwoniła? - spytał oschle, co świadczyło o tym, że przechodzenie od miłych wspomnień do spraw służbowych jest dla niego o wiele łatwiejsze niż dla niej.

- Kobieta zatelefonowała do agencji. Mama wspominała coś o sprawdzaniu połączeń. Aparat w naszej firmie nie wyświetla numeru osoby dzwoniącej.

Mruknął pod nosem coś, co zapewne nie było wyrazem zadowolenia.

- Dobrze. Proszę sprawdzić, o której odbyła się rozmowa. Zapytamy o numer operatora.
- To była kobieta. Czy to przeczy pańskiej teorii o siwowłosym mężczyźnie, próbującym mnie zabić?
- Niekoniecznie. Muszę jak najszybciej pokazać pani zdjęcia. Jeśli nie może pani przyjechać do mnie, to ja stawię się u pani.

Słowa „przyjechać do mnie” wywołały panikę Jaclyn. Chyba nie chciał...

- Gdzie pan jest?
- W pracy

Mocno się zaczerwieniła. Zastanowiło ją, czy ktokolwiek po tamtej stronie słyszy jego rozmowę.

- Proszę się nie martwić, nikogo nie ma w pobliżu. Czekam na panią. Jest pani gotowa?

Coś ją podkusiło. Bądź co bądź, zemsta jest słodka.

- Nie wiem, czy dojdę.

Usłyszała chrzęst, głośny stuk i przekleństwo w tle. Wyglądało na to, że Erie wypuścił komórkę z ręki. Garvey podszedł do biurka Erica z plikiem papierów w dłoni.

- Senator ma alibi nie do podważenia - oświadczył. - Wczoraj wieczorem był z żoną na przyjęciu w Savannah, które skończyło się dobrze po północy. Nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie.
- Jednak mógł się kimś wyręczyć - zauważył Erie. - Ten cienias spieprzył robotę. Nic na niego nie mieliśmy i gdyby zostawił wszystko po staremu, za cholerę nie dostalibyśmy nakazu. Ale on bał się, że Jaclyn go zidentyfikuje. Musimy porządnie przyjrzeć się jego przyjaciółce. Właśnie telefonowała Jaclyn.

Kobieta podająca się za jej koleżankę z dawnych czasów zadzwoniła wczoraj do agencji i Madelyn powiedziała jej, gdzie można znaleźć Jaclyn.

Odpowiedź na pytanie, jak ktoś zlokalizował miejsce pobytu Jaclyn, okazała się zaskakująco prosta.

- Przyjaciółkę?

- Właśnie. - *Erk* otworzył plik. - Koledzy z Atlanty przysłali nam raport balistyczny. Znaleźli jedną kulę w tapicerce jaguara. Druga przebiła na wylot drzwi po stronie pasażera. Pocisk kalibru dziewięć milimetrów. Pani Taite Boyne jest zarejestrowana jako właścicielka pistoletu Glock. 26. To właśnie ten kaliber.

- Jeśli jest bystra, pistolet leży na dnie jeziora Lanier.

- Rzecz w tym, że ona uważa się za najbystrzejszą na świecie. Tacy ludzie popełniają błędy. Sprawdzimy rozmowę z agencją Premier i przekonamy się, co to da. Może używała komórki.

- Komórkę też można wyrzucić i powiedzieć, że została skradziona.

- Pistolet i komórka zaginęły jednocześnie? Moim zdaniem, to byłoby dość podejrzane. Równie dobrze mogła wymienić kartę w komórce i wtedy nie będziemy mieli bezpośredniego powiązania. Wczoraj wieczorem koledzy z Atlanty nie znaleźli łusek na miejscu zdarzenia, co oznacza, że poleciały do wnętrza samochodu sprawcy. W samochodzie mogą być jakieś ślady przypalenia albo prochu, na przykład na kierownicy, bo przecież musiała ją trzymać rękami. W każdym razie warto sprawdzić, czy pani Boyne ma alibi na wczorajszy wieczór.

Garvey zatarł ręce.

- Uwielbiam, kiedy wszystkie kawałki łamigłówki zaczynają wskakiwać na swoje miejsca - powiedział z widocznym zadowoleniem.

- Jaclyn jest w drodze, przyjedzie obejrzeć zdjęcia.

- Identyfikacja Dennisona nie będzie miała wielkiego znaczenia, bo w telewizji niemal co kwadrans można się nadziać na jego ogłoszenie wyborcze.

- Jaclyn nic zna się na samochodach, i to kompletnie. Potrafi powiedzieć, czy samochód jest osobowy, terenowy czy półciężarowy, i nic poza tym. Ma dobrą pamięć do szczegółów, należy więc ją odświeżyć. Może spostrzegła coś charakterystycznego w wyglądzie samochodu, nawet jeśli na razie nie zdaje sobie z tego sprawy.

Erie zjawił się wcześniej w komendzie i zaczął od ściągania zdjęć samochodów tych marek, którymi jeździli senator Dennison i Taite Boyne. Wóz senatora miał dość charakterystyczną cechę, więc była szansa, że Jaclyn ją zauważyła. Zebrał też mnóstwo zdjęć profilów siwowłosych mężczyzn, w tym dwa ujęcia senatora, każde z innej strony. Nie wiedział, którą część twarzy widziała Jaclyn, a profile mogą dość znacznie się od siebie różnić. Gdyby jednak wskazała senatora, byłaby to cenna poszlaka. Niech adwokat twierdzi, że wskazanie padło na twarz znaną z telewizji. To problem prokuratora rejonowego. Dla Erica ważne było zebranie dostatecznej liczby śladów i poszlak, aby przekonać sędziego do wydania nakazu przeszukania samochodu.

Jaclyn weszła do komendy policji nieco po dziewiątej. Erie dostrzegł, że odwracają się za nią wszystkie głowy. Może nie była piękna, ale większość mężczyzn nazwałaby ją atrakcyjną. W każdym razie jego pociągała z piorunującą siłą. Wyróżniała się swobodnym chodem, zwracającym uwagę na długie, wystrzałowe nogi, i niesamowitą klasą. Jaclyn nie wyglądałaby tandetnie nawet wtedy, gdyby się o to starała. Każdy szczegół jej postaci idealnie pasował do pozostałych, a przy tym nie było wrażenia kiczowatej przesady. Erie nie znosił, kiedy na kobiecie wisiało mnóstwo niepotrzebnych brzęczących dupereli. U Jaclyn wszystko,

od okrągłych złotych kolczyków w uszach po delikatny złoty łańcuszek wokół prawej kostki, było dyskretne i szykowne. Zabawne wydawało mu się, że najbardziej pociąga go w Jaclyn to, czego łąd najchętniej zaburzał. Może było w tym wyzwanie, żeby zedrzeć z niej ubranie i splątać jej rozpuszczone włosy I poczuć paznokcie wpijające mu się w plecy. O, tak.

Na jej powitanie wstał i wskazał krzesło przy swoim biurku. Pomyślał, że gdyby bardziej nalegał ostatniej nocy, skończyliby w łóżku, ale zależało mu nie tylko na seksie. Chciał, żeby Jaclyn zdecydowała, że go chce. Aby świadomie podjęła decyzję, że warto dać im dwojgu szansę. Inaczej towarzyszyłoby mu poczucie, że Jaclyn jest jedną nogą za drzwiami i tylko czeka na jakieś jego potknięcie, by mieć pretekst do odejścia.

Gdy Erie odwrócił się, żeby sięgnąć po przygotowany zestaw fotografii, do biurka poszedł Garvey.

- Cieszę się, że jest pani cała i zdrowa - powiedział. - Było o włos.

- Dziękuję, sierżancie, to prawda. Jeszcze nigdy tak się nie przeraziłam.

- Robimy postępy w sprawie. Przy odrobinie szczęścia wkrótce dobrniemy do końca.

Przysunął sobie krzesło i usiadł. Najwyraźniej chciał być obecny przy rozmowie z Jaclyn.

- Mam nadzieję. - Zerknęła na zegarek, potem na Erica.

- Można już? - spytał.

Najpierw podał Jaclyn zdjęcia twarzy. Przeglądała je, poświęcając na każde chwilę namysłu, ale odłożyła na bok wszystkie.

- Żadne mi się nie kojarzy. Proszę dać mi jeszcze raz za kilka minut. Czasem potrzebuję czasu, żeby coś sobie przypomnieć.

- Proszę się nie spieszyć. Uśmiechnęła się słabo.

- Dzisiaj? To niemożliwe - powiedziała.

Następnie obejrzała tą samą techniką zdjęcia samochodów. Dotarła do końca sterty, ale nie odłożyła jej na bok, tylko wróciła do początku i marszcząc czoło, rozpoczęła drugą rundę. Tym razem przeglądała wolniej, przechylając głowę na bok.

Policjanci obserwowali ją w milczeniu. Erie wstrzymał oddech, tak bardzo zależało mu na rozwikłaniu sprawy. Pokładał wiele nadziei w spostrzegawczości Jaclyn i w jej dbałości o szczegóły. Na samochodach mogła się nie znać, ale wiedziała, czym jest styl. W końcu wyjęła jedno ze zdjęć i rzuciła je na biurko.

- Ten samochód - powiedziała.

Erie zerknął na zdjęcie. Najchętniej uśmiechnąłby się z satysfakcją, ale musiał zachować kamienną twarz, żeby przez nieostrość nie wyrzucić wpływu na świadka.

- Czy jest pani pewna?

- Tak. Ma taki sam wihajster sterczący na masce.

Erie wziął do ręki fotografię. Przedstawiała mercedesa klasy S, model S600 o przebiegu około stu pięćdziesięciu tysięcy. W tej klasie tylko model S600 miał logo mercedesa ustawione na masce pionowo. We wszystkich innych modelach logo było wmontowane w kratę chłodnicy.

Senator Dennison jeździł srebrnym mercedesem S600.

Erie podał Jaclyn następny plik zdjęć. Te były trudniejsze do zdobycia, ponieważ przedstawiały tylne światła kilku różnych marek, sfotografowane w nocy.

- Czy coś z tego widziała pani ostatniej nocy?

- Ma pan duże wymagania - odparła. - Byłem ledwie żywa z przerażenia, to cud, że zapamiętałam, by spojrzeć na tablicę rejestracyjną, co zresztą nic nie dało.

- Proszę mimo wszystko obejrzeć fotografie, może coś się pani skojarzy.

Metodycznie przejrzała cały zestaw, lecz przy ostatnim zdjęciu pokręciła głową.

- Przykro mi, tutaj nic.

I tak zrobili wielki krok naprzód. Udzieliła im informacji, która mogła poruszyć sędziego. Nie zidentyfikowała senatora, ale poznała jego samochód.

Jaclyn ponownie wzięła zdjęcia twarzy, jeszcze raz je przejrzała i pokręciła głową.

- Nie poznaję nikogo.

Erie wziął od niej cały pakiet.

- Nie szkodzi. Dziękuję, że pani przyszła. Spojrzała na niego zdziwiona.

- To wszystko? Nie powie mi pan, czy ten wihajster na masce cokolwiek znaczy?

Uśmiechnął się.

- Znaczy, i to dużo.

Ważne było także to, że Jaclyn traktowała go miło i w obecności Garveya starannie ukrywała wrogość.

- To dobrze. Byłoby mi żal tracić czas na przyjeżdżanie tutaj, kiedy mam tyle innych zajęć. Muszę pędzić. Do widzenia.

Wszyscy obecni na sali odprowadzili ją wzrokiem. Garvey westchnął.

- Gdyby nie moja panna młoda z rumieńcem na twarzy, to stanąłbym z tobą do konkurencji - powiedział.

- Twoja panna młoda z rumieńcem na twarzy ucięłaby ci jaja.

- Wiem. Właśnie o tym myślałem.

Rozdział 23

- Musze notować powiedział Bishop Delaney. - Co tam notować, musze porobić zdjęcia, bo inaczej nikt nie uwierzy, że pracowałem dla buraczanej farmy.

- Siedź cicho - skarciła go półgłosem Jaclyn i niespokojnie rozejrzała się dookoła.

Zdecydowanie nie chciała, żeby ktoś z obecnych usłyszał Bi-shopa. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było. Bishop miał dość zdrowego rozsądku, by poczekać z tą uwagą, aż usiądą z boku. Jaclyn nie obawiała się, że zostaną urażone czyjeś uczucia, natomiast poważnie bała się, że ktoś z obecnych weźmie to do siebie i wyciągnie nóż sprężynowy Takich, którzy mogliby to zrobić, była tutaj ponad połowa. Generalnie Jaclyn nie miała nic przeciwko nożom sprężynowym, sama nosiła niewielki, poręczny egzemplarz w torebce, który przydawał jej się w różnych sytuacjach. Gdyby jednak miała wytypować gości ślubnych, którzy mogliby wdać się w bójkę z użyciem ostrych narzędzi, bez wahania zagłosowałyby właśnie na tych, wśród których się znajdowała.

Siedziała z Bishopem w ostatnim rzędzie krzeseł po stronie przeznaczonej dla gości pana młodego. Ponieważ miejsce uroczystości, na co dzień pełniące funkcję stodoły, nie było przepełnione, dwa rzędy składanych krzeseł przed nimi stały puste. Akurat w tym momencie matka pana młodego, wciąż blada i przerażona wyborem, jakiego dokonał syn, i wszystkim, co odbywało się w związku z tym, szła na swoje miejsce przy dźwiękach piosenki *Friends in Low Places* Gartha Brooksa. Prowadził ją członek honorowej asysty, którym był brat

panny młodej, mający na głowie irokeza. Termin „honorowa asysta” był zresztą w tym wypadku nieco przesadzony, choć trzeba oddać młodemu człowiekowi sprawiedliwość, że włożył krawat. Nie wdział marynarki, miał na sobie spodnie khaki, ale krawat mu dyndał.

Jaclyn wciąż starała się dostosować do atmosfery tego ślubu, żeby mieć z niego chociaż trochę radości, ponieważ większość obecnych, z wyjątkiem matki pana młodego i jego dwóch sióstr, była zachwycona imprezą. Dobra zabawa nie musi być zharmonizowana kolorystycznie czy też mieć w tle muzyki klasycznej. Mimo to Jaclyn nie zdołała się odprężyć, ponieważ przez cały czas dręczyło ją wrażenie, że pomysł tej grupy na zabawę nie mieścił się w ramach pojęcia „zgodny z prawem”. Często musiała radzić sobie z gośćmi, którzy wypili za dużo albo wdychali coś niedozwolonego, obawiała się jednak, że tutaj ludzie wolą raczej kokę i amfę, a poza tym mają na co dzień wiele zajęć, które sprawiają, że termin „nakaz aresztowania” jest dla nich niepokojący

Ten ślub od początku balansował na krawędzi klęski, czuła to. Do tej pory wszyscy zdawali się zachowywać przykładowie, ale oczywiście „przykładowie” to bardzo subiektywne określenie. Seriale, których akcja toczyła się na wsi, nie umywały się do tej imprezy. Wesele odbywało się w stodole pośrodku pola, oddalonego o dobre trzy kwadransy jazdy od siedziby agencji Premier. Grunt należał do dziadka panny młodej, a chociaż nie była to już ziemia uprawna, teren nadal cieszył się wielkim mirem wśród rodziny, która czuła się tu u siebie. Trzeba było zjechać z utwardzanej drogi, by dotrzeć do stodoły. Wskazówki w zaproszeniu brzmiały następująco: „Skreć w Podjazd Dziadka, okrąż dom i zasuwasz dalej drogą dla traktorów wzdłuż lewego skraju pola, aż trafisz na stodołę”. Dawniej może tą drogą rzeczywiście jeździły traktory, mimo że nie była utwardzona, teraz jednak wyglądała ona jak częściowo zarośnięta miedza z głębokimi koleinami, które w każdej chwili groziły zniszczeniem podwozia wynajętego samochodu Jaclyn.

Po dojechaniu na miejsce trzeba było zaparkować na zwykłej łące, więc Jaclyn dziękowała niebiosom, że pogoda jest przyzwoita. Była gotowa zwrócić się do jednego ze swoich kontrahentów i zamówić w razie potrzeby solidne namioty, w których można by zorganizować przyjęcie na powietrzu, ale na grząskość łąki udającej parking i oblepione błotem buty uczestników nic nie mogła poradzić.

Wnętrze stodoły oświetlono, otwierając okna. Poza tym rozwieszono sznury białych lampek choinkowych i kremowe świece. Zestawienie tego oświetlenia z białymi i jasnożółtymi kwiatami dało prawie efekt staroświecczyzny, choć „prawie” było tu bardzo ważnym słowem. Na ziemi leżała warstwa starej słomy, która zdaniem panny młodej była „autentyczna”, a choć brakowało zwierząt gospodarskich, pozostał jeszcze we wnętrzu lekki, lecz wyraźny ich zapach. Wentylatory, które sprowadziła Jaclyn, pracowały cicho i wydajnie, ale trudno było zdecydować, czy ruch powietrza w stodole jest pożądany. Jednakże bez wentylatorów po pięciu minutach wszyscy spływaliby potem. Wprawdzie nie był to najgorętszy dzień roku, ale temperatura i tak przekraczała trzydzieści stopni. Wielu krewnych panny młodej ubrało się w dżinsy i bawełniane koszulki. Nie zadali sobie najmniejszego trudu, żeby trochę oczyścić spodnie, a tym bardziej by wyciągnąć z głębi szafy marynarki. Tenisówki, które większość z nich miała na nogach, okazały się w tych warunkach dość praktyczne.

Krewni pana młodego postarali się i ubrali elegancko. Jaclyn miała na sobie najlżejszy kostium, jaki zdołała znaleźć w szafie. Bishop naturalnie wystroił się zgodnie z wszelkimi regułami, w dodatku modnie, więc wyglądał fantastycznie.

- Po co jeszcze tu siedzisz? - spytała go szeptem Jaclyn.

Wiązanki, przypinki i kwietne dekoracje, wszystko opłacone z kieszeni matki pana młodego, dostarczono już dawno i wy-

korzystano zgodnie z dyspozycjami Bishopa. Rzadko uczestniczył w uroczystościach, których dekoracją się zajmował.

- Słoneczko, nie wyciągnęłabyś mnie stąd traktorem dziadka - odparł zniżonym głosem.

Mimo woli Jaclyn się uśmiechnęła. Skoro już tutaj była, to musiała docenić walory rozrywkowe tego przeżycia, w każdym razie dopóki nie połała się krew. Należało więc czerpać z tego radość póki czas, bo nie sposób było przewidzieć, co może się później zdarzyć.

- Nie ma mocnych na to, co się tutaj dzieje, to czysty sitcom -ciągnął Bishop. - Niczego podobnego nie widziałem. Coś ty właściwie sobie wyobrażała, przyjmując to zlecenie?

Jaclyn dała się wciągnąć matce pana młodego, która pojawiła się u niej z alarmującym przesłaniem, że nikt w rodzinie panny młodej nie ma pojęcia o zwyczajach ślubnych, i sugestią, żeby trochę pomóc państwu młodym, bo kilka wskazówek na pewno dobrze im zrobi. Niestety, panna młoda i jej matka nie przyjęły większości pomysłów Jaclyn, akceptując tylko niektóre.

Nie trzeba było usadzać osobno gości pana młodego i panny młodej, żeby obserwator mógł zgadnąć, kto kogo zaprosił. Z jednej strony były całkiem niestosowne stroje, plerezy, irokezy albo głowy ogolone do zera i więzienne tatuaże, z drugiej zaś ogólne wrażenie głębokiej konsternacji.

Nieszczęsna matka pana młodego wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zemdleć, a jej siostry z rodzinami wydawały się w szoku. Wyróżniał się w tym towarzystwie brat pana młodego, który nawet nie próbował ukryć rozbawienia.

- Wyobraź sobie, co by tu było bez nas - odpowiedziała Jaclyn Bishopowi.

- Oj-da-dana party - szepnął.

Ktoś wszedł z drugiej strony stodoły, ale zamiast usiąść na jednym z krzeseł, ruszył w ich kierunku.

Jaclyn podniosła głowę i, ku

swemu zaskoczeniu, ujrzała Erica, który chwilę potem zajął miejsce obok niej. Mimo woli zdrętwiała. Miała poczucie, że rano podczas wizyty na policji udało jej się zachować twarz. Nie zdradziła się z rozpierającą ją złością, nie okazała urazy, choć na samą myśl o Ericu natychmiast ogarniały ją te emocje. Tu jednak była na swoim terytorium, więc to wtargnięcie wydawało jej się szczególnie denerwujące.

Bishop pochylił się ku Ericowi za jej plecami.

- No no - wycedził. - Folklor żyje.

jaclyn musiała przyznać, że w lekkiej kurtce narzuconej na koszulę bez kołnierzyka, dżinsach i butach z cholewami Erie nieźle wtapia się w otoczenie. Tyle że on wyglądał w tym wszystkim naprawdę seksownie.

Erie wyciągnął ramię wzdłuż oparcia krzesła Jaclyn i z kolei on pochylił się ku Bishopowi.

- Jestem tutaj z organizatorką ślubu - powiedział do niego.

- Kapuję - odrzekł Bishop i mrugnął do niego porozumiewawczo, po czym wyprostował się na swoim krześle.

Dość zaskoczona Jaclyn stwierdziła, że ci dwaj się znają. No cóż, pewnie nie była to prawdziwa znajomość, ale przecież Erie przesłuchiwał wszystkich kontrahentów, którzy byli świadkami jej kłótni z Carrie.

- Co pan tu robi? - spytała teatralnym szeptem Erica.

- Pilnuję pani - odszepnął.

Nieprzyjemnie ją zaskoczył. Chyba nie wydawało mu się, że coś jej tutaj grozi? Po wydarzeniach ostatniej nocy nikt z agencji Premier nie zdradziłby miejsca jej pobytu. Była tutaj bezpieczna. W każdym razie na tyle, na ile można być podczas zgromadzenia, gdzie połowa uczestników ma przy sobie taką czy inną broń.

Doceniała jego troskę i starania, jednak gdy siedział tuż obok i dotykał udem jej nogi, nie mogła zachować spokoju. Odsunęła

się nieco ku Bishopowi, żeby przerwać ten kontakt fizyczny. Dlaczego Erie nie poczekał na zewnątrz? Czy naprawdę musiał się tu wpakować?

Pewnie mogłaby zażądać, żeby wyszedł, ale już zdążyła się przekonać, ile warte są jej nalegania w takiej sytuacji. Szkoda wysiłku. Erie był uparty jak osioł i prawdopodobnie nie wzięłyby sobie tego polecenia do serca. Zresztą nie chodziło tylko o to. Nie była głupia i wiedziała, że nawet jeśli towarzystwo Erica jej się nie podoba, to zapewnia jej bezpieczeństwo. Jedynie przed nim samym nie miała żadnej ochrony, ale przecież wyłącznie z winy własnej słabości. Świadomość tego bardzo ją irytowała.

Erie ułożył ramię w ten sposób, że niemal ją obejmował. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Miał w tej chwili obojętny wyraz twarzy, z którego nic nie można było wyczytać. Prawie nic. Przez krótką chwilę wędrował spojrzeniem po jej ciele, gdzieś tam zatrzymując je na dłużej. Te oględziny sprawiły, że poczuła się tak, jakby jej skóra zrobiła się nagle dla niej o numer za mała. W dodatku zalała ją fala nieznośnego gorąca.

Tymczasem Erie spojrzał w kierunku ołtarza i gwałtownie poruszył ramionami, jakby dusił się ze śmiechu. Pastor, czyli ten wielki łysol, właściciel knajpy Porkys BBQ, miał na sobie spłó-wiałą bawełnianą koszulkę zespołu Lynyrd Skynyrd, a na głowie czarną chustkę z centralnie umieszczonym białym krzyżem, żeby nikt nie miał wątpliwości co do jego roli podczas ceremonii.

Przynajmniej pan młody był ubrany i uczesany tak jak należy. Miał elegancki czarny garnitur, co wystarczało, bo przecież smoking nie pasowałby do stodoły, i świeżo obcięte włosy. Na jego dziecięcej twarzy malowało się nieprawdopodobne zdenerwowanie. Jaclyn pomyślała, że gdyby ten młodzieniec miał choć trochę rozsądku, uciekłby, gdzie pieprz rośnie. Wyraźnie jednak mu brakowało rozsądku.

Normalnie w tym punkcie ceremonii Jaclyn krztałaby się przy orszaku, pilnując, by wszyscy przeszli do ołtarza w odpowiednim porządku i we właściwym tempie, a potem zajęli swoje miejsca. Jednak ciotka panny młodej, której inicjatywa matki pana młodego z zaangażowaniem agencji ślubnej bardzo się nie podobała, uparła się, że to jej sprawa. Twierdziła, że nie potrzebuje pomocy. Nie przyjęłaby jej, i tak to należało zrozumieć. W tej sytuacji zadaniem Jaclyn było zrobić jedynie to, na co dostała pozwolenie, a reszcie przyglądać się z profesjonalnym uśmiechem.

Właśnie matka panny młodej usiadła na swoim miejscu przy dźwiękach piosenki Gartha Brooksa, którą sama wybrała. Suknię miała zdecydowanie za ciasną, a przy tym za krótką. Na jej miejscu Jaclyn nie zdecydowałaby się też na tak wąskie ramiączka przy sukni.

Następnie odbył się uroczysty przejazd udekorowanego czerwonym tiulem wózka, w którym paradowała wystrojona w falbaniaste ubranko jedenastomiesięczna córka panny młodej, mająca na niemal łysej główce wielką niebieską kokardę przymocowaną za pomocą taśmy klejącej. Kto by pomyślał, że wymagane na ślubie coś nowego i coś niebieskiego może się zmaterializować w postaci dziecka, którego pan młody nie był ojcem.

Nie moja sprawa, pomyślała Jaclyn, zresztą nie pierwszy raz. Nie do niej należało uporządkowanie życia młodej pary. Jej płacono tylko za zorganizowanie ceremonii.

Dziewczynka nie była zadowolona. Wózek prowadził jej sześciolatek kuzyn, raz po raz dość gwałtownie go szarpiąc. Nic dziwnego, że miała już przy wejściu płakała, a w trakcie przejazdu przez zaimprovizowaną główną nawę jej płacz stopniowo się nasilał, aż przeszedł w głośne wycie.

- Maaaaamaaaaa - wrzeszczała, wyciągając przed siebie pulchne rączki.

Jeśli pannie młodej zdawało się, że dziewczynka będzie potulnie siedzieć w czerwonym wózku, tak by goście mogli podziwiać dziecko, to musiała przeżyć bolesne rozczarowanie. Małej po prostu nie podobał się ten środek lokomocji i chciała wysiąść, w dodatku natychmiast.

- Cicho, Raquelle - spróbowała perswazji babka.

Kiedy jednak nie tylko dla niej, lecz i dla wszystkich stało się jasne, że nic z tego nie będzie, babka poddała się i wzięła małą na kolana.

Jaclyn pomyślała, że dziewczynka ma imię jak striptizerka. Jako nastolatka nie będzie musiała wysilać fantazji ani szperać po Internecie, kiedy rówieśniczki będą sobie dla zabawy takie imiona wymyślać. Przyszła kolej na paradę druhen i družbów. W podkładzie muzycznym miejsce Gartha zajęła Shania Twain. Pierwotnie panna młoda chciała, żeby druheny całą drogę do ołtarza przebyły tańcząc, bo widziała coś takiego na YouTube. Jaclyn z doświadczenia wiedziała, że niektóre nośne w teorii pomysły rzadko sprawdzają się w praktyce. To właśnie był jeden z nich i należało być zadowolonym, że w tym wypadku panna młoda dała się przekonać. Ostatecznie jeśli nie liczyć prymki tytoniu wyraźnie żutej przez pana młodego - czego Jaclyn w porę nie zauważyła - i okazjonalnych ruchów biodrami u druhen, nic złego się nie stało. Przemarsz należało uznać za udany.

Nagle muzyka urwała się i zapadła dramatyczna cisza. Chwilę potem stodołę wypełniły majestatyczne dźwięki marsza weselnego. Panna młoda chciała najpierw iść do ołtarza przy dźwiękach ulubionej piosenki country, ale Jaclyn przekonała ją do Mendelssohna. Szczypta tradycji podczas bardzo nietradycyjnego ślubu miała swoją wagę.

Wszyscy wstali i odwrócili się twarzami do przejścia. Śnieżnobiała długa suknia miała większy dekolt, niżby zalecała Jaclyn, ale

panna młoda była zwolenniczką eksponowania swoich atutów. Z kolei w biodrach kreacja była wyraźnie za ciasna, więc Jaclyn na wszelki wypadek wzięła podręczny zestaw do szycia. Wprawdzie modliła się, by nie trzeba było z niego zrobić użytku, ale niebezpieczeństwo, że puszcza szwy, wydawało się całkiem realne. Fryzura oblubienicy, również dzieło ciotki, która nie chciała pomocy, choć w istocie bardzo jej potrzebowała, była ogromna. Na szczęście Jaclyn zdołała w porę namówić pannę młodą do stonowania makijażu i w tej chwili wyglądał on całkiem gustownie. Elegancka była też. wiązanka ślubna przygotowana przez Bishopa. Udane elementy kreacji tuszowały więc wrażenie wywierane przez pozostałe i tym pocieszała się Jaclyn.

Gdy panna młoda minęła ostatni rząd krzeseł, Bishop pochylił się do Jaclyn i szepnął:

- Oni nie są kuzynami, prawda?

Nie zniżyła się do tego, by mu odpowiedzieć. Chwilę potem Bishop dodał:

- To musi być prawdziwa miłość. Albo przelotna choroba umysłowa. Ericowi przez cały czas trzęsły się ramiona.

Ceremonia toczyła się bez żadnych incydentów, Jaclyn mogła pracować nad własnym spokojem ducha, starała się więc odsuwać od Erica, żeby go nie dotykać. Nie było to łatwe, bo jako rosły mężczyzna nie mieścił się w przestrzeni wyznaczonej przez pojedyncze krzesło.

Wreszcie niezwykły pastor powiedział:

- Możesz pocałować żonę.

Kiedy nowożeńcy odwrócili się do gości, pastor dodał grzmiącym głosem:

- A teraz do jedzenia! Na dworze czeka na nas superwyżerka.

- Wyżerka - powtórzył Bishop, naśladowując intonację poprzednika. - Jeeejku.

Rozdział 24

Słońce zaszło i wściekły upał wreszcie zelżał, ale przyjęcie wciąż toczyło się w najlepsze. Piwo płynęło strumieniami, a przepływ musiał być obfity, jeśli sądzić po powodzeniu, jakim cieszyły się dwie przenośne toalety dyskretnie ustawione za stodołą. Ku zaskoczeniu Jaclyn, zabawa utrzymywała się w granicach półprzyzwo-itości, co oznaczało, że do tej pory nikt się nie pobił i nie wyciągnął noża. Niestety, państwo młodzi nie zdradzali chęci udania się dokądkolwiek, a dopóki byli obecni na przyjęciu, również Jaclyn nie mogła go opuścić. Ani matka panny młodej, ani ciotka nic wydawały się zainteresowane pilnowaniem tego punktu wieczornego programu. Jeśli nawet parze spieszno było do rozpoczęcia miodowego miesiąca, to tego nie okazywała. Pan młody zdjął marynarkę i muszkę, rozpiął górny guzik koszuli i podwinął rękawy, żeby mieć więcej przyjemności z tańców. Panna młoda i druhny znikły w stodole, a gdy wróciły po półgodzinie, okazało się, że wszystkie są przebrane w krótkie sukieneczki. Część, a właściwie nawet większość tych sukieneczek przekraczała granicę zalotności i była jawnie prowokująca, ale nie należało do obowiązków zawodowych Jaclyn przejmowanie się tym, czy niektóre druhny nie chcą sobie dorobić podczas wesela. Grający zespół składał się z pięciu całkiem muzykalnych facetów w średnim wieku, ubranych w dżinsy i bawełniane koszulki. Nie można było powiedzieć z przekonaniem, że są dobrzy, ale również nie razili. Mieli zaskakująco szeroki repertuar, obejmujący

klasykę rocka oraz mnóstwo popularnych przebojów country, także najnowszych. Przy tych ostatnich goście tańcowali, wykazując przy tym więcej entuzjazmu niż umiejętności, ale techniczne braki zdawały się nikomu nie przeszkadzać. Ważne było, żeby dobrze się bawić.

W jednym końcu ogromnego namiotu zbudowano toporną scenę, natomiast drugi koniec zajmowały długie stoły uginające się od jedzenia, przy czym jadłospis przypominał kolacyjne menu poprzedniego wieczoru. Z boku stały lodówki turystyczne wypełnione po brzegi butelkami piwa. Pod namiotem mieściły się również składane stoliki dla gości, każdy z kompletem kolorowych krzeseł ogrodowych. Jaclyn przeszła tutaj samą siebie, załatwiła bowiem piknikowe obrusy i różnokolorowe dzbanuszki z bukietkami stokrotek na środek każdego stolika. Gdy zapadł zmierzch, zapłonęły bożonarodzeniowe lampki podkreślające zarys namiotu. Jaclyn musiała przyznać, że choć efekt był dość prowincjonalny, to miał jednak pewien urok. Na stołach stały bateryjne świece wotywnie. Choć prawdziwe byłyby bardziej stylowe, te przynajmniej nie stwarzały niebezpieczeństwa pożaru w razie przewrócenia stolika, co przy takiej ilości konsumowanego piwa było w miarę upływu wesela coraz bardziej prawdopodobne.

Bishop nie tylko wciąż był obecny, lecz również zaraził się duchem zabawy. Zaczął czarować matkę pana młodego imieniem Evelyn. Najpierw skłonił ją do wypicia piwa, co pomogło jej się rozluźnić. Kiedy w połowie butelki następnego piwa pozwoliła sobie na pierwszy uśmiech podczas wesela, przeszedł do żartobliwych aluzji, że powinni razem zatańczyć. Tańce odbywały się na zbitym z surowych desek parkiecie.

- Och, nie potrafię! - zawołała z malującym się na twarzy przerażeniem.

- Niemożliwe - oznajmił Bishop. - Zresztą nauczę panią, jak tańczy się w linii.
- Co to znaczy?
- Zamiast kręcić pupą, robi się coś podobnego, jak w *Dumie i uprzedzeniu*. Ludzie stają w szeregu, bokiem do siebie i wykonują różne kroki...
- Nie znam tych kroków.

Policzki jej się zarumieniły i spojrzała nerwowo, choć nie bez tęsknoty w stronę parkietu.

Bishop już ją trzymał i skłaniał, żeby wstała.

- To łatwe, pokażę pani. Proszę pójść ze mną, będzie fajnie. Jaclyn przyglądała się temu z uśmiechem.

Pocziwy Bishop. Nie

tylko został na weselu, ale jeszcze zajął się tą nieszczęsną kobietą i rozbawił ją tak, że zaczęła się śmiać. Gdyby nie mogła się pogodzić z wyborem syna, a za tydzień doszło do rozwodu, przynajmniej nie zapamiętałaby wesela jako jednego wielkiego koszmaru.

Bishop stanął z Evelyn z boku, żeby nie przeszkadzać innym tancerzom, którzy raz po raz wykonywali obroty i inne skomplikowane figury, i zaczął wprowadzać ją w tajniki podstawowych kroków. Po trzecim powtórzeniu Evelyn zorientowała się, o co w tym chodzi, pamiętała, kiedy należy klasnąć i nawet pozwalała sobie czasem na wyrzut nogi. Śmiała się przy tym, a oczy jej lśniły.

Muzycy, widząc tę lekcję, wzięli się do repertuaru duetu Brooks and Dunn. Z głośników ryknęło *Boot Scootin' Boogie*. Kilka kobiet z radosnym piskiem dołączyło do Bishopa i Evelyn, by w jednej linii z nimi rytmicznie wykonywać kroczyki, przytupywać i klaskać. Bishop zgubił gdzieś swój ironiczny uśmiezek i wyraźnie dobrze się bawił, a Evelyn wybuchała śmiechem, ilekroć pomyliła krok.

- Dziękuję - powiedział pan młody, który podszedł do Jaclyn i wręczył jej schłodzone piwo.
- Za co? - spytała, machinalnie biorąc od niego butelkę.

Był zarumieniony i trochę spocony bo przed chwilą szalał na parkiecie, włosy opadały mu na czoło, a oczy błyszczały. Skinął głową ku Evelyn.

- Za to, że mama się śmieje.

Okazało się, że Jaclyn się pomyliła. Pan młody nie był kompletnie obojętny na zamęt, jaki wywołał w rodzinie. Jeśli zaś zawierał małżeństwo w pełni świadomie, to może nawet miał szansę w nim wytrwać, chociaż Jaclyn była prawie pewna, że dla panny młodej będzie to oznaczało wyrwanie z kręgu jej obecnych znajomych. Z drugiej strony, pan młody mógł pasować do tego towarzystwa lepiej, niż z pozoru się zdawało, a to z kolei kazało podejrzewać, że Evelyn ma przed sobą w najbliższej przyszłości niejedną bezsenłą noc. Jak to trudno coś powiedzieć o ludziach, pomyślała Jaclyn i uśmiechnęła się. Skoro tak i skoro ona nie potrafi ułożyć swoich spraw osobistych, chociaż uważa, że zna się na ludziach, to lepiej napić się piwa.

- Nie moja zasługa. Niech pan podziękuje Bishopowi. Nawet nie wiedziałam, że on umie tak wywijać.

- Kto to jest? Pani chłopak? Myślałem, że z panią jest ten gliniarz. Nie wydawał się wzburzony tym, że na jego weselu jedzą i piją obcy ludzie.

- Nie. Bishop jest florystą. To on przygotował kwiaty na ślub i wesele. Zwykle wychodzi, kiedy tylko przekona się, że wszystko zostało dostarczone i rozmieszczone jak należy. Nie wiem, co go dzisiaj podkusiło, żeby zostać. Przepraszam, powinnam była zapytać o pozwolenie.

To, że tego nie zrobiła, świadczyło aż nadto wymownie o stresie, w jakim była od początku tego dnia.

- Nie ma problemu - powiedział, zbywając temat machnięciem ręki. - Mnie to nie przeszkadza. Czyli pani chłopakiem jest ten gliniarz?

Otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale uświadomiła obie, że jeśli to zrobi, w zasadzie nie potrafi uzasadnić obecności Erica. Musiałyby wdać się w skomplikowane wyjaśnienia, czego bardzo nie chciała, albo pozostawić wrażenie, że zaprasza znajomych na organizowane przez siebie śluby, co pod pewnymi względami byłoby znacznie gorsze od prawdy. Z kolei gdyby powiedziała, że Erie przyszedł służbowo, wypłoszyłaby z przyjęcia połowę gości. Tymczasem wszyscy najwyraźniej traktowali go jako jej połówkę, co -nie wiadomo czemu - czyniło go mniej złowrogą postacią.

- Mniej więcej - odparła.

- Tak przypuszczałem.

Pan młody stuknął się z nią butelkami i odszedł szukać panny młodej.

Jaclyn spojrzała na trzymaną butelkę. Powinna była ją odstawić. Nie miała zwyczaju dużo pić, a w pracy nie robiła tego w ogóle. Problem polegał na tym, że tutaj była bardziej gapiem niż organizatorem. Wszystko, co do niej należało, wykonała, i teraz pozostało jej tylko wyprawić państwa młodych w podróż poślubną. Błagała zresztą siły wyższe, by stało się to jak najszybciej. Tymczasem była spragniona i doskwierało jej gorąco, więc chłodne piwo w pełni zaspokajało jej potrzeby. Właściwie nie przepadała za piwem, ale co tam. Przechyliła butelkę i upiła kolejny łyk.

W butelce nie zostało już prawie nic, gdy nagle ktoś chwycił ją w pól. Podniosła głowę zaskoczona i ujrzała roześmianego faceta z irokezem na głowie.

- Chodź, śliczna, zatańczymy! - zawołał i pociągnął ją w stronę parkietu.

Erie utrzymywał dystans bardziej z przekonania, że nie wolno przeszkadzać Jaclyn w pracy niż z innego powodu. Znalazł sobie miejsce w tylnej części namiotu, przy stołach z jedzeniem, żeby ani

na chwilę nie spuszczać jej z oka. Nie tylko miał przegląd sytuacji, ale w dodatku częstowano go jedzeniem i napitkami. Za piwo podziękował, ale zjadł grillowane mięso z dodatkiem sałatek, ziemniaczanej i z kapusty. Ustawiono na stołach trochę soków owocowych i napojów gazowanych dla dzieci, więc wziął sobie coś z bąbelkami i starał się nie myśleć o tym, jak wspaniałe jest schłodzone piwo. Mięso smakowało wybornie. Pastor wyjaśnił, że piecze polane piwem mięso w zamkniętym grillu. Prawdopodobnie to właśnie rozgrzane piwo sprawiało, że mięso nabierało soczystości i kruchości. Może i miał rację, bo efekt końcowy był znakomity.

Jak na publiczne miejsce, Jaclyn była tutaj bezpieczna. Przede wszystkim niewiele osób wiedziało, gdzie jej szukać. Były wśród nich trzy inne pracownice Premier. Był też Bishop Delaney i on stanowił niewątpliwie słabe ogniwo. Wprawdzie Erie nie podejrzewał Delaneya o związki z morderstwem Carrie albo zamachem na życie Jaclyn, zdążył jednak się zorientować, że ludzie żyjący ze ślubów bez przerwy spotykają się w różnych konfiguracjach przy okazji kolejnych ceremonii. Organizatorzy mieli swoich ulubionych kontrahentów, których rekomendowali, jeśli klient nie życzył sobie od razu kogoś konkretnego. Jeśli więc Delaney wspomniał komuś, gdzie i z kim będzie, wiadomość łatwo mogła dojść łańcuszkiem do niewłaściwej osoby.

Na szczęście nie było łatwo znaleźć miejsca, w którym odbywała się uroczystość. Stodoła pozostawała niewidoczna z szosy. Stała na prywatnym gruncie i prowadziła do niej tylko jedna marna droga. Gdyby on sam nie dysponował notatkami Jaclyn i do tego GPS-em, miałby kłopoty z jej znalezieniem.

Poza tym uważał, że Jaclyn jest tutaj bezpieczna, ponieważ uczestnicy wesela nie należeli do ludzi, którzy pozwoliliby, żeby na ich własnym terytorium przeszkadzano im w zabawie i by doszło do morderstwa. Był pewien, że gdyby dokonać przeszukania,

przynajmniej w trzech czwartych zaparkowanych tu pojazdów znaleziono by broń palną. W tylnych okienkach kabin półciężarówek widać było zarysy strzelb i karabinów. W samochodach osobowych schowki w desce rozdzielczej kryły niewątpliwie pistolety, a drugie tyle wsunięto pod siedzenia. Broń długa była jednak legalna, poza tym wszystkie te samochody stały na prywatnym terenie. Gdyby jednak będąc w mundurze, zatrzymał któryś z tych samochodów za jakieś przekroczenie drogowe, istniało duże prawdopodobieństwo, że właściciel z miejsca trafiłby do aresztu.

W każdej chwili mógł też sięgnąć po telefon i wkrótce potem wokół stodoły zaroiliby się od policjantów. Obława skończyłaby się prawdopodobnie imponującą liczbą nakazów aresztowania, ale co tam, na jego oczach nie złamano prawa, a gliniarz musi czasem podjąć samodzielną decyzję. Większość tych nakazów dotyczyłaby drobnych spraw czy stosunkowo drobnych. Wymiar sprawiedliwości miał o wiele poważniejsze zadania, które angażowały i budżet, i ludzi. Erie uznał, że brak działania w tym wypadku nie jest zaniechaniem.

Właśnie zwrócił uwagę na tego wymoczką, z którym zamienił kilka zdań poprzedniego wieczoru. Posiadacz wyjątkowej fryzury ciągnął ku parkietowi Jaclyn, która protestowała i usiłowała się wyrwać. To nie było w porządku. Ani trochę.

Erie ruszył w kierunku tego typu i musiał mieć dość niezadowoloną minę, bo zauważył, że ludzie przed nim się rozstępują. O ile znał Jaclyn, była gotowa niemal na wszystko, byle uniknąć sceny, chyba że akurat wyładowywała swoją energię właśnie na nim. Protestowała, ale starała się to robić dyskretnie, nie chciała pokazać wszem wobec, że stawia opór temu chłystkowi. To działało na jej niekorzyść, co jeszcze bardziej rozeźliło Erica. Dopadł ich w chwili, gdy stanęli na parkiecie, i chwycił chłopaka za ramię.

Nie próbował go odepchnąć, bo chociaż mógłby, to dla dobra Jaclyn nie zamierzał wszczynać sceny. Po prostu mocno zacisnął tamtemu dłoń na ramieniu i zdecydowanie go zatrzymał.

- Powiedziałem ci wczoraj, że ona jest ze mną - oznajmił groźnym tonem.

Facet chciał odburknąć coś bezczelnego, ale urwał w pół zdania. Może przypomniał sobie, że ma do czynienia z policjantem, a może sam wyraz twarzy Frica wystarczył, by go zniechęcić.

- Chciałem tylko z nią zatańczyć - powiedział nadąsany. Ona nie chce tańczyć z tobą.

- Nic musisz...

- Synu, nie zmuszaj mnie, żebym strzelił ci w tyłek - ostrzegł go Erie.

- Nie ważyłbyś się...

- Owszem, ważyłbym się - przerwał mu zdecydowanie. - Potem miałbym koszmarne papierkową robotę z twojego powodu, ale byłoby warto.

Nie lubił, kiedy policjanci grozili bronią, ale widok tego kretyna dotykającego swoimi łapskami Jaclyn doprowadził go do furii. Od czasu, gdy dotarł na parkiet, ani razu na nią nie spojrzął. Wolał nie sprawdzać jej reakcji. Prawdopodobnie była zażenowana wywołaną przez niego sceną.

Niech to cholera.

- Syf z tym - mruknął typek z irokezem. - Ona nie jest tego warta.

Okręcił się na pięcie i znikł za pierścieniem ludzi, który zaczął się gromadzić wokół nich.

- Jestem innego zdania - oznajmił Erie i przygotował się na opeer, którego się spodziewał.

Okazało się jednak, że Jaclyn stoi obok niego poblądła i drży. Natychmiast objął ją ramieniem.

- Już w porządku - powiedział cicho, kryjąc usta w jej włosach.

Gwałtownym ruchem wtuliła się w niego mocniej, jakby chciała stać się niewidzialna. W pantoflach na wysokim obcasie miała pewnie metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale w jego ramionach czuła się krucha i delikatna. Jej smukłym ciałem wstrząsały dreszcze. Przerazenie byłoby może zbyt mocnym słowem, lecz przestraszyła się na pewno i to znowu obudziło w nim gniew

- Przepraszam - szepnęła.

Wsunęła mu ręce pod marynarkę i kurczowo zacisnęła je na koszuli. Erie zaczął się nawet zastanawiać, czy nie puszcza mu szwy.

- Nie musi pani przepraszać. To nie pani wina, że ten idiota postanowił dodatkowo być chamem.

- Nie to miałam na myśli.

Jej głos był stłumiony, zespół wciąż grał na całego, lecz mimo to Erie słyszał ją wyraźnie. Zrozumiał, o co jej chodzi. Przepraszała za to, że się do niego przytuliła. Już wcześniej zauważył, że w pewnych sprawach Jaclyn zachowuje się dość sztywno. To, że pozwoliła się trzymać w objęciach, chociaż wcześniej powiedziała, że nie ma dla nich przyszłości, musiało oznaczać w jej przekonaniu złamanie postanowienia czy coś w tym rodzaju.

Nieważne, że była spięta. Dzięki temu miał tym lepszą zabawę, kiedy nagle traciła kontrolę nad sobą. To było takie niespodziewane, całkiem jak teraz. Nie zgadłby, że Jaclyn zacznie się do niego tulić, więc czar, jaki ich łączył od pierwszego wejrzenia, wybuchł z tym większą siłą. Jej dotyk i zapach wystarczyły, by wywołać u niego zawrót głowy i dojmujące pożądanie.

Poczuł jednak, że ta chwila przemija. Jaclyn zaraz się odsunie, a on wcale tego nie chce. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli chce dotrzeć do Jaclyn, to nie może jej pozwolić na powrót do równowagi.

Chwycił ją za rękę, położył jej dłoń na talii i obrócił ją w miejscu.

- Zatańczmy - powiedział z uśmiechem i zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, włączył ich do linii tancerzy Bishopa Delaneya.

Erie wolałby poddać się kanałowemu leczeniu zęba, niż tak płaszać, ale w młodych lalach, kiedy jeszcze był częstym gościem barów i nazwisko Wilder nosił nie bez powodu, zdarzało mu się poobracać na parkiecie, bo był to dobry sposób na podrywanie dziewczyn. Mocniej oplótł ramieniem talię Jaclyn, żeby mu nie uciekła, a tymczasem Delaney wydał powitalny okrzyk na ich cześć. Zespół znów zaczął grać *Boot Scootin' Boogie*, niewątpliwy przebój wieczoru, powtarzany już wcześniej trzy razy.

Zobaczył zaokrąglone ze zdumienia niebieskie oczy Jaclyn, ale zignorował tę minę.

- Proszę po prostu robić to co ja - powiedział.

Wyraz jej twarzy się zmienił. Przechyliła głowę, a w jej oczach zobaczył wyzwanie.

- Proszę - odparła z pogardą.

Podciągnęła spódniczkę kostiumu nad kolana i zaczęła wykonywać kroki i wyrzuty nóg nie gorzej niż inni. Omal nie dostał zawału, gdy przyglądał się tym jej wspaniałym nogom. Tymczasem ona dała się porwać rytmowi, łączyła kołysanie bioder z klaśnięciami i przytupami z płynnością poruszania się zawodowej tancerki. Podobnie jak większość, tańcząc, podśpiewywała. W pewnym momencie wraz z matką pana młodego wzbogaciły układ o zderzenie biodrami, obie głośno się roześmiały i ani na chwilę nie gubiąc rytmu, wróciły do typowych kroków. Erie znów pociągnął ją ku sobie, a gdy uśmiechnęła się do niego i zobaczył jej lśniące oczy, pomyślał: Boże, błogosław piwo, błogosław Brooksa i Dunna.

Piosenka się skończyła, a zespół bez chwili przerwy rozpoczął następny numer, tym razem znacznie wolniejszy, żeby tancerze mogli złapać oddech. Erie umiał wykorzystać okazję, jeśli tylko

mu się nadarzała, więc mocno objął Jaclyn, tak że ich ciała zetknęły się od kolan po ramiona, i zaczął się z nią kołysać w jednym rytmie.

Jaclyn, jak to ona, postanowiła udąć, że nie zauważa powtarzających się dźgnięć w brzuch.

- Umie pan tańczyć, detektywie - powiedziała bez tchu.

Podczas obrotu wsunął jej kolano między nogi, a dłoń przeniósł na biodro, by lepiej panować nad jej ruchem, w efekcie czego omal nie spleli się w uścisku.

- Wzajemnie, pani Wilde. Umie pani pić piwo, tańczyć w linii... Czy matka zna wszystkie pani osiągnięcia z collegeu?

- Niektóre - odparła z uśmiechem, a jej oczy wciąż lśniły.

- Chce pani szepnąć mi coś o nich do ucha?

- Nic z tego.

Uśmiechnął się i dalej tańczył. Jaclyn była teraz częścią tego potoczystego ruchu, w którym ocierała się o niego nogami i biodrami. Nawet przez zakiet kostiumu czuł stwardniałe szczyty jej piersi. Ich ciała wydzielały ciepło, nozdrza wypełniał Ericowi zapach rozgrzanej skóry Jaclyn. Zastanawiał się, jak by odciągnąć ją w ustronne miejsce, bo gdyby mu się to udało, znalazłby się w niej, zanim wróciłaby jej trzeźwość myślenia. Tylko pięć minut, pomyślał, przyciskając czoło do jej czoła. Tyle czasu wystarczyłoby mu na doprowadzenie Jaclyn do stanu, w którym gryzłaby mu koszulę, żeby nie krzyknąć. Naturalnie, wolałby być nagi i czuć jej ugryzienia na sobie, ale był gotów zadowolić się tym, co mógł osiągnąć, byle tylko znowu się z nią kochać.

Nagle piosenka została przerwana przez okrzyki i wiwaty. Raptownie odsunęli się od siebie i zdążyli jeszcze zobaczyć tłukącą się na zrytej koleinami drodze jedyną w swoim rodzaju półciązarów-kę, załadowaną do pełna i udekorowaną kremem do golenia, białą pastą do butów i niecenzuralnymi życzeniami. Za pojazdem

ciągnęła się lina z hałasującymi niemiłosiernie puszkami. Widząc to, Jaclyn otworzyła usta i zamrugła.

- Pojechali beze mnie - powiedziała po chwili. Erie wytrzeszczył na nią oczy.
- Miała pani z nimi jechać? - spytał niedowierzająco.
- Nie! Powinnam... To jest część mojej pracy... Zawiesiła głos i machnęła ręką.
- Powinnam dopilnować, żeby wyjechali bez kłopotów.
- Myślę, że tego potrafią dopilnować sami.

Do diabła, to całe organizowanie ślubów zaczynało mu się wydawać jakieś dziwne.

Roześmiała się, wprawdzie dość niepewnie, ale mimo wszystko był to śmiech.

- Przecież wie pan, co mam na myśli. Powinnam o wszystko zadbać, pilnować, żeby panna młoda niczego nie zapomniała... Chociaż z drugiej strony, ze wszystkich ślubów organizowanych przez Premier ten był najbardziej bezplanowy, więc pewnie nie mam co się dziwić.

Nagle zmaterializował się przy nich Delaney i cmoknął ją w policzek.

- Wymknęli się - powiedział pocieszająco. - Evelyn też nie wiedziała, że odjeżdżają, a teraz znowu jest wściekła na syna. Muszę z nią jeszcze trochę potaćzyć, żeby skierować jej myśli w inną stronę. A ty, przyjaciółko, miałaś trudny dzień. Jedź do domu pospać. Jeszcze jedna impreza jutro i koniec tego maratonu pomyłców

Rada Bishopa wydała się Ericowi rozsądna. Zanim Jaclyn zdążyła wymyślić jakiś pretekst, który zmusiłby ją do pozostania, zaprowadził ją do jej wynajętego samochodu.

- Pojadę za panią do hotelu, żeby mieć pewność, że nikt pani nie śledzi. - Zamyślił się nad swoimi słowami i dodał z uśmiechem: - Nikt oprócz mnie, ma się rozumieć.

Odpowiedziała mu smutnym uśmiechem. Wyjęła kluczyki z wewnętrznej kieszeni żakietu, a potem wyciągnęła z bagażnika torebkę. Erie nie czekał, aż usłyszy, że nie musi za nią jechać, tylko odszedł do swojego samochodu.

Przez całą drogę powrotną do Atlanty Jaclyn widziała w lusterku światła samochodu Erica. Była tak rozproszona, że omal nie skręciła w złym miejscu, odruchowo bowiem chciała wrócić do domu, na szczęście w porę się zorientowała i dalej jechała ku Atlancie.

Nie mogła zebrać myśli. Podczas samego ślubu i w ogóle w ciągu tego dnia nic nie odbyło się tak, jak planowała. Ślub i przyjęcie weselne, mimo swej niekonwencjonalnej i bardzo zabawnej okazałości, wbrew oczekiwaniom okazały się świetną zabawą. Bishop ujawnił nieznaną jej dotąd ludyczną część swojej osobowości, a także wielką życzliwość dla ludzi. Goście weselni zachowywali się zaskakująco przyzwoicie, choć wcale nie zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła twarz któregoś z nich na plakatach z poszukiwanymi przestępcami. Przestraszyła się przez tego kretyna z zepsutymi zębami i irokezem na głowie, który za wiele obiecywał sobie po tańcu z nią. Z opresji wyratował ją Erie, który umiał tańczyć tak, jakby... jakby spędzał mnóstwo czasu w ulubionych knajpach singli i podrywał kobiety. Nie reprezentował poziomu profesjonalnego, ale tańczył wystarczająco dobrze, żeby sprowokować ją do tego popisu, ponieważ wiedziała, że i ona nie ma się czego wstydzić. Potem zespół zagrał wolny numer i Erie omal nie zaczął się z nią kochać na parkiecie, chociaż na pewno nikt tego nie zauważył. W każdym razie miała taką nadzieję.

Jakie to było podniecające, znaleźć się w jego objęciach, ocierać się o niego i wspólnie z nim poruszać się po parkiecie, poczuć, jak bardzo on jej pożąda, jak jego spojrzenie nabiera intensywności.

Każdy jego ruch podniecał ją coraz bardziej, aż w końcu zdawało jej się, że jeśli ich ciała jeszcze raz się zetkną, doprowadzi ją to do orgazmu. Gdyby młoda para nie zaskoczyła jej tym potajemnym odjazdem... Kto wie, co mogłoby się zdarzyć?

Czuła teraz w ciele bolesne pulsowanie niezaspokojonej potrzeby i chcąc zapanować nad tym doznaniem, zaciskała uda. Nie powinna była z nim tańczyć ani pić piwa. Nie mogła jednak składać tego, co się między nimi wydarzyło, na karb piwa, zwłaszcza że wypłała tylko jedno. Należało wypić dwa, wtedy miałyby przekonujące usprawiedliwienie.

Skreśliła na parking hotelu i wprowadziła samochód na jedno z dwóch stanowisk zarezerwowanych dla niej przez Erica. Gdy szła po chodniku, Eric właśnie zatrzymywał wóz na drugim z nich.

Zastanawiała się nad słowami, którymi odesłałaby go do domu. Chwilę potem Eric bez słowa podszedł do niej i wyjął jej z ręki kartę magnetyczną do zamka pokoju. Weszli do środka.

Przekroczywszy próg, nacisnęła wyłącznik i zapaliła lampę. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, znalazła się w objęciach Erica i poczuła smak jego ust. Przesuwał ją stopniowo ku sypialni. Pozwoliła mu na to. Nie dość tego, oplotła mu ramionami szyję, a jedną nogą otoczyła biodro.

Zaczął zdzierać z niej ubranie. Robił to tak gwałtownie, że w pewnej chwili usłyszała trzask jakiegoś szwu. Co tam. Przewrócił ją na łóżko i opadł na nią. Ani się spostrzegła, jak spódnicę miała poddartą, majtki zdjęte, a on muskularnym udem rozchyłał jej nogi. Pchnięcie wzbudziło w niej krzyk, który ścichł chwilę potem, gdy wtuliła twarz w ramię Erica, czując szarpiący ją orgazm. Eric wypowiedział gardłowym głosem jej imię, a potem uniósł jej nogi i zaczął się z nią namiętnie kochać.

Tym razem nie został na całą noc. Gdy ocknęła się trochę po północy, już go nie było. Przez chwilę leżała dręczona

przepelniającym ją smutkiem. Ilekroć Erie jej dotykał, doznawała czegoś w rodzaju muśnięcia przez błyskawicę, a przecież każdy wie, że błyskawica unicestwia. Jest jaskrawa i piękna, ale nie zostawia po sobie niczego oprócz spalonej ziemi.

Rozdział 25

- Sądzę, że nic powinniśmy iść na ten ślub - zwrócił się do żony senator Dennison, gdy oboje się ubierali. - Sean jest bliski załamania, a skoro wieczorem w domu pogrzebowym ma być wystawienie ciała...

- Brednia - odparła zdecydowanie Fayre. - Gdyby któreś z nas lubiło Carrie, sytuacja przedstawiałaby się inaczej, ale nie ma sensu udawać, że tak było, nawet przed Seanem. On wie, że byliśmy gotowi przyjąć ją do rodziny tylko ze względu na niego, i to wszystko. Nie pozwolę, żeby zrobiła ze mnie hipokrytkę, nawet jeśli już nie żyje.

Spojrzenie żony było czyste i niezłomne. Senator westchnął. Niektórzy ludzie szli przez życie krętymi drogami, ale nie Fayre. Wiedziała, kim i czym jest i co robi, a poza tym nie zwykła za to przeproszać. Nie była bezwzględna, ale też nie pozwalała czuć się zbyt swobodnie. On był tylko człowiekiem, popełniał błędy, szedł po omacku, starał się w miarę swoich możliwości. Towarzyszyło mu przy tym poczucie, że nie dorównuje jej normom, i przeszkadzało mu, że Fayre zdawała sobie z tego sprawę. Tylko co zrobiłby bez niej? Kochał Taite, ponieważ przy niej mógł się odprężyć. Nie była doskonałością, więc i on nie musiał silić się na bycie ideałem. W ich związku to on zajmował miejsce za kierownicą. W obecności Fayre pozostawał mężem swojej żony. To pieniądze jej rodziny zapewniały im pozycję społeczną, jej zmysł do interesów utrzymywał ich dochody na wysokim poziomie, a koneksje pozwalały wpływać na bieg wydarzeń.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że i Fayre darzył uczuciem. Kochał ją i bał się jej zarazem, a czasem nie potrafił powiedzieć, które z tych uczuć jest silniejsze. Tak więc ponieważ żona uznała, że wybiorą się na ślub, nie zaprotestował i w milczeniu dokończył wiązać krawat.

Jaclyn znajdowała się w kościele i dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że wobec chaosu, jaki zapanował ostatnio w jej życiu, mogła łatwo i zasadnie wymówić się od udziału w ślubie w niedzielę po południu. Nikt w Premier nie powiedziałby jej złego słowa, Madelyn, Peach i Diedra połączyłyby siły i dopilnowały, żeby uroczystość odbyła się zgodnie z planem, jednak z sześciu ślubów, którymi zajmowały się w tym tygodniu, ten był najbardziej okazały. Wszystkie pracownice Premier brały udział w organizacji zarówno ceremonii ślubnej, jak i w weselu. To była zakrojona na dużą skalę impreza, z której agencja mogła być dumna. Po wszystkich stresach wynikających z zabójstwa Carrie, policyjnych przesłuchań i strzelaniny, po dniach wypełnionych dziwnymi ślubami i kłótniami rodzinnymi, Jaclyn odczuwała potrzebę uczestniczenia w ważnej i zorganizowanej według wszelkich reguł imprezie. Musiała tam być choćby dla własnego zdrowia psychicznego.

Poza tym w pracy było jej najlepiej. Gdzie indziej bowiem pozostawiona sama sobie nie umiałaby uciec przed natrętnymi myślami i nieuniknionym stwierdzeniem, że jest tchórzem.

Nie, stanowczo lepiej było zająć się obowiązkami zawodowymi. Ostatni z sześciu ślubów tego tygodnia najbardziej hołdował tradycji i zdecydowanie przewyższał pozostałe spektakularnością. Obie rodziny reprezentowały świat wielkich interesów. Jedna zajmowała wysoką pozycję w branży muzycznej, druga - budowlanej. Dla żadnej z nich pieniądze nie stanowiły problemu. Matka panny młodej pochodziła z rodziny należącej do wąskiej grupki najwy-

bitniejszych przedstawicieli Georgii, co w ocenie społecznej podnosiło wagę wydarzenia. Zważywszy na wszystkie okoliczności, właśnie na tym ślubie należało być w to niedzielne popołudnie. Kościół został elegancko udekorowany białymi i herbacianymi różami, liliami i tak wieloma migoczącymi świecami, że siłą rzeczy nasuwała się myśl, ile to wszystko kosztowało. Trio skrzypków grało muzykę klasyczną, która towarzyszyła wchodzącym gościom i potem orszakowi podążającemu do ołtarza. Goście byli ubrani elegancko i stosownie do sytuacji i zachowywali się na razie tak, jak powinni w doniosłym dniu. Nawet dziewczynka sypiąca płatki i chłopiec od obrączek byli nie tylko uroczy, lecz również bardzo grzeczni. Żadne z nich nie otworzyło ust bez potrzeby. Nie płakali, nie mieli humorów, nie wymiotowali w kościele. To Jaclyn uznawała za niezaprzeczalny sukces. Druhny wyglądały wspaniale w twarzowych bladełososiowych kreacjach. Wszystkie wydawały się bardzo szczęśliwe, że biorą udział w tym imponującym ślubie. Jeśli nawet któraś z nich cierpiała z powodu syndromu wiecznej druhny, to starannie to ukrywała. Ich suknie były proste i eleganckie, więc Jaclyn nie miała najmniejszych wątpliwości, że po ślubie nie zostaną sprzedane za pół ceny ani tym bardziej spalone, bo ich właścicielki jeszcze nieraz je włożą. Panna młoda wybrała tradycyjną suknię, a wspaniale dopasowany smoking pana młodego niewątpliwie był szyty na miarę. Zresztą w takim towarzystwie prawdopodobnie wszyscy drużbowie mieli na sobie własne smokingi prosto od mistrza igły. W kościele unosił się zapach kwiatów i świec z nieznaczną domieszką perfum. Na zewnątrz było upalnie, ale w świątyni działała na pełny regulator klimatyzacja, więc panował miły chłód. Tymczasem państwo młodzi składali przysięgę małżeńską i udana ceremonia zmierzała do szczęśliwego zakończenia.

Jaclyn rozejrzała się po kościele i uznała, że ją i matkę należy poklepać po plecach za dobrze wykonaną pracę. W myślach przybiła też piątkę Diedrze i Peach. To był dzień, który miał na długo zostać w pamięci pary znajdującej się w centrum uwagi, doskonała chwila, której nie wolno zapomnieć. Świadomość, że w tym oszalałym świecie takie chwile jeszcze istnieją, przynosiła ulgę. Jednak Jaclyn już po fakcie uznała, że nie powinna była się rozglądać, bo w pewnym momencie jej wzrok padł na wysokiego, muskularnego mężczyznę, stojącego nieruchomo w dyskretnym, zacienionym miejscu niedaleko wejścia. Nie został tu zaproszony, ale policyjna odznaka i widoczna broń miały swoją wagę. Kiedy przyszedł, obaj ojcowie odbyli z nim poważną rozmowę i skinęli głowami, co oznaczało, że Erie dostał to, czego chciał, czyli pozwolenie na obecność w kościele. Starał się nie rzucać w oczy, lecz Jaclyn nie potrafiła zapomnieć o jego obecności i nawet bez spoglądania w tamtą stronę umiałaby powiedzieć, gdzie stoi.

Od chwili, gdy go pierwszy raz zobaczyła, jej życie stanęło na głowie. W ciągu niecałego tygodnia najpierw pozwoliła sobie na romantyczną przygodę, potem została zbesztana i zwolniona przez klientkę, później stała się podejrzaną w sprawie zamordowania tejże klientki, a podejrzewał ją nie kto inny jak mężczyzna, z którym bez zastanowienia poszła do łóżka. Nie powinna zapomnieć, że ponadto stała się celem niedoszłego mordercy, prawdopodobnie tego samego, który zabił Carrie Edwards, i w efekcie jej samochód został skonfiskowany, a ona musiała mieszkać w hotelu, bo nie była bezpieczna we własnym domu. Zawsze wydawało jej się, że jest silna, ale wyraźnie nie starczyło jej mocy, by sama mogła stawić czoło tym wszystkim okropnościom. Cieszyła się z obecności Erica. Przed nim nie mogła się z tym zdradzić, ale sobie mogła to szczerze powiedzieć.

Jaclyn pomyślała, że gdyby z powodu morderstwa Carrie nie doszło do spiętrzenia niespodziewanych wydarzeń, ona i tak

myślałaby w tej chwili właśnie o Ericu. Czekałaby, aż zadzwoni i zaprosi ją na spotkanie, i snułaby domysły czy telefon rzeczywiście się odezwie. Po pierwszej wspólnej nocy obiecała mu, że umówią się, gdy odbędzie się sześć ślubów i wesel organizowanych przez Premier w ciągu pięciu dni. Jeśli dało się cokolwiek wnioskować z ich wspólnej nocy, znowu poszliby do niej i może zaczęliby coś nowego i pięknego, może chcieliby znaleźć w tej znajomości znacznie więcej niż wtedy, gdy spotkali się pierwszy raz. Słyszała, że czasem tak się zdarza, miłość pojawia się nie wiadomo skąd, zdumiewająca i nieoczekiwana. Sądziła jednak, że ludzie przesadzają.

Tymczasem Carrie zginęła gwałtowną śmiercią, na nią, Jaclyn, padły podejrzenia, a Erie przesłuchiwał ją i poddał jej ubranie testowi na obecność śladów krwi. Nawet jeśli jej ciało reagowało nader gwałtownie w każdej sytuacji, gdy widziała Erica, to jak mogła odsunąć tamto w niepamięć?

Tu właśnie zaczynało się jej tchórzostwo, ponieważ chciała odsunąć tamten epizod w niepamięć, ale się bała. Zmęczyła ją samotność i przyglądanie się, jak inni ludzie znajdują szczęście, gdy ona stoi w kulisach i ma za towarzystwo jedynie matkę i przyjaciółki.

Naturalnie, wiedziała, jak wiele znaczą w jej życiu, ale mimo wszystko to jej nie wystarczało. Chciała tego samego, co inne kobiety: sięgnąć po szczęście i mocno je schwycić. Raz spróbowała, lecz się nie udało. Czy jej małżeństwo okazało się fiaskiem dlatego, że zamiast całkowicie poświęcić się mężowi, zachowała rezerwę i czekała, aż mąż ją zawiedzie? Nie musiała długo czekać. To było jak samospełniająca się przepowiednia.

Wciąż zachowywała dystans, wciąż bała się zaryzykować i naprawdę pokochać mężczyznę. Jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek obudził w niej pokusę opuszczenia wygodnego kącika

wolnego od lęku, był Erie Wilder. Pozwoliła jednak, by okoliczności uczyniły go dla niej kimś całkowicie niedostępnym. Chociaż powtarzała sobie, że to nie ma znaczenia, to w głębi serca wiedziała, że ma znaczenie, w dodatku większe, niż byłaby gotowa przyznać.

Erie nawet nie próbował udawać przyjaciela Jaclyn. W tym środowisku nie widział takiej konieczności. Poza tym Jaclyn nie była tu sama, towarzyszyła jej matka i dwie pozostałe pracownice Premier, więc gdyby zaczął odgrywać zakochanego, to te kobiety najprawdopodobniej zapragnęłyby mu urwać głowę. Kolejny raz, bacznie rozglądając się po kościele, pomyślał, że w tej sytuacji musi coś zrobić.

Ciekaw był, czy tym kobietom wydaje się, że jest mu łatwo jednocześnie wykonywać obowiązki i pilnować Jaclyn. On w każdym razie pracował za dwóch, gdyż Garvey tylko od czasu do czasu mógł przydzielić umundurowanego funkcjonariusza do ochrony Jaclyn. Erie musiał także czasem umyć się i ogolić, coś zjeść, pospać, no i, do diabła, pracować. Jedynie opinia Garveya, że Jaclyn próbował zabić prawdopodobnie ten sam człowiek, który wcześniej zamordował Carrie, przekonała porucznika, żeby zaakceptował tę podwójną rolę. Erie wiedział jednak, że gdyby porucznik nie wyraził zgody, on podjąłby się tego zadania z własnej woli, lekceważąc zdanie przełożonych. Garvey pewnie się tego domyślał, bo poprosił porucznika Neille'a, żeby zrobił, co w jego mocy.

Pojutrze będzie łatwiej. Rano wraca z urlopu Franklin. W razie potrzeby Erie mógłby mu przekazać sprawę Edwards i poświęcić się wyłącznie ochronie Jaclyn, chociaż z uwagi na ciągłość lepiej byłoby, gdyby zachował nadzór nad śledztwem w sprawie zabójstwa. W każdym razie Franklin będzie na miejscu, Garvey wróci do obowiązków sierżanta i ich harmonogram pracy stanie się trochę mniej napięty.

Dzisiaj jednak musiał zdobyć się na wysiłek. Pośród gości w kościele znajdowali się senatorstwo Dennisonowie. Erie nie miał pojęcia, jak zareaguje senator, jeśli zauważy Jaclyn, lub vice versa. Do tej pory nie zdarzyło się ani jedno, ani drugie. Kościół był wielki, a przy tej uroczystości pracowały wszystkie kobiety z agencji Premier. Poza tym Dennisonowie siedzieli z przodu. W tej olbrzymiej świątyni układ miejsc przypominał stadion, co oznaczało, że wszyscy dobrze widzieli ołtarz, lecz ludzie siedzący z przodu nie mogli zobaczyć tego, co dzieje się za nimi. Chętnie przemieściłby Jaclyn tak, by umożliwić jej spojrzenie na senatora, i sprawdzić, czy to pobudzi jej pamięć i pozwoli go zidentyfikować. Z drugiej strony, nie chciał, żeby senator zobaczył Jaclyn.

Dobrze, że ludzie obracający się w tych samych kręgach, co Dennisonowie rzadko zwracali uwagę na sposób załatwiania spraw. Dostrzegali tylko to, czy zostały załatwione, czy nie.

Jaclyn właśnie rozmawiała z uczestnikami orszaku ślubnego, ustawiała ich przy drzwiach i udzielała im ostatnich instrukcji. Dierdra i Peach zajmowały się przygotowanym poczęstunkiem, a Madelyn rozmawiała z szefem zespołu muzycznego. Jaclyn była tymczasem całkiem bezpieczna, większość gości stała bowiem na zewnątrz i czekała na możliwość wejścia do środka.

Dom weselny w Hopewell był bardzo ładny, ale nie dorównywał swemu odpowiednikowi w Buckhead. Tu główna sala miała niemal dwukrotnie większe rozmiary niż ta, w której zamordowano Carrie Edwards. Parking był trzy razy większy i obsadzony drzewami, które w upalne letnie dni zapewniały cenny cień. Od frontu dom weselny wyglądał niemal jak rezydencja jeszcze przed czasów wojny secesyjnej. Jeśli ktoś chciał znaleźć miejsce, które kojarzyłoby się zarówno z tradycyjnym Południem, jak i najdostojniejszymi jego rodami, tu miałyby i jedno, i drugie. Obecnie dom weselny był udekorowany tymi samymi barwami, które

dominowały w kościele. Jak na gust Erica wszystko to było zbyt wyrafinowane. Osobiście wolał wczorajszy grillowy wystrój na farmie, nie zamierzał jednak dzielić się tym wrażeniem z Jaclyn. Tu też było ładnie. W każdym razie jak na coś tak wymyślnego.

Państwo młodzi wciąż znajdowali się w niewoli fotografa, który nalegał na zrobienie zatrważającej liczby ujęć, toteż w domu weselnym nie było jeszcze tłoku. Wkrótce drzwi miały zostać otwarte przed uczestnikami tej eleganckiej uroczystości. Przynajmniej do tego czasu Erie mógł się przez kilka minut odprężyć. Wiedział, że nic się nie zdarzy, skoro obecni są tylko członkowie orszaku i nieliczni pracownicy obsługi. Należało sądzić, że gdy uroczystość się rozkręci, kobiety z Premier będą miały ręce pełne roboty.

Madelyn uścisnęła rękę liderowi zespołu i odwróciła się twarzą do wnętrza sali. Głęboko odetchnęła i potoczyła dookoła wzrokiem, taksując, lecz zarazem z aprobatą. Erie poszedł za jej przykładem i również głęboko odetchnął, bo należało zebrać siły przed tą konfrontacją. Ruszył ku matce Jaclyn.

Gdy nieco się zbliżył, spojrzała nań z uwagą, ale bez cienia przychylności.

- Wszystko wygląda wspaniale - odezwał się z nadzieją, że przełamie tym pierwsze lody. - Podoba mi się ten pomarańczowy kolor.

Uniosła podbródek, a jej spojrzenie stało się lodowate.

- To jest łososiowy i brzoskwiniowy, a nie pomarańczowy - oświadczyła tak, jakby na wyciągniętej dłoni właśnie podał jej psie gówno.

Trudno, łososiowy i brzoskwiniowy wyglądały dla niego jak odcienie pomarańczowego. Do sądu z nim za karę. Widać było, że ogródkami donikąd nie dojdzie, a do tego nie bryluje w lekkiej konwersacji, zwłaszcza z Madelyn Wilde. Uznał więc, że nie zaszkodzi wziąć byka za rogi.

- Podoba mi się pani córka - oznajmił bezceremonialnie. - Kiedy to wszystko się skończy, chciałbym się z nią umówić, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

Aż. otworzyła usta z wrażenia.

- Czyżby postradał pan swój kochliwy rozum?

To możliwe przyznał. Nie sądzę jednak, by tak było. Na twarzy Madelyn miejsce zdumienia zajęło rozbawienie. Zdecydowanie nie to, co chciał tam zobaczyć.

- Naprawdę sądzi pan, że Jaclyn umówi się z panem po tym, jak ją pan potraktował?

Erie musiał zapanować nad gwałtownym przyływem złości. Nie pomogłoby mu, gdyby naskoczył teraz na matkę Jaclyn. Z drugiej strony... do diabła z tym.

- Jak ją niby potraktowałem? Wychodziłem z siebie, żeby została oczyszczona z podejrzeń i miała ochronę, czyli zrobiłem wszystko, co mogłem w trudnej sytuacji. Ponieważ raz się spotkaliśmy... Madelyn gwałtownie odchyliła głowę.

- Spotkaliście się? O czym pan mówi? Jaclyn powiedziałyby mi, gdyby się z panem spotkała.

Zapewne tego samego tonu użyłaby, gdyby chciała mu zakomunikować, że córka powiedziała jej o swojej śmiertelnej chorobie.

Najwyraźniej Jaclyn zachowała ich wspólną noc w sekrecie, bo właściwie nie było to spotkanie, a poza tym nie należała do tego typu kobiet, które o każdym drobiazgu natychmiast opowiadają na prawo i lewo. Tego oczywiście nie mógł powiedzieć Madelyn.

- Spotkanie było przelotne - wyjaśnił. - Ponieważ jednak poznałem osobiście Jaclyn, musiałem zachować wobec niej większy obiektywizm niż wobec całkiem obcego człowieka. Inaczej natychmiast odsunięto by mnie od śledztwa. Pracowaliśmy w uszczuplonym gronie i postąpiłem tak, jak musiałem. W niczym nie zmienia

to moich uczuć. Jestem nią zainteresowany. Nawet więcej, ona bardzo mi się podoba. Jutro wraca z urlopu kolega, więc gdyby oka zało się to konieczne, oddam sprawę Edwards, żeby móc zapewnić Jaclyn pełną ochronę do czasu, aż morderca zostanie ujęty.

Czyżby ponosiła go wyobraźnia, czy też Madelyn spojrzała na niego nieco łaskawiej? Z jej twarzy łatwiej było czytać, było w niej więcej otwartości niż u Jaclyn.

- Czy dowództwo policji w Hopewell aprobuje pańską decyzję?

- Jeśli okaże się, że nie, wezmę urlop i będę to robił w czasie wolnym.

Naprawdę był gotów tak zrobić. Uświadomił to sobie w tej samej chwili, gdy o tym powiedział. Jaclyn stała się dla niego kimś ważnym.

Możliwe, że Madelyn to dostrzegła, bo jej rysy złagodniały, a oczy wypełniły się smutkiem.

- No, dobrze - powiedziała i powtórzyła bardziej stanowczo: - Dobrze. Wierzę panu. Próbuj, młody człowieku, musisz jednak wiedzieć, że Jaclyn z natury nie ufa ludziom, ma z tym problem.

Erie zdrętwiał, tknięty nagłym gniewem. W swojej profesji aż za często stykał się z tym, że brak zaufania do ludzi miał bezpośredni związek z wykorzystywaniem fizycznym.

- Jej były? - spytał sztywno. Madelyn westchnęła i pokręciła głową.

- Nic tak dramatycznego, to efekt jej długotrwałych kontaktów z ojcem. Może byłoby lepiej dla niej, gdybym rozwiodła się z Jackym, kiedy była niemowlęciem. Już wtedy dobrze wiedziałam... Jacky Wilde to zajęty sobą egoista. Nieustannie zmienia partnerki w poszukiwaniu swojego numeru jeden. Przez lata Jaclyn słuchała czczych obietnic ojca, a dziecku trudno uwolnić się od takiego wspomnienia, nawet gdy dorośnie. Potem jej własne małżeństwo

błyskawicznie się rozpadło... Ona boi się zaufać sobie samej, a co dopiero mężczyźnie. W oczach Jaclyn z pewnością nie byłam tym, który dowiódł, że jej ufa, ani nawet tym, któremu można zaufać, pomyślał samokrytycznie Erie. Było wręcz odwrotnie, chociaż nie sądził, by w tej konkretnej sytuacji mógł się zachować inaczej. W każdym razie po rozmowie z Madelyn poczuł, że stoi na twardszym gruncie, bo nie tylko zrozumiał, z czym musi się zmierzyć, ale może zdobył też sojusznika. Gdyby Madelyn go nie zaaprobowała, prawdopodobnie nie miałby żadnych szans, ale wierzył, że znajdując u niej zrozumienie i wsparcie, przynajmniej nie poniesie klęski po raz trzeci. Gdy fotograf kończył pracę, Jaclyn zauważyła Erica rozmawiającego z jej matką. Ogarnęła ją nieuzasadniona, ale tak silna panika, że zaszumiało jej w uszach. O czym mogli rozmawiać ci dwoje, jeśli nie o niej? Poczula się nagle tak obnażona i bezbronna, jakby ktoś zaskoczył ją podczas brania prysznicu. Fantastycznie. Byłoby o wiele lepiej, gdyby matka przez cały czas miażdżyła Erica wzrokiem, ale obserwując tę parę, widziała, jak twarz Madelyn się zmienia, łagodnieje. Super. Potem otwarto drzwi i goście zaczęli wchodzić do sali. Zamiast długich stołów i obiadu przygotowano dla nich imponujący bufet z ciepłymi daniami, a okrągłe ośmioosobowe stoły rozstawiono na parkiecie tanecznym. Panna młoda zażyczyła sobie, aby poczęstunek odbył się w nieformalnej atmosferze, a przyjaciele i rodzina mogli się poznać, porozmawiać, krótko mówiąc, miło spędzić czas. Było więc nieformalnie, i to do tego stopnia, że nie wymagano eleganckiego obuwia. Mimo woli Jaclyn przypomniała sobie wesele, w którym uczestniczyła wczoraj, i natychmiast uśmiech zaigrał jej na wargach. Częstowała więc znajomych opowieściami

z buraczanego wesela, jak nazwał to wydarzenie Bishop, uczciwie jednak przyznawała, że w końcu sama świetnie się tam bawiła.

Potem pochłoneły ją obowiązki, które na pewien czas odwróciły jej myśli od Erica Wildera... Prawie odwróciły. Ilekroć bowiem zerknęła przez ramię, był w pobliżu - albo tuż za nią, albo oddalony o kilka kroków. Przez cały czas bacznie ją obserwował. Ta czujność ją zaniepokoiła. Czyżby czegoś jej nie powiedział? To się już zdarzało.

W pewnej chwili omiotła spojrzeniem zatłoczoną salę i przeżyła niemiłe zaskoczenie. Naturalnie, elita trzyma się razem, więc w zasadzie mogła się spodziewać, że zauważy w tłumie dwie drużyny Carrie. Skoro zaś tutaj były, co wydało się Jaclyn dość bezduszne, zważywszy na wieczorne wystawienie ciała zmarłej w Hopewell, to pewnie wśród obecnych znaleźli się inni ludzie związani z Carrie Edwards. Przeszły ją ciarki, bo przecież zabójca też znał Carrie.

Nagle poczuła się przeraźliwie bezbronna, tym razem jednak wobec bardzo konkretnego i bezpośrednio istniejącego zagrożenia. Stopniowo obracając głowę, przenosiła wzrok od twarzy do twarzy, aż wreszcie uznała, że musi zrobić w tym przerwę, bo dłużej nie zniesie napięcia. Bała się, że zacznie krzyczeć.

Tymczasem przyjęcie toczyło się bez zakłóceń. Zaproszeni goście i krewni wciąż podchodzili do młodej pary z życzeniami i gratulacjami, a Jaclyn czekała na krojenie tortu, które oznaczało, że jej obowiązki wkrótce się zakończą. Wzięła z tacy czarkę bezalkoholowego ponczu, upiła łyk i wycofała się pod ścianę, do zacisznego kąta, w którym nie miała wrażenia, że ktoś czyha z pistoletem wymierzonym prosto w jej plecy. Chciała przeżyć chwilę samotności i opanować skołatane nerwy... Erie jednak nie pozwolił jej na ten luksus.

Prawie natychmiast podszedł i oparł się o ścianę tuż obok niej.

- Musimy porozmawiać - oznajmił półgłosem.

Ile razy słyszała już od niego te słowa w tej czy innej formie?

- Coś się dzieje, prawda? - spytała nerwowo.

- Tak.

Głośno zaczerpnęła powietrze ustami.

- Jasne. Co mam zrobić?

- Przyglądać się wszystkim obecnym. To wszystko. Proszę dać mi znać, gdyby ktoś wydał ci się znajomy.

Pobladła. Miała rację. Morderca jest na przyjęciu. W każdym razie jest na przyjęciu człowiek, którego Kric uważa za mordercę, a to wystarczyło, by poczuła strach.

- Nie mogę tu stać bez końca. Muszę iść do toalety.

- Zgoda - powiedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, wydało jej się jednak, że jest rozczarowany.

Musiał mieć nadzieję, że uda jej się kogoś rozpoznać, zapewne tego siwowłosego mężczyznę. Nie poznała już jednak nikogo oprócz dwóch druzhen Carrie. Starannie przyglądała się wszystkim, nie tylko starszym panom, lecz nikt nie wydał jej się znajomy.

- Przykro mi - powiedziała, żałując, że nie jest lepszym świadkiem. To był szczery żal. - Wiem, że nie jestem zbyt pomocna.

- Rzeczywiście szkoda, że nie możesz dokonać identyfikacji. Zdecydowanie nie chcę jednak, abyś powiedziała, że poznajesz kogoś, kogo nie poznajesz. To zaszkodziłoby sprawie, zamiast pomóc. Czasem eliminowanie ludzi jest równie ważne jak wskazywanie, ponieważ pomaga ustalić, kto pozostaje.

Nie wydawało jej się, by Erie powiedział to z przekonaniem, ale sens w tym był.

Zaczęła się przeciskać między grupkami gości, kierując się do drzwi głównej sali. Miała jeszcze przed sobą długą drogę, gdy Erie ruszył za nią, bacznie obserwując otoczenie.

Właśnie mijala senatorstwo Dennisonów. Nie szła tuż obok, ale dostatecznie blisko, by Fayre Dennison rozpoznała w niej współorganizatorkę ślubu. Okazało się, że żona senatora zwraca uwagę na takie szczegóły Senator był w tej chwili odwrócony plecami, więc nie widział Jaclyn. Ona też nie mogła go ujrzeć. Erie wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że Jaclyn przejdzie dalej bez prze szkód, bo choć zależało mu na tym, by zobaczyła senatora, to bardzo nie chciał, żeby to on na nią spojrział, zwłaszcza z tak małej odległości.

Pani Dennison uśmiechnęła się do Jaclyn i chwyciła ją za ramię. Jaclyn przystanęła. Erie przyspieszył kroku, niewiele brakowało, aby zaczął rozpychać się łokciami. Senator Dennison nadal rozmawiał z jakimś mężczyzną i przez chwilę Ericowi zdawało się, że Jaclyn jednak przejdzie niezauważona. Ale zaraz potem pani Dennison pociągnęła męża za ramię, chciała bowiem przedstawić sobie tych dwoje. Nie udało mu się podejść dostatecznie blisko, by mógł usłyszeć słowa, lecz dobrze widział, że senatorowi nagle krew odpłynęła z twarzy. Tymczasem Jaclyn uśmiechała się z gracją. Nie sposób byłoby odgadnąć, że spieszy jej się do toalety Prowadziła konwersację i dopiero potem przeprosiła, by ruszyć dalej.

Senator odprowadzał ją wzrokiem, z twarzą nienaturalnie zastygłą w martwym grymasie.

Od czasu piątkowego niepowodzenia nie można było znaleźć innej okazji. Jaclyn nie wróciła do swojego segmentu, zatrzymała się gdzie indziej. Nie powiodło się też poszukiwanie jej za dnia, żeby można było wyśledzić jej miejsce pobytu. Nikt zdawał się nie wiedzieć, gdzie Jaclyn pracuje, chyba że po prostu nie chciano tego ujawnić. Nagle znalazła się całkiem sama, śledzenie jej powinno więc być dziecinnie łatwe,

Może lepiej poczekać przed podjęciem następnej próby. Ustalenie miejsca jej pobytu sprawiało trudność. Może więc należało najpierw sprawdzić, gdzie się zatrzymała, a potem na pewien czas odpuścić. Ten pilnujący jej policjant w końcu straci czujność, poza tym kiedyś będzie musiał zostawić ją samą. Może Jaclyn wróci do domu? Iylko co będzie, jeśli najpierw przypomni sobie, co widziała w środowe popołudnie? Jeśli jakiś obraz, zapach, może sen nagle pobudzi jej pamięć? Policjanci mogą spróbować hipnozy albo czegoś w tym rodzaju i wtedy koniec. Nic sposób zebrać mleka, które się rozlało. A więc dzisiaj. Bez względu na to, czy to dobry pomysł, bez względu na trudności, Jaclyn Wilde musi umrzeć właśnie dzisiaj.

Rozdział 26

Taite siedziała w pożyczonym samochodzie ustawionym w cieniu pod drzewem, naprzeciwko kościoła i domu weselnego. Firmy usytuowane w ceglany budynek, znajdującym się za jej plecami, w niedzielne popołudnie nie działały, więc cały parking miała dla siebie.

Obserwowała budynek po drugiej stronie ulicy i czekała. Stwierdzenie, że Jaclyn Wilde tam będzie, okazało się znacznie łatwiejsze niż ustalenie miejsca jej pobytu w piątek wieczorem. To była ważna ceremonia, może nawet najważniejsza tego lata, skoro ślub Carrie został odwołany. Chyba można powiedzieć, że ślub „jest odwołany”, kiedy panna młoda zostaje zabita? W każdym razie wiele klientek butiku opowiadało o weekendowych planach i stąd Taite dowiedziała się, że organizacją tej ceremonii zajmuje się agencja Premier, co oznaczało, że Jaclyn na pewno się zjawi.

Pierwszy raz, odkąd to wszystko się zaczęło, Taite odczuwała niepokój. Od wczorajszego ranka policjanci z Hopewell znów do niej telefonowali. Detektyw Wilder zostawił trzy wiadomości, a ten drugi, sierżant Garvey - jedną. Po co znowu do niej dzwonią? Przecież nie mogli się dowiedzieć o piątkowym wieczorze. Nie mieli na to sposobu.

A może jednak? Jak mogliby na coś wpaść? Była przecież bardzo ostrożna. Odrobina zwątpienia zachwiała jej wiarą w siebie. Do diabła z Douglasem i tym przeklętym przyjęciem, na którym musiał być. Jego wystąpienie w piątkowy wieczór miało charakter publiczny, więc nie mógł zapewnić jej alibi, którego potrzebowała.

Ona dała mu je, gdy wszystko spieprzył i wpadł w panikę, ale czy potrafił się odwdzięczyć? Oczywiście nie. A wszystko przez głupotę i brak panowania nad sobą. Douglas miał swoje słabości, wszyscy mężczyźni je mieli. Taite nic zdawała sobie jednak sprawy z tego, jak gwałtowny potrafi być, gdy przyprzeć go do muru. Gdyby zawczasu jej wyjaśnił, co jest grane, mogłaby mu pomóc. Wymyśliliby wspólnie dobry plan. Tymczasem musiała działać spontanicznie, co wiązało się z niebezpieczeństwem.

Od wczorajszego popołudnia nie zajrzała do domu, komórkę wyłączyła wiele godzin temu, zmęczyły ją bowiem powtarzające się sygnały i wciąż te same numery na wyświetlaczu. Jeśli policjanci w dalszym ciągu będą dzwonić, to w końcu staną na progu jej domu, ale jej tam wtedy nie będzie.

Potrzebowała czasu, żeby zbudować niewzruszony harmonogram pobytu poza Atlantą, i do piero wtedy może pozwolić sobie na odbieranie urzędowych telefonów. Musi przygotować się duchowo do przedstawienia wer sji, którą w każdym szczególe można poprzeć dowodami. Należało wykonać kilka telefonów i przypomnieć ludziom kilka przysług z dawnych czasów... Zadanie było wykonalne. Może Chicago? Jeździła tam kilka razy do roku i miała znajomych, którzy byli jej coś winni. Najgorsze, że musiała skorzystać z samochodu, bo przecież jej nazwiska z oczywistych powodów nie ma na żadnej liście pasażerów, to zaś oznaczało, że trzeba wymyślić przekonujący powód wyboru takiego środka lokomocji.

Jaclyn Wilde musi umrzeć. Bez niej oskarżenie, które policja chce skierować przeciwko Douglasowi, rozpadnie się jak domek z kart. Taite oddała jego samochód do myjni, ponieważ był na tyle głupi, że zaparkował go przed domem weselnym. Jeszcze głupszy, że pozwolił się zobaczyć, i beznadziejnie głupi, że zareagował bezmyślnie i zaryzykował wszystko, nad czego budową tak ciężko i długo pracowała. Układ z byciem jego kochanką sprawdził się

lepiej, niż przewidywała. Ten głupiec naprawdę się w niej zako chał, dał jej wszystko, czego chciała, a teraz groziło jej, że to straci. Taite miała jednak nadzieję, że całkiem udatnie zamaskowała ślady prowadzące do Douglasa. Jeśli Jaclyn go nie zidentyfikuje, żaden sędzia nie zaryzykuje wrogich stosunków z przyszłym senatorem federalnym, wydając nakaz przeszukania bez mocnej podstawy. Z punktu widzenia Taite rozwiązanie rysowało się bardzo prosto. Wyeliminować Jaclyn, jedyną osobę, która mogła skojarzyć Douga z domem weselnym w czasie, gdy doszło tam do morderstwa. Tylko tyle i dalej będzie mogła bez przeszkód wieść wygodne życie.

Wolałaby kogoś wynająć, odgrodzić się od czynu barierą bezpieczeństwa, pozwalającą wszystkiemu zaprzeczyć, ale przecież nie miała w książce telefonicznej numeru płatnego mordercy. Po za tym jaka jest gwarancja, że takiemu człowiekowi można zaufać? Każdy, kto wybiera tę profesję, z definicji jest niegodny zaufania. Często zdarzało się, że w wiadomościach mówiono o morderstwach na zlecenie i niezmiennie okazywało się, że zlecniodawca półgłówek próbował wynająć jakiegoś tajniaka. Za nic nie chciała się okazać półgłówkiem. Poza tym gdyby poszła tą drogą, musiałyby potem pozbyć się płatnego mordercy i wtedy znalazłaby się znowu w punkcie początkowym. Nie, jeśli chce się, by coś zostało zrobione jak należy, trzeba to zrobić samemu.

Ogarniała ją zimna furia, gdy myślała o Dougu, bo przez niego mieli poważne kłopoty. Pozwolił, żeby Carrie go sprowokowała, dał się wytrącić z równowagi. Rożny do kebabu! Jeśli chciał się pozbyć Carrie, można to było załatwić na sto różnych sposobów i żaden nie byłby równie absurdalny. Nie prowadziłby prosto do niego. Pomogłaby mu wymyślić, jak pozbyć się zwłok, żeby ludzie zastanawiali się, dokąd Carrie wyjechała. Zostałaby jeszcze jedną panną młodą, która uciekła przed ołtarza, i w końcu ludzie przestaliby jej szukać. Przecież nikt nie tęskniłby za Carrie, może poza jej

rodzicami, oni jednak, jeśli mieli choć trochę rozumu, szybko zrozumieliby, jak bardzo polepszyło się ich życie, odkąd nie ma córki. Co to była za zdzira! Tai te dziwiła się, że Carrie potrafi, kiedy tylko chce, nabrać ludzi na tę swoją słodycz. Doug, zamiast starannie przygotować plan, stracił głowę, i oto dokąd ich to zaprowadziło. Musiała sprzątać po nim bałagan, żeby jej własne życie nie legło w gruzach. Bez Douga straciłaby dom i jej styl życia mocno by na tym ucierpiał. Nie mogłaby nawet marzyć, że któregoś dnia Doug opuści tę swoją marudną żonę i ożeni się z nią, Taite. Miał wobec niej wielki dług wdzięczności. Postanowiła, że kiedy ta historia dobiegnie szczęśliwego końca, wyciągnie od niego ciężarówkę brylantów i może jeszcze dom nad morzem. Tak, dom nad morzem koniecznie.

Gdyby dobrze jej szło, wyniosła pani Dennison mogłaby być następna w kolejce. Staranne zaplanowanie śmierci Jaclyn utrudniała presja czasu. Następnym razem uda jej się zorganizować wszystko jak trzeba. Oczywiście Fayre Dennison nie należała do kobiet, które ni stąd, ni zowąd znikają. Należało to bardzo dobrze obmyślić.

Douglas nie wyjdzie z tych tarapatów z czystymi rękami. Nie ma mowy. Nabałaganił, więc musi pomóc w sprzątanii. Taite wiedziała, że nie może jeździć po całym mieście bez tablicy rejestracyjnej, a już na pewno nie od piątkowego wieczoru. Za nic nie pozwoliłaby też, by ktokolwiek zobaczył jej samochód w pobliżu miejsca śmierci Jaclyn. Pożyczyła więc wóz od Douga, bmw należące do pani Dennison. To był doskonały numer. Prawie chciała, żeby ktoś ją zauważył, oczywiście nie ją, tylko samochód. Wałkowałiby nabzdyczoną panią Dennison o to, co robiła tego popołudnia. A najlepsze, gdyby akurat nie miała alibi i gliniarze zaczęliby myśleć, że to pani Dennison zabiła Carrie, żeby nie dopuścić jej do rodziny.

Może nawet ktoś powinien zauważyć ten wóz. Taite włożyła rękawiczki, nie musiała się martwić o odciski linii papilarnych, a kapelusz i duże okulary przeciwsłoneczne dobrze maskowały twarz, przynajmniej z pewnej odległości. Wystarczy jeden celny strzał i może wciskać pedał gazu, a samochód gdzieś porzucić. Najważniejsze, że gdy w końcu zostanie znaleziony, nie będzie żadnych śladów, które prowadziłyby do niej. Nadchodził wieczór, ale wciąż jeszcze było jasno, kiedy państwo młodzi odjechali spod domu weselnego.

Nareszcie! Taite trochę zeszywniała od siedzenia w samochodzie, poza tym pociły jej się dłonie i głowa, bo w upale kapelusz i rękawiczki robiły swoje. Wkrótce po odjeździe państwa młodych weselni goście zaczęli wsiadać do samochodów i rozjeżdżać się we wszystkich kierunkach. Nikt nie zwracał uwagi na jej wóz, zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Taite specjalnie ustawiła go w głębi parkingu, w cieniu, żeby wydawał się pusty, gdyby ktoś przypadkiem spojrział w tym kierunku. Widziała odjazd Douga i tej jego sukowatej żony. Dobrze. Nikt nie powie, że widział panią senatorową na weselu w czasie, gdy Jaclyn Wilde zginęła całkiem gdzie indziej. Będzie słowo Douga przeciwko słowu jego żony, a dowody wskażą na nią. Zdaniem Taite, było to zgrabne rozwiązanie. Wreszcie bocznymi drzwiami wyszła również Jaclyn Wilde. Tymczasem zapadł zmierzch. Jaclyn nie była sama, niech ją diabli, ostatnio jej się to w ogóle nie zdarzało. Towarzyszyły jej dwie starsze kobiety i urodziwa czarnulka. Wszystkie wymieniły uściski, powiedziały sobie coś na pożegnanie i rozeszły się w różne części parkingu. Jedna z nich wsiadła do jaguara wyglądającego identycznie jak wóz Jaclyn. Taite zastanawiała się, co to za samochód, gdy tylko zobaczyła go pod kościołem. Czy to możliwe, żeby Jaclyn tak szybko otrzymała z powrotem swoją własność, w dodatku

naprawioną? Wydawało się to mało prawdopodobne, więc pytanie mocno Taite dręczyło. Dobrze było poznać rozwiązanie tego problemu.

Naturalnie detektyw Wilder niczym cień Jaclyn pojawił się na parkingu zaraz potem. Zadanie, które miała wykonać Taite, poszłoby łatwiej, gdyby Jaclyn była sama, ale policjant za bardzo jej nie przeszkadzał. Mogła nawet, gdyby chciała, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wprawdzie najlepiej skupić się na pojedynczych celach, najpierw Jaclyn, a potem Wilder, ale nie sposób przewidzieć, co przyniesie noc. Inna sprawa, że zabicie policjanta stanowiło wyzwanie i musiałyby wywołać wielki zamęt. Tak czy owak, Taite przygotowała się na wszystkie możliwości. Jeśli nadarzy się okazja, ona z niej skorzysta. Ten gliniarz naprawdę jest męczący.

- Gdzie dzisiaj nocujesz, Jaclyn? - spytała szeptem.

Ciekawa była, czy organizatorka ślubów i detektyw idą do tego samego wozu i czy to ułatwi jej sprawę, czy przeciwnie. Tak naprawdę nie miało to jednak znaczenia. Od tej pory musiała czekać na swoją szansę i uderzyć we właściwym momencie.

Jaclyn wsiadła do toyoty i Taite mimo woli się uśmiechnęła. Jejku, czy to nie spektakularny upadek po jaguarze? Detektyw Wilder poszedł dalej, a ponieważ parking już prawie opustoszał, Taite dostrzegła jego samochód w najdalszym kącie. A więc pojedą oddzielnie. Dla niej lepiej. Musiała przecież dopaść Jaclyn Wilde, kiedy będzie sama. Wystarczy zaledwie kilka sekund.

Jaclyn powiedziała, że chce wrócić do hotelu i położyć się do łóżka sama. Erie podejrzewał, że jest to nie tyle jej szczerze życzenie, ile wynik kalkulacji, jak będzie najlepiej. Jaclyn szukała ochrony przed nim. Piekielnie go to irytowało, ale teraz przynajmniej rozumiał, skąd biorą się jej zahamowania.

Rzecz jasna, nie zamierzał

się poddać, skoro wspólnie przeżyli coś wspaniałego. W najgorszym razie mógł powiedzieć, że przeżyli zadatek czegoś wspaniałego, i był przekonany, że ona w końcu to potwierdzi.

- Pojadę prosto do hotelu - obiecała Jaclyn. - Nie musisz mnie eskortować ani zamykać.

- Właściwie muszę.

Przez twarz przemknął jej wyraz irytacji, potem jednak zerknęła za siebie i wyraźnie zadrżała.

- Wszystko w porządku - powiedział łagodnie.

Tymczasem na pewno tak było. Nic nie mogło jej się stać podczas jego służby. Gdyby zawiódł, nie potrafiłby z tym żyć. Piątkowa próba zamachu prawie się powiodła, a gdy Erie myślał o tym, że kule przeszły blisko Jaclyn, oblewał go zimny pot.

Skinęła głową, wyraźnie zmęczona, otworzyła samochód i rzuciła torebkę na siedzenie pasażera.

- Będę tuż za tobą - zapewnił Erie i odszedł do swojego wozu.

Wyjeżdżając na ulicę, musiała przepuścić kilka wozów, więc nawet gdyby zaparkował dalej, zdążyłby do niej dołączyć. Ruszyła prawym pasem i utrzymywała dozwoloną prędkość. Erie nie wiedział, czy nie chodzi o to, żeby go rozdrażnić, w każdym razie uśmiechnął się do tej myśli. Wszyscy wiedzieli, że policjanci przekraczają limity dozwolonej prędkości, to był dla nich rodzaj zawodowej konieczności.

Ruch był niewielki, więc podążając za toyotą, Erie miał mnóstwo czasu na rozmyślenia i mógł wreszcie dojrzeć do kilku wyznań na własny użytek. Pragnął Jaclyn nie tylko na kilka nocy czy randek. Zburzyła jego spokój na dobre, więc chyba nie było sensu z tym walczyć. Pragnął jej razem z tą paskudną kawą, nadszarpniętym zaufaniem i całą resztą. U Jaclyn podobało mu się nawet to, że drażniła się z nim tak jak teraz tą nadmiernie ostrożną jazdą.

Gdyby miała zwyczaj zawsze tak jeździć, nie poznałoby się nigdy, bo przecież w ratuszu właśnie płaciła mandat.

Wzrok miał wbity w tył jej samochodu, myślami błądził nie wiadomo gdzie, więc na czerwone światło zupełnie nie był przygotowany. Inaczej przejechałby w ostatniej chwili tuż za Jaclyn, która zdażyła na żółtym. Czyżby próbowała mu uciec? A może chciała go zirytować? Przecież wiedział, dokąd jadą. A może pokonała tak skrzyżowanie, ponieważ podobnie jak on rozmyślała o czymś zupełnie innym? Czyżby wspominała ostatnią noc albo zeszły tydzień? A może - jeszcze lepiej wyobrażała sobie przyszły tydzień albo przyszły rok?

Rozejrzał się uważnie, a ponieważ nie spostrzegł niczego niepokojącego, postanowił ruszyć na czerwonym. Jednak właśnie w tej chwili pojawiła się kobieta w obcisłym kostiumie do joggingu i wybiegła na przejście tuż przed maską jego samochodu. Przy każdym kroku podskakiwał jej koński ogon. Erie uznał ze złością, że w życiu nie widział nikogo tak wolno biegającego.

We wstecznym lusterku odbiły się światła. Jasne bmw wyminęło go z lewej strony i śmignęło, omal nie potrąciwszy biegaczki. Kobieta odskoczyła do tyłu i znów znalazła się przed maską samochodu Erica. Wydała gniewny okrzyk i pokazała środkowy palec w kierunku oddalających się czerwonych świateł.

Przed nimi czteropasmowa ulica zwężała się do dwupasmowej z usytuowanymi pośrodku pasami dla skręcających. Ryknęły klaksony samochodów zbliżających się z przeciwka. Bmw zatańczyło na jezdni, skręciło i zajęło miejsce tuż za toyotą Jaclyn. Omal nie doszło do wypadku.

Po co właściwie ryzykować przejazd na czerwonym po to, by wyprzedzić zaledwie jeden samochód? Zysk jest niewspółmierny w stosunku do ryzyka. Chyba że...

- Cholera!

Erie umieścił czerwonego koguta na dachu, włączył go i opuścił szybę, bo kobieta wciąż gapiała się za bmw. - Spieprzaj, paniusiu! - krzyknął.

Kobieta odwróciła się ku niemu z widoczną złością. Może chciała wdać się w sprzeczkę, ale zauważyła migające policyjne światło i posłusznie wycofała się na chodnik. Kiedy ją mijał, zobaczył jeszcze jej twarz z uśmiechem wskazującym, że zrozumiała, o co chodzi.

Auto Jaclyn i bmw znalazły się zdecydowanie za daleko od wozu Erica. Spanikowany, boleśnie czuł każdy dzielący go od nich metr. Jeśli jego podejrzenie było słuszne, nie mógł zdażyć na czas, doskonale to wiedział. Widział, co dzieje się przed nim, i nic nie mógł na to poradzić. Co gorsza, gdy pokonywał skrzyżowanie, wyjechał samochód skręcający w prawo i jeszcze bardziej opóźnił pogoń. Chyba nikt jeszcze nie zauważył koguta, bo samochody nadjeżdżające z przeciwka nie odsuwały się na bok, a ten osioł przed nim też nie zamierzał ustąpić.

Chwycił za nadajnik radiowy, a jednocześnie odbił w lewo, starając się wyprzedzić typa, który z uporem włókł się przed samochodem Erica. Nie ma lekko, pomyślał, ten osioł musi zarobić mandat. Jaclyn ponieważ zauważyła, że na czerwonym świetle zostawiła wóz Erica z tyłu. Zwolniła trochę, żeby mógł ją dogonić zaraz po zmianie światła. Prawdopodobnie pomyślał, że zgubiła go celowo, chociaż wcale tak nie było. Nawet jeśli właśnie przez niego całe jej życie stanęło na głowie, to zdawała sobie sprawę z tego, że próba ucieczki w sytuacji, gdy oboje wiedzieli, dokąd jadą, byłaby wręcz idiotyczna.

Ponieważ wypatrywała Erica we wstecznym lusterku, nie sposób było nie zauważyć pędzącego samochodu, który zlekceważył

czerwone światło. Natychmiast zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, bo samochód szybko się zbliżał, ulica zwązała się do dwóch pasów, a /, naprzeciwka mogły nadjechać inni kierowcy. Jaclyn przyspieszyła, by zrobić miejsce z tyłu dla tego szaleńca, bo pobocze było za wąskie na przepuszczenie go, co wydawało jej się zdecydowanie lepszym pomysłem. Zawsze bezpieczniej jest mieć głupiego kierowcę przed sobą niż za sobą.

Wóz skorzystał ze zrobionego miejsca, zaraz potem jednak przyspieszył i uderzył ją w tylny zderzak. Toyota z wypożyczalni wykonała gwałtowny skok do przodu, lekko zarzucając przy tym w bok. Jaclyn krzyknęła, wiedziała jednak, że należy pozwolić, by tamten wóz dokonał korekty kierunku samodzielnie. Po to są wszystkie bajery w wyposażeniu. Instynkt popychał ją do walki z kierownicą, rozum podpowiadał jednak, że nie należy tego robić. Rzeczywiście, chwilę potem samochód znów jechał prosto.

Tylko co ten kretyn za nią kombinuje? W pierwszej chwili pomyślała, że jest pijany, zaraz potem serce podeszło jej do gardła. Ostatnim razem współużytkownik drogi, który wydał jej się pijany, próbował ją zabić. Ten samochód wyglądał inaczej, ale przecież poprzednio każdy ze świadków wskazał inną barwę, a ona wiedziała tylko, że karoseria była ciemna. Dzisiaj kolor był na pewno jasny. Wiedziała, że Erie będzie domagał się od niej wymienienia znaku firmowego, marki albo jakiegokolwiek innej pomocy w identyfikacji, ale tymczasem samochód uderzył drugi raz, mocniej, i toyota znów zatańczyła na drodze. Trzeba było skupić uwagę na jezdni. Nagle w oddali zobaczyła migające światło, oznajmiające, że Erie jest blisko.

Samochód zza niej wyjechał na wolny w tej chwili pas dla skręcających i przyspieszył. Jaclyn odwróciła głowę, by spojrzeć na kierowcę. Mimo wielkiego kapelusza, zasłaniającego dużą część twarzy, i szybko zapadającej ciemności, dzięki światłom

samochodów jadących z przeciwka i odblaskom z deski rozdzielczej poznała znajome rysy. To była Tai te Boyne, pierwsza drużyna, która w bardzo efektywny sposób powiedziała Carrie, żeby się wypchała. Lśniły jej zęby, odsłonięte w groteskowej parodii uśmiechu. Szyba po stronie pasażera była opuszczona. Jaclyn wyraźnie zobaczyła pistolet w dłoni Taite. Instynktownie zahamowała. Strzał chybił, rozbił jednak boczną szybę. Kolejny samochód jadący za Jaclyn uderzył mocno w tył toyoty, którą impet uderzenia wyrzucił w górę i cisnął na krawężnik. Jaclyn miała wrażenie, że zatrzeszczały jej wszystkie kości, tym bardziej że zadziałał pas bezpieczeństwa, który pociągnął ją z powrotem do tyłu i wepchnął w siedzenie z taką siłą, że zrobiło jej się ciemno przed oczami. Siedziała bezwładna, serce jej waliło, a nogi i ręce trzęsły się jak galareta. Na szczęście pamiętała, że Erie jest blisko, i to pomogło jej zachować resztki panowania nad sobą.

Kierowca, który wpadł na nią od tyłu, zatrzymał samochód i wyskoczył na jezdnię.

- Ty głupia cipo! - krzyknął. - Co ty wyrabiasz?

Był purpurowy na twarzy i zbliżał się, potrząsając pięścią.

Z przodu Taite wykonywała właśnie szeroki nawrót. Przerazona Jaclyn odwróciła głowę i zobaczyła koguta wskazującego, że Erie będzie przy niej za kilka sekund. Taite była znacznie bliżej i tych sekund wyraźnie brakowało. Jaclyn znów poczuła się jak kaczka podczas polowania. Musiała za wszelką cenę opuścić samochód.

- Padnij! - krzyknęła do rozwścieczonego faceta. - Ona ma broń! Krzycząc, szarpała za zapięcie pasa, ale nie mogła się uwolnić.

Widocznie coś się zacięło.

Mężczyzna który dostrzegł migające światło, nadjeżdżający z przeciwka samochód i rozbitą szybę wozu Jaclyn, rzucił się ku

poboczu i wyciągnął jak długi na ziemi, osłaniając głowę ramionami.

Jaclyn spojrzała z trwogą na wóz napastniczki. Pas nadal trzymał ją ciasno przy siedzeniu. Nagle uświadomiła sobie, że nic się nie zacięło. To jej ręce tak się trzęsły, że nie mogła poradzić sobie z klamrą. Miała jeszcze ze trzy sekundy. Szarpnęła za klamrę, rozległ się trzask. Dwie...

Rzuciła się w bok, usiłując dosięgnąć klamki przeciwległych drzwi. Wiedziała jednak, że jest za późno. Sekunda... Zaraz padnie strzał.

Nagle wewnątrz samochodu wypełniło się czerwonym światłem. Rozległ się wściekły huk. To rozpędzony wóz Erica staranował samochód Taite.

Poduszki powietrzne to naprawdę wielki wynalazek, pomyślał tępo Erie, gdy się ocknął. Szumiało mu w głowie, wszystko go bolało. Czuł się tak, jakby właśnie oberwał kijem baseballowym po twarzy. Był pewien, że nazajutrz będzie jeszcze gorzej, ale przynajmniej wiedział, gdzie jest i co się stało.

Przytomność stracił najwyżej na kilka sekund, bo Jaclyn stała przy drzwiach jego samochodu, gorączkowo szarpała za drzwi i coś krzyczała. Erie uniósł głowę. Przez rozbitą przednią szybę zobaczył zmasakrowany przód swojego samochodu. Pojazd był raczej do kasacji. Niech to szlag. Papierkowa robota zajmie chyba z dziesięć dni.

- Erie! - zawołała Jaclyn.

Jej głos brzmiał tak, jakby wydobywał się z głębi studni i odbijał o cembrowinę, szybko jednak stał się znacznie wyraźniejszy.

- Co takiego? - spytał w końcu Erie i nawet w jego uszach zabrzmiało to szorstko.

We wnętrzu samochodu unosiło się pełno białego proszku, który wyglądał jak dym. Erie wiedział jednak, że to tylko produkt

uboczny działania poduszki powietrznej. Samochód nie zapala się tak łatwo jak w filmach telewizyjnych.

- Oszalałeś? - wrzasnęła Jaclyn, która nadal szarpała za drzwi. Spojrzała w prawo. - Chodź tu pomóc, dupku jeden! - krzyknęła do faceta z drugiego samochodu.

- Może trochę - odpowiedział jej tymczasem na pytanie Erie. W porządku, wszystko zaczynało wracać na swoje miejsce. Jeszcze stojąc na skrzyżowaniu, wezwał pomoc przez radio i wozy patrolowe właśnie zaczynały nadjeżdżać. Otoczyły bmw, które nie nadawało się już do jazdy. Kobieta, która je prowadziła, też miała do dyspozycji poduszkę powietrzną, ale o ile Erie potrafił się zorientować, jeszcze się nie poruszyła. Kolejne syreny dołączały do chaosu.

- Taite Boyne? - spytał Jaclyn. Skinęła głową.

- Widziałam ją, kiedy próbowała mnie zastrzelić. Tym razem widziałam.

W jej oczach pojawiły się łzy, wciąż bowiem nie potrafiła otworzyć drzwi, z którymi się mocowała, więc Erie odepchnął poduszkę powietrzną i wysunął ramię na zewnątrz. Ujął Jaclyn za rękę. Pozwoliła mu na to.

- Nie płacz, miła. Ona już cię nie skrzywdzi. To koniec. Jaclyn otarła twarz wierzchem dłoni, raptownie wyrwała też rękę z jego uścisku.

- Nie dlatego płaczę, ty skretyniały idioto!

Ojej. To z jego powodu płakała. Czyli w porządku.

- Nic mi nie jest - zapewnił, starając się zachować powagę, wiedział bowiem, że uśmiech w tej sytuacji bardzo by się Jaclyn nie spodobał.

Jej niebieskie oczy zabłysły gniewem. Łzy ani trochę nie rozmiękczyły temperamentu.

- Wbiłeś się w jej samochód! Mogłeś zginąć!

Była blada, razem ze łzami spływał jej po twarzy tusz z rzes, a chociaż Erie już nie trzymał jej za rękę, to widział, że cała drży

- Model policyjny. Zbudowany jak czołg - wyjaśnił, ale raczej jej tym nie udobruchał.

Dalej szarpała za drzwi, a jakiś facet, najwidoczniej ten, którego nazwała „dupkiem”, przyłączył się do niej i szarpali we dwoje. Erie westchnął i odblokował zamek. Sami mogli to zrobić, sięgając przez wybitą szybę, lecz najwidoczniej o tym nie pomyśleli. Teraz facet zdołał uchylić drzwi na tyle, że Erie mógł rozpiąć pas i wydostać się na zewnątrz. O dziwo, w pionie czuł się tylko trochę niepewnie. Może bardziej niż trochę, ale z każdą chwilą odzyskiwał twardy grunt pod nogami. Krew z nosa i z rozciętego czoła kapłała mu na koszulę. Nos mu zdrętwiał, ale Erie miał nadzieję, że go nie złamał. Zresztą nawet gdyby złamał, nie byłby to pierwszy raz. Mimo krwawienia mógł całkiem swobodnie oddychać.

Jaclyn troskliwie go podtrzymała i chociaż mógł ustać na nogach bez najmniejszego kłopotu, to nie zamierzał jej o tym wspominać. Przyjemnie mu było czuć jej bliskość. Wspierała go, a on przyglądał się tymczasem, jak koledzy z Atlanty wyciągają z samochodu Taite. Dał im wcześniej znać, że jest uzbrojona, traktowali ją więc jak niebezpiecznego przestępcę, co oznaczało, że nie zachowywali się szczególnie delikatnie. Również jej nos krwawił i Erie stwierdził z niemałą satysfakcją, że w tym wypadku złamanie jest pewne. Miał nadzieję, że kości zrosną się krzywo.

Najchętniej zamieniłby tę sukę w krwawą masę, ale trzymał się od niej z dala. Po pierwsze, nie zamierzał dać jej szansy wytoczenia mu procesu cywilnego. Po drugie, gdyby tknął ją palcem, papierkowa robota na pewno by go zabiła. I tak będzie miał dość wypełniania formularzy z powodu samochodu. Przede wszystkim zaś chciał być w tej chwili z Jaclyn.

Taite otarła krew z nosa i wyprostowała ramiona, chociaż ręce miała skute za plecami.

- Chcę ubić z wami interes! - zawołała. - Mogę wam go wydać. Mogę oddać w wasze ręce człowieka, który zabił Carrie.

- To jasne - powiedział Erie i uśmiechnął się.

Erie nie mógł się nie uśmiechnąć, mimo że piekielnie bolała go twarz. Tym razem senator Dennison był na jego terenie. Wcześniej tego dnia został wydany nakaz przeszukania samochodu, który Dennison prowadził w dniu, gdy zabił Carrie Edwards. Taite Boyne wszystko wyśpiewała. Wciąż wydawało jej się, że zdoła wywalczyć dla siebie wyrok w zawieszeniu, bez wątpienia wkrótce miała jednak przeżyć poważne rozczarowanie. Ślad krwi znaleziony w samochodzie sprawi, że prokurator okręgowy nie będzie potrzebował jej zeznania, aby sporządzić akt oskarżenia.

Senator raz po raz zmieniał pozycję na niewygodnym krześle w pokoju przesłuchań. Jeszcze nie poprosił o adwokata, ale niewiele brakowało do podjęcia takiej decyzji. Erie robił wszystko, co w jego mocy, żeby senator czuł się jak najswobodniej. Może wyjawi coś, co sprawi, że adwokat będzie mu szybciej potrzebny.

- Chyba rozumiem, jak do tego doszło - powiedział współczującym tonem. - Słyszałem, że Carrie Edwards bywała trudna, kiedy trzeba było się z nią dogadać.

- Tak - przyznał Dennison. - Taka była. - Spojrzał ku zamkniętym drzwiom. - Czy moja żona tam jest? Nie powinna tu przyjeżdżać, ale kiedy zadzwoniliście, uparła się...

- Sierżant Garvey zajmuje się pańską żoną, senatorze. Znalazła się w dobrych rękach.

Biedaczka. Wkrótce czekał ją największy szok w jej życiu. Prawdopodobnie domyślała się, że mąż nie dochowuje jej wierności, Erie wątpił jednak, czy przyszło jej do głowy, że Douglas jest

zdolny do popełnienia morderstwa. Na szczęście jest silną kobietą i taki cios nie powinien jej załamać.

- Co Carrie zrobiła? Pan nie jest człowiekiem, który popełnia morderstwo z zimną krwią.

- Oczywiście, że nie! - obruszył się senator i gwałtownie poruszył się na krześle.

- Musiała coś zrobić. Coś takiego, że pan wpadł w szal i na chwilę zupełnie stracił głowę.

Senator zbladł.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Korzystam z tego, co powiedziała nam do tej pory pani Boyne, ale jej oczywiście tam nie było.

Natomiast pan był.

Erie nie sądził, by Dennison mógł stać się jeszcze bledszy, ale okazało się, że jest w błędzie.

- Nie wiem, co Taite panu powiedziała, ale ona jest równie rozchwiana emocjonalnie jak jej przyjaciółka. Nie można wierzyć ani jednemu jej słowu.

Nawet jeśli nie, to znaleźli wyraźne ślady krwi w samochodzie senatora. Ktoś dobrze wymył wnętrze, ale nie dość dobrze, bo Taite nie poleciła użyć wybielacza. Zresztą nawet gdyby kazała, testy mogłyby coś wykazać. Dojście do wyniku byłoby trudniejsze, ale możliwe. Poza tym czyściciel nie użyłby wybielacza do odplamiania kosztownej skóry.

- Niech pan nie żartuje, senatorze - powiedział cicho. - Co ona zrobiła? Szantażowała pana? Naciskała bez końca i chciała coraz więcej?

Senator musiał zauważyć pewność wypisaną na twarzy Erica, bo oznajmił:

- Chcę porozumieć się z adwokatem. Erie skinął głową.

- Zaraz poproszę, żeby ktoś przyniósł panu telefon.

Byłoby dobrze mieć jego przyznanie się do winy, ale mogli się obejść bez tego. Mieli dowód i zeznanie Taite. Kto inny na miejscu Dennisona pewnie zacząłby śpiewać, ale on był politykiem. Kruczki prawne znał na wylot. Przesłuchiwanie kogoś takiego w filmach wygląda łatwiej. Erie zostawił Dennisona w pokoju przesłuchań, żeby się trochę podenerwował, czekając na przyniesienie telefonu i rozmowę z prawnikiem. Kątem oka zauważył Garveya rozmawiającego z bliską załamania Fayre Dennison. Było mu bardzo przykro, że ta sprawa ją zrani. Wprawdzie nie sądził, by Fayre należała do kobiet murem stojących za mężem bez względu na okoliczności, wydawała mu się na to zbyt konkretna, ale nie ulegało wątpliwości, że rana będzie głęboka. Erie podszedł do nich. Pani Dennison raptownie podniosła głowę i przyjrzała się jego pokancerowanej twarzy

- Czy to rzeczywiście prawda?

Skinął głową, i to wystarczyło. Wszystkie uczucia, z którymi mierzyła się teraz pani Dennison, odbijały się na jej twarzy: niedowierzanie, uraza, akceptacja i wreszcie gniew. Kiedyś kochała swego męża, może nawet to uczucie nadal istniało, ale realistyczne podejście do życia robiło swoje.

- Wiedziała pani? - spytał.

- Ze zabił Carrie? Nie. Wciąż nie jestem pewna, czy wierzę, że jest do czegoś takiego zdolny.

Mimo bólu udało jej się zachować królewską pozę i opanowanie.

- A jeśli chodzi o Taite... Wiedziałam, że on kogoś ma. Od lat nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem. Nie miałam jednak pojęcia, że związał się z kimś takim. Taite jest młodsza od naszego syna.

- Poprosił o adwokata - powiedział Erie.

- Szkoda - mruknął pod nosem Garvey.

Fayrc zdawała się trochę odzyskiwać równowagę. Uniosła głowę.

- Ja też muszę wykonać kilka telefonów. Nie pozwolę, żeby Doug korzystał z usług adwokatów mojej rodziny albo z zasobów mojej rodziny opłacał prawników. To samo dotyczy pani Boyne. Mąż nie ma zbyt dużo własnych pieniędzy. Zadowalało go korzystanie z mojego majątku. Chcę, żeby odczuł każdego dolara, którego zapłaci adwokatom. Zanim pójdzie do więzienia, nie zostanie mu złamany cent.

To na pewno nie jest kobieta murem stojąca za mężem, pomyślał Erie.

Trzeba było złożyć zeznania i wypełnić mnóstwo formularzy, ale w końcu Jaclyn znalazła się w domu. Wchodząc w głąb mieszkania, zapalała wszystkie światła, ponieważ dość długo panowały tu ciemności. Godzina była późna, zwykle o tej porze Jaclyn leżała już w łóżku. Nie ma jednak lepszego sposobu, żeby docenić własny dom, niż przez kilka dni w nim nie bywać. Jej kanapa, krzesło, kuchnia. Własna łazienka, łóżko. Prawdziwy dom. Świadomość, że kobieta, która próbowała ją zabić, siedzi w celi, potęgowała jej dobry nastrój. Pierwszy raz od wielu dni Jaclyn mogła się odprężyć.

Garvey przyjechał po nią i Erica na miejsce wypadku i odwiózł ich do Hopewell, gdzie Erie bardzo szybko wystarał się o następny samochód z zasobów miejskich. Oczywiście, nie chciał iść na kontrolę do szpitala, ale dostał wyraźny rozkaz od Garveya, a poza tym był to wymóg ubezpieczeniowy, więc bardzo zły poddał się procedurze. Garvey zaproponował załatwienie nowego wynajętego go samochodu dla Jaclyn, ale powiedział też, że prawdopodobnie nazajutrz będzie do odebrania jej jaguar, a tymczasem w razie potrzeby chętnie ją zawiezie. Jaclyn podziękowała za wynajęty samochód. Nie chciała dłużej samej siebie oszukiwać. Uciekała od wielu dni, lecz czas uciekania właśnie się skończył.

Weszła do kuchni i sięgnęła do szafki po bezkofeinową kawę. Było późno, miała za sobą trudny dzień, nie wyobrażała sobie jednak, by w najbliższym czasie zdołała położyć się spać. Chciała nacieszyć się swoim domem, po prostu w nim posiedzieć.

Właśnie odmierzała kawę sypaną do fetra, gdy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Mama, pomyślała, ponieważ oczywiście zatelefonowała do Madelyn i złożyła jej krótkie sprawozdanie z przebiegu wydarzeń. Kiedy spojrzała przez wizjer, okazało się jednak, że to nie Madelyn. Otworzyła drzwi i wpuściła Erica. Włożył czystą koszulę, miał opatrunki na czole i mostku nosa i podbite oboje oczu. To był absolutnie najpiękniejszy widok w jej życiu.

W milczeniu zarzuciła mu ramiona na szyję i zatoneła w jego objęciach. W głębi serca czuła, że się poddaje, pozbywa się tego lęku, który niemal paraliżował jej osobiste życie. Walczyła ze swoim pragnieniem, odkąd poznała Erica w ratuszu, lecz nie zamierzała robić tego dłużej. Mieli trudny start, ale Eric uratował jej życie. Bez wahania naraził swoje, taranując samochód Taite. Czy mężczyzna może bardziej przekonująco dowieść, że można mu zaufać? Eric był dobrym człowiekiem, jej własnym rycerzem. Brakowało mu tylko białego kapelusza.

Odsunęła się, usiłując zebrać myśli. Nie bardzo wiedziała, jakie słowa zabrzmiałyby właściwie w tej sytuacji. Traciła głowę dla Erica, kurczowo się go trzymała, a potem nagle odpychała z całej siły, jakby walczyła o życie. Nie chciała go więcej odpychać. To mógł być ważny, decydujący moment w jej życiu, więc nie zamierzała go zepsuć. Nie zaplanowała tego, nie miała harmonogramu ani listy do skreślenia tego, co już powiedziała.

- Pochrapujesz - oznajmiła w końcu. - Przyzwyczajanie się do tego może mi zająć trochę czasu, ale jestem gotowa spróbować.

Nieznacznie uniósł brwi.

- A ty parzysz najgorszą kawę, jaką miałem w ustach, ale dla ciebie warto pocierpieć.

Poderwała głowę.

- Nieprawda! Objął ją w talii.

- Prawda. Sam nią plućem. A tak między nami: co to było za świństwo?

- Kawa orzechowo-malinowa, jedna z moich ulubionych.

Nie powiedziała całej prawdy Owszem, była gotowa wypić coś takiego, ale zwykle wtedy, gdy należało wykończyć zawartość opakowania. Tego jednak Erie mógł się dowiedzieć później. Zresztą lubiła smakowe kawy, tylko akurat nie orzechowo-malinową.

Mimo woli uśmiechnęła się.

- Pracuję czasami w bardzo dziwnych godzinach.

- Ja też.

- I często w weekend.

- Podobnie jak ja.

Oparła mu głowę na piersi i wsłuchiwała się w rytmiczne bicie serca. Trzymał ją mocno przy sobie, ale czuła, że robi to inaczej niż dotąd i ostrożnie, pomału zmienia pozycję. Odniosła wrażenie, że zna go zaskakująco dobrze.

- Obolały? - spytała.

- Trochę - odparł niechętnie.

Oto cały facet. Nie chce przyznać, że w rozbitym samochodzie mogło zostać trochę z jego stuprocentowej męskości. Była to niewątpliwa skaza, ale do zniesienia.

- Biedne dziecko. Może przygotować ci gorącą kąpiel? Wymoczysz się porządnie.

Podobało jej się westchnienie, które usłyszała. Wydobyło się z głębi Erica i bez słów świadczyło o tym, że trafiła w sedno.

- Tylko wtedy, jeśli wymoczysz się razem ze mną.

Jaclyn uśmiechnęła się i wspięła na palce, żeby go pocałować. - Podoba mi się ten pomysł. Erie marzył o filiżance dobrej kawy, która nie smakuje czekoladą ani orzechami i malinami, ani - wciąż trudno było mu uwierzyć w to, co pije - crème brûlée. Lubił crème brûlée jako deser podany do kawy, ale w kawie tego smaku sobie nie życzył. Z drugiej strony, zawsze mogło być gorzej. Okazało się, że ta koszmarna lura, którą dostał za pierwszym razem, była wypadkiem przy pracy. Od czasu aresztowania Taite Boyne, która zaczęła zeznawać na niekorzyść senatora, minęło parę tygodni. Sprawa po trochu się wyjaśniała, kolejne kawałki łamigłówki zajmowały swoje miejsce i układały się w całość. Oczywiście prasa szalała. Erie był zavalony papierkową robotą, ale pomalutką zamęt cichł i nawet prywatne życie Erica zdawało się w jak najlepszym porządku. Właściwie już prawie mieszkał z Jaclyn. W każdym razie w jej łazience trzymał szczoteczkę do zębów i zmianę ubrania w szafie, poza tym spędzał tam więcej nocy niż gdzie indziej. Namówiła go nawet na oglądanie Domu i Ogrodu, chociaż, prawdę mówiąc, telewizji nie poświęcali dużo czasu. Wkrótce powinni dojść do rozwiązania kwestii wspólnego mieszkania. Erie widział, że wszystko zmierza w tę stronę i, o dziwo, bardzo mu na tym zależało. Jesienią, a najpóźniej na Boże Narodzenie powinni się pobrać. Pozwoli Jaclyn, żeby wszystko zaplanowała. Układ był prawie idealny, mimo że nie zdobył się jeszcze na odwagę, by skonfiskować jej kawę i przejąć kontrolę nad ekspresem. Jaclyn wciąż myślała, że zaczyna mu smakować poranna kawa o smaku czekoladowym, a on nie chciał urazić jej uczuć. Kochał ją i to bardzo. W końcu jednak musiało dojść do szczerzej rozmowy na temat kawy. Może należało zdecydować, że każdy pije swoją? Jaclyn na pewno pozwoli mu trzymać w szafce puszkę Maxwell House.

Tymczasem jednak zastanawiał się, czy może bezpiecznie zatrzymać się na kawę gdzieś po drodze. Od dawna nie odważył się tego spróbować, ale może jego niefart się skończył? Mimo wszystko nie miał ochoty podjechać do McDonalda, raz na zawsze skreślił też sklepik przy stacji benzynowej. Jaclyn chwaliła kawiarnię U Claire, więc pomyślał, że złapie dwie sroki za jeden ogon. Dobra kawa dla niego, muffinki na wynos dla Jaclyn i dodatkowo harcerska sprawność za przyniesienie muffinek. Naturalnie, w kawiarni nie było okienka dla zmotoryzowanych i wszedł do środka. Spodobało mu się to, co zobaczył. Rośliny -naturalne albo bardzo dobre imitacje. Niewielkie okrągłe stoliki i krzesła wyglądające na niewygodne. Cicha, dyskretna muzyka płynąca z ukrytych głośników. Co najważniejsze, porządnie ubrani ludzie w średnim wieku - głównie kobiety - popijali kawę i pogryzali muffinki. Parki rozmawiały, jedząc. Kobiety gawędziły Jedna, przy osobnym stoliku, czytała książkę, inna pracowicie stukwała w klawiaturę laptopa. Czy może być bezpieczniejsze miejsce na świecie? Tu nie będzie musiał chować się za bańkami z olejem napędowym.

Zamówił kawę i pół tuzina muffinek. Różne smaki, bo nie wiedział, który Jaclyn lubi najbardziej. Zaczął sobie wyobrażać, że karmi ją nimi po kawałku. Kobieta stojąca za kontuarem podała mu kawę, na muffinki jeszcze czekał, kiedy dzwonek przy drzwiach zasygnalizował nadejście nowego gościa. Kasjerka, która przed chwilą wręczyła mu filiżankę, zbladła i cofnęła się o krok tak gwałtownie, że uderzyła plecami o ekspres do kawy

- Ty zdiro! - rozdarł ciszę gniewny okrzyk. - Wiedziałem, że cię tu znajdę!

Erie zerknął przez ramię. Potem zamknął oczy i spuścił głowę.

- Cholera jasna, znowu. Tylko nie to!